

EWA  
BIAŁOLEĆKA

KRONIKI  
DRUGIEGO  
KREGU

KSIĘGA  
II

DRUGI KRAJ





KRONIKI  
DRUGIEGO  
KREGU

EWA  
BIAŁOLEĆKA

KRONIKI  
DRUGIEGO  
KREGU

DRUGI  
KRAĞ

KSIĘGA II



Ilustracja na okładce: Bogna Gawrońska  
PROJEKT OKŁADKI: Magdalena Zawadzka/Aureusart  
REDAKCJA: Paweł Gabryś-Kurowski  
KOREKTA: Danuta Szczepańska  
SKŁAD I ŁAMANIE: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart

Copyright © Ewa Białołęcka 2018  
Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-679-6

Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Adres do korespondencji:  
**Wydawnictwo Jaguar** Sp. z o.o.  
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104  
02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)  
snapchat: jaguar\_ksiazki

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

Wojny i przymierza

Magowie Drugiego Kręgu

Epilog

## ✿ WOJNY I PRZYMIERZA ✿

Kiedy Jagoda zobaczyła kołujące nad zatoką smoki, wiedziała, co to oznacza – ojciec wrócił. Nie musiała nawet używać talentu, by to sprawdzić. Z żadnego innego powodu nie zgromadziłoby się w tym jednym miejscu tylu skrzydlatych rezydentów Jaszczura. Pobiegła nad brzeg morza wypełniona radością. Zwinna i lekka, przeskakiwała powalone kłody, płosząc po drodze drobną zwierzynę. Wyobrażała sobie, jak wyskakuje nagle spomiędzy zieleni, ojciec otwiera ramiona... już prawie czuła jego mocny uścisk, słyszała śmiech.

Na skraju zarośli instynktownie zawahała się, wyglądając ostrożnie zza pierzastych liści. Wyczuwała przed sobą wiele istot, wiele jarzących się emanacji w przestrzeni wewnątrzwidzenia.

Po gorącym piasku przechadzały się trzy obce smoki. Pomiedzy skrzydlatymi olbrzymami szalała podniecona dzieciarnia, ale najbardziej rzucał się w oczy ojciec Jagody obściskujący się bezwstydnie z Księżycowym Kwiatem. Jagoda przygryzła wargę. Nic nowego, naprawdę nic nowego. Gdyby teraz poszła na spotkanie, ojciec zapewne cmoknąłby ją zdawkowo w policzek, pytając: „Co tam u ciebie?”, ale jego myśli błędziłyby wokół ciała tej kobiety. Doprawdy, był gorszy od smoka w rui.

Dziewczyna zgarnęła szybko trochę pyłu z ziemi, splunęła w garść i tak sporządzonym błotem wysmarowała twarz. Teraz nie było szans, by ktoś dostrzegł ją w cieniu.

„Co robisz?”, odezwał się w jej głowie znajomy głos Leniwca.

„Poluję” – odpowiedziała krótko i smok wycofał się z szacunkiem. Zdobywanie jedzenia było sprawą zbyt poważną, by zakłócać ją jałowymi pogawędkami.

Jagoda ponownie zerknęła między gałęziami na towarzystwo zgromadzone na plaży i dostrzegła jeszcze jedną postać skromnie trzymającą się z boku. Przy mocno zbudowanym Słonym przybysz wydawał się wątyły i cienki jak kij. Wyteżyła wzrok. Był chyba młody...

Kiedy trzy tygodnie temu ojciec Jagody nagle zniknął z domu, zostawił jedynie krótką wiadomość: jakiś człowiek został ranny i potrzebował pomocy, Słony musi się dostać na jakąś bezimienną wysepkę na samym krańcu archipelagu i wróci, kiedy sprawa „się rozwiąże”. Od tamtej pory Jagoda siadywała na południowym krańcu Jaszczura i usiłowała odnaleźć w bezkresie

umysł ojca. Czasem jej się to udawało, lecz jego myśli zwykle były niewyraźne i pełne zatroskania. Jak widać wszystko „rozwiązało się” dobrze. Ranny przeżył. Jagoda przypatrywała mu się z rosnącą ciekawością. Jedyni ludzie, których miała okazję oglądać od bardzo, bardzo długiego czasu, to jej własna rodzina. Kim jest ów tajemniczy gość?

Przygryzła wargę. Wyjść teraz...? Och, nie! Z tym błotem na twarzy? Potarła policzki, zła sama na siebie. Nigdy nie była ładna, ale teraz wyglądała po prostu strasznie. Lepiej poczekać. Tak, poczeka, poobserwuje z ukrycia i zastanowi się, co robić. Uda, że nic nie wie, i po prostu wyjdzie z lasu w dogodnym momencie, jakby nigdy nic.



Kamyk czuł się kompletnie oszołomiony i wyczerpany. Podróż była długa i męcząca, a on wciąż jeszcze nie do końca wydobrzył po infekcji płuca. Co prawda lot na smoczym grzbiecie dostarczał wrażeń niezapomnianych i Kamyk nigdy by się go nie wyrzekł. Pazur i Łagodna długo naradzali się nad planem ponownej zmiany terytorium, lecz ostatecznie podjęli decyzję powrotu na Jaszczura, skąd wyemigrowali przed laty. Zapasy na splądrowanej przez piratów wyspie wyczerpywały się, zwierzyna została przetrzebiona i jasne się stało, że szczupłe terytorium nie utrzyma dłużej trzech smoków o sporym apetycie. W ostateczności mogli jeszcze poszukać miejsca na kontynencie.

Uszczęśliwiony przeprowadzką Pożeracz Chmur szalał po drodze, to unosząc się wysoko, to znów opuszczając nisko nad morskie fale, ryzykując zamoczenie łap i ogona. Pazur parę razy bezskutecznie przywoływał syna do porządku. Wreszcie dał spokój, widząc, że to nic nie daje. Pożeracz Chmur wyznał Kamykowi, że Pazur wciąż jeszcze wspomina śmierć Szperacza, ale skrycie cieszy się z powrotu do dawnych zakątków, choć nie daje po sobie tego poznać. Słony znów podróżował na grzbiecie Łagodnej, piastując w objęciach Liskę – smoczyca zaufała magowi na tyle, że powierzyła mu opiekę nad swym dzieckiem.

Gdy już pojawiło się przed nimi zielone cielsko największej wyspy Smoczego Archipelagu, Kamyk nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to naprawdę ogromny gad wylegający się na falach. Półwysep wcinający się wąskim pasem w ocean przypominał ogon. Półkolista zatoka kojarzyła się z zagiętą łapą, a wzniesienia pośrodku wyspy tworzyły wypukły grzbiet zwierzęcia. Nad

stożkiem wulkanu jak zwykle unosiły się białe obłoki pary niczym oddech śpiącego potwora.

Wyspa Pazura wydawała się maleńka przy rozmiarach Jaszczura. Bujna roślinność, która wyrosła na wulkanicznej glebie, pokrywała wyspę na podobieństwo gęstego kędzierzawego futra. Ileż ciekawych miejsc, niezwykłych roślin i zwierząt musiało kryć się w tej zieleni.

Kiedy nareszcie wszyscy dotarli szczęśliwie na miejsce, Kamyk miał wrażenie, że znajduje się w rojnym tłumie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo w ciągu pobytu na Wyspie Pazura odwykł od ludzi. O Bogini, to wprost niemożliwe, żeby jeden człowiek mógł mieć tyle dzieci... biegają dokoła, aż oczy za nimi nie nadążają, wieszają się Słonemu na szyi, ciągną smoki za futro... Kamyk zamknął oczy i usiadł na piasku, czując zawroty głowy i nerwowe mdłości.



*Słony wspominał o sześciorgu dzieciach, ale mnie się wydawało przy pierwszym spotkaniu, że jest ich sześćdziesięcioro. Musiało upłynąć nieco czasu, nim się do nich przyzwyczaiłem. Mają zdumiewającą zdolność pozornego przebywania w paru miejscach jednocześnie. To niemal magia. Słony śmieje się i wyjaśnia, że to normalne u dzieciarni w tym wieku. „Ten wiek” oznacza cztery, pięć, sześć i siedem lat. Najstarszy z chłopców ma na imię Żywe Srebro, co jest według mnie doskonale dobranym imieniem. Nigdy w życiu jeszcze nie widziałem tak ruchliwego dzieciaka. Błyskawica jest o rok młodszy – znów imię doskonale oddające jego charakter. Potem Tygrysek – chyba nieco spokojniejszy od starszych braci, ale niewiele, a na końcu bardzo do siebie podobne bliźniaki: Blask i Słoneczna. Są trochę nieśmiałe, przyglądają się tylko z daleka, w przeciwieństwie do reszty, która wchodzi mi właśnie na głowę, czyta przez ramię i zaśmiewa się do rozpuku. No i Słony ma żonę. Żonę!*

*Oczywiście magowie miewają dzieci. I to chyba nawet częściej, niż zdaje się naiwnym niewiniątkom, ale żony i pełne rodziny są raczej rzadkością. Tak mi tłumaczył Płowy. Jaka kobieta chciałaby się związać na całe życie z Obserwatorem, który umiałby odkryć jej najskrytsze tajemnice, lub z Iskrą podpalającym sprzęty w chwili gniewu? Co prawda Księżycowy Kwiat jest drugą żoną – więc może pierwsza jednak z magiem nie wytrzymała – ale według tego, co mi zakomunikował Słony, żyją ze sobą zgodnie już ładnych parę lat.*



*Moje spotkanie z Księżycowym Kwiatem wypadło trochę niezręcznie. Ta dzielna kobieta, bohaterko trwająca u boku Mówcy, jest bardzo piękna i nie dziwnego, że Słony ją uwielbia. Tylko ja naprawdę bym wolał, żeby nosiła coś więcej z ubrań. Ma na sobie sporo biżuterii, za to bardzo mało tkanin – owija się tylko czymś strasznie cienkim, pewnie dlatego, że tu jest tak gorąco – wszystko przez to widać. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać, kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, i tylko gapiałem się w ziemię. Pewnie myśli teraz, że jestem gburem albo półgłówkiem. Chyba starała się być miła. Uśmiechała się i pogłaskała mnie po głowie... to straszne. Czuję się jeszcze bardziej głupio.*

*Tylko jednej osoby brak. I to tej, której jestem najbardziej ciekaw. Tajemnicza Jagoda, najstarsza córka Słonego, jeszcze się nie pokazała. Słony opowiadał mi o jej zażyłości ze smokami i o tym, że dziewczyna zna całą wyspę jak własną kieszeń. Obiecuję sobie wiele dobrego po tej znajomości. Może i dziewczyna, ale według Mówcy bystra i samodzielna. Byłoby wspaniale penetrować Jaszczura pod jej przewodnictwem.*



To, co mag Słony określał jako dom, okazało się dość niecodzienną konstrukcją. Osiem wbitych w grunt pali przykryto strzechą z liści palmowych. Podłoga znajdowała się około dwóch łokci nad ziemią, co, jak wyjaśnił Kamykowi gospodarz, zabezpieczało dom przed wizytami rozmaitych nieprzyjemnych zwierzątek z lasu. Podłoga ta ugiwała się lekko pod ludzkim ciężarem i Kamyk początkowo miał przykre wrażenie, jakby chodził po niepewnym podłożu zarośniętego torfowiska. Ściany w tym dziwnym domostwie nie istniały wcale. Zastępowały je zasłony płócienne lub uplecione z włókien i cienkich listewek, które opuszczano lub zwijano w zależności od potrzeb. Mieszkańcy żyli może nie „pod gołym niebem”, ale śmiało można rzec „na wolnym powietrzu”. Sprzęty prezentowały się równie skromnie. Wyglądało na to, że sypia się tu w hamakach i na matach, co zresztą Kamykowi zupełnie nie przeszkadzało. Przyzwyczał się do noclegów nawet na ziemi. Jedyne stół służył Słonemu za miejsce pracy i zavalony był bez reszty stosami papierów, zwojami pergaminu, mapami, próbkami zaszuszonych roślin i łupkowymi tabliczkami do notatek. Kamyk uśmiechnął się bezwiednie na widok owego mebla. Pewne rzeczy są niezmiennie, miejsca pracy magów podobne do siebie jak przepiórcze jaja. W kilku stojących obok szczelnych kufrach Słony przechowywał z wielkim

staraniem książki, narzędzia chirurgiczne i szkła powiększające wyszlifowane z kryształu.

Za to Księżycowy Kwiat przyrządzała jedzenie, klęcząc po prostu na macie rozłożonej wprost na ziemi przy domu. Pogodnie, z ogromnym wdziękiem kroić jarzyny i mieszała w garnku stojącym na palenisku zrobionym z kilku kamieni. Kamyk przypatrywał się temu z niedowierzaniem. Dziesięć na dziesięć panien ze Żmijowych Pagórków zaprotestowałyby z oburzeniem, gdyby ktokolwiek zaproponował im takie zwariowane i nędzne gospodarstwo, i jeszcze tego samego dnia wróciłyby do matek. Tymczasem Księżycowy Kwiat zdawała się zupełnie o to nie dbać. Chłopiec dyskretnie obserwował, jak gotuje, bawi się z dziećmi i z niezmaconym spokojem usuwa poza krawędź domu ciekawskie jaszczurki o lepkich łapkach lub wielkie kosmate pająki, które każdą zwykłą kobietę wprowadziłyby w niepohamowany atak paniki. Śliczna żona Słonego jednak najwyraźniej nie była zwyczajną kobietą. Wyrozumiała zarówno dla magicznego chaosu oraz okazów przyrodniczych gromadzonych przez męża, jak i najdziwniejszych skarbów (w tym rozmaitych robaków) znoszonych przez dzieci. Tak samo spokojnie przyjęła pod swój dach niespodziewanego gościa na czas nieokreślony, w dodatku wciąż jeszcze pozostającego na kłopotliwych prawach nie do końca ozdrowiałego. Kamyk miał niejasne wrażenie, że został potraktowany jak jeszcze jeden okaz w kolekcji, z tym tylko że Księżycowy Kwiat nie próbowała umieścić go w skrzyneczce.

Z początku oszołomiony i wytrącony w równowagi, chłopiec bardzo szybko poczuł się swojsko. Słony traktował go przyjaźnie, jego żona najwyraźniej również nie miała nic przeciwko obecności nowego lokatora na swym terytorium, a dzieci maga wydawały się miłe i dobrze wychowane, choć ponadprzeciętnie ruchliwe. Było to dobre miejsce, aby spokojnie wrócić do zdrowia, odtworzyć zniszczoną kolekcję roślin i owadów, z której ocalał jedynie ów piękny, czarno-niebieski motyl, a także wiele nauczyć się o smokach, których całe stado zamieszkiwało wyspę.



Jagodzie mocno biło serce. Umyła już twarz i na nowo zaplotła warkocze, potargane wcześniej w zaroślach. Od pół godziny tkwiła w krzakach koło domu i nie miała odwagi wyjść. Obserwowała człowieka, który przechadzał się po domu, przyglądając się wszystkiemu. Jej rodzeństwo towarzyszyło mu jak

wierne cienie, przepychając się, gadając jedno przez drugie i co rusz wybuchając potokiem chichotów. „Ileż on może mieć lat?”, zastanowiła się dziewczyna. Dwadzieścia? Piętnaście? Dwadzieścia pięć...? Ku swemu zmieszaniu, zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie odgadnąć wieku przybysza i że właściwie jest on pierwszym mężczyzną poza ojcem, jakiego widzi od... Nie pamiętała od kiedy. Przygryzła wargę w zdenerwowaniu. Wiele lat upłynęło od momentu, gdy Słony opuścił rodzinną posiadłość, zabierając ze sobą małą Jagodę. Nie miała wtedy więcej niż siedem lat. Wówczas ludzie dzielili się dla niej wyłącznie na dzieci i „dużych”. Była za mała, by precyzyjnie rozróżniać wiek różnych osób – a że właściwie nigdy nie miała okazji bawić się z rówieśnikami, świat w jej pojęciu składał się niemal z samych dorosłych. Nawet pomywaczki i chłopcy stajenni zdawali się jej „duzi”. Jaki ten człowiek jest wysoki... chyba równie duży jak ojciec. I tak samo kędzierzawy! Jagoda uśmiechnęła się do tej myśli. Nie ma jednak brody, więc nie jest chyba zbyt stary. Obserwowany zmęczył się wreszcie i usiadł na skraju platformy, zwieszając nogi nad ziemią. Rozłożył sobie na kolanach deseczkę i kawałek pergaminu. Pisze coś, od czasu do czasu podnosząc głowę i uśmiechając się do oblegających go dzieci. Wygląda całkiem miło, choć jest strasznie chudy i mizerny. No tak, przecież był ranny, pewnie ledwo przeżył. Jego myśli płyną spokojnym strumieniem, nie można wyłowić z nich niczego konkretnego. Jest zmęczony i jednocześnie zaciekawiony nowym otoczeniem.

Ojca nigdzie nie widać, pewnie poszedł spotkać się z którymś ze „swoich” smoków. Trójce przybyszów trzeba przecież wykroić jakiś teren, gdzie mogliby urządzić sobie legowisko. Należy również ustalić, gdzie wolno im polować.

Księżycowy Kwiat gotuje coś i smakowite zapachy docierają aż do kryjówek Jagody. Niespodzianie zaburczało jej w brzuchu i odruchowo przełknęła ślinę. No tak, niebawem wieczorny posiłek, a ona dziś nie miała w ustach nic prócz kawałka placka i garści owoców w lesie. Najwyższy czas, by zaprezentować się temu nowemu i zjeść coś wraz z rodziną.

Wyłoniła się z zieleni, przybierając przyjemny wyraz twarzy.

– Hej, Jagoda! – Pierwszy zobaczył ją Błyskawica i pomachał ręką. Za nim jak z wielokrotnione echo ozwały się „hej, hej” reszty malców.

– Hej – odpowiedziała przyjaźnie. „Nowy” nawet nie podniósł głowy, co ją zdeprymowało. Mógłby być trochę... grzeczniejszy.

– To jest Kamyk – wyjaśnił Żywe Srebro, szeroko otwierając oczy z emocji.  
– On się bił z piratami! Tata tak powiedział!

O, to brzmiało bardzo interesująco.

– Hej, Kamyk... – odezwała się Jagoda, rozciągając usta w nienaturalnym uśmiechu. – Witaj na Jaszczurze.

Zaraz podniesie głowę... popatrzy na nią, powie „hej” albo coś w tym rodzaju... Nie, nic nie robi. Píše dalej, rysik biega po papierze, kreśląc kolejne znaczki, jakby to było najważniejsze na świecie.

– Słuchaj no...! – powiedziała, podnosząc głos.

– Jagoda, ale... – zaczął Żywe Srebro, ale dziewczyna już wyciągnęła rękę i wyrwała rysik z dłoni piszącego. Poderwał wreszcie głowę, jakby został zaskoczony, i Jagoda zobaczyła jego twarz z bliska – bardzo szczupłą i nieco bladą. Wzdrygnął się bezwiednie, wciągnął spazmatycznie powietrze, a jego oczy rozszerzyły się w nagłym szoku. Jagoda cofnęła się o krok, zaciskając palce na rysiku. Nie wiedząc właściwie, co robi i dlaczego, sięgnęła do umysłu przybysza. Szok, przestrasz, zaskoczenie i wstręt... przez mgnienie widziała samą siebie jego oczami: biała skóra, obrzydliwa jak ciało spalonego czerwia żerującego w drewnie, i te oczy, czerwone jak krew... jak żywe mięso w ranach. Oblicze demona z koszmaru...!

– NIE!!! – Rzuciła mu ołówek w twarz, wrzeszcząc na całe gardło. Przerażone dzieci patrzyły, jak odwraca się i ucieka z powrotem w dżungłę.

– Jagoda! Jagoda! Zaczekaj, co się dzieje?! – słyszała za sobą wołanie zaniepokojonej macochy.

Dopiero w głębi lasu, gdy miała już pewność, że nikt jej nie usłyszy, pozwoliła sobie na płacz.



*Widziałem Jagodę. O ile pierwsze spotkanie z Księżycowym Kwiatem nazwałem niezręcznym, to zetknięcie się z córką Słonego określiłbym jako katastrofę. Nie jest ładna, biedactwo. Właściwie to jest po prostu brzydka. Gdyby Słony uprzedził mnie, czego mogę oczekiwać, pewnie wyszłoby to o wiele lepiej. Zostałem zaskoczony i mogę sobie wyobrazić, co to nieszczęsne brzydactwo wyczytało na mej twarzy. Jest mi przykro, ale z drugiej strony to nie moja wina, że ona wygląda jak upiór. Stanowczo podkreślam, że Słony powinien był mnie uprzedzić. Napiszę nieco więcej. Jagoda ma czternaście lat, jest dość chuda, ma zupełnie białą skórę, białe włosy i wielkie czerwone oczy. Wyglądają jak dwie ogromne czereśnie położone na zsiadłym mleku. Brwi i rzęsy chyba nie ma, a w każdym razie nie zauważyłem tego. Może dlatego, że widziałem ją za krótko,*

*a białego na białym nie widać. O tak, to nie jest pochlebny opis. Nie wiem, co o tym myśleć. Mam żal do Słonego o to, że, opowiadając mi o córce, nie wspomniał, jak ona wygląda, nieczyste sumienie, bo dziewczę chyba się obraziło, i jednocześnie jestem trochę na nią zły, bo trafiła mnie ołówkiem w oko. Najwyraźniej dobre wychowanie nie jest jej mocną stroną.*

Kamyk westchnął i zrolował pergamin. W zamyśleniu postukał się rysikiem w brodę. Tak, Jagoda mogła stanowić problem. Czy on zawsze musi mieć takiego pecha, że zraża do siebie ludzi, zupełnie niechący?



Jagoda wróciła do domu tuż przed zachodem słońca. Nie odzywając się do nikogo, pochłonęła łąpczywie swoją porcję zupy. Macocha wpierv miała zamiar skomentować dzisiejsze zajście, lecz jedno spojrzenie na minę pasierbicy przekonało ją, że lepiej się do niej nie odzywać.

Dzieci bawiły się przed domem w dość hałaśliwą grę polegającą głównie na bieganiu pomiędzy narysowanymi na piasku kołami. Kamyk spał, oddychając ciężko, jedna ręka zwisała mu poza brzeg hamaka, a palce drgały, jakby śnił, że coś chwyta. Jagoda spoglądała w jego stronę wyraźnie wrogo. Tak samo ponure i buntownicze spojrzenie rzuciła ojcu.

– Po co go tu przyprowadziłeś? – mruknęła pod nosem, robiąc wymowny ruch głową w odpowiednim kierunku.

Słony uniósł brwi. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może po to, żeby przeżył – odparł, starając się, by jego głos zabrzmiał spokojnie. – Cudem go odratowałem i wolałbym, aby tak pozostało, a samotny, chory i niedożywiony raczej nie miałby szans.

– Taaaa... – mruknęła znowu dziewczyna, wbijając wzrok w dno miski, gdzie niemrawo rozgrzebywała łyżką resztkę kolacji. Przed dłuższą chwilę panowało milczenie, zakłócanie jedynie przez piski rozbawionych dzieci.

– On myśli, że jestem obrzydliwa – wyszeptała wreszcie Jagoda, a przez jej twarz przebiegł skurcz. – To dlatego dziadek wyrzucił nas z domu, prawda? Bo jestem potworem, dziwadłem... – Zagryzła wargę, by nie rozplakać się znowu.

Księżycowy Kwiat upuściła miskę. Słony zbladł. Odetchnął głęboko, nim odpowiedział.

– Czy kiedykolwiek mówiliśmy lub choćby pomyśleliśmy o czymś takim?

– Nie, ale...

– Ale doskonale wiesz, że to nieprawda. Nie jesteś żadnym potworem, wybij sobie to z głowy! – przerwał jej ojciec.

– Mam oczy jak smok! – wysyczała Jagoda z gniewem. – Szkoda, że nie widziałeś, co on o mnie pomyślał! Świnia!

– Nie jesteś brzydka, kochanie, jesteś tylko... inna – wtrąciła Księżycowy Kwiat nieco bezradnym tonem. Jagoda prychnęła pogardliwie, znów gapiąc się w miskę.

– Zachowuj się trochę uprzejmiej wobec mat... – powiedział Słony i urwał nagle, gdyż podniecony Tygrysek właśnie wdrapywał się po schodkach, wyciągając rączkę, w której skręcał się cieniutki wąż.

– Tata! Tata, patrz, co mam!

– Nie jest jadowity – uspokoił żonę mag. – Tygrysku, nie ściskaj go tak, bo mu zrobisz krzywdę.

– Ale on ucieka.

– To mu powiedz, żeby nie uciekał.

– Mogę go mieć? Mogę z nim spać? – dopytywał się chłopczyk.

– Nie, jeszcze się na nim połóżysz i go zgnieciesz. Wypuść go do lasu.

– Słuchaj taty, Tygrysku – poparła męża Księżycowy Kwiat. – Znajdziemy ci większego węża do zabawy. Ten jest za malutki.

– Jagoda, posłuchaj... – odwrócił się znów do córki Słony, gdy Tygrysek ze swoim pupilem odszedł na bezpieczną odległość. Ta jednak udała, że nie słyszy. Zdjęła ze sznura czystą tunikę, porwała ręcznik, mydło i szybkim marszem oddaliła się w stronę pobliskiego potoczku, gdzie urządzono miejsce do mycia. Słony patrzył za nią z posępnym wyrazem twarzy. Wymienili z Księżycowym Kwiatem zatroskane spojrzenia. Jagoda wyglądała, jak wyglądała, nikt z rodziny do tej pory głębiej tego nie rozważał. Pozbawiona pigmentu skóra i oczy stanowiły po prostu integralną część Jagody, tak jak głowa, ręce i nogi. Dziewczyna również zdawała się dotąd zupełnie nie zwracać uwagi na ten szczegół. Przesadnie jasna, narażona na oparzenia słoneczne skóra była problemem zdrowotnym, a nie estetycznym, a czerwone oczy wśród smoków są rzeczą powszechną i wręcz normalną. Wystarczyła jednak minuta spędzona w towarzystwie przybysza z kontynentu, żeby cały ten spokojny układ został zburzony. Słony podrapał się w głowę z zakłopotaniem. Właściwie nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy jego córka jest ładna, czy nie. Była silna i inteligentna, resztę więc spychał na plan dalszy. Oczywiście, że n i e j e s t potworem! Ale czy naprawdę jest brzydka? Męskie ego Słonego nie radziło

sobie z tym problemem. Jagoda miała duże, wyraziste oczy, odziedziczone po matce, uparty podbródek ojca i jego lekko zadarty nos, reszta jej fizjonomii była przedziwną mieszanką ogólnych cech klanu Tihiro.

– Dzieci... – mruknął Słony, wzruszając ramionami.

– Jagoda dorasta – stwierdziła Księżycowy Kwiat spokojnie, lecz stanowczo, zbierając naczynia po kolacji. – Ona już nie jest dzieckiem od dobrych kilku miesięcy.

Słony zmarszczył brwi.

– No tak, ale... – wymamrotał niechętnie.

– Piersi jej rosną – dodała kobieta konfidencjonalnym tonem.

Magowi opadły ręce. O zawłóściach natury młodych kobiet miał mniejsze pojęcie niż o smoczach obyczajach, lecz poczuł instynktownie, że zaczyna się w życiu rodziny nowy okres i to raczej niełatwy.

Miał rację, co oczywiście nie sprawiło mu żadnej satysfakcji. Skonfundowany Kamyk po przebudzeniu starał się omijać Jagodę wzrokiem, a ta odplącała mu pięknym za nadobne. Snuła się po domu i najbliższej okolicy z furią wypisaną na twarzy, warcząc na każdego, kto odważył się do niej odezwać. Skarcona przez ojca, obraziła się na dobre i przestała się odzywać zupełnie. Mówca wolał nie zaglądać do jej myśli – i bez tego rzucało się w oczy, że grozi wybuchem jak zbyt świeży orzech wrzucony do ognia.



Następny dzień nie przyniósł poprawy. Młodsze dzieci pobiegły całą gromadą na plażę, niosąc koszyki i siatki, by łowić na płycznach drobne rybki i małże. Słony poszedł sprawdzić, czy cokolwiek złapało się w kosze zastawione u ujścia pobliskiego strumienia. Znając życie, jego żona była pewna, że nie wróci przed upływem paru godzin, zatrzymany jakimiś „bardzo ważnymi sprawami” dotyczącymi jego obsesji, czyli smoków. Ku pewnemu zdziwieniu Księżycowego Kwiatu Jagoda nie zerwała się jak zwykle o świcie, aby wybrać się na kolejną tajemniczą wyprawę do wnętrza wyspy. Kręciła się po obejściu, udając, że coś robi i że n i e obserwuje Kamyka. Ten z kolei starannie udawał, że nie patrzy na dziewczynę, co momentami doprowadzało do tego, że mijali się, niemal ocierając się o siebie, za to z głowami ostentacyjnie odwróconymi w drugą stronę. Małżonkę Słonego wpierw to bawiło, potem zaczęło nieco irytować, ale w końcu machnęła na to ręką. Miała na głowie sporą gromadkę,

którą należało nakarmić, obszyć i dopilnować, by się od czasu do czasu myła. Słony był dobrym mężem, ale z pewnym trudem docierało do niego, że trzeba zabić kurę na rosół, otoczyć warzywnik cierniami dla ochrony przed łakomstwem leśnych zwierzaków lub ostrzyć dziecku włosy. Księżycowy Kwiat bez przerwy miała coś do roboty. Nawet gdy odpoczywała w hamaku podczas najgorętszych godzin dnia, zwykle bez pośpiechu coś szyła lub pokrywała misternymi haftami męskie koszule i dziecięce tuniki. Zawsze znalazło się coś do zrobienia.

– Jagoda, pozwijaj hamaki. A potem zamieć podłogę i rozłóż maty – zwróciła się do dziewczyny. – Skoro nigdzie się dziś nie wybierasz, to pomóż w domu.

– Doobra – mruknęła Jagoda niechętnie, opieszale zabierając się do wykonania polecenia.

Księżycowy Kwiat wzięła nóż i uklękła przy ceberku, gdzie pływały od wczorajszego wieczora ryby, które nałowił Żywe Srebro z młodszym bratem. Dzisiejszego dnia miała być rybna potrawka. Kamyk, uśmiechając się nieśmiało, wyjął gospodyni nóż z ręki i sięgnął do wiaderka. Księżycowy Kwiat odpowiedziała uśmiechem. Dobrze, że chłopak chce się przydać. Zerknęła, jak pewnym ruchem wbija rybnie ostrze pod skrzele. Skrobać łuski też umiał, więc zostawiła go przy tej czynności, by zagnieść ciasto i rozpalić w piecu. Kończył się chleb...

Pochłonięta tymi czynnościami, nie zwracała uwagi na otoczenie. Dopiero gniewne prychnięcie Jagody sprawiło, że uniosła głowę i popatrzyła na dziewczynę. Jagoda siedziała na skraju platformy, tuż obok posłania Kamyka i najzwyczajniej w świecie przeglądała jego skromny dobytek, składający się głównie z papierów. Właśnie czytała jeden z nich i niemal warczała ze złości. W tej samej chwili zauważył to także Kamyk.

– Zo-sstaff!! Zoss-taff to moje!

Po raz pierwszy Księżycowy Kwiat usłyszała głos chłopca – niepewny, dziwnie brzmiący, ale donośny. Jagoda rzuciła młodemu magowi pogardliwe spojrzenie, unosząc górną wargę w udatnym naśladowaniu smoczej miny „mój teren, wynocha”.

– Zos-taf... – powtórzył chłopak, a głos obniżył mu się groźnie. Jagoda zrobiła jeszcze paskudniejszą minę, demonstracyjnie machając kartką.

Kiedy później Księżycowy kwiat opowiadała o całym zajściu mężowi, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Doprowadzony do ostateczności Tkacz Iluzji wykorzystał to, co akurat miał pod ręką, a okazało się, że ma bardzo celne



oko. Jagoda, z rozmachem trafiona prosto w twarz zdechłą rybą, kwiknęła przeraźliwie i fiknęła do tyłu, spadając z podwyższenia. Konflikt zaostrzył się.



Jagoda z furią przedzierała się przez najgorsze chaszcze, nie dbając o to, że rozdziera sobie ubranie, a czasem i skórę. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy jakiś owad wpadł jej za ubranie i wpił się w ciało na brzuchu. Syknęła z bólu i zaklęła, czym prędzej podciągając koszulę do góry. Z wprawą ukreśliła łeb wielkiej mrówce, a potem rozwarła jej masywne szczęki. Piekło jak ogniem. Jagoda uspokoiła się trochę; ból miał przynajmniej tę dobrą stronę, że odwrócił jej uwagę od fatalnego zajścia z rybą. Czowała jednocześnie złość na tego przybłędę i na siebie samą. Gdyby nie przyszło jej do głowy zajrzeć do tej jego bazgraniny, nigdy nie przeczytałaby tych upokarzających wersów. Już sam widok chłopaka przypominał jej okropną chwilę, gdy spojrzał na nią po raz pierwszy, a jego umysł zionął odrazą i lękiem. Każdy jego ruch, każde spojrzenie kojarzyły się Jagodzie z jednym: jest wstrętne.

Powoli powlokła się wążutką, ledwo widoczną wśród zieleni ścieżyną wydeptaną przez zwierzęta. Nozdrza Jagody rozszerzyły się bezwiednie, łowiąc dziesiątki woni: wilgotnej, butwiejącej ściółki, porostów, grzybów, zwierzęcych odchodów i duszącego zapachu wielkich storczyków. Lubiła las. Ojciec zapewniał ją, że wielu ludziom z kontynentu wydawałby się zbyt jednostajny i nudny, lecz trudno było w to uwierzyć. Wystarczało przecież zrobić zaledwie dziesięć kroków, by znaleźć co najmniej tyle samo gatunków roślin, dwa razy więcej przeróżnych robaków i motyli, nie mówiąc już o tym, jakiej frajdy dostarczała obserwacja mrówczych kolonii, które przypominały rojne miasta z charakternymi mieszkańcami. A jeśli jeszcze dodać do tego mnogość życia pławiącego się w oceanie dokoła wyspy, tylko kompletny głupiec mógłby sądzić, że Jaszczur jest pustkowiem.

Dukt zaprowadził Jagodę na brzeg jeziora, na mikroskopijną polankę pokrytą odciskami łap zwierząt przychodzących do wodopoju. Woda spadała z jednostajnym pluskiem i szumem z ciemnej skały wulkanicznej, budząc na szmaragdowoniebieskiej powierzchni drobne fale. Słońce przesiane przez rzadsze w tym miejscu korony drzew posypywało wodę tysiącami złocistych cętek. Dziewczyna usiadła na brzegu, wrzuciła do wody kamyczek, burząc na krótką chwilę doskonałą symetrię fal i wprawiając słoneczne plamki

w chaotyczny taniec.

„Dlaczego ojciec nigdy nie zwracał uwagi na to, jak wyglądam?”, pomyślała. To ją skłaniało do zastanowienia. Taką samą obojętność na jej czerwone oczy okazywało rodzeństwo i macocha. Poczowała ukłucie zazdrości. Księżycowy Kwiat była ładna, może nawet piękna... Jagoda nie miała pewności, choć drzemiący w niej kobiecy instynkt podpowiadał, że ona sama nie może się pod żadnym względem równać z żoną ojca. Księżycowy Kwiat rozum miała zupełnie przeciętny, nie umiała nawet czytać! Ale co z tego, skoro Słony wielbił ją jak jaką boginię? Widocznie tylko to się liczyło: uroda! Kamyk był na to żywym dowodem. W piękną dziewczynę z pewnością nie rzuciłby rybą!

Jagoda z rozdrażnieniem rzuciła następnego kamyczek, i następnego. Różowy gołąb, który chlapał się w płytkiej zatoczce u brzegu, spłoszony zerwał się do lotu. Nad wodą srebrnoskrzydłe muchówki i ocieźałe motyle kreśliły w powietrzu zawile wzory tańców godowych. Ciche stąpanie i szelest liści zwróciły uwagę dziewczyny. Odwróciła się, przezornie zaciskając palce na rękojeści noża, ale zobaczyła tylko smoka. Obcego smoka.

Jagoda wstała, patrząc z zaciekawieniem w górę. Purpurowe oczy obserwowały ją z równą ciekawością i sympatią.

– Widziałam cię na plaży – rzekła Jagoda. – Jesteś nowy.

Przybysz otworzył paszczę w smoczym odpowiedniku uśmiechu.

– Nie jestem nowy – odparł. – To ty jesteś nowa.

– Nie.

– Tak. – Prowokacyjnie przekręcił łeb, wyglądając przy tym tak zabawnie, że Jagoda zatrzęsa się ze śmiechu.

– Nieprawda...

– Ja byłem tu pierwszy. Pięćdziesiąt lat temu to było terytorium mojej rodziny – upierał się.

– Teraz to teren Deszczowego Przybysza – poinformowała smoka Jagoda. – Jak się nazywasz?

– Pożeracz Chmur. A ty pewnie jesteś... Jagoda.

Pożeracz Chmur miał wyjątkowo dobrą wymowę jak na smoka, co Jagoda zauważyła nie bez pewnego zdziwienia. Używał wielu słów, prawidłowo je odmieniał i tylko gdzieniegdzie zacierał „b”, a „m” toczyło się w jego gardle przeciągle i chropawo. Smok patrzył na Jagodę to jednym, to drugim okiem i mogła doskonale wyczuć, że nad czymś głęboko się zastanawia.

– Jesteś jakaś inna...

Jagoda zeszywniała. No tak, oczywiście, że była „inna”. „Inność” już jej

wychodziła bokiem. Niech to...

– Świecisz – powiedział Pożeracz Chmur. Jagoda otworzyła szerzej oczy ze zdumienia. – Ludzie mają takie światełka jak gwiazdy albo jak te robaczki, co latają nocą – ciągnął dalej – ale ty świecisz bardzo mocno. Tak samo jak Kamyk, tak świecą magowie.

Jagoda otworzyła usta z wahaniem.

– Ja... ja widzę myśli – przyznała się z pewnym wysiłkiem. Kiedy jeszcze żyli na kontynencie, ojciec zabraniał jej o tym rozpowiadać. Przyznawanie się do tego talentu według Słonego było z jakichś powodów złe. Nie rozumiała tego, ale ojciec podkreślał to tyle razy i z takim naciskiem, że poddała się nakazowi.

– Aaa... To znaczy, że jesteś Obserwatorem – stwierdził Pożeracz Chmur i usiadł, elegancko owijając przednie łapy ogonem.

Dziewczyna uśmiechnęła się, starannie naśladowując odpowiedni wyraz smoczey paszczy. Zapowiadała się długa i ciekawa konwersacja.

I rzeczywiście, dawno już z nikim nie rozmawiało jej się tak dobrze, nawet z ojcem – tak mądrym i bywałym w świecie. Pożeracz Chmur nie tylko podróżował po całej niemal Lengorchii, ale widział nawet sławetny Zamek Dłoni zbudowany w delcie Enite. Jagoda zadawała pytanie za pytaniem, a smok wydawał się nie mieć nic przeciwko snuciu opowieści. Chłonęła wszystko jak gąbka, z ustami otwartymi z zachwytu i uszami płonącymi z emocji. Co prawda wciąż w tych cudownych historiach przewijał się Kamyk – Kamyk to... Kamyk tamto... z Kamykiem... – lecz nie przeszkadzało to jej cieszyć się spotkaniem.

W otoczeniu parnego ciepła tropikalnego lasu, w roju barwnych motyli, które siadały na białym smoczym futrze i na skórze dziewczyny, znęcone zapachem słonego potu, Jagodzie wydawało się, że śni jakiś dziwny, przyjemny sen.



Ku zaskoczeniu mieszkańców domu nad zatoką owo spotkanie miało nieco zaskakujące konsekwencje. Pożeracz Chmur, kiedy zdecydował się ich odwiedzić, pojawił się w ludzkiej postaci. Zdawało się, że czuje się w niej lepiej niż we własnej i wykorzystał pierwszą lepszą okazję, by do niej powrócić. Jagoda wprawdzie wybałuszyła oczy, potem zaczęła niepowstrzymanie chichotać ku zgorszeniu Kamyka, który rzucił jej wymowne spojrzenie. Ostatecznie Pożeracz Chmur właśnie z niego wziął wzorzec i chłopak czuł się osobiście

urazony, tak jakby wyśmiewała się z niego samego. Na dodatek młody smok oczywiście nie miał się w co przyodziać i wizytę złożył w stroju najbardziej niekompletnym z możliwych, czym oczywiście nie przejął się zupełnie. Dokazywał z dziećmi, tarzał się w piasku, ku uciechu zachwyconych dzieci prychał i wył, udając, że straszy – ogólnie, według Kamyka, robił z siebie durnia. Księżycowy Kwiat, nieco zgorszona, ale jednocześnie ubawiona tym przedstawieniem, usiłowała nakłonić gościa, by włożył na siebie cokolwiek. Śmiał się jej prosto w oczy, potrząsając przekornie głową. W końcu jednak owinął biodra zaoferowaną tkaniną i przestał się zgorszenie. Wyglądał może trochę niezwykle, gdyż wzór wyobrażał żółte i czerwone kwiaty, odpowiednie raczej dla kobiety.

Roześmiany Kamyk zszedł po schodkach na piaszczysty placyk przed domem.

„Pójdziemy łapać kraby?” – spytał.

Pożeracz Chmur pokręcił głową przecząco, a jego spojrzenie powędrowało ponad ramieniem Kamyka ku Jagodzie, siedzącej na skraju platformy i machającej beztrąsko nogami.

„Planowaliśmy z Jagodą iść do lasu. A ty...”

„Ja nie mogę iść?!” – Uśmiech chłopca zamarł, a potem spłynął mu z twarzy jak kredowy rysunek zmyty wodą.

Pożeracz Chmur wyglądał na zakłopotanego.

„Słony mówił, że jesteś słaby. I to jest przecież prawda, ciągle zdychasz. Masz spać i odpoczywać.”

„Jestem wypoczęty!” – Kamyk zacisnął zęby.

„Ale chodzenie po lesie jest męczące, a ty jesteś jeszcze chory.”

Kamyk obejrzał się na Jagodę. Z niewinnym wyrazem twarzy siedziała sobie, machała bosymi stopami i dmuchała na piórko, utrzymując je w powietrzu. Zupełnie jakby nigdy nic, a przecież Pożeracz Chmur nie był w stanie ukryć tego, że już się spotkali i knuli coś razem.

„Jasne, jestem chory – pomyślał chłopiec zgryźliwie. – Idź, baw się dobrze.”

Wziął ze skraju platformy przybory do rysowania i powłókł się w stronę plaży.

„Zajrzę do ciebie wieczorem” – obiecał Pożeracz, nagle ugryziony przez sumienie.

Kamyk tylko machnął ręką, nie odwracając się. Młody smok jeszcze przez chwilę walczył ze swym obudzonym sumieniem, lecz spojrzała na niego para oczu w kolorze maku i wszelkie smocze skrupuły rozpuły się

w rozmigdalonym zachwyceniu.



*Myślę, że to od tamtej chwili wszystko zaczęło się psuć. Stos pogrzebowy dla przyjaźni mojej i Pożeracza Chmur rośnie. Właściwie już mieszka nad zatoką Słonego, ale rozmawiamy niewiele. Kręci się koło Jagody i robi słodkie oczy, a ja po prostu nie mogę na to patrzeć. Przechadza się dumnie wyprostowany, pręży mięśnie i świeci się jak wysmarowany oliwą gladiator. Jakby był gołębiem zabiegającym o względy wybranki. Najgorsze jest to, że jest naprawdę przystojny! Proste plecy, mocne ramiona, długie nogi. Ma ładne zęby i włosy mu się nie kołtunią jak mnie – przekleństwo obdarzonych lokami. Prezentuje się lepiej niż ja kiedykolwiek przedtem. Kielkuje we mnie brzydkie uczucie zazdrości, które usiłuję zdusić, ale źle mi to wychodzi. Przecież to ze mnie wziął wzorzec, a ja teraz wyglądam jak jego kopia i to kiepska kopia. Zapewne po prostu powinienem czekać, gdyż trudno wyglądać dobrze po wielotygodniowej ciężkiej chorobie. Jednak trudno mi to wytłumaczyć samemu sobie. Czuję się w pewien sposób okradziony z własnego ciała. Jagodzie wyraźnie schlebiają względy okazywane przez Pożeracza Chmur. Łaskawie przyjmuje jego umizgi i drobne upominki w postaci owoców, kwiatów i bajecznie kolorowych piór. A dla mojego przyjaciela nie istnieje już prawie nic, oprócz tej okropnej baby. Jest tak rozkojarzony, że nie potrafi skupić się na niczym. Po prostu zakochał się bez pamięci, kompletnie stracił rozum i nie nadaje się do niczego sensownego. To jest po prostu żalosne. Snuje się rozmarzony i nieprzytomny. Patrząc na niego, można do końca życia stracić ochotę na miłość.*



Kamyk starannie nakreślił ostatni wers i krytycznie spojrzął na czubek ołowianego rysika. Stąpił się, ale nóż leżał na „wrogim terytorium”. Z Jagodą chłopcu układało się jak najgorzej. Nie porozumiewając się w żaden sposób, samorzutnie dokonali podziału terytorium. Niewidzialna linia graniczna przebiegała dokładnie przez środek domu i poprzez stół Słonego. Zarówno Kamyk, jak i Jagoda trzymali się „swoich” stron. Nawet za górę smoczych skarbów Tkacz Iluzji nie sięgnąłby przez umowną granicę po książkę czy pióro,

choćby nie wiadomo jak bardzo ich potrzebował. Czasem tylko kopał ukradkiem rzeczy Jagody przez „granicę”, jeśli zostały przypadkiem przełożone przez domowników. Dziewczyna nie miała okazji do takiego rewanzu. Częściowo z tego powodu, że Kamykowy stan posiadania był bardzo mizerny, a po części dlatego, że chłopak dbał, żeby nic z jego rzeczy nie zawędrowało na połowę podlegającą Jagodzie.

Księżycowego Kwiatu bynajmniej nie zachwycał ten stan cichej wojny. Poświęcała jednak tyle czasu dzieciom i pracom domowym, że nie miała najmniejszej ochoty na dodatkowe kłopoty. Słony za to miotał się między humorzystą córką a naburmuszonym gościem, rwąc włosy z głowy. Jednak jego niezręczne próby pogodzenia ich odnosiły skutki wręcz odwrotne. Na dodatek atmosfera pełna napięcia udzieliła się młodszym dzieciom i zaczęły kłócić się między sobą. Trwało to dopiero cztery dni, ale Słony miał wrażenie, że były to dni dwa razy dłuższe niż zwykle.

Piątego dnia Kamyk obudził się z uczuciem, że w ogóle nie warto otwierać oczu. Czym miałyby się różnić ten dzionek od innych? Jak zawsze Pożeracz Chmur łaszący się do Jagody, a jemu – Kamykowi – poświęcający jakieś mizerne szczątki uwagi. Jagoda rzucająca swemu wrogowi złośliwe spojrzenia i robiąca pogardliwe miny, a w najlepszym razie ignorująca go. Dzisiaj nie zapowiadało się ani na jotę przyjemniej niż wczoraj. Wokoło trwała poranna krzątanina. Zwijano cienkie zasłony chroniące przed owadami. Dzieci kręciły się wszędzie dokoła, szukając sandałków. Rozemocjonowany Tygrysek pokazywał wszystkim wielką ómę, która zaplątała się nocą w muślin i rankiem padła łupem zachłannych dziecięcych rączek. Kamyk, któremu podsunęto pod nos ową kosmatą, skrzydlatą i obdarzoną zadzierzystymi wąsami zdobycz, okazał umiarkowane zainteresowanie, żeby chłopczyk się nie obraził. Zapewne kiedy indziej gigantyczny owad wzbudziłby w nim żywsze uczucia, lecz teraz miał wszystkiego absolutnie powyżej uszu.

Kiedy wszyscy zaczęli jeść śniadanie, a chłopak nadal leżał w swoim hamaku, zwinięty w smutny kłębek, Słony postanowił sprawdzić, co się z nim dzieje.

„Kamyk, źle się czujesz?”

„Nic mi nie jest” – odparł chłopiec, rzucając mu kose spojrzenie.

Słony westchnął ukradkiem. No tak, to miał być znów jeden z tych niemiłych dni.

„Naprawdę? A może jednak coś cię boli? Masz gorączkę?” – Słony chciał dotknąć czoła Kamyka, ale ten uchylił się przed jego dłonią.

„Daj mi spokój. Proszę. Nic mnie nie boli. Nie mam gorączki. Naprawdę.”

„W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego wyglądasz jak świeży nieboszczyk. Na pewno się wczoraj sforsowałeś. Ostrzegałem przecież, że z tym płucem nadal nie jest za dobrze. Zaraz zaparzę ci ziółek.”

To wystarczyło, by nagle Kamyk nabrał sił. Poderwał się gwałtownie, aż hamak zakołysał się w niekontrolowany sposób. Naburmuszony, zaczął wyplątywać się z moskitiery.

*NIC MI NIE JEST. NIE JESTEM CHORY I NIE WYPIJĘ TEGO PASKUDZTWA!*

„Grunt to dobra motywacja – stwierdził Mówca złośliwie. – Po prostu weź się w garść i trochę opanuj swoją zazdrość.”

„Ja jestem zazdrosny?” – Kamyk spojrzał na niego spode łba.

„Ależ oczywiście. Uważasz, że nie wiem, co się tu dzieje?”

„A niby o co jestem zazdrosny?” – Tkacz Iluzji nareszcie wygrał walkę z fałdami muślinu, zwinął tkaninę i zaczął składać hamak. Usiłował udawać obojętnego, lecz nadal co chwila na twarz wypływał mu wyraz frustracji.

„Oczywiście o Pożeracza Chmur.”

Chłopiec wzruszył ramionami. Jego spojrzenie przypadkiem zaczepiło o Jagodę, która siedziała oparta o słup, wyciągając przed siebie chude nogi, i wyglądała tak, jakby się z niewiadomych powodów doskonale bawiła. Kamyk miał ochotę przybić ją do tego słupa za uszy.

Ruch przed domem zwrócił jego uwagę. Z gęstych zarośli wyłonił się Pożeracz Chmur. Trzymał w objęciach ogromne naręcze storczyków i miał minę szczęśliwego idioty. Kamyk nie zdzierzył. Lekceważąc jedzenie, ubranie i tym podobne drobiazgi, porwał tylko swoje sandały i zwyczajnie uciekł, gdyż czuł, że jeszcze moment, a zrobi coś, czego potem musiałby się wstydzić. Pobiegł ścieżką ku plaży. Walił pięściami w pnie drzew, po drodze dając upust złości. Potem biegł boso wzdłuż plaży, nie zważając na to, że kaleczy stopy o odłamki muszli. Zatrzymał się dopiero tam, gdzie zatokę obejmowało ramię stromego klifu. Ciemna bazaltowa ściana, podmywana falami, kruszyła się z wolna przez tysiąclecia. Czarne, polerowane przez cierpliwą wodę głazy leżały na dnie. Ziemię zaścielały kamienie kanciaste i takie, które przyływy zaokrągliły lub wręcz zeszlifowały na płasko, zmieniając je w idealne pociski do puszczania kaczek. Tym razem jednak Kamykowi nie były w głowie „kaczki”. Stworzył iluzyjny wizerunek Jagody i ciskał w niego kamieniami, aż do kompletnego wyczerpania, nie zważając na ostrzegawcze klucie w boku. W końcu rzucił się na twardy żwir, nie dbając o niewygodę. Dopiero wtedy jego wściekłość zaczęła

opadać, a przyczajone dotąd sumienie ujawniło się, podsuwając raczej niemiłe myśli. Co powiedziałyby Płowy, widząc ten atak szału? Z pewnością nie wpadłby w zachwyt nad barbarzyńskimi manierami wychowanka. Chłopak usiadł powoli i obejrzał posiekane podeszwy, po czym włożył sandały. Uśpiony od paru dni rozsądek przebudził się i dawał do zrozumienia, że całą sprawę należy porządnie przemyśleć. Kamyk uczciwie musiał przyznać, że faktycznie był zazdrosny o Pożeracza Chmur. Odebrano mu najbliższego przyjaciela i miał to traktować zupełnie obojętnie? To po prostu niesprawiedliwe, a do tego niepojęte. Gdybyż tego pogromu dokonała jakaś piękność, ale takie mizeractwo... Pożeracz Chmur trwał w uczuciowym obłądzeniu. Czyżby właśnie tak objawiała się prawdziwa miłość? Kamyk skrzywił się, jakby właśnie wypił jeden z leczniczych naparów Słonego. Przypomniawszy sobie swoje własne zauroczenie Mgłą i skwitował to jedynie wzruszeniem ramion. To nie to. Nawet jeśli Pożeracz Chmur czuł się wtedy zaniedbany – ach, role teraz się odwróciły – to Kamyk jednak zachowywał jaką taką jasność umysłu. Rozstał się z Mgłą bez żalu, także z jej strony, i niewidoma dziewczyna stała się już tylko miłym wspomnieniem. Nie łączyło ich nic, prócz dotyku, pieścizot, przyjemności dawanej sobie nawzajem. Uczciwie trzeba było przyznać, że Jagoda i Pożeracz Chmur mieli więcej możliwości w tej materii. Ale należeli przecież do różnych gatunków! Na Los i ścieżki jego, czy to nikogo nie obchodziło? Słony wydawał się na to ślepy. Jego córka miała wszelkie szanse zostać kochanką smoka, a jego to chyba absolutnie nie poruszało.

Inną kwestię stanowiło to, co właściwie widzi w Jagodzie sam Pożeracz Chmur.

Miłość jest ponoć ślepa, ale żeby do tego stopnia? Kamyk pokręcił głową z niedowierzaniem.

Na powrót przywołał niematerialny wizerunek Jagody i przyjrzał się krytycznie swemu dziełu. Uznał, że miraż nie jest zbyt udany. Rozmywały się w nim szczegóły. Tkacz Iluzji skupił się, usiłując przywołać w umyśle doskonały obraz pierwowzoru. Jagoda miała twarz szczupłą i wydłużoną, w kształcie odwróconego migdała, ale co z zarysem czoła? Czy granica jej włosów była prosta, czy może miała kształt klina? Brwi? Jaki kształt mają jej brwi? Są przecież tak jasne, że prawie ich nie widać.

Gubił się, poprawiał, rzeźbił tę dziewczęcą głowę. Dopasowywał kształt oczu, wypróbowywał rozmaite wykroje ust i w pewnym momencie stwierdził, że to go nawet bawi. Jagoda była trudnym modelem, lecz takie wyzwanie sprawiało tym większą satysfakcję. Aż wreszcie siedziała przed Tkaczem dokładnie taka,



jak w rzeczywistości: bledziutka, wielkooka, szczupła aż do przesady. Kamyk czuł pewien niedosyt, zabawa skończyła się zbyt szybko. Zmienił barwę oczu iluzyjnej dziewczyny wpierw na czarny, potem na brązowy, a w końcu zielony jak liście. Wyglądały tak obco i dziwnie w tej bladej twarzy, że młody mag przywrócił im pierwotny kolor. Oczy Jagody miały niespotykaną barwę płatków kwiatu – różowoczerwoną z leciutkim odcieniem niebieskim.

Wstrzymując oddech z przeczuciem, że rozwiązanie zagadki leży w zasięgu ręki, Kamyk sprawił, że tęczówki iluzyjnej dziewczyny nabrały głębokiego, szkarłatnego koloru i zakryły prawie całe oko. Źrenice zmieniły się w czarne, pionowe wrzeciona. Kamyk wyszczerzył zęby w psotnym uśmiechu. Złość opadła z niego już jakiś czas temu. Oto zyskał smocze oczy osadzone w ludzkiej twarzy. Pożeracz Chmur i jego gusta! Doprawdy, Kamyk musiał przyznać się sam przed sobą, że miał chyba ostatnio zaćmienie umysłu. Czerwonooka, białowłosa Jagoda – chuda, ale czy kto widział tłustego smoka? Szyja dziewczyny wydawała się zbyt długa, a twarz za wąska, lecz czy pierwsza z brzegu smoczyca nie ma właśnie takich cech?

Myśli w głowie chłopca goniły jedna drugą. Ileż to lat ma ten smoczy ideał urody? Czternaście chyba? Czy nie jest to czasem ten okropny okres, gdy je się za dwóch, a rośnie za trzech? Całkiem możliwe, że Jagoda za jakiś czas zbrzydnie w oczach młodego smoka, a za to wyładnieje według norm ludzkich. Choć oczywiście kolorów nie nabierze.

Na próbę Kamyk dodał mirażowi Jagody trochę ciała, zaokrąglając ją tu i ówdzie. Zachęciwszy się niezłym rezultatem, działał dalej. Czy ta irytująca dziewczucha musi ciągle nosić męskie łachy, w których jej wyjątkowo nie do twarzy? Na włóczkę po dżungli najlepsze są spodnie, ale czy naprawdę nie ma ani jednej sukienki? Przez kilka minut Kamyk drapował i upinał na dziewczęcej figurze zwoje żółtego jedwabiu, próbując stworzyć coś na podobieństwo strojów Księżycowego Kwiatu. Owinął Jagodzie wokół głowy warkocze, dotąd smętnie dyndające po obu stronach twarzy i wpiął w nie kwiat pod kolor sukni. Wyglądało to coraz lepiej.

Za jego szczenięcych lat w Żmijowych Pagórkach dziewczęta były dla niego zaledwie ruchomymi elementami tła. Jakiej innej reakcji można oczekiwać po małym chłopcu? Kiedy dorósł, także niezbyt się nimi interesował. Pamiętał, że od święta stroiły się w bogato haftowane spódnice, malowały brwi i ornamenty wokół oczu. Niepewny efektu eksperymentu, pokrył powieki dziewczyny drobnym wzorkiem i pociągnął rzęsy na czarno. Gapił się potem na skończoną już całość i nie wierzył własnym oczom. Nieciekawe, kościste

brzydactwo przemieniło się w całkiem atrakcyjne i ponętne dziewczę.

Tymczasem słońce wędrowało po niebie, biorąc w posiadanie coraz to nowe połacie cienia pod skałami. W końcu Kamyk siedział już w ukropie słonecznych promieni. Ułowił jakiś ruch samym kątem oka. Obrócił głowę, część uwagi poświęcając podtrzymaniu mirażu, gdyż było mu żal wykonanej pracy. Tuż obok stał Żywe Srebro, przyglądając się z aprobatą portretowi siostry. Pokazał w uśmiechu drobne zęby, potem napisał palcem na piasku, niezręcznymi, dziecięcymi znakami: *Bardzo ładnie. Tak jak mama.*

Kamyk podjął „rozmowę”, pisząc obok: *Jagoda jest...* i zachęcił chłopczyka gestem, by dokończył. Choć różnica wieku między nimi wynosiła aż dziewięć lat, Kamyka ciekawiła opinia Żywego Srebra. Dzieciak wyglądał na bystrego. Zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi i drapiąc się fraszobliwie po potylicy, w czym wyjątkowo przypominał swego ojca. Wreszcie buzia rozjaśniła mu się i dopisał: *...duża i mądra.*

Kamyk zaśmiał się i przewrócił małego na piasek, tarmosząc żartobliwie. Cwane i lojalne rodzeństwo miała Jagoda. Iluzja rozwiązała się, gdy na Kamyka zwałił się raptownie ciężar wielu ciepłych ciałek, twardych kolanek i spiczastych łokci. Podczas tej udawanej bitwy chłopak zorientował się, że tuż obok dokazuje rude smocze szczenie, usiłując łapać dzieci za pięty. Liska! Kamyk uwolnił się z objęć rozbawionych synków Mówcy i rozejrzał się. Pożeracza Chmur nigdzie nie było widać, co go trochę zaniepokoiło. Zostawił siostrę samą? A może uznał, że towarzystwo kilkulatków jej wystarczy?

Kamyk przytulił serdecznie puchatą kulkę, a Liska z zachwytem poddawała się pieszczotom. Łasiła się, lizała go po twarzy i przewracała na grzbiet, wystawiając do pogłaskania wrażliwy brzuszek.

Wkrótce dzieci rozproszyły się po plaży. Żywe Srebro i Tygrysek weszli do płytkiej wody, Liska droczyła się z falami, Błyskawica szukał muszli, a bliźnięta rozpoczęły usypywanie kopca z piasku. Czteroletnie maluchy były tak podobne do siebie, że Kamyk odróżniał je tylko po tym, że Słonecznej matka związywała miękkie włoski kolorową tasiemką. Pewnie za jakiś czas miały pojawić się między dziećmi przynajmniej drobne różnice, lecz na razie miały identycznie krągłe buzie, ciekawskie oczy, podrapane kolana i nawet poruszały się w podobny sposób.

Wycofał się w resztki cienia pod klifem, obserwując zabawę malców. Gdyby wrócił w tej chwili do domu Słonego, musiałby pewnie pomagać w jakiejś babskiej robocie, po prostu dla przyzwoitości. Na samą myśl o tym skrzywił się niechętnie. Nie miał nic przeciwko pracom domowym, w końcu prowadzili

z Płowym całkiem stateczne starokawalerskie gospodarstwo, ale ostatecznie takie rzeczy powinny należeć do obowiązków Jagody. Na domiar złego Słony mógł na nowo zacząć troszczyć się o nadwreżone zdrowie Kamyka, co budziło kompletne zniechęcenie tego ostatniego. Losie, chroń niewinnych! Całkiem możliwe też, że, przechadzając się w pobliżu, natknąłby się na tamtą mieszaną gatunkowo parkę, patrzącą sobie czule w oczy. Natomiast samotna wyprawa gdzieś w dalsze rejony wyspy mogła skończyć się spotkaniem z obcym smokiem, niekoniecznie przyjaźnie nastawionym do nieproszonego gościa. Nie mówiąc już o tym, że Kamyk nadal po przejściu nawet niewielkich odległości szybko się męczył. Eksploracja wyspy musiała poczekać. Postanowił zostać na plaży. Dlaczego nie miałyby cofnąć się do czasów dzieciństwa? Wykąpać się i przy okazji spróbować wyłowić dla Błyskawicy większą muszlę niż te leżące na brzegu. Ciekawe, czy to nadwreżone płuco wytrzymałoby takie tycie, króciutkie nurkowanie...?

Kamyk zerknął, co porabia reszta małoletniego towarzystwa. Tygrysek z Żywym Srebrem łazili po skałach zanurzonych w morzu, a Liska odważnie szła w ich ślady, przeskakując z głazu na głaz. Z początku Kamyk bez niepokoju obserwował tę zabawę, ale dzieciaki gramoliły się coraz dalej i dalej, aż zastanowił się, czy nie jest to jednak trochę niebezpieczne. „Chyba robię się beznadziejnie dorosły”, pomyślał. Upadek do wody nie był niczym nadzwyczajnym, bo dzieci wychowane nad oceanem pływały jak ryby. Groźne mogło okazać się uwięźnięcie między głazami i złamanie nogi w kostce. Niestety, bawiła się tam też Liska, która nie bała się wody, ale nie umiała pływać.

Chłopcy położyli się na brzuchach na ostatnim kamieniu i patrzyli w głębie. Kamyk osłonił oczy dłonią. Słońce odbijało się od fal, migocąc oślepiająco, lecz wydawało mu się, że widzi w wodzie jakieś poruszenie. Zamrugał. Nie, to nie złudzenie! Ponownie zobaczył, jak na moment wynurza się ponad fale krągła głowa i para rąk sięgająca ku wyciągniętym beztrósco dziecięcym dłoniom! Kamyk zerwał się na równe nogi, mimo upału czując zimny dreszcz wzdłuż krzyża. Syreny! Czyżby Słony nie nauczył swych dzieci tego, że syreny są morderczymi potworami? Czym prędzej zaczął przeskakiwać z jednego głazu na drugi, by zabrać dzieci z niebezpiecznego miejsca.

– W-racać! Wracać! Tygr-ysek! Wracać! – Kamyk przeklinał w myślach, że nie pamięta, jak brzmi słowo „niebezpiecznie”. Tygrysek obejrzał się dość obojętnie i pomachał mu beztrósco ręką, po chwili na nowo pochylając się nad głębiną. Choć Kamyk spieszył się, jak mógł, ciekawska Liska dotarła

do chłopców przed nim. Bezceremonialnie wdrapała się Tygryskowi na plecy i wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co też ciekawego dzieje się w wodzie. Chłopczyk, którego widać zadrapały pazury smoczątka, przekreślił się gwałtownie, chcąc je zrzucić. Kamyk widział, jak jeszcze przez sekundę wahają się na mokrej, śliskiej krawędzi głazu, a potem oboje stoczyli się do wody.

Nie było chwili do namysłu. Kamyk rzucił się do wody głową naprzód. Przerażony tym, co się stało, nie pamiętał, że cokolwiek może grozić jemu samemu. Oślepiły go na chwilę pęcherzyki powietrza we wzburzonej wodzie. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. O coś się otarł, więc sięgnął na oślep. Poczł pod ręką sierść i zacisnął na niej palce. Stopy chłopca dotknęły dna, poderwał się więc wraz ze swą zdobyczą ku powierzchni. Smoczątka okazało się dziwnie ciężkie. Ale gdzie Tygrysek? W przezroczystej wodzie przemknął tuż obok ciemny kształt. Twarde pazury drapnęły Kamyka w ramię. Szeroko otworzył oczy, usiłując dojrzeć coś więcej. Domniemana Liska wywinęła się w jego objęciach i chłopiec zorientował się, że trzyma obcą... istotę. Odepchnął ją od siebie w nagłym ataku paniki. Dotknięcie na karku... W szoku łyknął słonej wody, gdy tuż przed jego twarzą pojawił się ciemny pysk z wielkimi mętными ślepiami. Odruch kazał się cofać, uciekać... lecz jak cofnąć się w wodzie? Zdesperowany chłopak uderzył wyprostowanymi palcami, celując w oczy potwora. Nie trafił, za to poczuł ostre zęby, zaciskające się na jego dłoni. Jednocześnie stwór chwycił go szponiastymi łapami za rękę. Szamotali się przez chwilę. Kamyk, czując, że kończy mu się powietrze, bezskutecznie usiłował kopnąć zwinne morskie stworzenie. Coś wczepiło mu się we włosy. Wtedy ostatecznie zabrakło mu oddechu, a ból w piersiach stał się nieznośny. Szarpnięcie, które prawie zerwało mu skórę z czaszki, jednocześnie wyrwało jego głowę nad powierzchnię morza. Złapał haust powietrza, które wydawało się ostre niczym garść zmielonego szkła, i rozkaszał się. Oczy piekły go od soli. Wokoło roilo się od gibkich, smukłych ciał, poruszających się wśród fal z niezwykłą gracją. Co chwila nad powierzchnię wynurzały się krągłe, pokryte ciemną, gładką sierścią głowy, opatrzone w imponujące wiechy wąsów i czarne lśniące nosy. Jedno w każdym razie można było wykluczyć: to z pewnością nie syreny. Ale nie znaczyło to jeszcze, że nie są równie niebezpieczne! Gdzie dzieci?!

Chłopiec z ulgą dostrzegł Liskę tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki. Wytrząsała wodę z uszu, utrzymywana na powierzchni przez jedną z owych kosmatych istot. Inna trzymała go nadal za rękę i włosy na karku, uniemożliwiając pływanie, lecz jednocześnie nie pozwalając iść na dno. Tuż

obok chlapał się w wodzie Tygrysek, uśmiechnięty i beztroski. Kamyk zerknął w górę, napotykając równie rozbawione spojrzenie Żywego Srebra. Zupełnie jakby całe to zamieszanie było dobrym żartem. Synkowie Słonego nie wyglądali ani na zaskoczonych, ani tym bardziej na przestraszonych.

Stado wąsatych przybyszów na szczęście nie zdradzało wrogich zamiarów. Tygrysek płynął na grzbiecie jednego z nich, niczym na morskim rumaku, podobnie jak Liska. Kamyka obiegła z obu stron para kosmatych strażników, chwytając go za ramiona i łaskocząc w uszy wąsami. Z wolna, lecz stanowczo holowano go w stronę płycizny. Sądząc z reakcji Tygryśka i Żywego Srebra, nie powinien mieć powodów do niepokoju; chłopak czuł pierwsze ukłucia zawstydzenia.

Przez długie minuty próbował dojść, z czym owe wodne stworzenia mu się kojarzą. Wreszcie nadeszło krótkie olśnienie: wydry! Widoczne stało się to szczególnie wtedy, kiedy całe stado wyległo już na brzeg. „Wydrzaki” stanowiły ten sam rodzaj zagadkowej mieszanki człowieka i zwierzęcia, jakimi były na przykład centaury, mantikory, lamie lub syreny, z którymi pomylił je Kamyk. Z tym że syreny z Wyspy Szaleńca zdawały się mieć wiele wspólnego z rekinem. Wydrzaki nie odznaczały się zbyt dużym wzrostem. Siedzącego na piasku Kamyka przewyższały zaledwie o głowę. Wzrostu mniej więcej dziesięcioletnich dzieci, przeważnie chodziły wyprostowane, czasem tylko poruszały się na czworakach. Gdy z ciekawością przypatrywały się Kamykowi z bliska, mógł przyjrzeć się ich wielkim okrągłym, brunatnym oczom, ruchliwym nozdrzom i rozszczepionym górnym wargom, z pękami wibrysów po obu stronach, cienkich i sztywnych jak druciki. Ich płetwiaste stopy, dzięki którym wydrzaki były doskonałymi pływakami, zostawiały szerokie ślady na piasku, podobnie jak poruszające się wciąż ogony.

Liska, spłoszona taką ilością obcych, wlaźła Kamykowi na kolana, tuląc się do niego i łypiąc niepewnie jednym okiem na otoczenie. Za to dzieciarnia wydawała się zachwycona gośćmi, ocierając się o ich mokre boki, wymieniając przyjacielskie trącenia nosami i poklepywania. Gorycz Kamyka rosła. Miał już całkowitą pewność, że zrobił z siebie głupca, a całe jego bohaterstwo nie zdałoby się nawet na zelówki.

„Tyle masz w głowie, że zawsze rzucasz się bez zastanowienia. Tak było na Wyspie Pazura, tak i teraz. Więcej szczęścia niż rozumu”, pomyślał kwaśno.

Nie ulegało wątpliwości, że kosmate indywidua są tu dobrze znane i to jako istoty do tego stopnia łagodne, że rodzice bez obaw pozwalali zbliżać się do nich dzieciom.

Tygrzysek jako pierwszy dostrzegł nadchodzącą siostrę i jej wielbiciela.

– Wpadliśmy do wody! – wrzasnął z radosnym podnieceniem. – Ja wpadłem! I Liska też! I Kamyk też wpadł! I Ten Co Płynie Na Przedzie mnie wzięł na plecy!

– Ouk! – potwierdził jeden z wydrzaków, po czym wydał z siebie całą serię pogwizdywań i mlaśnieć, przerywanych gardłowym klekotaniem.

– On pyta, czy to są nowe samce w naszym stadzie – przetłumaczył Tygrzysek, chichocząc i pokazując palcem na Kamyka oraz Pożeracza Chmur.

Jagoda patrzyła sceptycznie na mokrego chłopaka, który z ponurą miną głaskał mokrą Liskę.

– Taak, nowy w stadzie – potwierdziła niechętnie, a wydrzak zagwizdał z ukontentowaniem.

Kamyk wstał, unosząc małą smoczykę na rękach i wepchnął ją w objęcia nieco zaskoczonoego Pożeracza Chmur.

*Wyplucz ją w słodkiej wodzie, bo się zmechaci i będzie ją swędzieć skóra* – polecił krótko.

„O co ci chodzi? Co ja znów zrobiłem nie tak?” – zdenerwował się Pożeracz Chmur.

Kamyk, który już odchodził, obrócił się na pięcie ze złością malującą się na twarzy.

„Czy Liska jest twoją siostrą? Czy miałeś się nią opiekować? Czy może raczej obwąchiwać się ze swoją panną? – Przy każdym pytaniu palec chłopca dość boleśnie wbijał się w pierś Pożeracza Chmur. – Liska wpadła do morza! Jesteś nierzetelny, a ja nie jestem smoczą niańką!!”

„Ale przecież nic się nie stało...” – skonfundowany Pożeracz Chmur bronił się słabo.

„Nie stało się, bo ją ktoś uratował! Gdyby została tu sama z dziećmi, już by nie żyła, bo nawet Żywe Srebro, choć niby najstarszy, nie zdołałby jej wyciągnąć z wody! Jeszcze raz zostawisz ją samą, to ci uszy oberwę! I powiem Łagodnej, co wyprawiasz!”

Zbesztany Pożeracz Chmur przygarbił się i mocniej przytulił do siebie siostrę. Jagoda, która bez skrepowania śledziła tę wymianę myśli, spuściła oczy i zagryzła wargę. To także jej wina – teraz widziała to jasno. Liska była przeurocza, jak wszystkie zresztą smocze szczenięta, więc z początku bawiła się z małą, potem jednak, zajęta Pożeraczem Chmur, nie patrzyła na to, co robią dzieci. Tyle razy przecież biegały same nad brzeg oceanu, by zbierać rozmaite żyjątka i chlapać się w płytkiej wodzie. Nie przyszło jej do głowy, że Lisce

może cokolwiek grozić.



Coś wydarzyło się tego dnia, tego Słony był pewny. To, że Kamyk łąził po domu milczący i ponury, nie odbiegało od normy – ostatecznie milczał zawsze, a jego zły humor utrzymywał się już od dłuższego czasu. Natomiast Jagoda siedziała dziwnie cicha i przygaszona, a od czasu do czasu rzucała w stronę chłopaka spojrzenia ni to pełne zadumy, ni pretensji. Uczucia Jagody chwiejnie unosiły się w mentalnej przestrzeni, podobne latawcom pchanym zmiennym wiatrem. Słony czuł przez skórę, że te dwa niełatwe charakterki znów się ze sobą starły.

– Znów się pokłóciliście? Jagoda...?

Czerwone oczy córki zerknęły z roztargnieniem na niego, a potem na młodego Tkacza Iluzji.

– Ee... nie, tato. Tylko on się bił z wydrzakami. A Liska wpadła do morza. Brwi Słonego podjechały do połowy czoła.

– Z wydrzakami? Jak można bić się z wydrzakami?

Kamyk nie miał ochoty na wyjaśnienia, ale przyciśnięty do muru, niechętnie uzupełnił skąpą wypowiedź Jagody.

„Widziałem, jak Tygrysek wpada do morza razem z Liską. W wodzie zobaczyłem jakieś stworzenia, myślałem, że to syreny.”

„I bohaterko rzuciłeś się na pomoc? Myślałem, że boisz się syren?”

„Nadal się boję – sprostował Kamyk z kwaśną miną. – I nie jestem bohaterem, tylko idiotą. Nie miałem nawet noża...”

Słony, ukrywając rozbawienie, poklepał chłopca po ramieniu.

„Liczą się intencje.”

Naburmuszony Kamyk wzruszył ramionami.

„Intencje? Ładnie bym wyglądał z tymi intencjami, gdyby tam rzeczywiście pływały syreny.”

„Czegoś nie rozumiem. Przecież byłeś przekonany, że to są syreny, ale jednak skoczyłeś na pomoc dzieciakom.”

„Bo jestem żalonym durniem.”

Słony szybko spojrział na Jagodę, która udawała, że jest zajęta rozdzielaniem do miseczek ugotowanej na kolację kaszy. Mówca był absolutnie pewien, że śledzi jego rozmowę z chłopcem.

„I zapewne zrobiłbyś to samo po raz drugi?” – spytał.

„Oczywiście” – odparł Kamyk, wywracając oczami z irytacją.

Jagoda ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami i zmarszczyła lekko brwi. Słony westchnął ukradkiem, po raz kolejny zastanawiając się, czy miał rację ukrywając przed Kamykiem talent Jagody. Co jednak dałaby chłopcu taka wiedza, prócz poczucia zagrożenia? Jagoda nie mogła służyć za wzór dyskrecji, o nie. Przez większą część życia obracała się między smokami i ludzkie poczucie własności czy prywatności myśli było dla niej sprawą równie egzotyczną, jak dla mieszkańców Lengorchii obyczaje wydrzaków czy lamii.

Jagoda z roztargnieniem obserwowała przyrodnie rodzeństwo, które matka zapędzała do mycia przed jedzeniem. Słony zobaczył, jak dziewczyna odruchowo oblizuje wierzch dłoni i przeciera nią oko, zupełnie jak kot. Potrząsnął głową.

„Kogo ja tu właściwie mam, dziewczynę czy smoczyce?” – przeszło mu przez myśl.

Córka podniosła na niego czerwone oczy, w których malowało się lekkie zdumienie.



*Jagoda przestała mnie atakować. Ostatecznie wolę być ignorowany niż oglądany z obrzydzeniem jak coś, co wypluł kot. Znika na całe dni z Pożeraczem Chmur, z czym jakoś się pogodziłem. Jeśli chodzi o mnie, również niewiele czasu spędzam teraz pod dachem Słonego. Ten samozwańczy medyk (tak naprawdę jest czymś w rodzaju badacza biologii regionów tropikalnych, w tym smoków), zabronił mi biegać. Pretekstem ma być moje słabe zdrowie i to, że mam szmery w płucach. Trudno mi ocenić, czy to prawda, skoro nie słyszę. Ale w końcu to jest moje ciało i nie mam zamiaru do końca życia się z nim cackać tylko dlatego, że ktoś mnie przedziurawił. Wbrew zakazom Słonego biegam więc codziennie po plaży. Męczę się szybko, to prawda, ale widzę też, że każdego dnia mogę przemierzyć dłuższy dystans. Walczę z krótkim oddechem i własną słabością. Wspinam się na drzewa, a w każdym razie próbuję to robić. Stado wydrzaków trzyma się blisko tego odcinka wybrzeża, więc całkiem często pływam wśród nich. Jestem przynajmniej pewien, że nie dopuszczą do tego, bym się utopił, jeśli przypadkiem zasłabnę. Poza tym, kiedy one są tutaj, syreny trzymają się z daleka. Jeden z najbardziej energicznych samców (mam*



wątpliwości, czy należy pisać samiec, czy mężczyzna, bo to jest rozumny gatunek i to samo dotyczy smoków) bardzo się mną interesuje. Nawet się trochę zaprzyjaźniliśmy. Razem zbieramy małże i łowimy ryby. Przy pierwszym naszym spotkaniu był niezwykle zafascynowany moim tatuażem. Oglądał go, dotykał, a nawet poliztał, łaskocząc mnie wąsami. Badał moje blizny, szczególnie tę po pirackiej strzale, a potem rozgarnął płetwiastymi rękami sierść w okolicy obojczyka, ukazując białą podłużną łysinkę – wyglądała na ślad po grocie harpuna. A potem jeszcze większą na boku, co z kolei wyglądało jakby ktoś lub coś wyrwało mu płat skóry. Sugestywnymi gestami pokazywał opowieść o walce z jakimś wielkim drapieżnikiem, więc może był to rekin. Nie mogłem się pochwalić niczym szczególnym. Ślady po zębach Pożeracza Chmur, które mi pozostały na dłoni, ani tym bardziej szrama na głowie – pamiątka po upadku z drzewa w wieku lat sześciu, nie mają chwalebnych historii. Wywołałem za to mały wizerunek samego siebie, jak zmagam się w wodzie z dwiema syrenami. Zaskoczony wydrzak nastroszył się jak szczotka, a jego pobratymcy stłoczyli się dokoła, kiwając w przód i w tył, co mają w zwyczaju, kiedy ich coś szczególnie podnieci. Mój nowy znajomy zastanawiał się nad czymś, po czym uniósł głowę, prezentując obrożę wykonaną ze skóry i drobnych, spiczastych zębów, w których bezbłędnie rozpoznałem paskudne wyposażenie syreniej paszczy. Od tamtej pory na własny użytek nazywam posiadacza tej niezwyklej ozdoby po prostu Obrożą. Wydrzaki są zabawne, zwłaszcza gdy zbierają się w grupy i zaczynają przechwalać. Podskakują, pokazują mocne zęby, stroszą wąsy i z ich ruchów mogę doskonale wyczytać, jacy to z nich szybcy pływacy, wspaniali myśliwi i mocarze w wydrzakowej miłości. Mam wrażenie, że takie opowieści snują zarówno samce, jak i wydrzakowe damy, które zresztą trudno odróżnić, chyba że akurat mają dziecko przy piersi. Przechwalanie się osiągnięciami oraz pamiątkami po walkach należy do zwyczaju i jestem pewien, że wszyscy nieco łżą dla większego wrażenia. Odwzajemniam się bohaterskimi scenami walk z piratami i rozgniewanymi smokami. Pokazuję też rozmaite zwierzęta z głębi lądu, których wydrzaki nigdy nie miały sposobności oglądać. Wydaje się, że te moje pokazy są bardzo lubiane, bo zawsze ściągają dużo widzów i zwykle potem jestem częstowany różnymi smakołykami – w pojęciu tych futrzaków oczywiście. Kiedy po raz pierwszy zaoferowano mi surową rybę – na szczęście przynajmniej wypatroszoną kawałkiem ostrej muszli – musiałem mieć chyba śmierć w oczach. Ugryzłem kawałek i połknąłem w całości, nie oddychając, żeby nie urazić ofiarodawcy. Resztę rozdzieliłem między kosmatą dzieciarnię.

Wydrzaki żywią się tym, co złowią w oceanie lub znajdą na brzegu. Ryby,

małże, wodorosty, kraby, jaja żółwi, a także same żółwie i jaja ptaków, które miały pecha założyć gniazda w zasięgu wydrzakowych łąp. O dziwo, zauważyłem, że połykają też drobne kamyczki zbierane na plaży, ale nie mogę odgadnąć, jaki może być tego powód. Obserwują, jak piekę złowione ryby i ślimaki; ogień je interesuje, lecz traktują go jak zabawkę. Same nie chcą go używać, widocznie surowe mięso bardziej im smakuje. Wytwarzają prymitywne narzędzia z muszli, kości i zębów. Widziałem, jak oprawiają upolowaną zwierzynę i z surowych rzemieni robią rozmaite użyteczne plecionki.

Znajomość z wydrzakami i rybna dieta dobrze mi służą. Dużo jem, dużo się ruszam. Z uporem uczę się rzucania nożem i pień, na którym ćwiczę, jest pokryty całą masą nacięć, skaleczeń i odrąbanych wiórów. Czuję, że rosnę, może nie wzwyż, ale raczej wszcz i jakby od środka.

Kamyk z zadowoleniem przeczytał jeszcze raz wpis do notatnika. Wydrzaki były ciekawym tematem. Gatunek słabo znany, występujący jedynie u wybrzeży paru wysp Smoczego Archipelagu, według świadectwa Słonego był opisany bardzo pobieżnie, a tekst o nich roił się od pomyłek i zwykłych domysłów autora monografii. Uzupełnienie wiedzy o tej rasie i sprostowanie błędów z pewnością przyniosłoby pożytek Kręgowi. Przypuszczalnie dzieci Słonego już teraz potrafiłyby opowiedzieć więcej o wydrzakach niż ów chybiony naukowiec, który przed wieloma laty przelotnie zetknął się z wodnym ludem.

Chłopak zajrzał do stojącego obok pudełka, gdzie spoczywał błękitno-czarny motyli olbrzym, troskliwie obłożony kawałkami papieru i wełną drzewną. Przydałoby się odtworzyć kolekcję owadów, która przepadła na Wyspie Pazura. Z nieba lał się ukrop, zapewne piasek nad zatoką był już tak rozpalony, że parzył nawet przez podeszwy sandałów. Podjęcie decyzji trwało zaledwie chwilę. Tuż obok kusiała soczysta zieleń tropikalnego lasu i jego tajemnice.

Wypuścił się wprost w dziką zieleń, która kipiała wokoło obfitością roślinnych kształtów, wabiła kiściami kolorowych kwiatów i jaskrawymi barwami owoców dojrzewających między pękami soczystości zielonych liści. Pnącza owijały się zarówno wokół pni drzew i konarów, jak i siebie nawzajem, tworząc zawile wzory i piękne girlandy. Ciepłe, wilgotne powietrze zdawało się czymś stałym i namacalnym. Wślizgiwało się podstępnie do płuc, wypełniało żyły zdradliwym gorącem. Wszystko żyło tu intensywnie, szybko i drapieżnie, połykając przeznaczony sobie czas chciwymi kęsami. Kamyk niemal od razu zorientował się, że podąża ledwo widocznym szlakiem przetartym wśród zarośli. Ktoś tędy chodził i to wielokrotnie. Może była to jedna ze smoczych ścieżek? Dróżka wiła się między drzewami w wesołych zawijasach, omijając wszelkie

trudniejsze miejsca w rodzaju zwałonych pni, kolczastych chaszczy lub zdradliwych zagłębień wypełnionych gnijącymi liśćmi. Smok raczej nie dbałby o takie drobiazgi, prąc naprzód najkrótszą drogą. A więc nie smok, lecz człowiek. Słony?

Kamyk otarł pot z czoła i popatrzył przed siebie, gdzie zieleń wyraźnie rzedła. Nikły prześwit między drzewami niebawem zmienił się w całkiem solidną dziurę, wyrwaną w płataninie lian, a za nią rozciągała się lśniąca, migotliwa powierzchnia jeziora, burzona spadającą ze skały wodą, która miała przedziwny srebrnoniebieskawy odcień. Za to falująca powierzchnia sadzawki cieszyła oczy barwą zielonkawą, ze złotymi cętkami słonecznych rozbłysków.

Skryty za opadającą z drzewa kotarą kwitnących lian, oszołomiony Kamyk szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w rozgrywającą się przed nim scenę.



Wodospad tłukł Jagodę wodnymi biczami po głowie i ramionach. Huczało jej w uszach, a każdy kawałek ciała był przyjemnie obolały. Prychnęła, wysuwając głowę spod wody i spoglądając poprzez mokre rzęsy na Pożeracza Chmur. Smok stał w płytkiej wodzie do pół łydki i wyglądał tak, jakby bardzo chciał znaleźć się gdzie indziej. Najwidoczniej stanowiło to z jego strony najwyższe poświęcenie i nie można było spodziewać się niczego więcej.

– To straszne, to po prostu straszne, co wy, ludzie, wyprawiacie – oświadczył z zbrzydzeniem, poruszając ramionami, jakby oblażło go coś paskudnego.

Jagoda parsknęła śmiechem, brodząc w jego stronę i otrząsając włosy, aż dosięgły go mokre bryzgi.

– Fffff... – Odsunął się, marszcząc nos. – Chyba nigdy nie zdołam pojąć, co wy widzicie w tym przyjemnego. Futro ci się posklejało!

– Futro, futro... Ludzie mają włosy. Przynajmniej jestem czyściejsza niż przedtem. Nie tak jak ty, brudasie – drażniła się z nim żartobliwie. – A może umyję pana smoka?

Nabrała wody w obie dłonie, chlapiąc w jego stronę. Demonstracyjnie pokazał zęby i zrewanżował się tym samym.

– Niedobra jesteś! Potworzyca paskudna! Syrena leśna, ty!

Zupełnie odruchowo sięgnęła do niego talentem, szukając jasnego płomyka smoczej jaźni... i niespodziewanie znalazła dwa. Ktoś patrzył na nią, krytycznie

oceniając jej ciało. Och... aż za dobrze znała ten umysł, myślący obrazami – i jak w lustrze widziała w nim siebie: chudą, bladą, żałośnie cienką, kościstą, płaską, o wąskich biodrach i żebrach wystających przez skórę. Brzydka... nieatrakcyjna... wstrętna... i naga. Zakręciło jej się w głowie.

Nagość nigdy nie stanowiła dla Jagody problemu. Nie w tym miejscu, gdzie upał zmuszał ludzi do zdejmowania z siebie wszystkiego, co tylko się dało, a odzież miała za zadanie chronić skórę przed poparzeniem słonecznym lub kolcami, a nie być miernikiem przyzwoitości. Cała rodzina Mówcy bez skrępowania kąpała się wspólnie, a młodsze dzieci w porze letniej często biegały całkiem na golasa. Nawet w smoczym języku najbliższym „nagości” leżało pojęcie „bez futra” i od spraw zmysłowych było oddalone jeszcze bardziej niż jedzenie. W tej jednak chwili Jagoda po raz pierwszy w życiu poczuła się rzeczywiście naga – i to uczucie przeniknęło ją na wylot. Czuła się obnażona, a tym samym całkowicie bezbronna; między nią i tamtymi oczami, taksującymi ją tak bezlitośnie, nie było niczego, żadnej osłony, żadnej obrony...

Czym prędzej pobiegła do brzegu, żeby pospieszenie zerwać z gałęzi tunikę i wciągnąć ją na mokre ciało nerwowymi ruchami. Szpieg ukryty wśród zieleni nie spuszczał z niej wzroku.

– Jagoda? Co się stało? Nie chciałem cię obrazić. – Zaniepokojony Pożeracz Chmur brodził ku niej ostrożnie, by przypadkiem nie zamoczyć się bardziej.

– Nie, nic... Nie twoja wina... Naprawdę... – odpowiadała bezładnie na jego pytania i niezgrabne usprawiedliwienia. Zmieszanie i przestraszanie w jej umyśle zaczęły ustępować zwykłej złości. Jakim prawem tamten przybłąda gapi się na nią w t a k i sposób? Wyskoczyła na brzeg, jakby woda ugryzła ją w piętę. Złość przerodziła się w furję. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, sięgnęła w zbity kobierzec liści grotnika, wyczuła dotykiem tkaninę, zacisnęła na niej palce i szarpnęła z całej siły ku sobie.

Kamyk utkwiał na moment w splątanych lianach niczym w sieci. Patrzyli na siebie wzajemnie – ona z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości, on zaskoczony i już zalewający się rumieńcem zakłopotania – do momentu, gdy Jagoda wzięła potężny zamach i wyrznęła chłopaka pięścią prosto w nos.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Pożeracza Chmur aż zatkało. Z rozdziawionymi ustami gapił się na przyjaciela, który zwijał się z bólu, przyciskając ręce do twarzy, i na plecach Jagody, znikające w zieleni napierającej z obu stron na ścieżkę. Przez krótki moment wahał się, czy biec za nią, czy zostać z Kamykiem. Z sykiem wypuścił powietrze.

**WARIATKA!!!** – Kamyk spojrzał na swe zakrwawione palce i czym prędzej

znów złapał się za nos.

„Ale ci przywaliła...” – Pożeracz Chmur nie mógł zdusić w sobie uczucia podziwu, co oczywiście wprawilo Kamyka w jeszcze gorszy nastrój.

„To twoja wina! Wodzis z tą obrzydliwą, wymokłą upiorzycą...”

„Nie jest obrzydliwa!” – przerwał smok z oburzeniem.

Pojękując głucho przez zęby, chłopak schylił się nad brzegiem jeziora. Purpurowe krople kapwały gęsto w zmaconą wodę, natychmiast zwabiając drobne żyjątka. Ostrożnie przemył twarz. Niewiele to pomogło, krew lała się nadal.

„Jest obrzydliwa, głupia i zupełnie pomieszana! – upierał się z goryczą. – Najbrzydsze stworzenie, jakie widziałem w życiu, i najbardziej pokrecone.”

„Ty oczu nie masz! Nie dość, że głuchy, to jeszcze ślepy. Ona jest... jest piękna!” – Pożeracz Chmur sam był zaskoczony tym swoim niezwykłym wyznaniem i z zakłopotania zaczął wycierać sobie uszy zupełnie kocimi ruchami. Kamyk rzucił mu spojrzenie spode łba.

„Nowe znajomości, nowe lojalności – zaszydził. – Skąd wiedziała, że siedzę w krzakach? Ty zdrajco, powiedziałeś jej! To twoja wina!”

„Nie powiedziałem!” – zaprotestował smok gorąco.

„Kłamiesz.”

„Nie.”

Kamyk ze złością chlapnął na niego, aż Pożeracz wzdrygnął się nerwowo i kłapnął zębami.

„Ja kłamię? A od kiedy to można skłamać w myślach? Skup się! Powtarzam: NIE POWIEDZIAŁEM JEJ.”

Kamyk przysiadł na piętach na podmokłym skraju rozlewiska i odchylił głowę do tyłu, zaciskając palce na grzbiecie nosa. Krew ciepłym strumyczkiem zaczęła spływać mu do gardła, więc znów pochylił się do przodu. Ta obłąkana dziewczucha nie złamała mu nosa, ale i tak czuł się fatalnie. Zastanowił się. Pożeracz Chmur miał rację, nie dało się łączyć w mentalnym przekazie, a w każdym razie była to naprawdę duża sztuka i prostoduszny smok nigdy jej nie opanował.

„Nie mogła mnie widzieć – przekazał chłopiec stanowczo. – Po prostu nie mogła.”

A wtedy Pożeracz Chmur powiedział coś, co przewróciło cały jego światopogląd podszewką na wierzch.

„Pewnie nie widziała, ale wiesz... mogła cię wyczuć.”

„Usłyszeć” – poprawił Kamyk.

„Wyczuć. Jak Płowy albo Słony.”

„Bredzisz, Pożeracz. Dziewczyny nie mają magicznych talentów.”

„Ja się na tym nie znam. Ale ona umie rozpoznawać myśli. To znaczy, że jest magiem.”

To było coś, co należało dogłębnie przemyśleć. Kamyk podniósł głowę, napotykał szczerze zatroskane spojrzenie Pożeracza Chmur. Otarł krwawiący nos rękawem.

„Niech to zaraza... Jeśli masz rację, to jest chyba jedyna. Nigdy o czymś takim nie czytałem. Nie ma kobiet magów, i nigdy nie było”.

To prawda, nie było kobiet z magicznymi talentami. Nie było nawet nazwy, określającej taką osobę. Bo i jak nazwać kogoś takiego? Maga? Maginia? Magiczka? Matki mogły wraz z linią krwi przekazywać synom talenty, lecz nigdy nie dziedziczyły ich córki. Jagoda była przedziwnym wyjątkiem. Nic dziwnego, że tak wrogo odniosła się do Kamyka przy pierwszym spotkaniu, skoro zapewne jak na dłoni widziała jego myśli. Chłopak usiłował sobie przypomnieć, ile razy obrzucał dziewczynę w duchu obelgami i aż skręcił się wewnętrznie ze wstydu. A jeśli ona to widziała...? Przyłapał ją na czytaniu własnego pamiętnika, więc pewnie nie miała też żadnych skrupułów, jeśli chodzi o czyjaś prywatność. Choć pewnie ceniła sobie własną, sądząc z jej niedawnej reakcji. Kamyk odruchowo pomacał uszkodzony nos, który zaczął już puchnąć.

Co więcej, myśl, która pojawiła się jako naturalny wniosek tej rewelacyjnej wieści, sprawiła, że teraz jemu opadła szczęka. Jagoda miała białe włosy i niewiarygodnie białą skórę. Kamyk widywał białe myszy i białe koty o mętnych, niebieskawych oczach. Płowy twierdził, że stworzeniom tym brakuje czegoś, co nadaje im naturalną barwę. Wygląd Jagody bez wątpienia należało wiązać z jej talentem, a jeśli ten był wystarczająco silny, by ją okaleczyć, oznaczało to, że dziewczyna dysponuje naprawdę potężną siłą.

„Jaki ona ma zasięg?” – spytał Kamyk, w głębi ducha obawiając się odpowiedzi.

Pożeracz Chmur przekręcił głowę i poruszył uchem w geście namysłu.

„Nie wiem dokładnie, ale kiedyś mówiła, że czasem siada na skałach i szuka na oceanie statków, żeby posłuchać marynarzy.”

Kamyk uniósł brwi. Jeśli Jagoda rzeczywiście potrafiła odszukać gdzieś w bezmiarze oceanu malutką łupinę okrętu i drobne iskierki ludzkich dusz, musiała mieć talent dorównujący najprzedniejszemu błękitnym. Co więc robiła tutaj, zamiast pobierać nauki u któregoś z mistrzów Kręgu? A co najważniejsze: dlaczego Słony, zwykle wylewny, serdeczny i gadatliwy, nie wspomniał

najmarniejszym słowem o talencie córki? Kamyk czuł przez skórę, że z Jagodą i jej zdolnościami wiąże się jakaś tajemnica.



Słony w skupieniu pociągnął tuszem linię na szkicu smoczego skrzydła, po czym wypuścił wstrzymywany dotąd oddech. Krytycznie spojrzął na rysunek. Jak dotąd szło nieźle. Słony jednak rysować dobrze nie umiał i nie lubił tych uprzykrzonych czynności, których wymagała od niego praca naukowa. Zawsze gdy musiał „obrysowywać” szkice na czysto, Księżycowy Kwiat zabierała dzieci z domu, gdyż biedny Mówca, nękany ich ciągłym szczebiotaniem, pytaniami i wtykaniem zaciekawionych głów pod łokieć, nie był w stanie postawić prostej kreski.

Ukołysany błogą ciszą i spokojem, Mówca przygotował się do skreślenia następnej linii, kiedy dudniąc piętami po schodach, do domu wpadła Jagoda, jakby goniło ją stado demonów. Słyszając, jak córka miota się za jego plecami, Słony odetchnął powoli i głęboko, jednocześnie patrząc na kleksa, który rozlewał się na schemacie. Od rysowania bardziej nie lubił tylko karania dzieci. Obejrzał się niechętnie. Jego najstarsza latorośl z furią rzucała swoje rzeczy na rozpostartą derkę, gromadząc w bezładnym stosie odzież, kapelusze chroniące ją od palącego słońca i ulubione drobiazgi.

– Jagoda, możesz mi łaskawie wyjaśnić, co ty robisz? – spytał Słony łagodnie.

Spojrzenie nachmurzone i buntownicze.

– Się stąd wynoszę – wycedziła.

– Nie zaczyna się od „się” – odparł Słony, wycierając pędzelek. – Jakies konkretne powody?

– Dlatego, że ty na pewno nie wygonisz stąd JEGO! No to odchodzę JA! – wybuchnęła dziewczyna, usiłując związać rogi tobołu.

– A ja ci powiadam, że nigdzie nie idziesz – rzekł stanowczo Mówca.

– A ja powiadam, że idę! I spróbuj mnie zatrzymać! – wrzasnęła Jagoda, co okazało się sporym błędem, gdyż jej ojciec skwapliwie skorzystał z tej propozycji. Mówca, mimo przekroczonej czterdziestki, był mocno zbudowanym i silnym mężczyzną, więc uniesionej w górę Jagodzie pozostawało tylko majtanie nogami.

– I zaprawdę powiadam ci, że natychmiast masz przestać mnie kopać, bo po

raz pierwszy w życiu skorzystam z ojcowskiego prawa i złoję ci skórę – ostrzegł Słony. – Co tym razem, na Los i ścieżki jego? Czy wy nie możecie jednego dnia przynajmniej się tolerować? Tolerować! Ja nie proszę o wiele. Co tym razem Kamyk ci zrobił straszego?

Jagoda już otworzyła usta, by wybuchnąć potokiem skarg... i zamknęła je na powrót. „Podglądał mnie, kiedy byłam goła” zabrzmiałoby raczej mało dramatycznie, a własnego ojca znała na tyle dobrze, by przewidzieć jego reakcję. Pewnie popatrzyłby na nią zdumionym wzrokiem i powiedział coś w rodzaju „to nieładnie”.

– O-obraził mnie... – wyjąkała, zaprzestając oporu. Ojciec postawił ją na podłodze.

– Tak po prostu? Przyszedł i cię obraził?

– Eeee... w myślach – przyznała, czerwieniąc się.

– Jak? – indagował Mówca. Wiedziała, że ojciec mógłby wyciągnąć to wprost z jej umysłu, ale jakoś nie chciał, wolał spytać. To ograniczenie, które sam sobie narzucił, zawsze ją dziwiło.

– Nie powiem – pisnęła, nienawidząc się za swój płaczliwy ton.

– Aaaha... – mruknął Słony. – Widzisz, w tym jest właśnie kłopot, że wchodzisz komuś do głowy i widzisz tam rzeczy, których widzieć nie powinnaś.

– Ale nie przeszkadzało to ani tobie, ani Kwiatowi, ani nikomu innemu... a już najmniej Deszczowemu Przybyszowi i innym smokom. – Jagoda siąknęła nosem.

– Ale Kamyk jest inny. Po pierwsze, jest człowiekiem z kontynentu, a to już stanowi różnicę. – Słony usiadł na macie, gestem pokazując, by córka usiadła obok. – Po drugie, nie jest smokiem, co pewnie już zauważyłaś. Smokom jest wszystko jedno, czy używają myśli, czy mowy. Właściwie też nigdy nie kłamią, albo prawie nigdy...

– Wiem – mruknęła. – A co to ma wspólnego z tym przybłądą?

– W takim samym stopniu przybłąda, jak i my. My również korzystamy z uprzejmości Przybysza i Skaczącej Gwiazdy, bo tolerują nas na swoich terytoriach – skarcił Jagodę Słony.

– Nigdy nie widziałam w twojej głowie niczego złego – upierała się dziewczyna. – To on jest nieprzyjemny i mi dokucza.

Słony westchnął.

– Widocznie akurat nie trafiłaś na żaden z moich złych dni. Ja też miewam niedobre myśli. Myśli, których się wstydzę i wolałbym, żeby nikt ich nie



oglądał, i których nie chcę pamiętać. Gdyby Kamyk był Obserwatorem, pewnie mógłby zobaczyć w twojej głowie równie niemiłe i krzywdzące go opinie, bo i ty masz takie myśli.

– Skąd wiesz? – Czerwone oczy zmierzyły go uważnie i podejrzliwie.

– Każdy człowiek ma takie myśli. Ale tylko głupcy pozwalają im wypływać na wierzch i brać górę nad rozumem. Wolę widzieć w ludziach zalety niż wady.

– Kamyk rzucił we mnie rybą. Widocznie jakaś zła myśl wygrała – powiedziała Jagoda z przekąsem.

– A umiałabyś powiedzieć o nim coś dobrego? – spytał Słony, uśmiechając się prowokacyjnie. – Czy to może za trudne dla ciebie?

Jagoda wydeła usta.

– Jest... chyba dość... mądry. Ciągłe coś czyta. Albo pisze. Jest, eee... odważny? – Spojrzała na ojca niepewnie. – Ta historia z piratami, Liską i teraz to z wydrzakami... on się chyba z nimi zaprzyjaźnił?

– Widocznie łatwiej mu z nimi niż z ludźmi. Dodam jeszcze, że jest uparty jak kozioł, i nie wiem, czy zaliczyć to do wad, czy może do zalet. A najgorsze jest to, że jesteście do siebie podobni.

Jagoda prychnęła z oburzeniem.

– A tak, tak... – ciągnął Mówca. – Oboje jesteście charakterni i drażliwi jak koty. I ciekawi tego, jak świat działa. No i wam obojgu coś magia zabrała – dodał ciszej. – A teraz rozpakuj ten tłumok, zanim Księżycowy Kwiat go zobaczy. Dość ma na głowie i bez tego.

– Oj tak, Kwiatek jest najważniejsza – rzuciła jadownicę Jagoda, wywracając oczami, lecz zaczęła na powrót rozkładać swoje rzeczy na poprzednie miejsca.

„Powiniennem ją krócej trzymać – pomyślał Słony, wracając do rysunku i usiłując wyskrobać plamę tuszu z pergaminu. – Jak? – spytał sam siebie. – Jak można krótko trzymać dziecko, które właściwie wychowuje się w smoczych legowiskach?”

– Tato... – odezwała się jego kłopotliwa latorośl nieszczęśliwym tonem. – Tato... Ja mu rozbiłam nos.

– Co?!

– Byłam wściekła i rąbnęłam go z całej siły.

– Ale żyje? – upewnił się Słony dziwnie zdławionym głosem.

Jagoda odwróciła twarz w stronę lasu i na moment przymknęła oczy.

– Jeszcze nie umiera, ale okropnie krwawi – rzekła markotnie. – Tato...!

W okrzyku owym płonął ogień świętego oburzenia, gdyż Słony zasłonił oczy dłonią i wybuchnął szczerym, niepowstrzymanym śmiechem.



Jeśli Jagoda spodziewała się ze strony Kamyka zemsty czy choćby tego, że chłopak poskarży się Słonemu, to zawiódł jej nadzieje. Tego feralnego dnia wrócił późno, niemal wraz ze zmierzchem. Pokazał Mówcy jakiegoś paskudnego włochatego pająka złapanego w lesie. Jagodę starannie omijał wzrokiem. Bez apetytu zjadł zupę rybną, napił się wody, a następnie padł w ubraniu na matę i zasnął kamiennym snem. Jagoda słyszała, jak oddycha chrapliwie przez usta i długo nie mogła zasnąć, dręczona niejakimi wyrzutami sumienia i jednocześnie uczuciem irytacji.

Następny poranek był podobny do poprzedniego wieczora, jak również następujące po sobie dni. Z tą różnicą, że Pożeracz Chmur zaczął dzielić swój czas między Jagodę, Kamyka i rodzinę, co wypełniało mu akurat całą dobę.

– Jesteśmy przyjaciółmi, chcę z nim być, a on potrzebuje mojego towarzystwa – tłumaczył młody smok zazdrosnej Jagodzie.

„Ona jest samotna – klarował zde gustowanemu Kamykowi. – Nudzi się z maluchami. Zrozum, że ze mną może przynajmniej porozmawiać o czymś poważniejszym. Lubię ją.”

Z kolei ojca i matkę przekonywał, we własnym mniemaniu bezgranicznie szczerze, iż kontakty z „obcą rasą” przynoszą same korzyści. Tak więc czas upływał mu głównie na transformacjach i łagodzeniu konfliktów, co czyniło go nieco nerwowym.

Ku sporej uldze Słonego otwarta wojna między jego córką a gościem została zredukowana do totalnego ignorowania się nawzajem. Podział terytorialny został zniesiony, ale poza tym para nastolatków traktowała się jak powietrze, nawet siedząc obok siebie przy śniadaniu.

Kamyk, po dokładnym zapoznaniu się z odcinkiem wybrzeża „należącym” do Mówcy, coraz częściej wkładał „leśną” odzież i wyprawiał się na długie włóczęgi po wnętrzu wyspy – samotnie lub w towarzystwie Pożeracza Chmur. Zaopatrzone w nieodłączny nóż oraz jedwabną siatkę do chwytania owadów zbierał obfite łupy w postaci kolorowych tropikalnych motyli. Czasem stawał nieruchomo pośród drzew, skrywając się za iluzją niewidzialności lub upodabniając do krzaka, a oszukane zwierzęta przechodziły o krok od niego, pozwalając się oglądać bez przeszkód. Czasem tylko rozglądały się, węsząc podejrzliwie – zaniepokojone zapachem człowieka. Natomiast ptaki usiłowały siadać Tkaczowi Iluzji na głowie – i spadały z rozpaczliwym trzepotaniem,

zdumione, że pozornie solidne gałęzie w dotyku okazały się czymś zupełnie innym. Dżunglę zamieszkiwały smukłonogie koziołki, mały o czarnym, połyskliwym futrze, łuskowce zakute w rogowe pancerze. Chłopiec widywał wielkie węże czatujące ponad zwierzęcymi ścieżkami na podobieństwo grubych lian, a także niewielkie, jaskrawo ubarwione żmije dysponujące silną trucizną. Czasem spotykał nadrzewne niedźwiadki, tak leniwe, że nie budziły się z drzemki, nawet gdy trafiały do czyjegoś brzucha. Jednego ogniwa jednak brakowało w tym łańcuchu, który Słony nazywał „porządkiem zjadania”. Mimo długotrwałych obserwacji Kamyk nie natrafił na ślad żadnych większych drapieżników, takich jak wielkie kotowate czy chociażby wilki. Najwyraźniej smoki wyparły wszelką konkurencję.

Z początku trzymał się tylko obszaru należącego do Deszczowego Przybysza, który łaskawie pozwalał rezydować tu rodzinie maga. Potem chłopak zaczął wypuszczać się coraz dalej, naśladując Jagodę, która bez przeszkód wędrowała po całej wyspie, swobodnie przekraczając granice smoczych terytoriów. Zdarzało się, że dziewczyna nie pojawiała się nad zatoką po dwa lub trzy dni, pędząc tajemnicze życie gdzieś w głębi puszczy lub na kamienistych zboczach wulkanu. Podpytywany o to, Pożeracz Chmur twierdził, że Jagoda sypia w legowiskach smoków, które traktowały ją wręcz familiarnie, a żywi się tym, co znajdzie w lesie.

Powoli z tych opowieści wyłaniał się obraz nowej Jagody – już nie tylko agresywnej dzikuski, lecz kogoś, kto znał wszystkie smoki Jaszczura po imieniu i orientował się w ich skomplikowanych koligacjach rodzinnych; kogoś, kto umiał rozpoznawać bezbłędnie jadalne owoce i śmiertelne trucizny, a charakterem bliższy był chyba pobratymcom Pożeracza Chmur niż ludziom z Lengorchii.

Kamyk przyznawał przyjacielowi rację, kiedy ten twierdził, że Jagoda jest samotna, ale sam przeczuwał, iż jest to samotność z wyboru. Rozumiał, co dawała dziewczynie tak zazdrośnie strzeżona izolacja. To samo co jemu – wolność, swobodę wyboru i czas, niezmierny ocean czasu. Życie, które nie było odmierzane sztywnymi porami posiłków, snu i czuwania, obowiązkami wykonywanymi z przymusu, zabawami dla zabicia nudy. Czasami Tkacz Iluzji zastanawiał się, jak mógł tyle lat żyć w Pagórkach, wśród ludzi, od których różnił się tak bardzo. Mieszkańcy Żmijowych Pagórków – solidni wieśniacy z dziada pradiada – zwykle traktowali obojętnie „chłopaka od maga”, czasem jednak Kamyk łowił taksujące, niepewne spojrzenia sąsiadów, jakby oceniali istotę całkiem sobie obcą. Centaura, wywernę albo wilka wychowanego wśród

ludzi, którzy zastanawiają się właśnie, czy zostanie on użytecznym psem podwórzowym, czy też może odezwie się jego dzika natura i w końcu rozszarpie komuś gardło. Chociaż Kamyk kochał swego przybranego ojca, coraz częściej przyłapywał się na tym, że odsuwa od siebie myśl o powrocie do domu. Bo i do czego właściwie miałby wracać? Wyrósł ze Żmijowych Pagórków, jak wyrasta się z dziecięcych butów. Ta wioska potrzebowała rolnika, kowala lub medyka, znającego się na chorobach zwierząt i ludzi, nie Tkacza Iluzji.

Czy to samo przeżywała Jagoda, zanim ojciec zabrał ją tutaj, w miejsce, którym władały czerwonoookie olbrzymy? Tego Kamyk nie mógł wiedzieć, domyślał się tylko, że dziewczynie mogło być ciężiej niż jemu. Może również dręczyli ją z dziecięcym okrucieństwem rówieśnicy? Nie ominęły jej zapewne ani przykre słowa, ani złe myśli nieżyczliwych dorosłych. Lepiej teraz rozumiał jej gniew i zazdrość. Choć bardziej okaleczony – zdobył miejsce w Kręgu, a ona nadal trwała w zawieszeniu – ani kandydatka do błękitnej szarfy, ani przyszła żona i matka. Zagadnięty o to, Słony jedynie potrząsnął głową ze smutną miną i położył palec na ustach. Nie, takich spraw nie chciałby omawiać z kimś spoza rodziny.

Tak więc oboje – Tkacz Iluzji i nieoficjalna Obserwatorka – znaleźli podobny spokój wśród zieleni dżungli. Istniała niewielka szansa, że spotkają się podczas swych włóczęg. Jaszczur był naprawdę dużą wyspą. Obejście jej dokoła mogło zająć nawet parę dni. Kamykowi przychodziło na myśl pytanie, czy Jagoda nie widuje go od czasu do czasu, jak krąży pośród drzew niby zagubiony duch, jej samej jednak nie dostrzegł ani razu. Aż do dnia, w którym nogi zaniósł go ku wulkanicznym stokom, z dala od terenów łowieckich Deszczowego Przybysza. Białe pasmo warkocza odcinało się kontrastowo od setek odcieni barw puszczy, natychmiast zwracając na siebie uwagę przygodnego obserwatora. Odwrócona plecami, Jagoda nie widziała niespodziewanego gościa, który poruszał się wolno i ostrożnie, świadomy, że jego lekkie kroki powinny zagubić się pomiędzy powszednimi głosami dżungli. Na twarz Kamyka wypłynął psotny i nieco złośliwy uśmiešek. A gdyby tak podkraść się na tyle blisko, by szarpnąć za ten nienormalnie biały „ogon” dyndający humorzastej paniencie na plecach? Zapewne skończy się to znów rękoczynami, ale tym razem Kamyk nie miał zamiaru pozwolić się obić. Ostatecznie był od niej większy. Nic prostszego: w rewanzu za rozbity nos wytarzać dziewczę w opadłych liściach lub wrzucić jej za kołnierz jakiegoś robala. Posuwał się krok za kroczkiem, patrząc pod nogi i ostrożnie omijając zeschnięte gałązki. Jagoda grzebała w ziemi, jakby coś wykopywała. Jej plecy

zbliżały się. Kamyk wyszczerzył zęby, wyobrażając sobie, jak podskoczy, gdy niespodzianie czyjaś dłoń klepnie ją w kark! Wyciągnął rękę... Jagoda gwałtownie poderwała się na nogi i zamarła bez ruchu, lekko pochylona ku przodowi. Jednak ku zdziwieniu Kamyka, nie odwracała się. W uniesionej ręce kurczowo ścisnęła niewielki nóż. Chłopiec bezwiednie przyjął podobną postawę, jak przed atakiem lub ucieczką. Zarośla o wielkich, talerzowatych liściach częściowo zasłaniały mu widok. Co zaniepokoiło Jagodę? Zrobił krok w bok, zmieniając kąt widzenia i zobaczył to, co pojawiło się przed dziewczyną.



Las szeleścił i gadał tysiącem głosów. Jagoda przywykła do jego pogwarek, które towarzyszyły jej od tak dawna, że nawet nie musiała się wysilać, by wręcz machinalnie analizować wszystkie głosy, które ją otaczały. Ot, na prawo od niej właśnie kłóca się dwa tubołacze, kłapiąc potężnymi dziobami, w zaroślach parsknął latający szczur, a zaraz potem rozległo się basowe buczenie potężnego chrabąszcza żałobnika. Nie, las nie ukrywał przed Jagodą niczego – zwłaszcza tego, że właśnie za jej plecami skradał się ten długonogi bałwan, wyobrażając sobie, że ona go nie słyszy i nie wyczuwa. Jagoda uśmiechnęła się z satysfakcją, zanurzając w ziemi ostrze noża i wykopując kolejną słodką bulwę. Niech no tylko podejdzie bliżej, zobaczy, kto kogo pociągnie za włosy.

W zaroślach przed nią coś zaszleściło. Wciąż uśmiechając się do siebie, uniosła głowę i uśmiech zamarł jej na wargach. Spośród zieleni obserwowała ją para bursztynowych ślepi. Zerwała się na równe nogi, ściskając w dłoni nóż.

W pierwszej chwili nie mogła określić nawet rozmiarów tego stworzenia. Cielsko oliwkowej barwy niemal idealnie stapiało się z tłem. Tylko na czole tej istoty jaskrawo odcinała się srebrzystoszara łata, przyciągając wzrok z niemal hipnotyczną siłą. Półludzki, półzwierzęcy pysk groził hakowatymi kłami z cichym, przeciągłym syczeniem. Bursztynowe gadzie ślepie wpatrywały się w Jagodę bez mrugnięcia. Na krótkiej szyi przeżyły się mięśnie i fałdy skóry, tworząc coś na kształt kaptura kobry. Łapy, szokująco podobne do ludzkich rąk, ale opatrzone w szpony, otwierały się i zaciskały złowróźnie. Potwór zdawał się dużo mniejszy od człowieka, lecz było to złudzenie, gdyż nie miał nóg, a gruby sprężysty ogon niknął gdzieś w chaszczach.

Jagodzie wydawało się, że tkwią tak naprzeciwko siebie całe godziny, choć w rzeczywistości w ciągu paru sekund rozpoznała i nazwała to ohydne

połączenie człowieka z jadowitym gadem oglądane dotąd tylko na obrazkach – samca lamii.

Stwór wychylił się nagle do przodu. Jagoda wzdrygnęła się, bezwiednie wysuwając rękę z nożem. Ale był to tylko pozorowany atak, samiec lamii cofnął się do poprzedniej pozycji, wciąż wydając z siebie szarpiący nerwy syk. Jagoda czuła, jak pot spływa jej po czole i szczypie w oczy. Niby w niesamowitym tańcu śmierci potwór wygiął gibkie cielsko w bok, a ona natychmiast wychyliła się w tę samą stronę. Znieruchomieli na nowo. Jak zza grubej ściany dochodziły do dziewczyny leśne odgłosy. Zdawało się jej, że czas zwolnił, a powietrze wokół stężało do konsystencji syropu. Gdzieś w głębi jej sparaliżowanego lękiem umysłu pojawiło się mgliste pytanie: co robi za jej plecami ten chłopak? Oby tylko nie było to coś głupiego. Nie można się odwracać plecami do niebezpieczeństwa. Jeśli drapieźnik zobaczy twój odsłonięty kark, już nic go nie powstrzyma przed zatopieniem w nim kłów. Dziewczyna uniosła górną wargę, obnażając zęby we wściekłym grymasie, i wydobyła z siebie złowieszcze „hhhhhhhhh”. Samiec lamii zasyczał, napinając kaptur dokoła szyi i uniósł się nieco, lecz nadal nie atakował.



„Nie uciekaj... tylko nie uciekaj...”

Kamyk powoli sięgnął do rękojeści noża. Bestia znów zamarkowała atak, jakby bawiąc się ze swoją ofiarą.

„Nie uciekaj. Błagam, Jagoda, tylko nie uciekaj”, powtarzał chłopiec w myślach, powolutku unosząc ostrze nad głowę. Potrzebował tylko jednej krótkiej chwili, by wycelować i cisnąć ciężkim nożem w pysk lamii. Gdyby Jagoda załamała się właśnie teraz i rzuciła na oślep do ucieczki, nie miałyby żadnej szansy. Jadowita bestia dopadłaby ją jednym błyskawicznym ruchem, jak rozprężająca się sprężyna. Kamyk nie liczył na to, że zabije napastnika, ale miał nadzieję, że przynajmniej dotkliwie go zrani, co dałoby Jagodzie i jemu krótki, ale jakże cenny czas na ucieczkę.

Ostrze przeleciało Jagodzie nad ramieniem. Bestia próbowała uchylić się przed ciosem, lecz klinga trafiła ją w szyję, rozcinając kaptur. Trysnęła krew, a potworny pysk rozwarł się na całą szerokość w wyrazie bólu i zaskoczenia. Nie czekając już na nic, Kamyk chwycił Jagodę za rękę, pociągnął za sobą i rzucił się do ucieczki. Potknęła się, zawisła całym ciężarem na jego ramieniu,

ale natychmiast odzyskała równowagę i zanurkowała w gęstwinę, wyprzedzając chłopca. Bez namysłu ruszył za nią, pozwalając jej prowadzić. Całym wysiłkiem woli zmuszał się, by nie patrzeć do tyłu. Wyobraźnia podsuwała mu straszliwe obrazy potwora prześlizgującego się między pniami drzew i już, już dosięgającego straszliwą paszczą jego pleców. Gałęzie chłostały go po twarzy. Biała smuga Jagodowego warkocza chwiała się przed nim, wskazując drogę. W końcu obojgu zabrakło tchu. Padli na ziemię, wyczerpani po długim pędzie, dysząc ciężko niczym zziąbane charty.

Kamyk podniósł oczy na Jagodę. Pot przykleił jej włosy do czoła, była zaczerwieniona z wysiłku. Jej policzek przecinały dwie długie kreski zadrapań.

Goni nas? – spytał. Jagoda gapiała się dłuższą chwilę na znaki, które pojawiły się w powietrzu, jakby potrzebowała czasu, by ich sens do niej dotarł. W końcu pokręciła przecząco głową. Objęła ramiona rękami, jakby zrobiło się jej zimno. Kamyk widział, że zaczynają nią wstrząsać dreszcze.

Oczy chłopca niespokojnie biegały pomiędzy Jagodą a kierunkiem, z którego spodziewał się pogoni.

Nie wiedziałem, że tu są lamie.

„Ja też nie wiedziałam”, pomyślała Jagoda, trzęsąc się coraz bardziej. Serce waliło jej jak młotem i nie chciało się uspokoić. Zęby dzwoniły tak, że gdyby spróbowała teraz mówić, pewnie pogryzłaby sobie język. Na szczęście Kamyk nie oczekiwał od niej konwersacji. Patrzył na nią z rosnącym zatroskaniem, marszczył brwi i mrugał nerwowo. Wyciągnął ręce z wahaniem, jakby w obawie, że Jagoda odskoczy lub wprost przeciwnie – da mu w ucho, i pogłaskał ją niezgrabnie po ramionach. Zacisnęła powieki, biorąc głęboki, roztrzęsiony oddech. „Co się ze mną dzieje?!”, warknęła w myśli, zła sama na siebie. Nie, już się nie bała, natomiast gniewała ją reakcja głupiego ciała, które zdradzało ją akurat w najmniej odpowiednim momencie. Ciepłe dłonie miarowo masowały jej ramiona, przesunęły się z wolna na kark i tam podjęły tę samą pracę.

„Matko Świata, o mało nie zginęliśmy!”. Cała skondensowana groza minionej sytuacji dotarła do niej w jednej krótkiej myśli. Gdzieś poza oczami i w nosie pojawiło się znajome paskudne uczucie. Jagoda wszelkimi siłami powstrzymywała się od wybuchnięcia płaczem. Łkanie na piersi wroga – a w każdym razie wroga do niedawna – było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła. Wysilek został uwieczniony sukcesem, za to Jagoda dostała czkawki, co zawstydziło ją jeszcze bardziej. Poczowała ostrożne klepanie po ramieniu, więc otworzyła oczy. Tuż przed jej nosem znów pojawiło się powietrzne pismo, aż

z zaskoczenia odchyliła głowę.

*Musimy powiedzieć twojemu ojcu. Ale wtedy Słony nigdzie nas nie wypuści z domu. Raczej przywiąże do słupa na smyczy.*

Chłopak skrzywił się żałośnie i gestem pokazał pętlę dokoła szyi. Jagoda ostrożnie kiwnęła głową, żałując, że jej umiejętności nie są tak szerokie jak talent jej ojca. Oczywiście, obecność lamii na wyspie stwarzała spore zagrożenie. Skąd ten stwór się tu wziął? Nikt nie przypuszczał, że na Jaszczurze może czaić się stworzenie tak niebezpieczne. Jakim cudem przez tyle lat uchodziło to uwagi smoków, które dysponowały przecież nie tylko doskonałym wzrokiem i węchem, ale także zdolnością czytania myśli? Nie mogli zataić dzisiejszego wydarzenia, choć Jagoda w rzeczywistości miałyby na to wielką ochotę, a jedno tylko spojrzenie na minę Kamyka dawało pewność, że również zмага się z podobnym problemem moralnym. Patrzył co chwila na dziewczynę z wyczekiwaniem. Emocje już z niego opadły, wydawał się nieco przygaszony, choć jednocześnie nerwowo pocierał o siebie palce, a oczy uciekały mu gdzieś w bok. Jedno muśnięcie jego umysłu wystarczyło, żeby Jagoda przekonała się, że w tym siedzącym spokojnie chłopcu aż kłębi się od uczuć. Niepokój, lęk o przyszłość, przewidywane ograniczenie swobody przyjmowane z najwyższą niechęcią, a w końcu żal po stracie noża, która to myśl zaczynała przyćmiewać inne. To było nawet trochę zabawne. Jagoda powoli wyciągnęła rękę, uśmiechając się niepewnie. Chłopak zrobił to samo. Dwie dłonie splotły się w uścisku, pieczętując nieme porozumienie.

– Nie – powiedziała Jagoda, ni to do siebie, ni to do Kamyka. – Nie pójdziemy z tym do mojego ojca. Mam lepszy pomysł.



Smoki są rasą mało wymagającą i wytrzymałą. Mogą długo obywać się bez jedzenia lub jeść byle co, a spać w jakimkolwiek suchym miejscu. Tak naprawdę jednak lubią wygody. Smocze legowisko, do którego Jagoda zaprowadziła Kamyka, miało postać gigantycznego gniazda, starannie wplecionego z rozmaitych cienkich gałązek i włókien roślinnych. Wiele warstw uzupełnianych troskliwie i poprawianych przez długie lata było ubitych już tak mocno, że tworzyły niemal monolit, gruby na prawie trzy łokcie. Deszczowy Przybysz, właściciel tego legowiska i całego pobliskiego terenu, siedział na jego skraju, z uwagą słuchając opowieści Jagody.



– Rozumiem. Ten samiec zaczyna być niebezpieczny. Mamy tu dzieci, ludzkie i nasze...

– Zaczyna? – przerwała mu Jagoda. – To znaczy, że wiedziałeś, że on tu jest?!

– Nigdy nikomu nie zawadzał – odparł Deszczowy Przybysz, kierując uszy nieco do tyłu, co wyrażało lekką konsternację. – Lamie niedużo jedzą... A ten jest już dość stary... Mieliśmy go zagryźć tylko dlatego, że żyje?! – Smok raptem zdenerwował się i parsknął głośno.

– Napadł na mnie!

– Może chciał cię tylko postraszyć?

Jagoda obnażyła górne zęby w grymasie złości i gwałtownie poruszyła głową w bardzo smoczym geście. Kamyk spoglądał na nią kątem oka, większość uwagi jednak poświęcając smoczycy rezydującej w centrum legowiska.

– To nie wyglądało tylko na straszenie. Wyraźnie miał złe zamiary. Gdyby Kamyk nie rzucił nożem, pewnie już bym była martwa i zjedzona! I on też. A to jest twoje terytorium i powinieneś wiedzieć, co się tu dzieje. Przecież niebawem urodzi się wasze dziecko, nie chcesz chyba, żeby lamie je pożarły – naciskała Jagoda.

Skrzydłata – partnerka Deszczowego Przybysza – poruszyła się niespokojnie. Kamyk uśmiechnął się ostrożnie, dbając, by nie odsłonić zębów. Czuł, jak umysł smoczycy dotyka nieśmiało jego myśli – delikatny niczym kot muskający coś miękką łapą. Utkwiła w chłopcu spojrzenie oczu jasnoczerwonych i przejrzystych jak porzeczkowe wino. Niespodzianie schyliła głowę. Wielkie jasnoczerwone oko znalazło się tuż obok. Czarna, podłużna źrenica rozszerzyła się i mógł przejrzeć się w nim jak w lusterku. Powolnym ruchem położył jej dłoń na miękkim nosie. Było to nieco ryzykowne, ale smocze uczucia, płynące wciąż ku niemu, nie zawierały ani groźby, ani nieufności, raczej ciekawość i umiarkowaną sympatię. Smoczyca nie cofnęła się. Jej uszy pochyliły się ku przodowi w dobrze Kamykowi znanej pozycji zainteresowania. Skrzydłata podniosła się, zmieniając się jak za sprawą magii z nieco bezkształtnego kłębu beżowego futra w smukłe, pełne wdzięku stworzenie o szyi wygiętej w łuk. Okazało się, że pod brzuchem smoczycy leżała aktualnie najważniejsza rzecz w życiu jej i Deszczowego Przybysza. Kamyk dotąd wyobrażał sobie, że smocze jaja są raczej sporych rozmiarów. Liska dorównywała wielkością dużemu kocurowi. Wbrew wcześniejszym wyobrażeniom chłopca, jajko nie było jednak zbyt duże. Miało kształt melona i mniej więcej taką samą wielkość. Pokryte jednolicie zabarwioną, żółtawą

i nieco chropowatą skorupą przypominało dziwny owoc. Oczy chłopca rozszerzyły się z emocji. Więc tak wyglądała „kolebka” Liski? Z takiego „łona” wyszedł Pożeracz Chmur? Jakże małeńkie musiało być smocze dziecko zapakowane w tę skorupę. I jakie to dziwne, że wyrosnie po latach na równie ogromne stworzenie jak jego rodzice.

Jagoda również przyglądała się jajku – nieczęsto miała okazję oglądać takie widoki – ale jej zainteresowanie budził także Kamyk. Z uznaniem zauważyła, że chłopak zupełnie się nie boi, choć nos smoczycy niemal go dotykał, a jej ciepły oddech rozwiewał mu włosy. W aurze uczuć, jaka go otaczała, podekscytowanie mieszało się z ciekawością, ale nie dostrzegła ani śladu lęku. Gestykulował łągodnie, w pełni kontrolując każdy ruch. Uśmiechnął się raz, tylko na mgnienie oka odsłaniając zęby, i natychmiast ściągnął wargi. „Jak fachowo”, pomyślała Jagoda, również uśmiechając się ukradkiem. Musiała przyznać z odrobiną niechęci, że ten chłopak znacznie lepiej radzi sobie ze smokami niż jej ojciec, który – mimo tylu lat spędzonych na wyspie – nadal nie wyzbył się pewnej nerwowości i rezerwy w stosunku do jej stałych mieszkańców. Kamyk zachowywał się natomiast tak naturalnie, jakby przebywał we własnym domu. Jagoda pomyślała, że musiało to być wynikiem długiego obcowania z Pożeraczem Chmur. Niespodzianie między Tkaczem Iluzji a Skrzydlatą pojawiło się małe rude smoczątko, w którym Jagoda natychmiast rozpoznała Liskę. Iluzyjne smocze dziecko wyciągnęło łebek w stronę Skrzydlatej, a gdy ta z zaciekawieniem opuściła głowę, by je powąchać, mała liznęła ją prosto w nos, a potem ostrymi ząbkami uczepliła się ucha. Jagoda zerknęła na Kamyka – siedział spokojnie, niby całkiem obojętny, ale lekkie zmrużenie oczu i drgające kąciki ust zdradzały, że chłopak doskonale się bawi. Liska tymczasem puściła ucho Skrzydlatej i przewróciła się na grzbiet, wymachując w powietrzu wszystkimi czterema łapkami. Wyglądała przy tym tak słodko, że widzowie bezwiednie rozpływali się z rozczulenia.



Smoczyca powoli formowała pojęcia, z pewnym wysiłkiem dopasowując się do sposobu myślenia Kamyka, gdzie pojawiały się przede wszystkim kolory, kształty, smaki i zapachy, a nie słowa. Chłopiec starał się utrzymać strumień myśli w jednym stałym torze, nie robiąc żadnych nagłych skoków w stronę innych skojarzeń, co wcale nie było takie proste. Po raz pierwszy chyba Kamyk

w pełni docenił lotność i giętkość umysłu Pożeracza Chmur.

„Ty mag? Jak Słony?” – spytała Skrzydlata.

„Tak, jestem magiem. Robię obrazy w powietrzu.” – Kamyk odsłonił na chwilę tatuaż, chcąc dodatkowo udowodnić swój status, ale niemal natychmiast doszedł do wniosku, że wobec smoka taka demonstracja nie ma żadnego sensu.

„Przyjaciół? Obrazy?” – zainteresowała się smoczyca.

„Przyjaciół” – potwierdził chłopiec i by ostatecznie przekonać Skrzydlatę o swych dobrych zamiarach, stworzył wizerunek Liski. Okazało się to wyjątkowo dobrym posunięciem. Iluzyjne smoczątko robiło najwspanialsze minki, jakie Kamyk podpatrzył u pierwowzoru. Podskakiwało, goniło własny ogon, drapało się za uchem, łąsiło do puchatych łap Skrzydlatej. Przyszli rodzice wpatrywali się w nie jak urzeczeni.

Skrzydlatą zwróciła na Kamyka wiśniowe oczy. Ciepła fala jej uczuć przepłynęła przez umysł chłopca, wypełniając go serdecznością i zaufaniem. A potem zapytała, z leciutkim tylko wahaniem:

„Ty chcesz dotykać moje dziecko?”

Chłopiec drgnął z zaskoczenia. Czy on chciałby dotknąć smoczego jajka? Matko Świata, nikt nie odrzuciłby takiej propozycji! Powoli ukląkł pomiędzy smoczymi łapami i ostrożnie, jakby miał do czynienia z mydlaną bańką, położył dłoń na jaju. Tak jak przypuszczał, nie przypominało w dotyku twardego ptasiego jajka. Miało fakturę źle sporządzonego papieru. Było nieco szorstkie i jakby skórzaste. Kamyk leciutko nacisnął jego powierzchnię, która poddała się odrobinę. Pod powierzchnią skorupy coś drgnęło, leciutko uderzyło o ściankę jaja od wewnątrz, a Kamyk ze wzruszeniem zdał sobie sprawę, że właśnie poczuł poruszające się smoczątko, jakby przeciągnęło się we śnie.



Jagoda zamarła ze zgrozy. Jeszcze minutę temu snuła rozważania nad fachowym zachowaniem Tkacza Iluzji, a ten właśnie robił coś, co całkowicie zburzyło jej świeże przekonanie, że ten chłopak jednak ma odrobinę rozumu. Z obrzydliwym, mdlącym uczuciem lęku zbierającym się w żołądku Jagoda zamknęła oczy, by nie patrzeć na to, co może stać się za chwilę. Kiedy kilka lat temu dziecka spodziewała się Śpiąca Na Piasku, w ataku furii zerwała kawał skóry z szyi innego smoka, który podszedł zbyt blisko jej gniazda. Jednak

ziarnka w klepsydrze Losu sypały się jedno za drugim, a dziewczyna nie słyszała wstrętnego odgłosu darcia żywego ciała ani krzyku bóleści. Ostrożnie uchyliła powieki. To obłąkane chłopaczysko trzymało smocze jajo ostrożnie w obu rękach, dotykając go ustami, jakby je całował! Jagoda wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Skrzydlata wpatrywała się w chłopca z uwagą i napięciem, podobnie jak Deszczowy Przybysz, ale smoki nie atakowały, mimo tak jawnego pogwałcenia nietykalności jajka. Kamyk, równie skupiony, poważny i uroczysty, trwał nieruchomo jak rzeźba. Dopiero ostrożne sięgnięcie do Kamykowego umysłu przyniosło wyjaśnienie, że Tkacz Iluzji bynajmniej nie c a ł u j e smoczego jaja, lecz stara się wychwycić lekkie drgania z jego wnętrza najwrażliwszym receptorem, czyli właśnie wargami.

– Ja... ja też mogę...? – zapytała Jagoda niemal bez tchu, a gdy ze strony Skrzydlatej nadeszło ciche uczucie akceptacji, powoli podpełzła na kolanach do Kamyka i z mocno bijącym sercem położyła dłoń na powierzchni skórzastego jaja. A potem, pod wpływem nagłego impulsu, przyłożyła do niego ucho. Pod skorupą coś cichutko, miarowo pukało. Jagoda z zaskoczenia szeroko i całkiem nieprofesjonalnie otworzyła usta. Słyszała bijące serce małego smoka!



Wrócili oboje nad zatokę, udając, że nic szczególnego się nie zdarzyło. Jednak to, że wkroczyli na podwórko maga ramię w ramię, nie bocząc się na siebie jak zwykle, dało Księżycowemu Kwiatowi i Słonemu do myślenia. Dorośli przywitali młodzież zdziwionymi spojrzeniami, lecz nie skomentowali tej nagłej zmiany ani słowem. Następny ranek nie przyniósł niczego nowego. Kamyk i Jagoda kręcili się w pobliżu domu. Po zejściu z lamią dotąd bezpieczny las wydał się im nagle krainą groźną i obcą. Jagoda miała niemiłe przeświadczenie, że spośród zieleni obserwują ją żółte gadzie oczy. Dopóki Deszczowy Przybysz nie przeczesze swojego terytorium, lepiej było się trzymać bezpiecznej otwartej przestrzeni nad oceanem. Wkrótce dom na palach opustoszał. Słony wywędrował gdzieś w swoich sprawach, Księżycowy Kwiat natomiast zabrała dzieci nad ujście pobliskiego strumienia, gdzie w słodko-słonej wodzie rezydowały wielkie jadalne małże. Korzystając z niespodziewanej okazji, pozostawiła pod opieką pasierbicy Tygryśka. Chłopczyk żalonym wzrokiem odprowadzał rodzeństwo, które miało świetnie się bawić, brodząc po płycznach, konkurując w zbieraniu największych sztuk, a w końcu piekąc zdobycz

w ognisku. Niestety, poprzedniego dnia stąpnał nieszczęśliwie na jeżowca. Jadowity kolec wbił mu się w stopę, która spuchła i bolała nieznośnie. Biedak nudził się niemilosiernie w samotności, choć Jagoda wyciągnęła ze skrzyneczki wszystkie jego zabawki i obstarwiła nimi hojnie braciszka. Podparty na łokciach, przestawiał swoje zwierzątka. Szeptał coś do siebie, to otwierając szeroko ciemne oczy, jakby w zdumieniu czy przestachu, to znów marszcząc cienkie brewki. Widać jednak było, że zabawa idzie mu nieskładnie. Co komu po figurkach smoków, jeleni albo lwach o wełnianych grzywach, gdy nie ma z kim się nimi bawić?

Kamyk przysiadł blisko i oglądał Tygryskowe zabawki z rosnącym zainteresowaniem. Niektóre uderzająco przypominały jego własne, spoczywające obecnie gdzieś na stryszku, o pół świata drogi stąd. Były tam tak zwyczajne chłopięce bawidełka jak konie z obtłuczonymi nogami, które wiele razy troskliwie naprawiano, pociągnięte siwą farbą osiołki, długouche króliki o wąsach zrobionych ze słomki. Ale prócz nich małeńkie rzeźby z mydlanego kamienia i kości, przedstawiające gryfy, groźne mantikory, konie morskie lub łuskowate jaszczury. Nie były to już dziecięce zabawki, lecz miniaturowe dzieła sztuki. Kamykowi wydawało się dziwne, że Słony dał je po prostu małemu chłopczykowi, zamiast postawić na półeczce i tylko cieszyć się ich posiadaniem. Cóż, zdążył się przekonać, że Mówca nie jest osobą postępującą w sposób konwencjonalny. Jednak przeważającą część zbiorów Tygryska stanowiły jego własne wytwory. Były całkiem zgrabne, jeśli brać pod uwagę to, że wyszły spod ręki pięciolatka. Tygrysek lepił je z gliny, a figurki przedstawiały głównie smoki różnych rozmiarów, uchwycone w rozmaitych pozycjach. Uszy miały pomysłowo zrobione z małych muszelek, oczka z czerwonych szklanych paciorków, a skrzydła z grubych wysuszonych liści. Młody Tkacz Iluzji uśmiechnął się, biorąc ostrożnie jedną z kukiełek. Trącił ją leciutko palcem w nos, dmuchnął w żyłkowane skrzydła i mrugnął porozumiewawczo do obserwującego go Tygryska. Ku radości i zaskoczeniu chłopczyka gliniany smoczek kichnął, potarł nos łapą i strzepnął skrzydełkami, a potem nagle zerwał się do lotu, trzepocąc się wokoło jak spłoszona ważka. A już następne smoczki zaczęły się poruszać. Machały skrzydełkami, trącały się nosami, podfruwały Tygryskowi do twarzy, błyskając szklanymi ślepkami. Wdrapywały się na podsuwane dłonie. Biły się między sobą i usiłowały kraść jedzenie ze stojącej w pobliżu miseczki. Któryś wlaźł do kubka i zamoczył się w wodzie z winem. Zachwycony Tygrysek zaśmiewał się niemal do rozpuku, cały w rumieńcach, aż Jagoda zaczęła się obawiać, czy mu gorączka nie podskoczy. Z początku

udawała, że nie interesują jej popisy Kamyka, lecz trwało to krótko. Nie mogła się oprzeć chęci dotknięcia iluzyjnego zwieraczka. Spodziewała się, że jej palce przejdą przez niego jak przez powietrze, na wylot. Tymczasem, ku jej zaskoczeniu, poczuła pod opuszką szorstką fakturę zeschniętego liścia i gładkość wypolerowanej kamyczkiem gliny. Smoczek warknął na nią i kłapnął malusieńkimi ząbkami, aż cofnęła odruchowo palec i parsknęła śmiechem. Śliczne były te iluzyjki, a i Kamyk zdawał się dobrze bawić przy ich tworzeniu. Czas mijał, chłopak ożywiał coraz to nowe zabawki, aż w końcu po macie Tygryska kręciło się kilkadziesiąt zwieraczków, i Jagoda dziwiła się, jakim cudem Kamyk potrafi opanować je wszystkie naraz. Nie wiedziała, co prawda, czy to wiele, czy mało dla maga o talencie tego rodzaju, ale przeczuwała, że nie jest to chyba takie proste.

Tygrysek począł ziewać, więc Kamyk poukładał mirażowy zwierzynek do snu, kończąc zabawę. Malec, który dopiero co zetknął się z trucizną jeżowca, męczył się łatwo. Zwinął się na swoim posłaniu, podkulając ostrożnie skaleczoną nóżkę. Nie minęło wiele czasu, a już drzemał.

Kamyk zajął się swoją ostatnią zdobyczą – motylem o skrzydłach niezwykle przypominających cztery złożone razem liście. Trudno było wypatrzeć sprytnego owada pośród tysięcy niemal identycznych liści w lesie. Chłopiec ostrożnie rozprostował mu skrzydła, włożył między dwa kawałki miękkiego papieru i schował do pudełka, gdzie spoczywały inne okazy przeznaczone dla Płowego.

Jagoda tymczasem szukała czegoś, przetrząsając kufer ojca. Czasem wyciągała jakiś przedmiot, oglądała go i chowała z powrotem, potrząsając głową z niezadowoleniem.

Kamyk odgarnął włosy, które wpadły mu do oczu. Już wiele razy myślał o tym, by poprosić Księżycowy Kwiat, aby mu je obcięła. Wciąż jednak miał coś do roboty i zapominał o swoich zamiarach albo z kolei ona była zbyt zajęta. W rezultacie niesforne kędziory opadały mu już na kark i włożyły w oczy. Słony podśmiewał się nawet z niego, że coraz bardziej jest podobny do zarośniętego barana albo do owczarka, który takie barany zagania.

W gospodarstwie mieli tylko jedno lustro, traktowane raczej bez szacunku, choć nie wykonano go z taniej polerowanej miedzi czy mosiądzu, lecz ze szkła pokrytego z tyłu warstewką srebra. Ten kosztowny przedmiot wydawał się dziwnie nie na miejscu w domu na palach, gdzie wszystkie sprzęty były bardzo proste, by nie rzec: prymitywne, a mieszkańcy nawet nie sypiali w łózkach. Kamyk przejrzał się krytycznie w lustrzanej tafli. Tak, nie wyglądało

to najlepiej. Zbyt długie loki miały niemiłe tendencje do plątania się i zaczepiania o wszystko. Wieczne wyczesywanie z nich rozmaitych wiórków i listków dawno się już Kamykowi sprzykrzyło. Najlepiej obciąć je teraz i zaraz. Oparł szklaną płytkę o stos książek na stole i zaczął rozglądać się za nożycami. Zwykle wisały na kołeczku obok miejsca, gdzie Księżycowy Kwiat przygotowywała posiłki. Cięła nimi zioła i liście, którymi przyprawiała potrawy. Teraz jednak chłopiec nie znalazł ich na zwykłym miejscu. Pewnie Kwiat wzięła je ze sobą na plażę. Po namyśle Kamyk wyciągnął z pudełka należącego do Słonego jedno z ostrzy, które magowi służyło do sekcji. Brzeszczot był ostry; jak bardzo ostry, Kamyk przekonał się niemal natychmiast, gdy, zerkając w zwierciadło, usiłował przyciąć jeden z kosmyków. Ostrze noża ześlizgnęło się dość nieszczęśliwie. Syknął i włożył do ust skaleczony palec.

Jagoda odebrała mu nóż, kręcąc głową z politowaniem. Chuchnęła na lustro i napisała na nim: *W ten sposób obetniesz sobie ucho. Ojciec cię zabije, to jest nóż chirurgiczny.*

Kamyk wzruszył ramionami.

*Nie ma nożyc. Księżycowy Kwiat je zabrała.*

Jagoda już miała zamiar napisać na lusterku zgryźliwą odpowiedź, że w majątku jej ojca znajduje się więcej niż jedna para nożyczek, lecz nagle podłoga zatrzęsała się jak wóz podskakujący na kamienistej drodze. Lustro na stole pochyliło się do przodu. Kamyk pochwycił je odruchowo, ratując przed rozbiciem na kawałki. Widział, jak Jagoda ciska nóż byle gdzie i dopada zaspanego Tygrysa, który właśnie unosił głowę z maty, nie wiedząc, co się dzieje. Porwała brata na ręce i czym prędzej wyskoczyła na otwartą przestrzeń. Kamyk poszedł w jej ślady. Wszystko się trzęsło, wibrowało w okropny, budzący mdłości sposób. Chłopiec miał wrażenie, że drga osobno każdy jego mięsień i kość – a nawet zęby. Trwało to zaledwie parę minut, a potem uspokoiło się równie nagle, jak się rozpoczęło. Jagoda opuściła na ziemię Tygrysa, który rozejrzał się, nieco zdezorientowany, a potem ziewnął rozdzierająco.

– Dlaczego jak ja chcę spać, to się góra musi obtrząsać? – zapytał z niezadowoleniem i pokuśtykał do schodków z zamiarem powrotu na posłanie.

– Czekał tu! – zgromiła go siostra, łapiąc za rękę. – Pamiętaj, co ojciec mówił. Czekać i liczyć do dwudziestu.

Tygrysek westchnął i zaczął mrużyć pod nosem:

– Raz, dwa, trzy, pięć...

Kamyk stał obok, rozglądając się niepewnie, najwyraźniej nie zdając sobie

sprawy, że nadal ściska w obu rękach lusterko.

*Co to było?* – zapytał. Oczy miał wielkie jak talerzyki.

– Trzęsienie ziemi – burknęła Jagoda, a potem dużym palcem u nogi narysowała dwa odpowiednie znaki na piasku.

Kamyk zmarszczył brwi z namysłem. A więc tak wygląda trzęsienie ziemi? Owszem, zjawisko robiło spore wrażenie, ale jako potencjalna katastrofa prezentowało się dość nędznie. Według niego trzęsieniom ziemi powinny towarzyszyć kamienne lawiny, walące się domy i padające drzewa albo głębokie szczeliny otwierające się zniecka pod stopami.

– Dwadzieścia!!! – wrzasnął Tygrysek. – Ja chcę jeść!

Wstrząs się nie powtórzył, więc Jagoda podszedła malca z powrotem na platformę i sama wspięła się za nim. Wulkan otrząsnął się zaledwie raz, niczym leniwy pies, a potem znów ułożył się do drzemki. Jediną wyrządzoną szkodą okazały się rozsypane książki i zwoje, które spadły ze stołu ojca.

*Dlaczego ziemia się tu trzęsie?* – indagował chłopak.

Jagoda podniosła z podłogi łupkową tabliczkę. Przez chwilę rozglądała się za rylcem. Znalazła go, po czym wyskrobała: Ziemia się trzęsie, bo wulkan oddycha.

Wstęga iluzyjnego pisma znów rozwinęła się w powietrzu.

*I zawsze tak jest? Nie będzie nic więcej?*

Jagoda przewróciła oczami.

*Mało ci? Ciesz się, że tylko tyle. Jak po pierwszym wstrząsie nadchodzi drugi, to potem na pewno nastąpi trzeci, a wtedy wszystko się wali i padają drzewa.*

*A skąd wiadomo, kiedy będzie się trzęsło?*

Najwyraźniej rodzeństwo Jagody nie miało wyłączności na głupie pytania.

*Tego się nie da przewidzieć. Trzeba wyjść na otwartą przestrzeń i przeczekać.*

*A jak jest się w lesie?*

*Wtedy można się jeszcze modlić* – napisała i w geście desperacji zakryła oczy dłonią. A wtedy usłyszała, że Kamyk się śmieje tym swoistym, gardłowym, jakby „matowym” chichotem.

Musieli pozbierać książki i notatki, leżące w nieładzie na podłodze. Kamyk podniósł ciężki tom oprawny w wytłaczaną skórę, a wtedy spomiędzy kart wysunął się obrazek – kawałek cieniutkiej deseczki, na którym namalowano portrecik kobiety. Dostrzegł coś znajomego w tej twarzy: kształt oczu i zarys kości policzkowych. Sposób trzymania głowy i bystre spojrzenie. Choć włosy



kobiety miały kolor ciepłego ciemnego brązu, podobnie jak oczy, Kamyk nie miał wątpliwości, że patrzy na bliską krewną Jagody. Podał znalezisko dziewczynie. Wzięła je z wahaniem, a potem patrzyła długo na wizerunek, zmarszczywszy brwi.

*Kto to jest? Twoja matka?* – spytał, zdając sobie sprawę, że ryzykuje kruche, dopiero co zawiązane przymierze. Dziewczyna całkiem słusznie mogła zarzucić mu wścibstwo i kazać pilnować swoich spraw. Kiwnęła tylko głową twierdząco.



Jagoda dokładnie pamiętała moment, w którym odkryła samą siebie, choć od tamtego dnia minęły całe lata. Był to jednocześnie dzień, kiedy dowiedziała się, że ma matkę. Spojrzała znowu na miniaturę. To dziwne, niedobre wspomnienie tkwiło w jej pamięci jak perła w ciele małża – obrosnięte tkanką czasu, już niebolesne, ale wciąż obecne.

Musiała mieć wtedy nie więcej niż trzy lata, gdyż wszystko wydawało się takie duże. Klamki, do których nie umiała dosięgnąć, stopnie tak wysokie, że musiała wspinać się po nich jak pies, na czworakach, gdyż inaczej traciła równowagę. Krzesła, fotele, ławy – wszystko tak duże, wysokie, straszące swymi nienaturalnymi rozmiarami, jakby znajdowała się w kraju zamieszkanym przez olbrzymy. Mała Jagoda niezmiennie zadawała sobie pytania: „co to?” oraz „co tam jest?”. Ktoś musiał się nią wtedy opiekować. Z pewnością miała niańkę, choć nie pamiętała tego. I musiała być to niańka niedbała, skoro pozostawiała dziewczynce tyle swobody, by mała mogła bez przeszkód krążyć po domu.

Raz zwabił ją duży, lśniący przedmiot. Kusił jaskrawym migotaniem, kiedy głąskały go promienie słońca. Jagoda w niepohamowanej ciekawości wdrapała się wpierw na miękkie taboret, a z niego na marmurowy blat, rozgarniając bezceremonialnie kolanami dziesiątki naczynek, puzderek i rozmaitych przyborów. Błyszcząca rzecz okazała się oknem. Oknem, za którym siedziało inne dziecko. Miało białą skórę, białe włosy, otaczające głowę miękką, nastroszoną aureolą, i oczy różowoczerwone jak wnętrze rozkrojonego melona. Jagoda spojrzała na swoje ręce – były tak samo jasne. Dziewczynka w oknie miała też taką samą niebieską sukienkę. Ludzie mieli ciemne włosy, ciemne oczy, a ich skóra zwykle była jasnobrażowa. Wyglądali zwyczajnie, podobnie do siebie i nudno... Jagoda tym bardziej czuła podekscytowanie, że znalazła kogoś, kto miał powierzchowność bardziej interesującą. Wyciągnęła ręce (tamta

dziewczynka zrobiła to samo) – dwie pary małych dłoni zetknęły się. Twarda powierzchnia, chłód szkła.

– Chodź tu – zażądała Jagoda. – Chodź tu do mnie!

Białowłose dziecko poruszyło ustami, ale dziewczynka nie słyszała go. Jagoda bez namysłu oburącz podniosła ciężki flakon i uderzyła nim w dzielącą je szybę. Pękła z trzaskiem, a obce dziecko rozmnożyło się nagle w całą gromadę dziewczynek. Nim Jagoda zdążyła zastanowić się nad tym przedziwnym zjawiskiem, w rozbitym „oknie” pojawiła się twarz kobiety – równie zwielokrotniona, z ustami otwartymi w drapieżnym krzyku. Ktoś szarpnął dziewczynkę za włosy, aż upadła do tyłu. Wrzasnęła ze strachu i bólu, po czym stoczyła się z wysokiego mebla na miękki puf, a z niego na podłogę. Kobieta szarpała ją wciąż za włosy, z furią wykrzykując coś, z czego dziewczynka rozumiała tylko tyle, że zrobiła coś złego i będzie ukarana.

Potem znów krzyki, kłótnia. Kobieta puściła ją, a Jagoda zwinęła się w kłębek, zasłaniając oczy rękami. Męski głos wykrzykiwał złe, gniewne słowa, których wtedy tylko się bała i nie rozumiała ich. Długi czas potem miały do niej wracać jak echo, całymi latami: „Suka jest lepszą matką niż ty!”.

Już nigdy potem nie widywała „pani”, nawet z daleka. Dzień, w którym trzyletnia Jagoda zobaczyła samą siebie i rozbiła lustro, był jednocześnie ostatnim dniem pobytu Pięknej z rodu Samin’e w domu jej męża – Słonego Tihiro-ena. Dziwne, że ojciec przechowywał ten portret. Tylko po co? Jagoda wiedziała, że zaaranżowane małżeństwo jej ojca uchodziło za jedną wielką katastrofę. Połączeni dla większej chwały swych rodów, Słony i Piękna, darzyli się serdeczną nienawiścią ludzi zniewolonych. Z przypadkowych wiadomości, zbieranych całymi latami (ojciec nie był zbyt skłonny do zwierzeń) poskładała w miarę jasny obraz przeszłości. Jagoda zdobyła pewność, że jej narodziny tylko zaostrzyły konflikt. Nie była chłopcem – godnym dziedzicem nazwiska i majątku, ani ładną dziewczynką, zdatną do korzystnego mariażu z innym wysokim rodem. Nestor rodu Tihiro-ena przemyślał nad powtórny ożenkiem pierworodnego, podczas gdy Słony, korzystając z ochrony praw Kręgu, wyslizgiwał się, jak mógł, z twardej garści swego ojca. Jednak zanim ten wykonał jakiś znaczący ruch, jego następca i dziedzic, podczas podróży na wybrzeże Morza Syren, zakochał się w zwykłej, niepiśmiennej rybaczce i pojął ją za żonę w świątyni Morskiego Pana. Jagodzie nie zbywało na inteligencji i na podstawie lektury paru książek ze zbioru ojca wywnioskowała, że posiadanie kochanki dla pana możnego rodu nie byłoby żadną ujmą, wzięcie za żonę kobiety z gminu stało się natomiast niesłychanym

skandalem. Słony utracił tytuł i prawa do majątku na rzecz młodszego brata, ale na ile była to wina jego lekkomyślności, a na ile kwestia spółżenia „złego” dziecka, Jagoda nie miała żadnej pewności.

„Nie chcę cię pamiętać”, pomyślała, patrząc na portret matki. Piękna spoglądała z niego z uroczym, a jednocześnie drwiącym uśmiechem, kokieteryjnie przechylając głowę. Do tej pory była dla Jagody jedynie plamą kolorowej sukni lub twarzą potwora, szczerzącego zęby z potraskanego zwierciadła. Teraz zyskała nową twarz, ale równie nieprawdziwą jak poprzednia.

„Kłamstwo, wszystko kłamstwo...”, pomyślała Jagoda. Jeżeli kogokolwiek mogła nazywać matką, to chyba tylko Księżycowy Kwiat, która traktowała ją jak własne dziecko.



Kamyk obserwował zadumaną dziewczynę, myśląc jednocześnie, że Jagoda ma szczęście, skoro został jej po matce chociaż ten mały portrecik. Jego wspomnienie o matce, chociaż troskliwie pielęgnowane, przez lata zacierało się coraz bardziej i teraz już prawie nie pamiętał jej twarzy. Zajrzał Jagodzie przez ramię. Portret miał dookoła jaśniejszą obwódkę. Widocznie kiedyś oprawiony był w ramkę. Uwieczniona na nim kobieta miała na sobie wytworną suknię i całą masę klejnotów. Nawet przymarszczany gors sukni ozdobiono gęsto perełkami, podobnie jak siatkę na włosach. Ta dama wyglądała na kogoś, kto dysponował sporym majątkiem. I kompletnie nie przystawała do Kamykowych wyobrażeń o małżonkach magów. A już zwłaszcza do jego poglądu o tym, jaka kobieta pasowałaby do dziwaka i bałaganiarza takiego jak Słony.

*Dawno umarła?* – to wyrwało mu się zupełnie niechcący. Jagoda popatrzyła na niego ze zdumieniem. Pogardliwie wrzuciła obrazek do kufra i zatrzasnęła wieko. Jej twarz wykrzywiła się, jakby na wspomnienie doznanej krzywdy, ale w oczach pojawił się buntowniczy blask. Zaczęła na nowo pisać, bazgrząc z pasją kolejne znaki.

*Naiwny jesteś. Wcale nie umarła. Odeszła, bo ona i mój ojciec nie mogli ze sobą wytrzymać.*

Kamyk uniósł brwi w niemym zdumieniu. Na uładzonej i tradycjonalistycznej Północy związki kończyła dopiero śmierć jednego z małżonków, ewentualnie udowodniona niemożność posiadania dzieci, a i

to nie zawsze. Niezgodność charakterów stanowiła powód zbyt błahy. Nadal jednak nie wyjaśniało to bogactwa stroju byłej żony Słonego ani obecności w jego domu kosztownego szklanego zwierciadła w srebrnej ramie.

*Czy Słony jest bogaty?*

To pytanie sprawiło, że Jagoda wzruszyła ramionami.

*A co to znaczy bogaty?*

To z kolei zakłopotало Kamyka. Bogactwo jest pojęciem względnym. On sam nie uważał się za biednego, chociaż pewnie dla kogoś pokroju zaradniałego szczeniaka spotkanego w Zamku był nędzarzem, natomiast żebrak z zaułków Lenenji najprawdopodobniej myślałby o nim jako o człowieku dość majątnym.

*Nie wiem, czy jesteśmy bogaci – napisała tymczasem Jagoda. – Kiedyś tata chyba był bardzo bogaty. Ale teraz wcale o to nie dba. I ja też.*

Kamyk skinął głową. Prawda, na Smoczym Archipelagu kwestia bogactwa czy ubóstwa to ostatnie rzeczy, jakimi należało sobie zawracać głowę.

*Mój ojciec miał warsztat rymarski – robił torby, pasy, uprząże dla koni i siodła. Matka zajmowała się domem. Nawet nie jestem pewien, czy umieli się podpisać – wypisał starannie w powietrzu. – Nie jestem „urodzony” i wcale mi tego nie brak.*

Jagoda zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, kpiąco mrużąc oczy. Poślinionym palcem wytarła ostatnie linie na zapisanej gęsto tabliczce.

*Nie wyglądasz na wieśniaka – stwierdziła.*

*Ani ty na księżniczkę – odparł natychmiast chłopak.*

Nie chciał być złośliwy, co Jagoda doskonale wyczuła.

*Księżniczka wie, gdzie leżą nożyczki. Może złamać święte zasady i obciąć włosy synowi chłopca.*

Założył ręce za plecy i ukłonił się bardzo nisko, szczerząc zęby w uśmiechu.

*To dla mnie prawdziwy zaszczyt, o pani.*



Jagoda umiała posługiwać się nożyczkami. W rodzinie obdarowanej pięciorgiem malców, którym wciąż trzeba było podcinać wchodzące do oczu grzywki, nie wspominając już o przystrzyganiu brody ich ojca, taka umiejętność przychodziła sama. Kamyk miał włosy tego samego gatunku co Słony: niesforne, kręte, rosnące we wszystkich możliwych kierunkach. Jagoda usiłowała za pomocą

grzebień zaprowadzić w nich jaki taki porządek. Kamyk spokojnie poddawał się torturze czesania. Jagoda zanurzała palce w burzy sprężystych loków, wybierając kolejne kosmyki i przycinając je w miarę równo. Na ziemi przybywało obciętych loków.

Niestety, właśnie wtedy musiał zjawić się tymczasowo zlekceważony smoczy adorator Jagody. Wystarczyło jedno spojrzenie na Pożeracza Chmur, by zrozumiała, że popełniła duży błąd.

Zdefiniować emocje Pożeracza Chmur jako wściekłość to byłoby jeszcze dość łagodne określenie. Jego napięte mięśnie i ścięgna rysowały się pod skórą na podobieństwo grubych węzłów. Uniósł wargę, obnażając zęby w złowrogim grymasie. W oczach miał czerwone iskry szaleństwa. Przypominał dzikie zwierzę, które za chwilę zaatakuje. Zresztą... czyż nie był właściwie zwierzęciem?

– Pożeracz... – odezwała się Jagoda drżącym głosem. – Pożeracz, uspokój się. Co ty robisz...?

W odpowiedzi usłyszała tylko głuchy warkot. Smok przyjął cudaczną pozę, wyginając szyję i otwierając usta na szokującą szerokość. Jego zęby wysuwały się z dziąseł – coraz dłuższe i ostrzejsze. Palce zagiął niczym szpony. Wydobył z siebie wściekły ryk, przeradzający się w syczenie. Popatrzył jej prosto w twarz, potem oczy smoka wolno skierowały się na Kamyka. Jagoda kurczowo zaciskała w dłoni nożyce. Żadnych wyraźnych znaków, żadnych obrazów tylko czysty gniew, wściekłość, żądza krwi, obietnica strasznych cierpień. Czy to naprawdę był ten miły puszysty olbrzym, a potem inteligentny i dowcipny młodzieniec? Kto... C o stało przed nimi?

Z krańcowym przerażeniem Jagoda ujrzała, jak Kamyk podnosi się z maty. Zdjął powolnymi ruchami koszulę i zstąpił na piasek podwórza, które za chwilę miało stać się areną, gdzie miała połać się krew.

– Nie, Kamyk... Pożeracz, nie wariuj, to bezsens... przestańcie... – wyjęczała Jagoda, łapiąc spazmatycznie oddech. W uszach jej szumiało, osunęła się bezsilnie na matę. „Matko, on go zabije”, przemknęło jej przez myśl. Całą siłą woli powstrzymywała się przed zamknięciem oczu. Zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet Kamyk próbował się wycofać, robić gesty poddania, nie odniosłoby to skutku. Mentalne przesłanie Pożeracza Chmur nie pozostawiało wątpliwości: wyzywał rywala na pojedynek. To nie były zawody zapaśnicze ani zwykła zaczepka, którą można by zlekceważyć. Kamyk nie miał żadnego wyboru.

Pożeracz Chmur skoczył bez ostrzeżenia. Kamyk zdołał zrobić unik.

Pożeracz padł na ziemię, przetoczył się, znów zerwał na nogi, giętki i szybki jak kot, po czym natychmiast znów zaatakował. Kamyk uderzył go głową w piersi, aż przewrócili się obaj, spleceni ramionami.

Jagoda przemogła bezwład, zaczerpnęła tchu i wrzasnęła na całe gardło:

– TATO!!! TAAATOOOO!!!



Kiedy Kamyk i Pożeracz Chmur jeszcze walczyli dla zabawy, chłopak nie mógł przypuszczać, że kiedyś znajdzie się w podobnej sytuacji – tym razem boleśnie na serio. Smok nie hamował swej siły i Kamyk miał wrażenie, że za chwilę żebra popękają mu jak spróchniałe gałązki. Pożeracz przeorał mu plecy paznokciami – zapiekło straszliwie – a w chwilę później wbił zęby w bark. Kamyk wyrwał się z trudem, czując, że traci skrawek skóry. Zdołał uderzyć kantem dłoni w krtani przeciwnika. Gdyby Pożeracz Chmur był człowiekiem, w tym momencie walka byłaby już rozstrzygnięta. Tymczasem zaczerpnął tylko konwulsyjnie powietrza, kłapnął długimi zębami, które zacisnęły się błyskawicznie na Kamykowym kciuku, miażdżąc mięśnie i ścięgna jak żelaznymi cęgami. Poprzez okropny ból na chłopca spłynęło olśnienie. Pożeracz instynktownie walczył jak smok – chcąc używać pazurów i kłów, których akurat nie miał. Nie pamiętał o tym, że ludzie uderzają pięściami, łamią kończyny i druzgocą żebra. Jego ludzkie paznokcie, choć ostre, nie mogły rozerwać Kamykowi gardła – zostawiły tylko płytkie zadrapania. Kamyk złapał Pożeracza Chmur za przegub wolną ręką, z rozpaczliwą siłą prostując łokieć. Czuł, że jeszcze chwila, a straci palec. Rzutem ciała wziął przeciwnika pod siebie. Pożeracz puścił jego rękę, za to zagroził zębami twarzy. Dopiero uderzenie czołem prosto w zęby przeciwnika ocaliło chłopca przed odgryzieniem nosa. Smok targnął głową, chroniąc instynktownie oczy przed drapieźnie zagiętymi palcami Kamyka. Zmienił nieznacznie pozycję, co Kamyk natychmiast wykorzystał, z całych sił waląc go w brzuch. Popełnił błąd. Smok bez widocznej szkody wywinął się i uwolnił rękę. Tarzali się po ziemi, raz jeden, raz drugi na górze. Kamyk w duchu dziękował Losowi, że Pożeracz Chmur nie próbuje zapaśniczych sztuczek, których kiedyś chłopiec sam go uczył. Smok nawet w ludzkiej postaci dysponował taką siłą, że zwykły blok mógł być równoznaczny z wyrwaniem ramienia ze stawu. W końcu zdołał przewrócić Kamyka na brzuch i chwycił za włosy. Teraz wystarczyłby chwyt za szczękę

i odpowiednio silne szarpnięcie, by świat opuścił jeden Tkacz Iluzji ze skręconym karkiem. Kamyk przymknął oczy, odruchowo wciskając głowę w ramiona i czując, jak w żołądku formuje mu się lodowata bryła pierwotnego strachu. Zęby Pożeracza Chmur zacisnęły się na jego karku z siłą kowalskich cęgów. Ludzkie zęby są zbyt tępe i krótkie, by stanowić śmiertelną broń, lecz sama siła szczęk Pożeracza wystarczyła, by przed oczami chłopca zaczęły wirować żółte płatki. Szamotał się słabo, odruchowo macając wokoło rękami, na oślep szukając jakiegokolwiek broni. W oczach mu ciemniało, w każdej chwili oczekiwał, że zaczną mu pękać kręgi. Jego dłoń wyciągnięta do tyłu natrafiła na kolano przygniatającego go Pożeracza Chmur. Kamyk na oślep przesunął dłoń wzdłuż jego uda, sięgnął najdalej, jak mógł, i z rozpaczliwą siłą zacisnął palce.

Smoczy wrzask bólu zagłuszył histeryczne krzyki Jagody, która wciąż wzywała na pomoc ojca.

Zęby Pożeracza Chmur puściły. Zgięty w pół, borykał się z okropnym bólem. Ostatkiem sił Kamyk chwycił go za włosy i wpił się zębami w jego szyję. Zaciskał szczęki z całą siłą, na jaką było go jeszcze stać. Niespodzianie burzliwy ocean Pożeraczowej nienawiści skurczył się do rozmiarów nędznego bajorka, a z groźnej bestii wyłazł zalękniony szczeniak, korzący się przed zwycięzcą.

„Oddaję! Oddaję!” – przekazywał żałośnie raz po raz, rozplaszczając się na ziemi.

Kamyk nie miał ani siły, ani ochoty, by zastanawiać się, co może oznaczać owo „oddaję”. Co mu oddawał smok? Zwycięstwo? Honor? Z wysiłkiem rozwarł zaciśnięte kurczowo szczęki, czując na języku smak krwi – swojej czy cudzej? Nie wiedział.

Spokorniały Pożeracz wycofał się kawałek na czworakach, po czym umknął, nie oglądając się za siebie. Para rąk niespodzianie objęła chłopca, aż wzdrygnął się, zaskoczony. To Słony, z malującym się na twarzy niepokojem, usiłował go podnieść i zaprowadzić do domu.

„Za późno przyszedłem, inaczej przerwałbym to szaleństwo. Na miłosierdzie Losu! Niemal obdarł cię ze skóry.”

Rzeczywiście, Kamyk czuł dopiero teraz, że plecy pieką go nieznośnie, a po skórze spływają strużki krwi. Nade wszystko jednak bolał go nadwreżony kark, kręciło mu się w głowie i świat zdawał się chwiać w posadach.



Jagoda chlipała, maczając w misce z gorącą wodą szmatki, którymi Słony przemywał skaleczenia Kamyka. Na szczęście Pożeracz Chmur nie zdążył przekształcić paznokci w solidne smocze szpony, gdyż teraz zapewne zbieraliby raczej drewno na stos pogrzebowy. I tak jednak paznokcie miał ostre jak kawałki muszli – zostawiły długie krwawe rysy na plecach, szyi i ramionach chłopca. Kamyk krzywił się i zaciskał kurczowo zęby, ale siedział spokojnie, cierpliwie znosząc zabiegi Słonego. Wystraszony, blady Tygrysek obserwował poczynania ojca, tuląc do siebie szmacianą zabawkę.

– To moja wina – jęknęła cicho Jagoda, ocierając nos wierzchem dłoni.

Słony zerknął na nią ze zdumieniem i niepokojem.

– Cóż znowu nabroiłaś?! Jak to „twoja wina”?!

– Obcinałam mu włosy, Ka-mykowi... cze-czesa-łam go... – wyjąkała, znów wybuchając płaczem. – Po-pożeracz to zobaczył... pomyślał, że... że ja...

Nie dokończyła. Słony opuścił na moment ramiona i westchnął głęboko.

– Na miłosierną Boginię... – wymamrotał. – Uspokój się, dziewczyno. Zrobiłaś to rozmyślnie?

– Nie...

– A czy przedtem dotykałaś Pożeracza? Głaskałaś go?

Jagoda przytaknęła, wyginając znów usta w podkówkę. Słony potrząsnął głową. Pułapka, w którą wpadła Jagoda, niechcący wciągając w nią także Tkacza Iluzji, była dziwaczna, lecz dość oczywista, jeśli brało się pod uwagę smocze obyczaje. Zaawansowane zaloty smoków polegały w dużej mierze na wzajemnym lizaniu i porządkowaniu sierści. Człowiekowi trudno było się powstrzymać przed głaskaniem pięknego smoczego futra, lecz dorosłe smoki zdawały się rozumieć, że ludzie nie proponują im w ten sposób miłosnych zbliżeń. Co innego jednak, jeśli takimi pieszczotami obdarzało się smarkatego i nieobytego osiemdziesięciolatka, który potem widzi obiekt swoich westchnień iskający konkurenta! W takiej sytuacji brały górę odwieczne instynkty.

– Nie mogłaś przewidzieć, że Pożeracz Chmur przyjdzie akurat teraz – powiedział mag, chcąc pocieszyć córkę.

– Powinam to przewidzieć! – zawołała z gniewem. – Jestem Obserwatorką! Powinam go wyczuć z daleka!

Słony uśmiechnął się lekko, odwracając twarz. Zaczynała się złość, co oznaczało, że wraca do równowagi.





*Jestem prawdopodobnie pierwszym i jedynym człowiekiem, który walczył wręcz ze smokiem, a do tego wygrał. Cały kłopot polega na tym, że Pożeracz Chmur dorasta. Natury nie da się oszukać. Smok zawsze pozostanie smokiem, choćby nie wiem, jak bardzo przypominał miłego, wygadanego i bardzo inteligentnego chłopca. Oto nadszedł czas, by młody smok poszukał sobie partnerki i własnego terytorium. Zupełnie przypadkowo stałem się jego rywalem. Stanąłem do pojedynku, nie mając właściwie żadnego wyboru, i nawet nie wiedząc, o co się toczy i niestety, wyszło na to, że wygrałem samicę. Matko Świata! Samicę, czyli Jagodę! Teraz myślę, że dobrze się stało, bo kto wie, do czego by doszło, gdyby ten ludzko-smoczy romans trwał dalej.*

*Teraz właśnie pomyślałem, że to zdarzenie może wydać się niewiarygodne. Ktoś, kto być może po latach weźmie do ręki moją kronikę, mógłby nazwać mnie oszustem i pyszałkiem. Przysięgam, że wszystko, co tu piszę, jest czystą prawdą. Rzeczywiście biłem się ze smokiem i zwyciężyłem. Oczywiście okaleczyłby mnie albo nawet zabił, gdybym nie uciekł się do brzydkiej sztuczki. Najwrażliwszą częścią ciała każdego stworzenia płci męskiej są jądra. Tak, to było niehonorowe. Przyznaję, że można to nawet nazwać czynem ohydny, ale co z tego, skoro w ten sposób ocalałem własne życie?*

*W dzieciństwie nie darzono mnie szczególną sympatią. Jak na maga Płowy żył bardzo skromnie, lecz i tak zawsze chodziłem nieco lepiej ubrany niż reszta wiejskiej dzieciarni i chyba też jadaliśmy lepiej, choć tego akurat nie jestem pewien. Nie pracowałem nigdy w polu ani na pastwiskach, w przeciwieństwie do innych chłopców. Nic dziwnego, że dzieci zazdrościły mi swobody, zabawek i książek, nie mając pojęcia, że pracuję nawet ciężiej niż inni – głową. Chętnie bawiłbym się z innymi i dzielił się z nimi zabawkami, ale nie dano mi takiej szansy. Wystarczył jeden złośliwy, obdarzony autorytetem chłopiec, żeby pociągnąć za sobą resztę i skutecznie zatruć mi życie. W ten sposób zdobyłem umiejętności całkiem inne niż współzycie w gromadzie. Jako dzieciak byłem drobnej budowy, chudy i zwinny jak łasica. Bardzo szybko doszedłem do wniosku, że walka według uczciwych zasad nie popłaca. Szybko nauczyłem się, że trzeba gryźć, drapać po oczach, bić poniżej pasa, kopać leżącego... po prostu robić wszystko, co – chociaż niehonorowe – pozwalało zdobyć przewagę nad masywniejszym przeciwnikiem. Zdołałem niesławną reputację małego, wrednego szczura. Rzadko wygrywałem, ale mogę zapewnić, że moi przeciwnicy równie rzadko wracali do domu w lepszym stanie ode mnie. Płowy wciąż musiał tamować mi krwotoki z nosa, opatrywać sińce i zadrapania, biadając przy tym, że marnuję wszelkie szanse zaprzyjaźnienia się z kimkolwiek.*

*Cóż, nie pamiętam, abym kiedykolwiek miał jakieś możliwości na przyjaźń z takim Rozgwarem albo Sokolnikiem. Jeśli do mnie podchodzili, mogłem być pewny, że chcą mi zabrać cukierki albo z nudów wytłuc mnie po głowie. Kiedy podrosłem, przestałem się bić, a za to zacząłem wykorzystywać talent i kryć się przed prześladowcami. Zwyczajnie chciałem mieć spokój i pewność, że mogę iść z książką na łąki i nikt złośliwie mi jej nie zniszczy. Jednak przedtem stoczyłem mnóstwo bitew, a doświadczenia z lat chłopięcych sprawiły, że umiem się bić i to naprawdę skutecznie. Tak więc ty, który czytasz te słowa, nie dziw się, że złołem skórę smokowi.*

*Moje obrażenia są na szczęście powierzchowne, niemniej bolesne. To, co w pierwszej chwili wyglądało na okropne rany, okazało się po prostu rozległymi zadrapaniami. Paznokcie Pożeracza Chmur są ostre jak, nie przymierzając, kawałki szkła. Znacznie gorzej ma się mój kark – nadal jest sztywny i obolały. Słony twierdzi, że smok nadwerżył mi jakieś ścięgno. Nie mogę poruszać głową, odwracam się całym ciałem i nawet teraz, pisząc, nie jestem w stanie pochylić się swobodnie nad kartką. Kiedy jednak pomyślę, że mój przyjaciel mógł mi z łatwością skrócić kark, dziękuję opiekuńczym bóstwom. Wygląda na to, że to straszliwe starcie ze smokiem stosunkowo niewiele mnie kosztowało.*

*Słony poniewczasie wyrzuca sobie, że pozwolił Jagodzie na tę niebezpieczną znajomość. Zastanawiam się, w jaki sposób tak mądry człowiek może być jednocześnie tak ślepy. Mnie te umizgi Pożeracza od początku wydawały się nienaturalne i niewłaściwe. Ale on po prostu pragnął dla córki przyjaciela, rówieśnika, kogoś, z kim mogłaby się przyjaźnić. Uważam, że w tym wypadku powinien jej znaleźć smoczycę. To byłaby zdecydowanie bezpieczniejsza opcja.*

*Widzę, że Jagoda więcej rozmawia teraz z ojcem i Księżycowym Kwiatem. Czasem się obejmują, a Jagoda w potężnych ramionach Słonego wygląda jak wiotka laleczka z trawy. Pewnie dużo sobie wyjaśnili. Jagoda zresztą i mnie traktuje całkiem przyjaźnie, chociaż nadal miewa napady złego humoru. Na pewno nie od razu stanie się słodką dziewczeczką ani wzorem kochającej córki, a Słony popełni jeszcze niejedną błąd, bo wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Jednak jest lepiej, przynajmniej jeśli chodzi o terytorium Słonego, bo z Pożeraczem Chmur od tamtej pory się nie widziałem.*



*Kamyk nie narzekał na brak zajęć. Opisywał życie na wyspie. Słony, jakby*

zawstydzony tym, że przedtem mało czasu poświęcał swemu gościowi, wyciągał go teraz dość często na mentalne pogawędki i wspólne spacery, do których dołączała też Jagoda. Dodatkowego zajęcia dostarczyli mu Żywe Srebro, Błyskawica i Tygrysek. Dzieci Mówcy paplały swobodnie w trzech językach: po lengorchiańsku, w smoczym dialekcie i prymitywnym narzeczu wydrzaków, a teraz z kolei zaczęły domagać się, by Kamyk uczył ich mowy rąk, co odbywało się w atmosferze zabawy, wśród wybuchów śmiechu i kolorowych miraży. Z pewnym zaskoczeniem dla samego siebie Kamyk zrozumiał, że także jego bawią te lekcje z malcami i nawet oczekuje ich tak samo jak oni. Poza tym wszyscy razem, włączając w to Jagodę, grali w żabki – grę, do której w Pagórkach używało się pestek moreli, a tu płaskich kamieni zbieranych na plaży. Poza tym robili zwierzątka, łącząc rozmaite owoce za pomocą patyczków, a potem oczywiście je zjadali.

Mimo tak wielu ciekawych zajęć nieobecność Pożeracza Chmur Kamyk odczuwał jako pustkę, coś w rodzaju dziury po wyrwanym zębie, którą maca się językiem, mając wrażenie utraty integralnej części ciała. Były chwile, że uświadamiał sobie ten brak tak silnie, że było to niemalże fizycznie bolesne. Przeżycia Jagody musiały być podobne, gdyż od czasu do czasu widział, jak wpatruje się w wylot ścieżki prowadzącej w głąb lasu, skąd zwykle nadchodził Pożeracz. I chociaż teraz oboje odnosili się do siebie życzliwie, zamiana jednej przyjaźni na drugą martwiła zarówno Kamyka, jak i Jagodę. Wizyta Deszczowego Przybysza, który przyniósł odnaleziony w puszczy nóż Kamyka, i zawiadomił o przepędzeniu lamii w dalsze rejony wyspy, przyniosła tymczasowe pocieszenie, ale potem jego myśli znów zaczęły powracać do Pożeracza Chmur. Deszczowy Przybysz wiedział tylko tyle, że młody smok nie przebywa z rodziną. Co porabiał teraz? Włóczył się po wyspie? Polował? A może wyniósł się w ogóle z Jaszczura, szukając szczęścia na innej wyspie Smoczego Archipelagu?

Dni mijały jeden za drugim. Rany Kamyka zagoiły się, pozostawiając po sobie jedynie jasne kreski nieopalonej skóry. Uspokojeni przez Deszczowego Przybysza, znów zaczęli zapuszczać się z Jagodą w głąb wyspy, a dziewczyna zapoznawała swego towarzysza ze zwierzęcymi ścieżkami, pokazywała jadalne rośliny i uczyła, jak korzystać ze wszelkich bogactw lasu. Czasem jednak chłopak zapuszczał się samotnie w głąb dusznej zieleni i właśnie podczas takiej włóczęgi – nieco bez celu – trafił do starych ruin na Jaszczurze. Wspominał o nich Słony i chłopiec już dawno chciał je zobaczyć, lecz dopiero teraz nogi przyniosły go w ten odległy rejon wyspy. To miejsce w pewien sposób

przypominało terytorium Szaleńca, choć już na pierwszy rzut oka można było poznać jego dawną zasobność i urodę. Na kruszących się powoli kamiennych ścianach nadal zachowały się całkiem pokaźne fragmenty płaskorzeźb i resztki mozaik. Przy domach nadal znajdowały się przeorane korzeniami drzew tarasy i wyschnięte sadzawki – teraz wypełnione błotem i gnijącym listowiem. Częściowo pozapadane portale często zdobione były kwiatowymi wzorami. Tu i ówdzie zachowały się uszkodzone rzeźby, przedstawiające skośnookich wojowników i kobiety o obnażonych piersiach, półludzkie bestie różnych rodzajów, wśród których Kamyk dostrzegł także lamie. Wszędzie wiły się festony pnączy, lecz Kamyk zauważył, że w opuszczonej architekturze zadziwiająco często powtarza się motyw węża w rozmaitych odmianach. Obłęcielska gadów oplatały podstawy kolumn, zdobiły wydeptane progi. Rozwarte paszcze żmij stanowiły wyloty rynien lub zakończenia wytartych balustrad. Widmowe miasto pochłaniała dżungla. Płyty chodników rozepchnęły korzenie. W spoinach i pęknięciach murów wyrastała trawa i chwasty. Widać jednak, że ktoś dbał trochę o ten teren. Kamyk dostrzegł ślady wycinania wszędobylskich lian. Tajemnicza ręka nie pozwalała zakorzeniać się młodym drzewkom. Usunęła również zwalone konary, których pełno było tuż za granicami zabudowy. Oczarowany chłopiec wędrował po królestwie zapomnianej świetności. Z murów emanowała melancholia. Wśród gruzów znalazły schronienie jaszczurki, zwinnie umykające mu spod stóp, w załomach wiły gniazda ptaki, ale tu i ówdzie przemykali także mniej przyjemni mieszkańcy w rodzaju ogromnych włośchatych pajaków i skorpionów. Na szczęście, wbrew utartym opiniom, nie szukały zwady i wycofywały się szybko, gdy tylko wyczuwały, że zbliża się ktoś większy od nich.

Zafrapowany Kamyk obiecywał sobie w duchu, że wróci tu z przyborami do rysowania, by zrobić podobizny lepiej zachowanych rzeźb. A wówczas po raz kolejny przyszło niechciane wspomnienie Pożeracza Chmur, mącąc radość odkrywcy. Kamyk westchnął z goryczą. Pożeracz lubił rysować i zrobiłby tu doskonałe szkice. Chłopiec powłókł się dalej, czując w gardle mdły posmak uczucia straty.

I wtedy, całkiem jakby jakieś psotne bóstewko postanowiło zakpić sobie z niego, Kamyk ujrzał parę bosych stóp wystających zza jakiegoś fragmentu wiekowej architektury. Nóg aż nazbyt znajomych. Pożeracz Chmur leżał na spłachetku piasku nawianego na zrujnowany taras. Spoczywał w swobodnej pozycji na boku, z ramieniem pod głową. Na jego udzie przycupnęła jaszczurka, chłonąc równocześnie ciepło słońca i cudzej skóry. Pożeracz leżał całkiem

nieruchomo i Kamykowi przez chwilę wydawało się, że śpi, ale oczy smoka były otwarte. Jego palce wolniutko, leniwie przesypywały piasek. Przypominał jeszcze jedną statwę – tym razem ze starego, pociemniałego mosiądzu, na którym ktoś położył figurynkę zwierzątka z zielonego nefrytu.

Kamyk powoli podszedł bliżej, nie spuszczać wzroku z leżącej postaci. Serce waliło mu jak młotem. Pożeracz Chmur rzucił mu spojrzenie spode łba i uniósł wargę do góry, prezentując zęby w niechętnym grymasie. Kamyk usiadł, krzyżując nogi, z mocnym postanowieniem zachowania spokoju. Spłoszona jaszczurka umknęła do szczeliny między kamieniami.

*Brakuje mi ciebie.*

Zmieszany Pożeracz Chmur przestał grozić zębami, spuścił oczy. Nabrał garść piachu i przesypywał go powoli między palcami. Trwała niezręczna cisza. Kamyk czekał. Nie spodziewał się tego spotkania ani tego, że Pożeracz Chmur po tak długim czasie nadal pozostaje w ludzkiej skórze. Miał powody, żeby przypuszczać, że Pożeracz nie życzy sobie jego obecności tutaj. A jednak, gdyby odszedł, możliwe, że obaj ostatecznie straciliby szansę na pojednanie. Rozstaliby się na zawsze, jednym ruchem przekreślając cały ten czas, który spędzili razem. I to wszystko z powodu zwykłego nieporozumienia. Nie warto z takiej przyczyny marnować przyjaźni.

Wreszcie po długim czasie Kamyk poczuł znajome wrażenie mentalnego kontaktu. Połączenie wydawało się jednak wiotkie, nieśmiałe i pełne rezerwy, jakby mogło zostać zerwane w każdej chwili.

„Naprawdę tęskniłeś?” – zapytał smok.

„Oczywiście.”

„A co u Słonego?” – Pożeracz Chmur był tak zawstydzony tym szczerym wyznaniem, że natychmiast wycofał się z tematu.

„Jak żyje Liska i twoi rodzice?” – spytał Kamyk uprzejmie.

„Dostali kawałek terenu po drugiej stronie Jaszczura. Mniej miejsca niż na starej wyspie, ale i tak są zadowoleni. Zwłaszcza mama. A co z dziećmi Słonego?”

„Nad zatoką wszystko w porządku.”

„To miło.”

Rozmowa przypominała pianę na piwie. Dużo niczego. Gdzieś pod tymi wszystkimi grzecznościami czaiło się pytanie o Jagodę i obaj doskonale o tym wiedzieli. Kamyk rozejrzał się dokoła.

„To teraz twoje terytorium?”

„Należy do Skaczącej Gwiazdy. Ale mogę tu się kręcić, póki mało jem.”

Kamyka zaczęła drażnić ta bierna postawa Pożeracza Chmur. Nie raczył nawet unieść się na łokciu.

„Co tu porabiasz oprócz tego, że wylegujesz się na słońcu, objadasz i tyjesz, jak wół przeznaczony do zarżnięcia?”

To akurat nie było prawdą. Kamyk doskonale widział, że młody smok jest chudszy niż wtedy, gdy widział go ostatnio, całkiem jakby z jakichś powodów niedojadał. A także brudniejszy, jak gdyby zupełnie o siebie nie dbał.

„Nic nie robię” – odparł Pożeracz Chmur ponuro, rzucając nachmurzone spojrzenie Kamykowi, który udał, że tego nie widzi.

„Świetny sposób spędzania czasu. Nie trzeba się myć, czyścić zębów... ani czytać książek, ani rysować. Nie warto też odwiedzać przyjaciół, bo przecież wszyscy są głupszy od ciebie” – ciągnął chłopiec prowokacyjnie.

Pożeracz Chmur wstał, marszcząc się gniewnie i wyginając usta, jakby ugryzł coś kwaśnego.

„Po co ty jeszcze oddychasz? Przecież to za wielka fatyga” – dodał Kamyk złośliwie, ciesząc się w duchu reakcją smoka. Lepsza porządna kłótnia niż oglądanie smoczej depresji. Przewrócił się na wznak, luźno rozrzucając ręce. Pożeracz Chmur patrzył na niego z góry. Widać było, że jest zły, ale nie pokazywał zębów.

„Jak zwykle, jesteś uroczy” – przekazał smok z przekąsem.

„Jak zwykle – zgodził się Kamyk. – Za to ty nie jak zwykle. Co się z tobą dzieje? Na głowę upadłeś? Jeśli to ma ci poprawić nastrój, zapraszam, możesz mnie znów ugryźć.”

Odchylił głowę do tyłu, odsłaniając szyję, gdzie wciąż jeszcze widniały różowawe szramy po paznokciach Pożeracza Chmur. Smok stropił się.

„Daj spokój. Pogodziłem się z tym. Wygrałeś. Teraz ty masz Jagodę.”

Kamyk podniósł się, potrząsając głową, zirytowany.

„Nic nie rozumiesz. Nie mam Jagody. Tylko się przyjaźnimy. To przecież nie jest smoczyca. Sama wybierze, z kim chce zostać. A w ogóle na razie sama nie wie, czego chce. Przecież ona ma dopiero czternaście lat! Chciałeś mieć jajko z czternastolatką?”

Pożeracz Chmur wzdrygnął się i wytrzeszczył oczy w szoku.

„Co ty?! Jakie jajko? Przecież...”

To musiało mu przedstawić całą sprawę jakby z innej perspektywy. Dziesięć lat w smoczym pojęciu to mgnienie. Czternastoletni smok nadal jest dzieckiem i to małym dzieckiem. Zakusy czynione na czternastolatkę byłyby w wyjątkowo złym guście, a różnica gatunkowa jeszcze pogłębiała absurdalność sytuacji.

Kamyk złagodniał.

„Pożeracz, ja widzę, że ty się jakoś rozdwoiłeś. Ani już z ciebie całkiem smok, ani do końca człowiek. Jagoda najpierw się z tobą bawiła, ale potem ją wystraszyłeś śmiertelnie.”

„To co mam robić? – zapytał młody smok bezradnie. – Nadal... – Jego uwaga odpłynęła, gdy próbował zorientować się we własnych, pomieszanych uczuciach. – Nadal ją lubię” – dokończył.

„Wykap się – poradził Kamyk, szczerząc zęby, a Pożeracz Chmur wzdrygnął się jak ukąszony. – Zaczynj jeść. A przede wszystkim wróc nad zatokę i zaczynj się zachowywać zwyczajnie. Jagoda pewnie ci przebaczy. Ona też cię lubi. Lepsza będzie z niej przyjaciółka niż żona, gwarantuję.”

To najwyraźniej pocieszyło Pożeracza Chmur.

„Masz rację. Wszystko się jakoś ułoży. Ale nie myśl sobie, że ja tu tylko łapałem jaszczurki i się obijałem. Szperałem tu i tam, i znalazłem różne ciekawe rzeczy. Chodź, pokażę ci coś.”

Oczy Pożeracza błyszczały z podnieceniem. W jednej chwili otrząsnął się z marazmu i wszystko zdawało się wracać do normy. Kamyk uśmiechnął się z ulgą. Znowu miał przed sobą starego Pożeracza Chmur – energicznego, sprytnego towarzysza, a nie nieznośnego odurzonego kochanka.

Poszedł za smokiem na sam skraj opuszczonego miasta, gdzie ostatnie budynki (a raczej ich smętne pozostałości) tuliły się do stromego zbocza wulkanicznej góry. Całkiem niedawno obsunęła się tu niewielka lawina, tworząc u podnóża stoku rumowisko kamieni, ziemi i połamanych gałęzi. W skalnym załomie ział ciemny, wąski otwór. Częściowo zasłaniały go spiętrzone odłamki skalne.

„Odsłoniło się to po ostatnim wstrząsie – wyjaśnił smok. – Przedtem była tu taka całkiem zwyczajna stromizna i do głowy by mi nie przyszło, że pod tym wszystkim jest jaskinia. Chcesz wejść?”

Kamyk zajrzał w szczelinę. Wydawała się dość szeroka, aby precisnąć się przez nią człowiek, za to wewnątrz było ciemno i lekko wiało stęchlizną. W głębi mrok zmieniał się w atramentową czerń. Chłopak cofnął się, nieświadomie wycierając ręce w tunikę nerwowym gestem. Pożeracz Chmur zmrużył drwiąco oczy.

„Biedny Kamyczek boi się ciemności?” – zakpił.

Kamyk rzucił mu mordercze spojrzenie.

„Nie boję się, tylko jestem rozsądny – zaprzeczył, wiedząc, że Pożeracz i tak doskonale orientuje się w jego fobiach. – Dlaczego miałbym brodzić w łąjnie

nietoperzy i rozbijać sobie głowę po ciemku? Przyjdę tu później z latarnią, a poza tym powinienem zostawić Słonemu wiadomość, gdzie jestem.”

„Daj spokój Słonemu, pewno jest zajęty robieniem następnego dziecka. Nietoperzy tam nigdy nie było, sprawdzałem. Wielki mag, pogromca smoków, a tchórzy, bo nie ma światła. Dziecino, wracaj do domu” – drażnił go Pożeracz Chmur, najwyraźniej usiłując się choć trochę odegrać za poprzednią porażkę.

Kamyk wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru dać się sprowokować. Odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Pożeracz Chmur natomiast zaczął z innej beczki.

„Nie musisz iść aż nad zatokę. To kawał drogi, a lampa znajdzie się i tutaj.”

Zaśmiał się, widząc zaskoczenie towarzysza.

„Tu, w tych gruzach?”

„Nie wiedziałeś, że Słony ma tutaj drugi dom i przenosi się do niego na każdą porę deszczową?”

„Nie wiedziałem. Jakoś nie mówił mi o tym.”

„Jak ty mało wiesz, Kamyczku” – zaśmiał się smok.

„A za to ty to chodząca mądrość” – odciął się chłopak, wymierzając smokowi lekkiego kuksańca. To był cały Słony – roztargniony czasem wręcz przesadnie. Rozwodzący się nad szczegółami aerodynamiki smoczych skrzydeł i zapominający, że ma więcej niż jeden dom i że jego córka jest albinoską. Ciekawe, czy pamiętał, ile dokładnie ma dzieci.

Kamyk wkrótce przekonał się, że Słony doprowadził do porządku ten drugi dom oraz teren wokół niego, wycinając liany i krzaki cierniowe. Ułożył na nowo belki stropowe i pokrył budynek dachem. Połatał dziury w ścianach, wstawił drzwi i okiennice. Oczywiście najcięższe roboty wykonali sprowadzeni z kontynentu robotnicy, ale przebywali na wyspie bardzo krótko, cały czas żyjąc w strachu przed smokami. Według Pożeracza Chmur Słony wiele rzeczy robił sam, łącznie z lżejszymi pracami ciesielskimi, a nawet murarką. Kamyk pomyślał, że to tłumaczyłoby twarde mięśnie Mówcy. Dom maga był przestronną, elegancką willą z tarasem i balkonem. Ściany budynku zbudowano z pstrego kamienia wulkanicznego i wyglądały dość surowo, natomiast wokół wszystkich okien ktoś – czyżby sam Słony? – wykonał kolorowe mozaiki. Drzwi i okiennice wydawały się pozamykane na głucho, lecz okazało się, że dostać się do środka jest niezwykle łatwo. Wystarczyło przesunąć drewniany rygiel. Oczywiście nie miał on chronić przed złodziejami, lecz stanowić przeszkodę dla wścibskich zwierząt, które mogłyby siać zniszczenie wewnątrz. A wnętrze owego domu tak bardzo różniło się od skromnej siedziby Mówcy nad brzegiem



oceanu, że trudno było uwierzyć własnym oczom. Kamyk ze zdumieniem oglądał ozdobnie rzeźbione sprzęty. Eleganckie szafki i kufrы pokryte kunsztowną intarsją, krzesła, których siedzenia i oparcia obito wytłaczaną skórą. Na ścianach rozwieszono kosztowne gobeliny przedstawiające głównie zwierzęta i mityczne stwory. Wszędzie stały rozmaite cacka, statuetki, ozdobne naczynia i rozmaite piękne drobiazgi. Wszystko to zrobiło spore wrażenie nawet na Pożeraczu Chmur, który z niedowierzaniem macał miękkie materace na łózkach i przetykane srebrną nicią zasłony. Dom Słonego urządzono wręcz z przepychem, przy którym zwierzątka z kolekcji Tygryśka czy srebrne lustro stanowiły błahostki niewarte uwagi. Kiedy pchany ciekawością Kamyk zajrzał do pomieszczenia służącego za kuchnię, stwierdził, że Księżycowy Kwiat miała tam nie tylko stół z marmurowym blatem, ale i luksus w postaci wodociągu. W dzieciennych pokojach poniewierały się zakurzone zabawki. Na jednej z półek siedział rząd sztucznie uśmiechniętych lalek, wytrzeszczających martwo porcelanowe oczy, ustrojonych w piękne suknie. Kamyk nie mógł powstrzymać się od uśmiechu pełnego politowania, gdyż ukochaną zabawką małej Słonecznej był wytarty od ciągłych czułości kotek o oczach z guzików i wąsami ze sznurka, uszyty jej przez matkę z miękkiej jagnięcej skóry. Natomiast Jagody w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić z jakąkolwiek lalką, choć fantazji mu raczej nie brakowało.

Słony musiał wpakować w wyposażenie tego domu małą fortunę. Rodzina maga zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Kamyk poznał wszystkich wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie cenią sobie powierzchownego bogactwa. Nie wyobrażał sobie Słonego w tunice ze złotą lamówką i w jedwabnych pończochach ani Księżycowego Kwiatu, ubranej w atlasową suknię, obwieszoną klejnotami, jak wydaje polecenia służbie. A Jagoda... Kamyk potrząsnął głową. Prędzej widziałby ją na koniu, w pancerzu i hełmie z purpurową kitą.

Lampa wraz z zapasem oleju znalazła się w spiżarni świecącej na razie pustkami, prócz koszy z ziarnem oraz paru beczek i skrzyń o nieznanym zawartości. Kamyk nie mógł już się wykręcić od wyprawy do wnętrza ziemi. Gdyby zrezygnował, Pożeracz Chmur przypuszczalnie wyśmiewałby go do końca życia, a w każdym razie bardzo długo. Zresztą i chłopak przyznał się sam przed sobą, że perspektywa badania jaskini zaczęła go coraz bardziej pociągać. Właściwie nie było to nic niebezpiecznego, chyba, że w środku kryły się groźne przepaście lub bardziej prozaiczne dziury, w których można skręcić kostkę. Ale mieli przecież lampę. I mogli w każdej chwili zawrócić.



Geologia nie była mocną stroną Kamyka. Nigdy nie miał okazji zwiedzać żadnej jaskini, a o wulkanach wiedział zaledwie tyle, że wybuchają i że raczej nie należy przebywać wtedy w pobliżu, gdyż grozi to upieczeniem. Niemniej w głowie snuły mu się jakieś strzępy wiadomości i z owych strzępów wynikało, że jaskinia wygląda nienormalnie. Groty nie powinny mieć równiutkiego dna i gładkich ścian bez żadnych pęknięć, załamów, nacieków i temu podobnych ozdób. Według obiegowych wyobrażeń jaskinie były podziemnymi salami, gdzie można oglądać cuda podziemnego świata w rodzaju skalnych nawisów, stalaktytów i pasm błyszczących minerałów wtopionych w kamienne ściany. Niestety – nic z tych rzeczy. Wąski skalny korytarz ciągnął się gdzieś daleko, gdzie już nie dochodziło światło olejowej latarni, jednostajny jak tunel wygryziony przez gigantycznego robaka.

*Jak daleko zaszedłeś?* – Kamyk odwrócił się do Pożeracza Chmur.

„Dziesięć, może jedenaście swoich długości.”

„Tylko tyle?”

„Bo dalej przestałem cokolwiek widzieć” – odparł smok bez cienia wstydu.

– „Chodźmy dalej” – zachęcił.

Plama jasnego światła dziennego została za nimi i szybko zaczęła znikać. Kamyk oświetlał korytarz, unosząc w ręku lampę, a wrażenie jego nienaturalności wciąż rosło.

„Pożeracz, jak myślisz, czy to mogliby wykuć ludzie?”

„Dzieło ludzi? Nie przesadzasz? – odparł smok natychmiast. – Masz manię wielkości. Dlaczego wszystko, co niezwykle, od razu musi być stworzone przez was? To jest za wielkie! I nie ma żadnych śladów narzędzi.”

„No właśnie. A jeśli to robota dawnych magów? Podobne rzeczy widziałem w Kręgu – upierał się Kamyk. – Nie wygląda to ani na grotę zrobioną przez lawę, ani wypłukaną przez wodę. Ja o tym czytałem. Woda rzeźbi wspaniałe groty w wapieniu, ale wody tu nie ma i chyba nigdy nie było. Jest zupełnie sucho. Ten korytarz jest zupełnie prosty. Jakby przetoczyła się tędy kula.”

„Skąd ty wiesz, że jednak nie zrobiła tego woda?” – zapytał Pożeracz Chmur z przekąsem.

„A skąd ty wiesz, że zrobiła?”

Kamyk nagle trącił Pożeracza łokciem, wskazując na fragment ściany. Światło latarni wyłowilo z mroku zawilę ornament i coś, co przy pewnej dozie

dobrej woli dało się uznać za pismo.

„To wcale nie jest dowód, że tę jaskinię zrobili Stworzyciele, a tylko na to, że tu ktoś kiedyś był – odparł smok, wydymając wargi. – Co tam jest napisane?”

„Tu byłem. Kowalski z Lenenji” – odpowiedział Kamyk kwaśno.

„Naprawdę?!”

„Żartuję.”

Pożeracz Chmur dąsał się jeszcze, ale chyba w końcu argumenty Kamyka zaczęły do niego docierać. Tkacza Iluzji coraz bardziej zaprzętało, jak powstał ten dziwny podziemny trakt i gdzie się kończył, a także: czemu służył. Monotonia otoczenia zaczynała go denerwować. Od czasu do czasu znajdowali częściowo zatarte przez czas freski lub niezrozumiałe napisy, ale to wszystko. Nie było to nic szczególnie ciekawego. Pożeracz Chmur, który na ogół nie wykazywał się specjalną cierpliwością, znudził się prędko i żałował, że zaproponował tę wyprawę. Wreszcie przystanął, opierając się o ścianę plecami.

„Mam już dość. Wracajmy.”

Kamyk obejrzał się za siebie. Zaszli już chyba bardzo daleko, gdyż światła padającego od wejścia nie dało się dojrzeć. Przykucnął, stawiając latarnię na ziemi, i w zamyśleniu przesunął ręką po chropawym kamieniu. Potarł palcami o siebie, czując, że pozostało na nich nieco ziaren piasku. Jeszcze jeden element wzbudzający zdziwienie i nieufność. Logicznie rzecz biorąc, na podłożu powinny walać się drobne kamyczki, kurz i proch osypujący się ze stropu. Tymczasem było tu zdecydowanie za czysto.

Kamyk nadal opierał się dłonią o ziemię, gdy niespodzianie jego palce, podeszwy stóp, a potem resztę ciała przeszły lekkie drżenie. Pożeracz Chmur też musiał tego doświadczyć, gdyż po mentalnym pomoście, wciąż ich łączącym, nadpłynęło uczucie zaniepokojenia.

„Kamyk...?”

Ledwo wyczuwalne drgania przerodziły się w wyraźne wibracje. Kamyk porwał lampę i bez zwłoki obaj ruszyli biegiem ku wyjściu. Skąła trzęsła się pod ich stopami. Po krótkiej przerwie nadszedł kolejny paroksyzm, silniejszy od poprzedniego. „Jak po pierwszym wstrząsie nadchodzi drugi, to potem na pewno nastąpi trzeci, a wtedy wszystko się wali i padają drzewa.” – Kamyk przypomniał sobie znaki kreślone przez Jagodę i przyspieszył kroku. Kołysząca się latarnia w jego ręku rzucała fantastyczne cienie na ściany tunelu. Pożeracz Chmur wyprzedził go i Kamyk wbijał wzrok w jego plecy, ze wszystkich sił próbując za nim nadążyć. Zamiast zbawczego dziennego światła i powiewu świeżego powietrza uderzył ich w twarze duszący obłok pyłu. Pożeracz Chmur

zatrzymał się gwałtownie, Kamyk wpadł na niego, potknął się na rumowisku zaścielającym podłogę i upadł na kolana. Odruchowo poderwał lampę do góry, chroniąc ją przed rozbiciem. Wstrząsy ustały. Z zapartym tchem oczekiwał następnego ataku rozgniewanej ziemi, który zwalił im strop na głowy, lecz ten, ku ich wielkiej uldze, nie nadszedł. Za to żółte światło lampy wydobyło z mroku obraz straszliwy. Tam, gdzie powinno znajdować się wyjście, piętrzył się stos luźnych kamieni wymieszanych z ziemią. Nietrudno zgadnąć, że pod wpływem wstrząsu następny fragment zbocza osunął się, grzebiąc ich żywcem. Kamyk trwał w niewygodnej pozycji, gapiąc się tępo przed siebie, póki Pożeracz Chmur nie wyjął mu z odrętwiałych palców uchwytu latarni.

„Kamyk? Nic ci nie jest?”

Chłopiec odetchnął bardzo głęboko i wstał, odruchowo otrzepując spodnie.

„Nic. Wszystko jest w porządku, wręcz świetnie.”

Wszystko było w porządku, prócz tego, że zostali zasypani w podziemnym tunelu, pod nie wiadomo jak grubą warstwą gładów, i absolutnie nikt nie wiedział, gdzie są. Nie mieli ani wody, ani nic do jedzenia, a od gęstej czerni oddzielał ich tylko krąg światła latarni, która zgaśnie, gdy skończy się zapas oleju w zbiorniku. Kamyk odniósł kamień i cisnął nim w bezsilnej złości w zawał.

„Nie powinienem cię namawiać – przekazał posępnie Pożeracz Chmur. – To moja wina.”

„Nie” – odparł Kamyk krótko.

„Ale ty tak myślisz.”

„Chcesz się teraz kłócić o to, co myślę? Nie zwracaj uwagi, jestem trochę zdenerwowany.”

Tak naprawdę Kamyk był b a r d z o zdenerwowany. Nigdy nie lubił ciasnych, zamkniętych pomieszczeń, a świadomość, że za jakiś czas zrobi się tu zupełnie ciemno, dodatkowo spychała go na skraj prawdziwej paniki, którą z trudem opanowywał.

Próbowali wraz z Pożeraczem Chmur odwalać kamienie, prędko jednak doszli do wniosku, że ta praca mogłaby zająć nawet tydzień, a tyle czasu przecież nie mieli. Ostatecznie zaprzestali tych jałowych wysiłków, gdy w rumowisku ukazała się potężna kłoda, która skutecznie zaklinowała wylot. Nawet Pożeraczowi Chmur nie udało się jej poruszyć.

Zadziwiające było to, że trzęsienie ziemi nie naruszyło korytarza. Kamyk unosił światło, jak mógł najwyżej, oglądając sklepienie. Nie dostrzegł na nim żadnych pęknięć. Zupełnie jakby ogólna katastrofa wydarzyła się wszędzie

dookoła, nie naruszając samego tunelu. Przykręcił lampę, by na dłużej starczyło oleju. Kamyk usiadł na ziemi, powtarzając w duchu: „Tylko spokojnie...tylko nie wpadać w panikę...”, gdyż chwiał się właśnie na cienkiej krawędzi, za którą czyhało bagno obłądu. Coś należało zrobić. Cokolwiek, byle zająć czymś umysł i odepchnąć od siebie świadomość tych mas skał, które mieli tuż nad głową.

„Pożeracz, czy umiałbyś przetworzyć skałę?”

Smok podrapał się po karku z zafrasowaną miną, patrząc na rumowisko.

„Zdarzało mi się zjeść kamień, ale przecież nie na taką skałę! Mam się p r z e j e ś ć na zewnątrz?! Zwariowałeś?”

„Może nie przejeść, ale jakoś spróbować... bo ja wiem... zmienić strukturę. Twoje zdolności są bardzo podobne do talentu Stworzyciela. Przy transformacji przecież nie jesz, tylko wchłaniasz materię.”

Pożeracz Chmur wzruszył ramionami, a potem przyłożył obie ręce do pnia blokującego przejście. Jego mina dobitnie wyrażała, że pomysł Kamyka nie należy do najmądrzejszych.

„Zaczekaj. – Chłopiec lekko klepnął go w ramię. – Nie wiemy, jak to wygląda na zewnątrz. Możliwe, że tam leży dużo luźnych gładów i zwalimy sobie na głowę resztę tego pagóra. Korytarz w tym miejscu biegnie wzdłuż zbocza. Spróbuj kawałek dalej.”

„W ogóle nie mam pojęcia, czy to coś da – zrzędził smok. – Kazesz mi się przemieniać, a ja nie jadłem od trzech dni. Mogę się wypalić, wiesz? Mogę nawet umrzeć!”

Sumienie Kamyka drgnęło niespokojnie, ale natychmiast je stłumił.

„Przynajmniej umrzesz szybko, a ja będę tu powolutku ginął z głodu!” – odgryzł się.

„Chcesz szybkiej śmierci? Jestem do usług.” – Pożeracz Chmur nie pozostał dłużny. Przeszedł kawałek korytarzem, wiodąc palcami po ścianie, jakby szukał odpowiedniego miejsca. Zatrzymał się i obejrzał w stronę Kamyka.

„To jest gęste” – przekazał ze zdumieniem.

„Co jest gęste?”

„Ściana.”

Pożeracz Chmur niespodzianie przywarł do skały całym ciałem, jakby chciał się z nią stopić w jedno. Trwał tak przez moment, po czym odstąpił o krok, wpatrując się w nią ze zmieszaniem.

„Miałeś rację. Jeśli nie maczał w tym palców ktoś od was, to możesz mnie do końca życia nazywać szczurem. Ten kamień jest tak ściśnięty, że cząstki aż jęczą. Coś niewiarygodnego.”

Zagęszczona struktura materii. Kamyk znał tylko jeden rodzaj ludzi zdolny do czegoś takiego – Stworzycieli. Któryś z nich (a może było ich wielu) przeszedł tędy tysiąc lat temu, rozpychając swym talentem kamień na boki. Prawdopodobnie od wolności dzieliła ich tylko skalna ściana nie grubsza niż długość ciała, lecz Pożeracz Chmur na ponowną propozycję wytrawienia w niej dziury oburzył się jeszcze bardziej niż przedtem.

„Życie ci się znudziło!? Temu nie dało rady nawet trzęsienie ziemi. Czy ty wiesz, co może się stać, jeśli naruszę ten nieszczęsny kamień?!”

„A ty wiesz?! Ciebie chyba bawi ta sytuacja!” – Kamyk wiedział, że zachowuje się irracjonalnie i niesprawiedliwie, lecz uczucie zapędzenia w pułapkę bez wyjścia bynajmniej nie nastrajało go przyjaźnie do otoczenia.

Nie wiedział, co może się wydarzyć, jeśli Pożeracz Chmur zaingerowałby w strukturę zagęszczonego granitu i smok z pewnością też tego nie wiedział. Mogło nie stać się zupełnie nic, a mogła nastąpić katastrofa, przy której niedawne trzęsienie ziemi byłoby zaledwie łagodnym kołysaniem. A skoro Pożeracz Chmur nie chciał próbować, Kamyk nie mógł go do niczego zmusić. Ostatecznie znał się głównie na tworzeniu iluzji i o pracy Stworzycieli miał pojęcie wyjątkowo mgliste.

Kamyk wstał i podniósł lampę.

„W takim razie nie pozostaje nam nic innego, tylko iść dalej i szukać wyjścia.”

„Myślisz, że coś znajdziemy?” – Optymizm Pożeracza Chmur nie był zbyt duży.

„Lisie nory i ludzkie domy zawsze mają więcej niż jedno wyjście.”

„Sięgnij na zewnątrz i spróbuj zawiadomić kogokolwiek.”

Przez dłuższy czas smok wyłapywał emanacje ptaków, małą i jakichś innych, nieokreślonych stworzeń. Zagryzał wargi, desperacko brodząc w setkach niewyraźnych, zwierzęcych instynktów, poszukując jasnych umysłów smoczy. Wreszcie rozczarowany zrezygnował.

„Nikogo w pobliżu. Skacząca Gwiazda wypuścił się gdzieś dalej. Inni drzemią albo polują i nie pozwalają sobie przeszkadzać, od razu zasłaniają się.”

Pozostawało liczyć wyłącznie na siebie.



Korytarz Stworzycieli zdawał się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Kamyk

zupełnie stracił poczucie czasu. Wydawało mu się, że idą tym ponurym tunelem kilka godzin. Lampa jednak wciąż paliła się wąłym płomyczkiem, bardziej podtrzymującym na duchu niż oświetlającym cokolwiek poza najbliższym otoczeniem. Nie minęło zatem więcej niż trzy godziny. Pożeracz Chmur wlokł się obok, noga za nogą, ponuro wlepiając oczy w ziemię. Podtrzymywał mentalny kontakt na najprostszym poziomie, nie wdając się w żadne dyskusje ani pogawędki. W pewnej chwili przed wędrowcami ukazało się rozwidlenie tunelu.

„Którędy teraz?” – spytał Kamyk, nie spodziewając się jednak żadnej konkretnej rady. Pożeracz Chmur bezradnie pokręcił głową. Oba korytarze rozchodziły się pod kątem. Prawy prowadził łagodnie w górę, natomiast lewy dość ostrym spadkiem schodził w dół. Światło latarni wyławiało na ścianach napisy w obcym języku, które być może objaśniały, gdzie prowadzą obie drogi, lecz oni nie mieli z nich żadnego pożytku. Instynkt podsuwał, by iść w prawo, lecz kto mógł zaręczyć, że właśnie ta droga jest właściwa? Może to lewy tunel wyprowadziłby ich na powierzchnię, a prawy skończy się ślepo lub następnym rozwidleniem, a potem następnym... aż zagubią się ostatecznie w podziemnym labiryncie i ich kości staną się ponurym urozmaiceniem jednostajnych wnętrzości wulkanicznej góry. Po krótkim namyśle Kamyk wszedł do lewej odnogi, postawił lampę na ziemi i ostrożnie zdjął z niej szklaną osłonę. W ciężkim, dusznym powietrzu podziemia płomyk ledwo się poruszał, lecz w końcu całkiem wyraźnie przechylił się. Chłopiec obserwował go uważnie, osłaniając nos i usta dłonią, by nie dmuchać.

„Co robisz? – zainteresował się Pożeracz Chmur.

„Patrzę, skąd wieje” – odpowiedział Kamyk, podnosząc lampę i wchodząc do prawego odgałęzienia. Tutaj płomień drgał chaotycznie, nie mogąc się zdecydować na żaden konkretny kierunek. Smok obserwował podejrzliwie te manipulacje, ale nie protestował, gdy Kamyk zdecydowanym krokiem skierował się do lewej odnogi.

„Tędy przepływa powietrze, więc musi być jakiś wylot. A jak jest dziura to można przez nią wyjść.”

„Nie wpadłbym na to – przyznał smok. – Cieszę się, że jesteś tu ze mną.”

„A ja się nie cieszę” – odparł chłopiec z westchnieniem.

Tunel schodził coraz niżej, a w powietrzu czuło się wilgoć i wiało chłodem. Kamyk szedł coraz szybciej, wreszcie niemal biegł, nie mogąc się doczekać wyjścia z ciasnej, mrocznej przestrzeni. Tym boleśnieszszy był jego zawód, gdy niespodzianie stopy obmyła mu lodowata fala. Pożeracz Chmur również

z rozpędu wszedł do znieawidzonego żywiołu i cofnął się natychmiast, otrząsając z obrzydzeniem i klnąc w warkotliwym smoczym narzeczu. W słabym świetle lampy ujrzeli ciemną taflę wody lśniąca niczym czarne szkło. Zimną jak rozczarowanie. Kamyk zanurzył końce palców, a potem je polizał. Woda miała słony smak, co znaczyło, że znaleźli się na poziomie oceanu.

Wymienili smutne spojrzenia. Żadnych pretensji, żadnych skarg, po prostu zawrócili do punktu wyjścia i ruszyli inną drogą, pod górę. Nawet gdyby Pożeracz Chmur w ludzkiej postaci umiał pływać, nie mogli mieć pewności, że pod stropem znajdzie się wystarczająco dużo powietrza. Zresztą jak mieliby szukać drogi? Na oślep?

Nie mieli żadnego innego wyboru, jak iść do przodu i zachować nadzieję. Latarnia zrobiła się w wyczuwalny sposób lżejsza, co Kamyka napełniało coraz większym niepokojem. Olej wyczerpywał się. Co poczną bez światła w absolutnych ciemnościach, których nie mógł przeniknąć nawet wzrok Pożeracza Chmur? Mieli tylko tę odrobinę ognia i nóż, ale na cóż mogło przydać się ostrze wśród kamiennych ścian? Kamyk raz po raz spoglądał na lampę, czując, jak w żołądku rośnie mu zimna bryła strachu. Płomyczek pełgał coraz niżej i niżej, aż w końcu z wolna zapadł się w siebie i zgasł. Jeszcze przez moment widział czerwoną iskierkę na końcu knota, a potem i ona zginęła.

Poczucie utraty wzroku było nie do zniesienia. Gęsta ciemność otoczyła Kamyka zewsząd. Wydawała się lepka jak smoła, podstępna... i żywa! Wślizgiwała się pod ubranie, powodując zimne dreszcze, wciskała do gardła, tamując oddech. Zaczął się dusić, zadławiony ciemnością. Skulił się ciasno, usiłując nie dopuścić mroku do siebie. Wszędzie dokoła rozciągała się bezdenna otchłań i czuł... był absolutnie przekonany, że jeśli się poruszy, upadnie w przepaść i nigdy nie przestanie spadać.



Pożeracz Chmur wiedział, że z Kamykiem nie jest najlepiej. Chłopak źle znosił przebywanie pod ziemią. A teraz zrobiło się już całkiem fatalnie. Pożeracz usłyszał metaliczny łoskot upuszczonej w ciemnościach latarni, spazmatyczny oddech i szczękanie zębów.

„Kamyk...?”

Nic. W umyśle chłopca szalał chaos i przerażenie, zupełnie jakby się... topił. Pożeracz Chmur po omacku odszukał Kamyka, który kulił się na ziemi, dygocąc



jak przerażony szczeniak. Objął go niezdarnie, lizał po włosach, powtarzając wciąż: „Nie bój się, oddychaj. Nie bój się, oddychaj normalnie. Kamyk, ja tu jestem, nie bój się”. Dopiero po dobrych paru minutach zorientował się z zawstyżeniem, że również mruczy, zupełnie jakby pocieszał Liskę. Jednak dopiero gdy wpadł na dość rozpaczliwy pomysł i rozszerzył kontakt z przerażonym przyjacielem, ten z wolna zaczął się uspokajać. Ostatecznie oprzytomniał na tyle, by odepchnąć głowę Pożeracza Chmur.

„Na miłosierdzie Losu, czy ty mnie musisz lizać? Ohyda.”

Pożeracz prychnął.

„W takim razie przestań się dusić. Panikarz. Wstyd, żeby wyprawiać takie rzeczy tylko dlatego, że jest ciemno.”

„A ty się boisz wody!” – odgryzł się Kamyk, jednocześnie skupiając się na każdym wdechu i wydechu.

– Przestań sapać i uspokój się, bo cię ugryzę w ucho – rzekł Pożeracz Chmur głośno.

„Mów do mnie. To mi pomaga” – odparł Kamyk i powtórzył głośno: – Muf doo mje. Mów... do... mnie.

„Jasne... – mruknął Pożeracz Chmur. – Tylko przestań mi miażdżyć ramię.”

Kamyk rozgiął odrętwiałe palce, którymi dotąd ścisnął rękę towarzysza, podobnie jak tonący w trzęsawisku czepia się litościwej gałęzi.

– Możesz iść? – spytał smok.

– Mogę – usłyszał w odpowiedzi.

„Powiedziałaś to ustami czy talentem?”

„Talentem. Nie jestem przyzwyczajony do mówienia ustami.”

„Może powinieneś się przyzwyczajać. Usta nie służą tylko do jedzenia.”

„Mnie służą. Czy możesz do mnie mówić? Jak cię nie słyszę, to mi się wydaje, że stoję na skraju przepaści i zaraz zlecę.”

„To już teraz wiesz, jak się czułem, jak mnie zapędziłeś do wody” – odparł Pożeracz Chmur i zaczął recytować zapamiętaną jeszcze z Pagórków książkę:

„Ochwatem zwiemy chorobę kopyta końskiego, a mianowicie zakażenie części mięsnych kopyta, częstokroć u obu przednich nóg, a czasem i u wszystkich. Poszukując przyczyn ochwatu, przekonasz się, iż może nią być: za ciężka praca lub długo trwające stanie na twardej, kamienistej ziemi, oziębienie spoconego konia, albo zepsuta karma, powikłania po zapaleniu płuc, zarazie piersiowej, alibo też po oźrebianiu się klaczy ochwata nastąpić może...”

„Czy ja źle rozumiem, czy ty mi opowiadasz książkę Płowego o leczeniu koni?”

„Rozumiesz doskonale. Dalej są wyszczególnione objawy. Tylko, że jak myślę o koniach, to się robię głodny... Idziemy?”

Kamyk wstał, kiwnąwszy głową bezmyślnie i nie zastanawiając się nad tym, że towarzysz nie może tego zobaczyć. Ruszyli w nieznaną, ostrożnie wyczuwając podłoże stopami i wyciągając ramiona przed siebie niczym ślepcy. Trzymali się za ręce jak dzieci zagubione wśród wieczystej nocy. Pożeracz Chmur monotonicznie recytował podręcznik weterynarii dopóty, dopóki Kamyk zdecydowanie się temu nie sprzeciwił.

„Nie mogę już słuchać o objawach nosacizny, nawet jeśli rozumiem tylko co drugie słowo.”

„A może w takim razie to?” – spytał Pożeracz Chmur i zaczął:

„Nawet gdy ubogo, być może chędogo, boć i żebrak chędożyć zdolen jest błogo. Czy to szlachcic, czy biedak, czy kapłan w purpurze – mniej o złocie uważają, a więcej o dziurze.”

Kamyk potknął się z wrażenia, w ostatniej chwili mocniej zaciskając palce na ramieniu Pożeracza Chmur.

„Co to jest?!”

„Sztuka chędożenia. To z kolei było w księgozbiórce u Miedzianego.”

Pożeracz Chmur zachichotał złośliwie. Doskonale orientował się w aktualnych odczuciach swego towarzysza, nie wspominając już o tym, że generalnie ludzi do kompletnej paranoi doprowadzały sprawy zbliżeń cielesnych. Żaden gatunek stworzeń obdarzonych mową nie mówił o tym mniej, i nie myślał więcej.

„Postępowa sztuka chędożenia nie dla durnia jest ani dla lenia, bo w pożyciu trzeba także mieć talenta, a rozkoszy świca to rzecz święta” – zacytował kolejny wers, doskonale świadomy, że póki Kamyk będzie oburzony, łatwiej mu będzie odgradzać się od bezdennej lęku przed ciemnością.

Powtórnie natrafili na rozgałęzienie korytarza. Jedna z odnóg nadal biegła ku górze, druga znów nachylała się wyraźnie w dół. Tyle zdołali wymacać. Stanęli w obliczu następnego wyboru.

„Powietrze znów jest mokre” – zawiadomił Pożeracz Chmur, czuły na wilgoć. Kamyk również odczuwał zmianę.

„Dokąd bardziej?”

„»Gdzie bardziej«” – poprawił smok. Puścił rękę chłopca, ale nie zerwał kontaktu i Kamyk słyszał go nucącego niedbale jakąś melodyjkę, błogosławiąc zdolności, które nie pozwalały im zgubić się nawzajem.

„Bardziej z lewej – stwierdził smok po chwili. – Pewnie to następny

korytarz, który prowadzi do morza.”

„Spróbujemy tędy?” – spytał Kamyk.

„A czy umiemy tak długo nurkować?” – spytał Pożeracz Chmur.

„Ja umiem” – przekazał chłopiec, ale w jego myślach brak było jakiegokolwiek entuzjazmu.

Nagle usłyszał, jak smok warczy nagle i syczy z wściekłością. Natychmiast serce stanęło Kamykowi w gardle.

„Co?! Co się dzieje?!” – Napiął mięśnie, odruchowo szykując się do odparcia ataku.

– Idiota! – warknął Pożeracz Chmur. – Ostatni głupiec, bałwan... „Możesz mnie przerobić na dywanik” – dodał w myślach, oblewając tę niecodzienną propozycję gęstym sosem skruchy.

„Ale co się dzieje?” – Dezorientacja Kamyka była całkiem zrozumiała.

„Jestem ostatnim bałwanem i mam we łbie piasek zamiast rozumu – potwierdził Pożeracz z goryczą. – Przecież cały czas mogłem zawiadomić Słonego albo Jagodę, co się nam przytrafiło!”

Kamyk z przeciągłym sykiem wypuścił powietrze. Przez głowę przeszło mu kilka brzydkich myśli, ale zepchnął je w głąb umysłu.

„Słony nie potrafiłby nas odgrzebać – odparł trzeźwo, lekko ściskając ramię towarzysza. – I tak musielibyśmy szukać innej drogi. Nic się nie stanie, jeżeli zrobisz to dopiero teraz.”

Słyszał, jak Pożeracz Chmur wzdycha tuż obok i porusza się niespokojnie, a w końcu poczuł, jak ręce smoka zaciskają się na jego ramionach z niespodziewaną siłą.

„Nic nie czuję!!! – Pożeracza Chmur ogarnęło przerażenie. – Pusto! Nikogo nie ma! Nie ma nic!”

Kamyk potrząsnął nim.

„Uspokój się! Co się stało? Czego nie ma?”

Smok dyszał chrapliwie.

„Nie czuję nikogo na zewnątrz. Nawet zwierząt. Jakby tam nikogo nie było, jakby cały świat umarł. Ale to przecież niemożliwe.”

„Jesteśmy pod ziemią. Może dlatego nie wyczuwasz niczyich myśli” – odpowiedział Kamyk bez przekonania. Talenty wszystkich poznanych Obserwatorów, Mówców i Stworzycieli zawsze działały tak samo, niezależnie od miejsca i okoliczności. Ograniczenie stanowiły odległości, a nie mury.

„Ziemia? Chowałem się w norach, jak byłem młodszy, ale nigdy nie czułem się tak jak teraz. Zupełnie jakbym oślepl albo ogłuchł. Straszne.”

„Jesteśmy w rurze z zagęszczonej skały, możliwe, że właśnie to tłumi przekaz. – Kamyk wpadł na nową myśl. – To by znaczyło...”

„...że nikt mnie stąd nie usłyszy i nikt nas nie znajdzie” – dokończył Pożeracz z rezygnacją.

Kamyk odszukał dłoń Pożeracza Chmur, spleli mocno palce i ruszyli dalej. Chłopiec zastanawiał się, czy zdołają wrócić, gdyby obrona droga okazała się fałszywa. Zmęczenie już bardzo dawało mu się we znaki. Pożeracz Chmur trzymał się twardo, jak to smok, ale Kamyk nie miał złudzeń, że smocze siły są niewyczerpane. Tymczasem jednak Pożeracz szedł nagi i bosy, nie skarżąc się na obite pięty, a jego dłoń była krzepiąco ciepła. Po początkowych atakach paniki z wolna zaczął obojętnieć. W ciemnych lochach stracił poczucie czasu. Na zewnątrz równie dobrze mogła już zapaść noc albo nawet wstać kolejny ranek. Nawet żołądek chłopca zaprzestał już głodowych awantur, wyczerpawszy cały zapas sztuk, jakimi zwracał na siebie uwagę. Na nagabywania Pożeracza Chmur Kamyk odpowiadał „tak” lub „nie”. Wreszcie zaczął iść z zamkniętymi oczami, stwierdziwszy, że przecież i tak nie robi to żadnej różnicy. Popadł w stan niemalże katatonii, śpiąc w marszu.

O tym większy szok przyprawił go nagły cios w czoło.

„Korytarz się skończył – oświadczył niepotrzebnie Pożeracz Chmur. – I też mam guza na głowie.”

„Dobrze, że to ściana, a nie przepaść” – odpowiedział Kamyk, ostrożnie macając przed sobą. Przeszkoda, na którą wpadli, w niczym nie przypominała zimnej skały! Dotykem rozpoznawał powierzchnie wypaczonych starych desek. Szorstkie, rozsypujące się elementy to prawdopodobnie resztki okuć. Na wieczny Krąg, to były po prostu drzwi! Co prawda zamknięte, ale to nie stanowiło żadnej przeszkody. Wystarczyło, by Pożeracz Chmur zaparł się w nie ramieniem, a wypadły z zawiasów. Obietnica wyjścia z obrzydłych kazamatów dodała mu sił. Niestety, wewnątrz, do którego się dostali, okazało się tak samo ciemne. Weszli ostrożnie, stąpając, jakby kamienną podłogę usłano tłuczonym szkłem. Kamyk na chwilę puścił rękę Pożeracza Chmur i klasnął w dłonie. Echo, które wróciło, różniło się od tego w tunelu.

„To duża grota – ocenił smok. – Sklepienie jest wysoko.”

„Musimy uważać. Tu może być wszystko. Jakieś dziury, pułapki, zapadnie... albo nawet wyrzutnie strzał...”

„Tutejsi ludzie musieli mieć dość osobliwe gusty.”

Penetrując odkryte pomieszczenie, niespodzianie natrafili na dziwaczny twór z wypolerowanej płyty kamiennej położonej na dwóch skalnych blokach. Ręce,

błądzące chaotycznie po jej powierzchni, natrafiały na jakieś drobne przedmioty. Pożeracz Chmur strącił naczynie, które rozbiło się z klekotem glinianych skorup. Kamyk odczuwał coraz większy niepokój. Rowki po bokach płyty kojarzyły mu się z czymś niejasno, lecz nie potrafił określić z czym – aż do chwili, gdy trafił na przedmiot, w którym rozpoznał duży, lekko zagięty nóż z niestępiącym przez upływający czas ostrzem. Chłopięca wyobraźnia błyskawicznie podsunęła mu obraz świątyni, ukrytej we wnętrzu góry, gdzie na kamiennym ołtarzu kapłani składali ludzkie daniny potwornym bóstwom. Kamyk jęknął i rzucił nóż, jakby był rozpalony do czerwoności. Czyżby rozlewano w tym miejscu krew, wrywano języki i bijące jeszcze serca z piersi ofiar, wijących się w strasznym bólu, czyżby obcinano palce dzieciom i rytualnie podrzynano gardła dziewczicom?

„Osobliwi – to chyba za słabe określenie” – skomentował Pożeracz Chmur ze wstrętem.

„To wszystko przez Płowego. Zabraniał mi czytania bajek o potworach, a do głowy mu jakoś nie przyszło, że niektóre traktaty historyczne są o wiele gorsze.”

„Traktaty historyczne?”

„A jak myślisz? Jeszcze za czasów panowania Żeleźca zamurowywano w fundamentach domów dziecięce palce. To zaledwie jakieś głupie dwieście lat temu.”

„Ludzie są koszmarni” – stwierdził smok po raz wtóry.

Kamyk miał serdecznie dość. Osunął się tam, gdzie stał i zwinął w kłębek na zimnym kamieniu.

„Dość... Jestem wykończony. Chcę spać.”

Poczuł, że Pożeracz Chmur kładzie się obok, przytulając się do jego pleców. Był gorący.

„Nie szalej. Nie jadłeś od dawna, nie masz na to sił. Wypalisz się do reszty, a potem zaczniesz wariować” – skarcił smoka w myślach.

„Jeszcze trochę wytrzymam” – odparł Pożeracz, lecz powrócił do poprzedniej, rozsądniejszej temperatury. Kamyk poczuł, jak cofa się ciepłe, miękkie uczucie pełnego kontaktu, które aż do tej pory otulało jego umysł bezpiecznym kokonem. Jednak czuł się zbyt zmęczony, by znów ulec lękom. Zasnął w mgnieniu oka. Nie przeszkadzało mu już ani makabryczne sąsiedztwo, ani tym bardziej zimno i twardość posłania.



Obudził się z poczuciem, że coś się zmieniło. Na pół przytomny, porządkował doznania. Czuł twardość posadzki, ból zeszywniałych mięśni, ciężar ramienia Pożeracza Chmur na piersiach i jego oddech, który owiewał mu ucho. Otworzył oczy. Smolista czerń zbladła, stając się zwykłym półmrokiem. W przestrzeni podziemnej sali zobaczył cienki wachlarzyk słonecznych promieni, którego źródłem była wąziutka, pionowa szczelina w jednej ze ścian. Poderwał się gwałtownie i potrząsnął Pożeraczem Chmur jak workiem. Zaspany smok gniewnie zamachał rękami, ale w następnej chwili również zerwał się na równe nogi. Serce Kamyka napełniła otucha, Pożeracz podskakiwał, wyjąc tryumfalnie. Dotarli do tego miejsca po zachodzie słońca, nic więc dziwnego, że nie zauważyli żadnej różnicy. Pożeracz zapuścił palce w szczelinę i mocno szarpnął. Szpara rozszerzyła się, na nogi poleciał im gruz i kawałki zmurszałego drewna. Więźniowie podziemi z rozkoszą wciągnęli w nozdrza świeży zapach dżungli. W oczy uderzył ich słoneczny blask, oślepiając na długie minuty. Kamyk osłaniał oczy dłonią, oswajając się z jaskrawym światłem. Smok tymczasem z pasją niszczył przeszkodę dzielącą ich od reszty świata. W końcu wyrwał sporą dziurę, lecz gdy się przez nią wychylili, czekało ich następne rozczarowanie. Przed nimi rozciągał się wspaniały krajobraz: falujące lekko korony drzew widziane z góry i błękitne niebo. Poniżej otworu schodziła pionowo w dół skalna ściana i aby ją pokonać, trzeba by mieć skrzydła lub bardzo długą linę.

„Drobiazg – stwierdził buńczucznie Pożeracz Chmur. – Przemienię się i po prostu sfrunę!”

Kamyk był jednak sceptyczny.

„Na głodno? Chcesz powtórkę z Bursztynowego Wybrzeża? Jak chcesz się zabić, to nie przy mnie. A poza tym i tak nie zmieściłbyś się w tej dziurze.”

„Ale teraz przynajmniej nic nas nie wygłusza i mogę zawiadomić kogoś, że tu jesteśmy.”



Jagoda obudziła się o świcie z niespokojnej drzemki. Natychmiast jej wzrok odszukał postać Słonego, który siedział na skraju tarasu, tyłem do niej. Jego zgarbione plecy sugerowały, że poranek nie przyniósł dobrych wieści. Jagoda ostrożnie wysunęła się spod moskitiery i na palcach podeszła do ojca.

– Nic? – szepnęła cicho.

Pokręcił głową przecząco. Pod oczami miał sine cienie, jakby nie spał przez całą noc.

– Nic. Zupełnie nic nie wyczuwam. Myślę... – Głos mu zadrzał. – Obawiam się...

Jagoda objęła go z całej siły.

– Nie, tato! – wyszeptała, by nie obudzić rodzeństwa. – Nie! Jeszcze będziemy szukać. Może śpi, może jest tylko nieprzytomny. Nurek, Deszczowy Przybysz i Pazur obiecali szukać go dzisiaj. Skacząca Gwiazda widział go przecież wczoraj na swoim terenie, a tam nie jest bardzo niebezpiecznie.

– Wczoraj były wstrząsy. Kto wie, co mogło się stać. Widział go przed czy po?

Jagoda zamrugła niepewnie.

– Nie wiem. Ale... tato, właściwie dlaczego Pożeracz Chmur jeszcze się nie odezwał? Przecież się przyjaźnili... więc dlaczego...?

Nagle zeszywniała, jej spojrzenie na chwilę stało się szkliste.

– Pożeracz!!! – wrzasnęła przeraźliwie, wbijając dziki wzrok w Słonego, który odruchowo chwycił ją za ramiona.

– Co...

– Są razem! Żyje! Kamyk żyje! – Jagoda zamknęła oczy, bojąc się uronić choć słowo z tego, co przekazywał jej z oddali zmęczony, wygłodniały smok.

Zaniepokojona krzykiem, ze swego hamaka uniosła głowę Księżycowy Kwiat. Zaspane dzieci tarły pięściami oczy, ziewając i dopytując się, co się stało.

– Nie do wiary – westchnęła wreszcie Jagoda. – Utknęli razem gdzieś w jaskini. Nie mogli się wydostać i dopiero teraz znaleźli jakiś otwór, ale bardzo wysoko nad ziemią – mówiła szybko, z podnieceniem. – Nie zejda bez liny. No i są strasznie głodni.

– Gdzie to jest? – Słony już wciągał na siebie drelichy, w których zwykle chodził na wyprawy do lasu.

– Nie wiem. Patrzyłam oczami Pożeracza, ale nie mogłam rozpoznać terenu. Wszystko widziałam z góry. On też nigdy nie oglądał tej okolicy z tego miejsca i pod takim kątem. Jedno tylko jest pewne: są po wschodniej stronie Jaszczura, bo słońce świeci wprost na nich. Ale znajdziemy ich na pewno, tato.

Nawet gdyby Słony próbował nakazać Jagodzie pozostanie w domu, na nic by się to zdało – mag doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Nie, tato, nawet o tym nie myśl – odezwała się stanowczo jego czternastoletnia latorośl, tak samo pospiesznie wkładając ubranie. – Przecież ja lepiej od ciebie znam las i szybciej doprowadzę cię na miejsce.

Księżycowy Kwiat z odwieczną kobiecą intuicją zaczęła szykować jedzenie na drogę.



Nawiązanie kontaktu z Jagodą i obietnica rychłej pomocy sprawiła, że humory Pożeracza Chmur i Kamyka znacznie się poprawiły. Co prawda nadal tkwili w pułapce, około sześćdziesięciu pik nad ziemią, i mogły upłynąć całe godziny, zanim dotkną stopami ziemi na dole, niemniej sytuacja uległa pewnej poprawie.

„Tyle, że robię się coraz głodniejszy – przekazał Pożeracz Chmur, łakomie patrząc na polatujące nad drzewami ptaki. – I pić mi się chce.”

Kamyk tylko westchnął. Od chwili gdy otworzył oczy, starał się nie myśleć o wodzie, lecz wyobraźnia wciąż podsuwała mu dręczące obrazy czystego nurtu strumienia, kropli spadających z krawędzi liścia, deszczu... Do licha, jak mógł kiedykolwiek narzekać na nadmiar deszczu? Lepiej spróbować zapomnieć o dręczącym pragnieniu. Odwrócił się w stronę wnętrza kamiennej sali i zaczął rozglądać z rosnącą ciekawością. Komnata wykuta w żywej skale okazała się mniejszych rozmiarów, niż przypuszczali wcześniej, oszukani echem. Co jednak nie znaczyło, że była przytulna. Pomieszczenie przypominało nieco kształtem ćwiartkę pomarańczy. Szarych ścian nie zdobił żaden fresk, z półkolistego sufitu zwieszało się na obrośniętych kurzem łańcuchach kilka świeczników. Domniemany ołtarz ofiarny okazał się po prostu topornym granitowym stołem zarzuconym jakimiś gratami. Wokół niego stały rozpadające się ze starości zydle. Wzdłuż półkolistej ściany ciągnął się długi rząd regałów w zadziwiająco dobrym stanie, a na nich piętrzyły się stosy ksiąg i walcowatych pudełek na zwoje. Kamyk dostrzegł kilka skrzyń, trochę desek będących pewnie przed laty blatami stołów, bo wśród szczątków stoczonych przez robactwo i wilgoć poniewierały się naczynia, fragmenty mechanizmów i narzędzia. Wszystko tonęło pod jednolitą powłoką scalonego kurzu. Dreszcz przebiegł chłopcu po plecach. Niespodzianie poczuł niezwykle wzruszenie i niemal nabożny lęk. Minęły wieki, odkąd ostatni raz stanęła tu stopa ludzka, lecz potrafił bezbłędnie odgadnąć przeznaczenie tego miejsca. Znajdowali się w starej pracowni maga – może jednego z tych, którzy z za wielkiej wody przybyli na te ziemie pod czerwonymi żaglami legendarnych okrętów.

W sali tylko jedna ściana była wolna od półek. Wybito w niej szereg okien, obecnie zasłoniętych deskami oraz oblepionych dokoła futryn kruszącą się



zaprawą. Jedno z zabezpieczeń wypaczyło się na tyle, by utworzyć ową zbawienną szczelinę, wpuszczającą do środka światło i powietrze, lecz reszta nadal trzymała się mocno. Kamyk podszedł do półek wypełnionych po brzegi woluminami. Książki, leżące tak długo w zawilgłym chłodzie, musiały być bardzo kruche ze starości. A kto wie, jak cudowne rzeczy się w nich kryły? Młody mag delikatnie, samymi końcami palców dotknął jednego z tomów, czując pod opuszkami fakturę wytłaczanej skóry. Jego palce pozostawiły na okładce długi ślad, ukazując gładką, lśniącą powierzchnię. Z walącym sercem podniósł tom – ostrożnie, jakby zrobiono go z piasku. Jednak księga nie rozpadała się pod wpływem dotyku, okładka była sztywna, a karty dawały się łatwo odwracać. Zachęcony tym, podnosił coraz to nowe książki, wycierając je delikatnie. Okazało się, że wszystkie są w takim stanie, jakby położono je tam wczoraj, choć warstwa kurzu gruba na palec świadczyła, że w rzeczywistości spoczywały w tym miejscu całe dziesięciolecia, o ile nie wieki. Pergaminowe karty pokrywały szeregi niezrozumiałych znaków, diagramy lub wizerunki ludzi i zwierząt, w których Kamyk rozpoznał kilka miejscowych gatunków. Pożeracz Chmur tymczasem z rosnącym zapalem penetrował resztę pomieszczenia, oglądając i czyszcząc skrajem przepaski rozmaite przybory – również znakomicie zachowane.

„Kamyk, wiesz o czym myślę? – odezwał się smok. – To jest niemożliwe, że jedyna droga tutaj to ten cholerny tunel. Nikomu nie chciałoby się pokonywać takiej odległości po to, żeby stąd wyjść czy wejść.”

Kamyk odwrócił się do niego, wciąż trzymając w ręku oglądany właśnie tom. Odkryta biblioteka zafascynowała go do tego stopnia, że na chwilę zapomniał nawet o tym, że nadal są uwięzieni.

„Masz rację. Na pewno muszą tu być jakieś wyjścia, pewnie dobrze zamaskowane, żeby nie dało się ich dojrzeć z zewnątrz. Może nawet jakieś mijaliśmy po ciemku i nie wiedzieliśmy, że tam są.”

Pożeracz Chmur niechętnie zajrzał w mroczny wylot tunelu, którym przyszli.

„Nie, nigdzie nie idę – zdecydowałem. – Ciemno, zimno, do domu daleko... Zapuścić się w jakiś boczny korytarz i znów zabłądzić? Nie, dzięki. Wolę przysiąść sobie ogon tutaj, bo przynajmniej wiem, gdzie jestem.”

Znów rozejrzał się po pomieszczeniu, a jego uwagę przyciągnął podłużny kształt, leżący wśród resztek jakiejś drewnianej konstrukcji.

„A to co jest?”

Kamyk podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Przedmiot był sporych

rozmiarów, przykryty zetlałą szmatą. Wokoło poniewierało się kilka glinianych miseczek. Wyglądało na to, że owo „coś” leżało na niezbyt mocnym drewnianym podwyższeniu, które z upływem czasu załamało się pod własnym ciężarem. Kamykowi ten widok kojarzył się z czymś niejasno, ale zanim zdążył w pełni uświadomić sobie z czym, Pożeracz Chmur przykucnął i podniósł zetlałą, wystrzępioną tkaninę, a serce chłopca wykonało szaleńczy podskok. Pod spodem leżał ludzki szkielet. Czaszka szczyrzyła pożółkłe zęby w upiornej parodii uśmiechu. Księga wysunęła się Kamykowi z rąk i upadła z hukiem na ziemię.

„Daj spokój, przecież to tylko kości” – rzucił lekceważąco Pożeracz Chmur.

Odrzucił resztki całunu, odsłaniając zapadniętą klatkę żeber. Trącił palcem kość, która rozpadła się na kawałki. Kamyk ze złością szarpnął go za ramię do tyłu.

„Zostaw to!”

Pożeracz Chmur spojrzał do góry wzrokiem obrażonej niewinności i wzruszył ramionami.

„To przecież tylko kości” – powtórzył, ale dało się w tym oświadczeniu wyczuć ślad niepewności.

„To nie są »tylko« kości – zaprotestował Kamyk, obejmując ramiona rękami, jakby zrobiło mu się zimno. – To człowiek. Umarł i leży tu zupełnie samotny. Nikt nie ułożył mu stosu i nie złożył ofiar żałobnych, a ty jeszcze usiłujesz go roztluc na proszek. A tak po prawdzie, mały włos, a byśmy też zostali w tej pustelni, jemu do towarzystwa.”

Wbrew pozorom Pożeracz Chmur nie był pozbawiony wyobraźni. Odsunął się od zwłok, z zakłopotaniem drapiąc się za uszami.

„Nie wiem, o co ci chodzi. Ofiary? Stosy pogrzebowe? Na co to komu potrzebne, skoro nie żyje?”

„W ten sposób wyrażamy szacunek dla zmarłego. A wy nie?”

„My zjadamy kawałki.”

„Kawałki czego?” – spytał Kamyk ze zdumieniem. Przekaz wydawał mu się dziwnie niejasny.

„Ciała” – odparł smok lakonicznie, a chłopiec musiał oprzeć się o kamienny stół, gdyż raptem nogi się pod nim ugięły. Jęknął głucho. Pożeracz Chmur oświadczył to absolutnie poważnie. Matko Świata! Tematu smoczycy obyczajów pogrzebowych do tej pory nigdy nie poruszali. Jakoś im to zawsze umykało i Kamyk nic o nich nie wiedział.

„To znaczy, że gdybym umarł na Wyspie Pazura, to skończyłbym jako

obiad?!”

Pożeracz Chmur parsknął, śmiertelnie oburzony.

„Uważasz nas za zwierzęta?! Zjedlibyśmy cię z wielkim szacunkiem i miłością. To zupełnie co innego!”

„Ale jednak zjedli!” – Kamyk w desperacji złapał się za głowę.

„Uważam, że byłbyś smaczny. Czemu nie miałbym cię zjeść? – zdziwił się młody smok. – A wy wrzucacie umarłych do ognia! Co za marnotrawstwo!”

Zdarzały się takie chwile, gdy Kamyk zupełnie nie rozumiał krętych ścieżek smoczego myślenia, więc postanowił nie podejmować dalszej dyskusji.

Przyklęknął przy szczątkach z zamiarem ponownego nakrycia ich całunem, gdy zauważył pierścień, wciąż jeszcze otaczający kość serdecznego palca. Pochylił się, aby lepiej przyjrzeć się ozdobie. Pierścień wykonano z zielonego kamienia, a nieznanemu artyście nadał mu kształt węża trzymającego ogon w zębach. Płaski wierzch głowy gada służył zapewne jako pieczęć, choć bez znaków pisma, tylko z pojedynczym, płytko wyrytym uproszczonym wizerunkiem żółwia. Kamyk odetchnął głęboko i z powagą, powoli opuścił strzępy materii na poprzednie miejsce.

„Śpij dalej spokojnie, Strażniku Słów – pomyślał. – Wrócę tu ze Słonym i wyprawimy ci porządny pogrzeb.”

Po namyśle jednak zaczął przypuszczać, że bezimienny mag nie umarł samotnie, a pozostanie w ukrytej bibliotece było zapewne jego ostatnim życzeniem przed śmiercią. Ktoś przecież musiał ułożyć go na posłaniu i przykryć mu twarz, a potem zamurować okna, zamieniając komnatę w grobowiec. Jakże charakterystyczny dla Żółwia wybór – pozostać blisko ukochanych ksiązek.

„Musi istnieć jakieś inne wyjście. – Pożeracz Chmur wrócił do przerwanej wątku. – Po prostu musi! Może zajrzemy za półki?”

Kamyk niepewnie przesunął wzrokiem po starożytnych meblach. Ruszanie tutaj czegokolwiek wydawało się świętokradztwem. Po pierwsze z powodu wartości historycznej odkrycia, po drugie – makabrycznej obecności martwego właściciela tych skarbów. Jednakże nie wiadomo, kiedy nadciągnie z pomocą Słony i jak długo potrwałoby ściąganie ich ze skalnej ściany. Tymczasem pragnienie przeradzało się już w mękę, a na zewnątrz była woda. Pożeracz Chmur twierdził co prawda, że jeszcze wytrzyma bez jedzenia, ale również bardzo chciało mu się pić. Chłopiec z wahaniem począł wsuwać ręce między zakurzone tomy, wymacując za nimi kamienną ścianę. Jeśli kryło się tu jeszcze jakieś przejście, powinno ukazać się jako drewniana powierzchnia ukrytych

drzwi lub puste miejsce za regałem. Pożeracz Chmur zaczął od drugiego krańca księgozbioru, naśladowując przyjaciela. Palce wciąż natrafiały jedynie na chropowaty kamień, aż do momentu, gdy smok dokonał upragnionego odkrycia.

– Drzwi! – krzyknął tryumfalnie, po czym bez namysłu szarpnął z rozmachem stary mebel, który zważył się z łomotem, wysypując na posadzkę bezcenne woluminy.

„Znalazłem!” – zawiadomił Kamyka, uśmiechając się promiennie. Z gardła Tkacza Iluzji wyrwało się coś pomiędzy stęknieniem a jękiem, gdy zobaczył rozrzucone bezcenne foliały. Pożeracz lekceważąco wzruszył ramionami.

„Daj spokój, papier się nie tłucze. Przecież nic się nie stało, popatrz.”

Podniósł jedną z ksiąg, uderzając w nią pięścią, aż podniósł się kurz. Kamyk zasłonił oczy, nie mogąc na to patrzeć. Pożeracz Chmur przyjrzał się uważniej książce, a na jego beztroską twarz wypłynął wyraz zastanowienia. Ujął tom między płasko ułożone dłonie.

„Jest zagęszczona, zupełnie jak ściany w tunelu” – stwierdził po chwili ze zdumieniem.

„To by wyjaśniało, dlaczego są w tak dobrym stanie – odparł Kamyk. – Muszą być bardzo cenne. – Rzucił smokowi karcące spojrzenie. – Albo właściciel tak je kochał, że postanowił je chronić, żeby nie rozsypały się w proch.”

Ostrożnie przekroczył stertę ksiąg, starając się na żadną nie nadepnąć. Pożeracz Chmur podniósł i odsunął skrzypiący, zdezelowany mebel. Drzwi były zasnutę pajęczyną i tak samo szare od kurzu jak wszystko w komnacie. Ale, co napawało niejakim optymizmem, zamknięto je tylko na prostą zasuwę. Żelazo pokryło się łatkami rudej rdzy, lecz mechanizm wyglądał nie najgorzej. Pożeracz pociągnął za uchwyt, bez rezultatu. Szarpnął kilkakrotnie, wpał się kolanem w futrynę i ciągnął, klnąc we wszystkich znanych sobie językach. Zasuwa nadal drwiła sobie z jego wysiłków, aż zniecierpliwiony przymierzył się do rozwalenia opornych wrót. Kamyk położył mu rękę na ramieniu i potrząsnął głową, po czym z pełnym wyższości uśmieszkiem wyciągnął trzpień blokujący mechanizm. Smok prychnął i przewrócił oczami.

„A jeśli ta droga nie prowadzi na zewnątrz?” – spytał po to tylko, by zetrzeć Kamykowi z twarzy protekcyjnalny uśmieszek.

„Nie wiem, ale chyba warto sprawdzić. Nie jesteś ciekawy, dokąd prowadzą?”

Było to pytanie czysto retoryczne. Według przysłowia najbardziej

ciekawskim stworzeniem na ziemi jest mała, ale ciekawość Pożeracza Chmur zostawiała mały daleko w tyle. Bez namysłu pchnął drzwi, które ustąpiły z niewielkim oporem. Z mrocznego korytarza powiało chłodem. Wydawał się węższy od poprzedniego. Zakręcał, schodząc gdzieś w dół łagodnym łukiem. Niemal od razu obaj penetratorzy dostrzegli ziejący z boku czarny otwór jeszcze jednego przejścia.

„Ta góra jest podziurawiona jak robaczywy ser” – stwierdził smok.

„Pożeracz, nie bądź obrzydliwy. I nie wspominaj o żarciu, dobrze?”

„Czujesz? Wieje z dołu! – Nozdrza smoka poruszyły się z podnieceniem. – Wolność! Jedzenie!”

„Woda!” – dodał Kamyk. Wymienili rozradowane spojrzenia i zgodnie ruszyli dalej. Podłoże schodziło w dół równomiernie, bez jakichkolwiek stopni. Tunel schodził coraz niżej i niżej, po spirali, cały czas skręcając w prawo. Kamyk przezornie trzymał jedną rękę na ramieniu Pożeracza Chmur, drugą, wiodąc wyciągniętą po ścianie, wyczuwał co jakiś czas krawędzie bocznych tuneli czy może płytkich nisz. Wszystko zostało wytrawione w litej skale. Jeśli nie było to dzieło dawnych Stworzycieli, kamieniarze wykonali wręcz gigantyczną pracę, na skalę trudną do ogarnięcia wyobraźnią.

„A jeśli znów dojdziemy tylko do jakiegoś podziemnego morza?”

„Zawsze możemy wrócić.”

Droga w dół nie trwała na szczęście zbyt długo. Wkrótce mrok rozjaśnił się obietnicą wolności.

Pożeracz Chmur przyspieszył kroku. W końcu zaczęli biec, a perspektywa wydostania się z pułapki dodała im sił. W chwilę później smok zatrzymał się tak gwałtownie, że Kamyk z impetem wpadł mu na plecy. Przed dwiema parami rozszerzonych z emocji oczu ukazała się niewielka, płytka pieczara, wypełniona zielonkawym półmrokiem przesianym przez pnącza zarastające wejście.

Kamyk nie mógł darować sobie lekkiej uszczypliwości.

„Przecież to tylko kości” – przedrzeźniał Pożeracza Chmur.

W jaskini leżała ażurowa konstrukcja wielkiego szkieletu obranego z ciała przez leśne ścierwniki i setki owadów. Smocza czaszka łypała pustymi oczodołami, a wielkie zęby zdawały się grozić nieproszonym gościom, którzy mieli odwagę pogwałcić spokój wieczystego legowiska. Dwaj nieproszeni goście patrzyli jak urzeczeni na długie kości skrzydeł, które oparły się końcami o ziemię, tworząc niesamowitą strukturę wraz z łukami żeber i łańcuchem kręgów. Kamyk zadrżał, przejęty niesamowitą atmosferą. Zdawało mu się, że szkielet smoka porusza się, więc pierwotny lęk z łatwością znalazł do niego

drogę. Wciąż trzymał rękę na ramieniu towarzysza i poczuł, że mięśnie Pożeracza Chmur napinają się. Ręka smoka odepchnęła chłopca do tyłu.

„Cofnij się... już!”

„Co?” – W tejże chwili niedoskonałe oczy człowieka dostrzegły to, co wcześniej zobaczył smok.

Gibkie cielsko rozwinęło się wśród szczątków. Z bezkształtnego kłębu wyrósł złowrogi, niby człowieczy kształt, lecz o głowie zniekształconej, jakby przykrytej kapturem płaszczka. Postać kołysała się lekko na masywnym ogonie, prężąc do skoku jak napięta stalowa sprężyna. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pożeracz Chmur pochylił się do przodu, w obronnym odruchu wyciągając przed siebie ręce z zagiętymi palcami. Kamyk sięgnął do rękojeści noża, który miał dla wygody zatknięty z tyłu za pasek.

W tej chwili bestia zaatakowała.

Pożeracz Chmur przyjął na siebie cały impet ataku lamii. Dwa ciała splotyły się w jeden przetaczający się po ziemi kłęb. Kamyk zdążył odskoczyć, lecz koniec masywnego ogona smagnął go po nogach z siłą niemalże łamiącą kości. Dostrzegł, jak Pożeracz Chmur wbija łokieć w gardło lamii, usiłując utrzymać z dala od siebie paszczę grożącą jadowitymi kłami. Miał nóż, ale bał się zranić Pożeracza oplecionego węzowatym cielskiem. Rozpaczliwie wypatrywał okazji, aż wreszcie z rozmachem opuścił ostrze na miotający się kłęb mięśni. Wrzask lamii wypełnił jaskinię. Bestia zadrgała konwulsyjnie. Chłopiec rąbał bezładnie raz za razem, ogarnięty trudną do opisanego grozą i wstrętem. Ogon, miotający się wciąż jak gigantyczny bicz, wymierzył mu cios w bok. Ból pękającego żebra eksplodował gorącą falą. Ostre szpony przecięły chłopcu skórę na ramieniu. Wreszcie jeden z ciosów ciężką klingą trafił między kręgi, przecinając rdzeń nerwowy. Częściowo sparaliżowana bestia nadal była śmiertelnie niebezpieczna, lecz Pożeraczowi Chmur pozostawał choć cień nadziei. W mdłym świetle, padającym od wejścia, Kamyk widział ciała splecione ze sobą niemal w jedno w straszliwym pojedynku. Dwie pary oczu jarzyły się wściekle. W desperacji zaryzykował i zadał cios tam, gdzie zabłysły na chwilę dwie seledynowe plamki, niespodziewanie kończąc w ten sposób walkę. Jeszcze nie wierzył, jeszcze mięśnie same napinały się, oczekując nowych wysiłków. Mieszkaniec jaskini nie żył, ale przerażonemu Kamykowi uzmysłowił to dopiero zabarwiony cierpieniem, niewyraźny przekaz od Pożeracza Chmur:

„Zdejmij ze mnie... to ścierwo...”

Z trudem spełnił tę prośbę. Ciało samca lamii było wyjątkowo wielkie i ciężkie. Pożeracz Chmur przetoczył się powoli na brzuch, usiłując się podnieść.

Sięgnął do lewego ramienia, rozmazując po nim krew, która w zielonkawym cieniu wydawała się czarna. Kamyk podtrzymał go delikatnie, jednocześnie usiłując obejrzeć ranę.

„Ugryzł mnie...”

„Spokojnie. Zaraz to obejrzę.”

„Boli...”

Kontakt urwał się nagle, jak ucięty nożem. Głowa Pożeracza Chmur opadła bezwładnie do tyłu, a chłopca zalało lodowate przerażenie wymiatające z głowy wszelkie myśli prócz jednej: że oto trzyma w ramionach martwe ciało. A potem zrodził się bunt i zaprzeczenie. Nie, to nieprawda, niemożliwe. Nie Pożeracz Chmur! Na pewno nie ten uparty, niezniszczalny dzieciak! Takie rzeczy się nie zdarzają. Nie powinny się zdarzać, bo to niesprawiedliwe. Zwyczajnie niesprawiedliwe! Gdzieś na dnie kołatała się w chłopcu iskierka absurdalnej nadziei, że jego przyjaciel za chwilę otworzy oczy i wyśmieje go: „Nic mi nie jest. Dałeś się nabrać! Kto by się bał takiej lamii. To przecież tylko duża jaszczurka!”. Lecz nic takiego się nie zdarzyło.

Wywłókł bezwładne ciało młodego smoka na zewnątrz, pod gorącą tarczę słońca. Nie mógł uwierzyć w jego śmierć. Szukał choćby najmniejszych oznak, że Pożeracz Chmur nie opuścił jeszcze tego biednego, poranionego ciała. I rzeczywiście, smok oddychał, ale z każdą chwilą coraz słabiej. Jego dusza zwróciła się już ku Bramie Istnień. Za wcześniej, nie teraz! Nie w tym wieku, który dla smoka był zaledwie początkiem życia. Nie, nie pozwoli na to! Jak mógłby żyć bez Pożeracza Chmur?

Opuchnięte ślady po zębach lamii wyglądały jak dwa głębokie cięcia nożem wysoko na barku, prawie u nasady szyi. Paskudne miejsce, gdzie nie dawało się zastosować żadnego ucisku. Żmijowe Pagórki obfitowały w węże i żmije. Kamyk, wychowany pod dachem lekarza, potrafił wyliczyć wszystkie zasady ratowania pokąsanych ofiar gadów, nawet obudzony z głębokiego snu. Lamia to nie wąż piaskowy, a nóż do wycinania dżungli niezbyt nadawał się na narzędzie chirurga, lecz Kamyk nie miał nic innego. Pogłębił rany, pozwalając spływać krwi swobodnie. Wyssał nacięcia, tak jak uczono go w domu.

Człowiek już by nie żył, lecz Pożeracz Chmur na szczęście nie był człowiekiem. Smoki zawsze twardo trzymały się życia. Pełen rozpaczliwej nadziei Kamyk rozcierał zimną skórę młodego smoka, podtrzymując krążenie krwi. Co chwila przykładął palce do szyi rannego, badając puls – nierówny i zbyt szybki; serce wciąż jednak biło. I tak trwała ta nierówna walka, gdy uparty

mag sprzeciwiał się wyrokowi Pani Strzał, odciągając przyjaciela sprzed Bramy Istnień z powrotem do świata żywych. Trwał w zapiekłym uporze, nie licząc czasu i nie dbając o to, że naraża się groźnej Bogini. Nieprzytomny Pożeracz Chmur walczył z własnym opornym ciałem, nakazując mu następny oddech, kolejne uderzenie serca. Po raz pierwszy Kamyk ujrzał, jak Pożeracz Chmur się poci. Grube krople oleistego płynu wystąpiły na jego skórze, łącząc się w coraz obfitsze strumyczki. Wkrótce Pożeracz leżał w niewielkiej kałuży. Następnie doszły przerażająco gwałtowne skurcze, jakby smok miał się wyrzucić na lewą stronę. Kamyk trzymał mu głowę, gdy wymiotował, wyrzucając z prawie pustego żołądka jego mizerną zawartość – mętny, wodnisty płyn. Torsje przedłużały się nadmiernie, a niepokój Kamyka rósł. Pożeracz Chmur wydawał się nie mieć dna. Wreszcie chłopiec zrozumiał, że smoczy organizm pozbywał się trucizny. Wypacał ją, wypłukiwał, ale jednocześnie w zastraszającym tempie tracił wodę. Lękiem napawała myśl, jak długo jeszcze wytrzyma, goniąc resztkami sił.

Później Kamyk nie umiał określić, ile to trwało. Jemu zdawało się, że całe godziny, wypełnione męką i strachem o życie przyjaciela. „Matko Świata, ratuj go – modlił się bezładnie. – Pani Strzał, oszczędź go, a złożę dla ciebie ofiarę z krwi. Władco Przewodniku skrzydlatych, ocal go...”

Pożeracz Chmur był już bardzo odwodniony – skóra napięła się na nim tak mocno, że można by się na nim uczyć anatomii. Skurcze osłabły. Bezładne, zakrwawione ciało spoczywało w objęciach Kamyka. Drżącą ręką podniósł suche źdźbło trawy i położył je pod nosem Pożeracza Chmur. Zadrzało – smok nadal oddychał.

„Kaaaam-yyyk...”

Chłopiec wzdrygnął się z zaskoczenia. Przekaz brzmiał tak słabo i bezładnie, jakby Pożeracz Chmur próbował przedostać się przez grubą ścianę. Jego powieki drgały jak w niespokojnym śnie.

„Ogień... Stos... Zapalisz... dla mnie... stos?”

Wielka kula stanęła Kamykowi w gardle.

„Nie. Żadnego stosu. Wyzdrowiejesz.”

Pożeracz odpływał z powrotem w nieświadomość, lecz jeszcze rozpaczliwie czepiał się jawy.

„Stos pogrzebowy... ja już rozumiem... bo pieczony będę smaczniejszy... nie zapomnij posolić...”

+

Słony i Jagoda z daleka z przerażeniem śledzili wydarzenia u stóp wulkanu



i w najwyższym pośpiechu wraz z wezwanym Pazurem dotarli na miejsce walki kilkanaście minut później. Byli przygotowani na najgorsze, natomiast zupełnie nie spodziewali się widoku brudnego, okrwawionego młodzieńca, duszącego się z histerycznego śmiechu nad ciałem półżywego przyjaciela.

## ✻ MAGOWIE DRUGIEGO KRĘGU ✻

Smoki były najbardziej zadziwiającymi, najodporniejszymi stworzeniami pod słońcem, jakie Jagoda знаła. Może prócz rozgwiast – z posiekanej rozgwiasty najspokojniej wyrastało kilka nowych egzemplarzy. Nie sądziła, by komukolwiek kiedykolwiek udało się posiekać smoka, ale mogła się założyć, że smok, pozbawiony wielu części ciała uważanych za nieodzowne do życia, wyszedłby z tego cało. Tyle że zapewne mniejszy i bardzo, ale to bardzo zły. Najwyraźniej inaczej rzecz się miała, kiedy w grę wchodziła trucizna. Osłabiony jadem organizm Pożeracza Chmur nie potrafił zregenerować się w zwykłym tempie. Gdyby Jagoda z ojcem nie nadeszli w porę, żeby podać mu wodę, młody smok zapewne by umarł, jeśli nie od krążących w jego żyłach toksyn, to po prostu z odwodnienia. Tak czy owak, jego choroba trwała o wiele dłużej niż zwykle. Obrażenia goiły się powoli, a Pożeracz Chmur, zawinięty w bandaż, leżał w domu Słonego – rozgorączkowany i nieprzytomny od dwóch dni. Nawet bolesna zmiana opatrunków nie wyrywała go ze śpiączki. Ranny smok spał głębokim snem wyczerpania. Tego domagało się jego ciało i najmądrzej było mu nie przeszkadzać. Niestety, rozum i serce często chodzą osobnymi drogami. Łagodna i Pazur najchętniej nie odstępowałyby swego dziecka na krok i jedynie twarde prawo terytorialne powstrzymywało ich przed przeniesieniem się na stałe nad zatokę, gdzie oficjalnie rezydowali Deszczowy Przybysz i Skrzydlata. Za to codziennie przynosili upolowane drobne zwierzęta – piźmoszczury, pałanki czy nawet co większe jaszczurki – z nadzieją, że ich syn nareszcie się ocknie i zje cokolwiek. Wszystkie te łupy trafiały jednak do garnka Księżycowego Kwiatu. Smokom niezbyt podobało się to, że ich synem opiekują się ludzie, lecz obecna postać Pożeracza Chmur wymuszała na nich ustępstwa. Nad zatoką unosiła się atmosfera smutku i wyczekiwania. Nawet dzieciom udzielił się ten nastrój, bawiły się spokojniej i ciszej. Kamyk najczęściej przesiadywał przy posłaniu Pożeracza i, podparłszy twarz rękoma, wpatrywał się w niego, czekając. Nagabywanie o własne pęknięte żebro zbywał potrząsaniem głową: nieważne. Jagoda usiłowała znaleźć sobie jakieś zajęcie, ale w końcu i tak wewnętrzny niepokój prowadził ją na miejsce u boku Kamyka i tak czekali razem na jakąkolwiek oznakę poprawy.

Wszyscy wiedzieli, że organizm smoka potrzebuje energii do regeneracji, lecz skąd Pożeracz Chmur miał wziąć siły, skoro nie jadł? Na zmianę poili więc

rannego krwią rozbełtaną z wodą i miodem. Roztwór był tak słodki, że twarz wykręcała się po spróbowaniu zaledwie odrobiny. Przełykał zupełnie odruchowo, nie otwierając oczu i nie budząc się nawet na chwilę. Ani Kamyk, ani Słony nie mieli żadnego doświadczenia w leczeniu smoków, lecz Mówca całkiem rozsądnie zaproponował: „Dostarczmy mu tylko paliwa, a on już sobie poradzi. W każdym razie mam taką nadzieję”.

Okazało się, że miał rację. Zatrokana Jagoda akurat wlewała Pożeraczowi Chmur do ust kolejną łyżeczkę owej przedziwnej mikstury kombinowanej z krwi i miodu, gdy nagle szeroko otworzył oczy. Zakrztusił się i rozkaszał, rozpryskując wszędzie ciemnoróżowe krople.

– Co... to je-kh-st... khe... khe... To pfffffff wstrętne!

– Obudził się!!! – krzyknęła dziewczyna przeraźliwie, alarmując wszystkich dokoła.

– Yhy... – potwierdził Pożeracz, obmacując się niepewnie. – Co to za szmaty? Au...

Słony i Kamyk dopadli go jednocześnie.

– Coś cię boli?

*Jak się czujesz?*

Pożeracz Chmur zastanawiał się przez moment, wsłuchując się w swój organizm.

– Jestem głodny.

Przez kolejne dni wszyscy pozwalali się tyranizować, a młody smok z lubością wykorzystywał swój status obłożnie chorego. Przede wszystkim żądał mięsa, w dużych ilościach, krwistego, a do tego natychmiast. Rodzice znosili mu najrozmaitsze smocze przysmaki, gotowi rozpieszczać do ostatecznych granic swe cudem ocalone dziecko. Pożeracz pozwalał się łaskawie obsługiwać i spełniać różne swoje zachcianki. Był wyraźnie zachwycony tym, że poświęca mu się tyle uwagi. Z początku znoszono to cierpliwie, ale w końcu nawet Słony miał powyżej uszu kaprysów nieznośnego smoka, nie mówiąc już o Kamyku, który dość szybko odzyskał równowagę.



*Wszyscy bardzo martwiliśmy się o Pożeracza Chmur, ale teraz muszę przyznać, że zachowywał się okropnie. Od momentu odzyskania przytomności zaczął błyskawicznie dochodzić do dawnej formy, lecz po raz pierwszy w życiu był aż*

tak rozpieszczany. Najwyraźniej zachwyciło go do tego stopnia, że postanowił przeciągać tę sytuację, jak długo się da. Oczywiście Jagoda i Słony doskonale wiedzieli, że Pożeraczowi właściwie już nic nie dolega i podzielili się ze mną tą wiedzą. Gdy więc ten opryszek z miną zagubionego szczeniaka wysłał mnie nad morze po małże – ale koniecznie świeże, nie za duże, i nie za małe – przydźwigałem wiadro słonej wody i wylałem mu ją na głowę, dokonując cudownego uzdrowienia. W jednej chwili z ledwo żywego mizeractwa Pożeracz Chmur przemienił się w tryskającego energią mściciela. Rzucił we mnie wiadrem (na szczęście zdążyłem się uchylić), wytarzał w piachu, a przed odgryzieniem ucha uratowała mnie Jagoda, pytając Pożeracza, czy znów bije się o nią. Bywało, że widziałem Pożeracza zakłopotanego, zawstydzonego albo zmieszanego, ale jego mina w tamtej chwili zostawiła daleko z tyłu wszystkie poprzednie. Długo nie mogłem dojść do siebie ze śmiechu. To nieznośne smoczysko wpierw się dąsało, że skończyły się czasy słodkiego nieróbstwa, lecz szybko doszło do wniosku, że istnieją lepsze zajęcia niż wylegiwanie się całymi dniami. W końcu przecież odkryliśmy tajemniczy labirynt we wnętrzu góry, który czekał na dokładne zbadanie. Tropikalne lato kończy się i w każdej chwili oczekujemy pierwszej ulewy. To uświadamia mi, jak długo już pozostaję poza domem. Biedny ojciec pewnie myśli już, że zostałem zjedzony i odprawił rytuał żałobny. Wiatr targa pierzaste korony drzew, dmucha we włosy. Czuję w powietrzu nadchodzące zmiany.

Niedługo po ozdrowieniu Pożeracza znów wybraliśmy się do siedziby Strażnika Słów. Słony miał nadzieję, że będzie mógł ściągnąć skórę z lamii i wypchać ją, ale padlina śmierdziała już okropnie, poza tym napoczęły ją okoliczne ścierwojady, więc nie nadawała się do niczego. Słony zadowolił się zawleczeniem lamii na najbliższą ścieżkę mrówek kleszczowych, które w krótkim czasie oczyszczą kości z mięsa, a on będzie dysponował pięknym szkieletem do badań. Natomiast niemal kompletny (bo trochę najmniejszych kości zaginęło) szkielet smoka wprowadził go w absolutną ekstazę, gdyż do tej pory nie mógł nawet zrobić porządnego rysunku anatomicznego. Niestety, smoki zjadają swoich zmarłych w całości, a wyjaśnianie „mam dwanaście kości w przedniej łapie i czternaście w tylnej” to jednak nie to samo.

Skoro już piszę o zwłokach, to szczątki starożytnego maga z uszanowaniem złożyliśmy w dużym glinianym dzbanie, a Pożeracz Chmur na moją prośbę wymalował na nim wzór z kwiatów i żółwi. Myślę, że to odpowiednie. Kości były tak kruche, że łamały nam się w rękach i wypełniły naczynie zaledwie w połowie. Krótko spieraliśmy się ze Słonym, co zrobić ze szczątkami, ale w ostateczności

*zapieczętowane naczynie spoczęło na półce pomiędzy księgami i wygląda tam bardzo na miejscu, jeśli mam być szczery. Oczywiście odprawiłem ceremoniał ofiarowania dla uspokojenia duszy zmarłego, a także spełniłem przysięgę daną Pani Strzał. Skoro obiecywałem jej ofiarę krwi w zamian za życie Pożeracza Chmur, musiałem obietnicę spełnić. Kto wie, czy pamiętliwa Bogini nie zechciałaby się później zemścić. Tak więc wystarałem się o strzały (bardzo marne, w zasadzie jedynie patyki z piórami oraz grotem z muszli, ale liczy się idea), potem złożyłem mały ołtarzyk z kamieni i spaliłem strzały wraz z kawałkiem płótna nasiąkniętym krwią, i zaimprovizowałem dziękczynną modlitwę, tak jak należało.*

*Słony nie widzi w tym żadnego sensu. „Od kiedy to jesteś taki religijny? Trzeba upaść na głowę, żeby kroić sobie ręce nożem z powodu jakichś świątynnych bajek.” Słony jest człowiekiem niewierzącym, a może nawet „antywierzącym”. Nie wierzy w bogów tak bardzo, że mógłby wejść w zabłoconych butach do świątyni Matki Świata tylko po to, żeby zrobić jej na złość. Ja też nie kłaniam się przed każdym świątynnym progiem, a moja religijność – tak myślę – jest z tych raczej „na wszelki wypadek”, ale czułem, że nie miałbym czystego sumienia, gdybym zlekceważył dane słowo. Nawet jeśli Bogini, którą kiedyś widziałem na Wyspie Pazura, była jedynie wytworem gorączki.*



Kamyk uniósł głowę znad zapisanej karty, tocząc wokoło zamyślonym spojrzeniem. Po drugiej stronie kamiennego stołu siedział Słony z nosem w apetycznie grubej książce. Kamyk przeciągnął się, masując zdrętwiały kark.

„Skończyłeś to swoje bazgranie? – odezwał się Słony. – To bądź łaskaw zerknąć na ten symbol, bo mnie się skończyły pomysły.”

Wraz z nadejściem pory deszczowej rodzina maga przeniosła się, jak co roku, do eleganckiej siedziby w starym mieście, jednak Słony i Kamyk zainstalowali się w bibliotece Strażnika Słów, usiłując choć z grubsza skatalogować księgozbiór, zorientować się w jego wartości i zawartości. Szło to dość opornie. Księgi wyjątkowo niechętnie odkrywały swe tajemnice. Pismo przez wieki zmieniło się tak bardzo, że wręcz musieli na nowo uczyć się je odczytywać, zupełnie jakby po raz wtóry trafili do szkoły i to bez nauczyciela.

Kamyk spojrział na symbol, w który celował palec Słonego.

„Ten zygzak? Błyskawica, wąż, góry...”

„Połączony z tym tutaj... Co to było? Zajrzyj do notatek.”

„Zdaje się, że ustaliliśmy to wczoraj jako: »umiejętność« lub »talent«.”

„Talent do łapania węży? Dziwaczne.”

Przez chwilę wertowali stos zapisków. Kamykowi zestawienie znaków kojarzyło się z czymś, co już na pewno gdzieś widział. Przerzucił parę tomów odłożonych na bok i znalazł odpowiednią rycinę. Przedstawiono na niej mężczyznę w oplotach ogromnego węża. Dokoła stały postacie w bogato zdobionych szatach. Co prawda ludzie ci unosili ręce ku górze, lecz scena była statyczna, bez widocznego dramatyizmu w pozach czy wyrazie twarzy. Obaj badacze uznali więc, że przedstawia jakiś rytuał religijny, być może ludzką ofiarę. Dobrowolną – gdyż półnagi człowiek nie wydawał się przestraszony groźną paszczą gada, która zbliżała się ku jego twarzy. Nad głową każdego wizerunku umieszczono napisy. Na początku widniała zawsze umiejętność, potem następował ów tajemniczy, zygzakowaty znak, a potem kilka przypadkowych, zapewne oznaczających imiona.

„Słony, mamy tu najwyraźniej następny traktat religijny. Dam sobie głowę uciąć, że te oba symbole razem oznaczają »kapłana«, a konkretnie kapłana świętyni węży.”

„Oszczędzaj swoją głowę, przyda ci się do czego innego. Kapłan? To by pasowało do wielu rzeczy tutaj...”

Jagoda wraz z Pożeraczem Chmur od dłuższego już czasu penetrowali labirynt wewnątrz góry, odkrywając coraz to nowe podziemne sale. Przepadali na całe dni, biorąc ze sobą zapasy jedzenia i światła. Obojgu nie starczało cierpliwości, by ślęczeć nad ujawnianiem treści kryjącej się między skórzanymi okładkami i w sztywnych rolkach zwojów. Czasem towarzyszył im Kamyk, ale nie lubił mrocznych, zamkniętych przejść, więc najczęściej wypuszczali się na rekonesans tylko we dwoje. Razem odkrywali kolejne pomieszczenia, mierzyli korytarze. Znaczyli kredą podziemne trasy, a Pożeracz Chmur rysował mapy. Odnajdywali naruszone zębem czasu freski na ścianach, które Pożeracz przerysowywał starannie, z przyjemnością oddając się swemu ulubionemu zajęciu. Rysunki te doskonale uzupełniały wiedzę, jaką Słony i Kamyk czerpali z ksiąg, a jednocześnie stwarzały nowe pytania. Tak samo jak w opuszczonym mieście, tak i tu w wielu miejscach powtarzały się motywy węża i nawet ornamenty z falistych linii zdawały się mieć dużo wspólnego z gadami. Sporo dyskusji wywołało malowidło przedstawiające grupę biesiadników

obsługiwanych przez piękności o węzowych ogonach zamiast stóp, a także cała grupa węzoidalnych tancerek na innej ścianie. Pożeracz Chmur uznał je za dość seksowne – od talii w dół. Przy niektórych przejściach umieszczono parami o wiele bardziej gadzio wyglądające stwory, zwykle uzbrojone w dzidy lub miecze, co wiele wyjaśniało, jeśli chodzi o lamie. Prawdopodobnie samiec lamii, który zaatakował wpierw Jagodę, a potem Pożeracza, był jednym z ostatnich (o ile nie rzeczywiście ostatnim) potomków sług dawnych „wojowników i magów”.

Co jednak należało sądzić o węzu trzymającym w pysku własny ogon? W wielkim kole, zajmującym niemal całą ścianę, a utworzonym przez jego cielsko, widniało wiele odcisków dłoni, zrobionych farbą, która kiedyś miała zapewne jaskrawozielony kolor, ale przez wieki wyblakła i ledwie odcinała się od tła. Wszystko wskazywało na to, że Jaszczur był kiedyś ośrodkiem czcicieli węża, czy może raczej Wielkiego Węża. Co jednak stało się z wyznawcami i dlaczego ta religia wygasła? Na kontynencie nie istniała ani jedna, najskromniejsza choćby kaplica, gdzie oddawano by hołd węzowemu bogu.

Szperacze znajdowali podczas tych wypraw także przedmioty, które dawni mieszkańcy zgubili lub uznali, że z jakichś powodów nie są im już potrzebne. W opuszczonych pomieszczeniach stały zdezelowane sprzęty: kulawe stołki, wypaczone stoły, opróżnione skrzynie... niektóre ze śladami dawnej świetności w rodzaju wypęczłych złocien. Drobne przedmioty Jagoda skrzętnie zbierała do torby, by później pokazać je ojcu i Kamykowi. Na przykład guziki lub spinki do ubiorów, popękane naczynia, na których zachowały się czasem bardzo piękne wzory. Pożeracz Chmur natknął się na kościany grzebień bez kilku zębów i wyplatane sandały o przetartych podeszwach. W jednym z bocznych korytarzy Jagoda odkryła coś, co w pierwszej chwili uznała za cynowy talerzyk, a co okazało się zmatowiałym srebrnym lusterkiem. W pomieszczeniu służącym kiedyś za zbrojownię wyszperali w kącie ostrze noża bez rękojeści, kilka wąskich liściowatych grotów i jeden wyszczerbiony miecz o prostej, obusiecznej głowni. Niepodobnej do obecnie używanych – jednostronnych, lekko wygiętych i bardzo ostrych. Najdziwniejszym jednak znaleziskiem było coś w rodzaju drewnianego tasaka, wzdłuż którego osadzono ostre kawałki szkła wulkanicznego. Stoczone przez robactwo drewno ledwo trzymało się w jednym kawałku, a kilka kamieni gdzieś się zgubiło wieki temu. Całość wyglądała dość prymitywnie. Słony wysunął przypuszczenie, że owo narzędzie było czyimś nieudanym eksperymentem, bronią kogoś bardzo ubogiego albo wręcz nawet zabawką. „Nie jest raczej efektywna” – stwierdził lekceważąco. Jednak gdy

Kamyk z pomocą Pożeracza wystrugał nową rękojeść i ponownie osadził w niej zębate „ostrze”, opinię zmienił nagle i radykalnie. Tasak wypróbowany na tuszy upolowanego dzikiego wieprzka, przeciął zwierzę na pół z zatrważającą łatwością. Z pewnością jeszcze łatwiej mógłby poradzić sobie z ludzkim ramieniem lub głową.

Kamyk uważał, że żmudne tropienie znaczenia starożytnych symboli przypominało obserwację mrowiska. Pierwszego dnia wszystkie mrówki są identyczne i nie widać żadnego sensu w ich poczynaniach. Z czasem zaczynają nabierać cech indywidualnych, a najbardziej zajadli wielbiciele mrówek (na przykład należący do kręgu Mówców Zwierząt) pewnie w końcu zaczynają nadawać im imiona. W ciągu dwóch tygodni zidentyfikowali ze Słonym kilkadziesiąt mrówek... czyli znaków, ale koniec tej pracy nawet nie majaczył na horyzoncie.

Stara pracownia Strażnika Słów odżyła, przypominając sobie czasy dawnej świetności. Zajęci księgozbiorem, pracowali tam, jedli i spali, ku niezadowoleniu Księżycowego Kwiatu, która wolałaby mieć męża bliżej przy sobie przynajmniej podczas pory deszczowej. Niestety, jego uwielbienie dla zdobywania wiedzy wygrywało z uwielbieniem dla żony (wcale nie małym), co prowadziło do małżeńskich niesnasek.

W bibliotece na kamiennej posadzce stały naprędce zbudowane prycze oraz kilka żelaznych mis, w których tliły się grube kawałki drewna – z dala od cennych papierów. Otaczała ich lita skała i było porządnie chłodno, zwłaszcza że słońcu rzadko udawało się pokonać deszczowe chmury, żeby zajrzeć do środka przez okna wykute w granicie.

Orientując się z grubsza w zawartości poszczególnych tomów na podstawie rycin, Słony i Kamyk wkładali między stronicę kartki z lakonicznymi notatkami: „anatomia i chirurgia”, „rośliny”, „mapy”, „broń i zbroje, wojna?”, „ryby morskie”, „robale i inne paskudztwa”, „dziwne zwierzęta”, „inne rzeczy”. „Innych rzeczy” zebrało się trzy razy więcej od pozostałych, a kolumny schludnego odręcznego pisma skrętnie ukrywały swe tajemnice. Były to te książki i zwoje, w których brakowało rysunków, tak że nikt w żaden sposób nie potrafił się zorientować, o czym traktują. Mogły zawierać zarówno niewiarygodne sekrety wszechświata, jak i poezję, paszkwile polityczne czy przepisy na sto pięć sposobów przyrządzenia ryby jeźówki.

Dwie kędzierzawe głowy pochylały się do późnych nocnych godzin nad rękopisami. W ciepłym żółtym świetle lampy dwie pary oczu wyłapywały z książkowej kaszy co prostsze znaki kojarzące się z czymkolwiek znajomym.



Gdyby badacze mieli do dyspozycji księgozbiór Kręgu, ich praca posuwałaby się do przodu o wiele szybciej. Przypuszczalnie znajdowały się tam materiały o zmianach w pisowni, sięgające wstecz przynajmniej do czasów Rozproszenia, lecz Mówca bardzo sceptycznie podchodził do myśli, że odkrytym księgozbiorem mieliby zająć się bibliotekarze z Zamku Magów.

„Żółwie są obłąkane, momentami bardziej niż stare smoki. Są zdolni zabić dla... a w każdym razie ukraść wszystko, co ma kartki – zapewniał Tkacza Iluzji. – Oczywiście, że są o wiele bardziej wykształceni niż my, ale dałbym sobie rękę uciąć, że jakby tu wpadli, to by w mgnieniu oka wywieźli wszystko na kontynent. Prędzej byś zobaczył własne ucho niż cokolwiek z tej kolekcji. – Słony zrobił zamaszty gest, wskazując na półki. – Jeżeli Krąg położy na nich łapę, nigdy się nie dowiemy, co zawierają. Całe to bogactwo zniknie w czeluściach biblioteki Zamku, a dostęp do niego będą miały jedynie gryzpiórki spod znaku żółwia.”

Kamyk był pełen sceptycyzmu.

„Nie wierzę. Słony, na pewno się mylisz. To przecież jest wspólne dziedzictwo. Jak mogliby odmówić do tych ksiąg dostępu innym ludziom? Może jakimś obcym, ale przecież nie magom!”

Słony skrzywił się w smutnawym, na poły wzgardliwym uśmiechu.

„Naiwny jesteś, dzieciaku. Wierzysz jeszcze, że Krąg Magów to stowarzyszenie samych szlachetnych, bezinteresownych i wybitnych osobistości. Ja też kiedyś tak myślałem. Niestety, rozczarowanie boli tym bardziej, im mocniej się wierzyło w takie rzeczy.”

Kamyk miał ogromną ochotę zapytać, czym też uraził Słonego Krąg. Starszy mag jednak nie wyglądał na skłonnego do zwierzeń.

„Czy to znaczy, że kiedy wrócę na kontynent, mam siedzieć cicho? – upewnił się chłopak. – Co mi to da? Tak czy siak, nie będę miał dostępu do tego miejsca. Nie mogę przecież tu siedzieć wiecznie. Poza tym to odkrycie ułatwi mi wejście między mistrzów.”

Mówca wzruszył ramionami.

„Oczywiście, błękit mistrza jest bardzo ważny, pewnie najważniejszy. Błękit to władza, bogactwo i piękne kobiety... co tylko sobie zażyczysz. Zastanów się, bardzo cię proszę, czy na pewno to jest to, czego naprawdę pragniesz.”

Na twarzy Kamyka odbiło się zakłopotanie. Dlaczego nie miałyby pragnąć bogactwa? Z pewnością brak zmartwień o codzienny kawałek chleba był czymś mile widzianym. Władza? Lepiej rządzić, niż być rządzonym, to też oczywiste. Na temat kobiet nie miał jeszcze wyrobionego zdania.

Wreszcie zebrał w sobie całą stanowczość, na jaką mógł się zdobyć.

„Słony, myślę, że nie powinienes, zdecydować o czymś, czego sam nie odkryłeś.”

Słony chyba spodziewał się takiego obrotu sprawy, gdyż jedynie drwiąco uniósł brwi.

„To prawda. Prawa przynależą do odkrywcy. Ciekawe więc, co powie na ten temat Pożeracz Chmur. Jest przecież współodkrywcą, prawda?”

Kamykowi zrzędała mina. O tym nie pomyślał.



Jak to było do przewidzenia, Pożeracz Chmur poparł Słonego. Dyskusja trwała długo i właściwie wyglądała jak zwyczajna kłótnia, gdyż z początku obie strony zarzucały sobie nawzajem egoizm i wytykały rozmaite słabości charakterów. Jagoda nie wytrzymała nerwowo i uciekła do wnętrza góry. Dopiero gdy emocje opadły, Słony, Kamyk i Pożeracz Chmur zdobyli się na nieco więcej wyrozumiałości.

„Tak mi się nie bardzo wydaje, żeby tym wszystkim typom z Zamku chciało się tu siedzieć i czytać każdą książkę po kolei. A nawet gdyby, to przecież smoki tu nie wpuszczą więcej ludzi, na pewno nie... Myślę, że tamci wszystko zabiorą i już się niczego nie dowiem. Na pewno nie wpuszczą smoka do biblioteki. Nie, wolę, żebyś nic nie mówił tamtym na kontynencie” – wyraził swoją opinię Pożeracz Chmur.

Mimo że Pożeracz z pozoru mało interesował się pracą przy księgozbiorze, bardzo zaciekały go cztery manuskrypty, które musiały przynajmniej częściowo traktować o smokach, gdyż zawierały nieco rycin je przedstawiających. Co prawda Pożeracz uznał je za niezbyt udane, lecz można było przyjąć, że niewprawny artysta rysował z natury. A to z kolei mogło znaczyć, że jest tam zawarta wiedza zapomniana przez ludzi i zatracona przez smoki – które niczego nie zapomniały, ale czasem po prostu lekcewały pewne informacje i nie przekazywały ich młodszemu pokoleniu. Stąd perspektywę rozstania z tymi dokumentami przyjmował z ogromną niechęcią.

„To jest wyjątkowa rzecz i nie powinniśmy chować ich tylko dla siebie. Co za różnica, czy to pozostanie zamknięte w bibliotece Kręgu, czy tutaj, w Labiryncie?” – Opór Kamyka kruszył się bardzo, bardzo powoli. Z jednej strony Słony nigdy nie dawał mu powodów do nieufności, z drugiej zaś,

dlaczego właściwie zatajenie odkrycia przed Kręgiem miałoby być aż tak ważne? I czemu by służyło?

Słony przyjrzał się chłopcu spod oka.

„Różnica jest taka, że kiedy wreszcie to przetłumaczę, mam zamiar udostępnić kopie chętnym, a nie chomikować wszystko w jakiejś piwnicy – odparł. – A ty przyznaj się całkowicie szczerze, czy bardziej chcesz się przysłużyć społeczeństwu, czy raczej zależy ci na zrobieniu wrażenia w Kręgu.”

Młody Tkacz zaczerwienił się z zakłopotania.

„Czy naprawdę uważasz, że twoje umiejętności nie wystarczą, aby zapewnić ci pozycję? A może uważasz, że łatwiej jest przekupić Radę, niż faktycznie zapracować na ten twój błękit?”

Rumieniec Kamyka nabrał odcienia purpury.

„Ojciec byłby ze mnie dumny...” – bronił się słabo, spuszczać oczy.

Słony roześmiał się i poklepał chłopca po ramieniu.

„Czy mam rozumieć, że teraz nie jest z ciebie dumny? Daj spokój, za nisko się cenisz.”

To stwierdzenie trochę pocieszyło Kamyka, lecz jeszcze długo bił się z myślami. Czy powinien zachować lojalność wobec przyjaciół, czy może postąpić według tego, co dyktował mu zdrowy rozsądek? Oszukiwanie Kręgu n i e b y ł o rozsądne.

Tymczasem dni mijały, a jego dylemat pozostawał nierozwiązany.



Słony ze zrozumiałych względów utrzymywał z siedzibą Kręgu rzadkie, chociaż regularne kontakty. O ustalonych porach zjawiał się na Jaszczurze kurier – Wędrowiec, by dostarczyć rodzinie maga rzeczy nieosiągalne na Smoczym Archipelagu i odebrać zamówienie na następny sezon. W ten sposób Słony z dużym wyprzedzeniem musiał planować, czy będzie mu potrzebny papier, nowe narzędzia lub leki, a Księżycowy Kwiat starannie obliczała, ile ma jeszcze mąki, soli i czy już potrzebuje nowej miary płótna i nici, czy jeszcze zdoła wyłatać i przerobić stare ubrania. Wędrowiec odbierał też kopie prac Słonego, uzupełniane stopniowo mapy, nasiona, skóry zwierząt przeznaczonych do wypchania i... woreczki ziół, zbieranych i suszonych przez Księżycowy Kwiat. Zbliżał się termin następnej wizyty Wędrowca, gdyż od ostatniej minęło już prawie pół roku. Dla Kamyka oznaczało to możliwość powrotu do domu.

Tęsknił do niego, choć wiedział doskonale, że nie czekało go tam nic, prócz nudnego prowincjonalnego życia. Płowy nie był już najmłodszy – tkwiło to na dnie umysłu chłopca jak drażniąca drzazga. Jak radzi sobie jego przybrany ojciec? Czy nie choruje? Kto pomaga mu w gospodarstwie? Potrzebował czyjejś pomocy, a nawet zwykłego towarzystwa. Zwłaszcza teraz, gdy zaczynały się jesienne słoty, dni wlokły się, jakby kto je specjalnie rozciągał, a dach prowadził ze swym właścicielem podstępna wojnę, przeciekając w coraz to innym miejscu.

Z drugiej strony młodemu Tkaczowi Iluzji okropnie nie chciało się opuszczać Jaszczura, który stał się dla niego właściwie drugim domem. Lubił tu wszystkich i czuł, że jest lubiany, a to miało wielką wartość po samotniczym dzieciństwie w Żmijowych Pagórkach. Gdyby to Płowy przeniósł się na Smoczy Archipelag... to było tylko marzenie, niemożliwe do spełnienia.



Nauczony doświadczeniem, Kamyk spodziewał się widoku wymuskanego „podróżnika” w domowych pantoflach, jakby przed chwilą wyszedł z własnej sypialni i bez żadnej fatygi przeskoczył wprost na Jaszczura. Tymczasem mag wyglądał na zmęczonego podróżą i rzucił się z nieukrywanym entuzjazmem na posiłek podany przez Księżycowy Kwiat. Jak objaśnił chłopcu Słony, Wędrowiec w rzeczywistości przyplłynął na statku, który, według niepisanej umowy ze smoczym plemieniem, nie zbliżał się do brzegów Jaszczura, pozostając na terenie neutralnym. Wędrowiec skorzystał ze swego talentu, by dotrzeć do miejsca przeznaczenia wraz z zamówionymi przez Słonego towarami. Niewiele miał czasu na załatwienie wszystkich spraw, nie chcąc nadużywać cierpliwości kapitana. Smoki od wczorajszego dnia obserwowały nieproszonych gości, krążąc wokoło żaglowca. A i teraz podobno co rusz któryś przelatywał nad masztami, wprawiając załogę w uzasadnioną nerwowość.

– Morskie podróże – mruknął Wędrowiec, z przyjemnością racząc się pieczonymi małżami i warzywami. – Panie Słony, ja osiwieję przez pana. Czy naprawdę musi pan siedzieć na tym końcu świata?

– Może to i koniec świata, ale mój własny.

– Nie taki własny – sprzeciwił się Wędrowiec. – Smok tu na smoku. Nawet przycumować dobrze nie można.

– Przeze mnie masz przynajmniej zajęcie, panie Puchacz. Nie docenia pan tego? – zaśmiał się Słony.

– Za mało mi płacą, oj, za mało. Niech demony porwą te łajby – pokręcił głową Wędrowiec zwany Puchaczem.

– Załoga tam gdzie zawsze? – spytał Słony.

Puchacz znów pokręcił głową.

– Wylądowali tym razem na Krabiej Wyspie. Minie parę godzin, nim odpoczną i odnowią zapas wody. Co mam zabrać tym razem?

– Mam ładny szkielet samca lamii na sprzedaż. Nowy rozdział Smokologii dla kopistów, no i jego. – Słony wskazał kciukiem na Kamyka, który siedział kawałek dalej i przyglądał się Wędrowcowi z ciekawością. – Weźmie go pan do Podzamcza albo gdziekolwiek, gdzie macie swoją Stację Poczтовую. Chłopak musi wrócić do domu. To nasz – dodał.

– Nasz...?

– Tkacz Iluzji, przypadkiem podróżujący w okolicy.

– Cóż za niezwykle przypadki są na tym świecie... – westchnął Wędrowiec i zagryzł małżem. – Niech się pakuje. Ma czas do jutra.



Kamyk jeszcze raz zajrzał do kilku komnat w labiryncie, gdzie Pożeracz Chmur i Jagoda znaleźli najpiękniejsze freski. Z ukrytym żalem wiódł wzrokiem po malowidłach, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, które później mógłby przywołać z pamięci. Wykąpał się w pamiętnym jeziorku, na którego brzegu Jagoda rozbiła mu nos. Żegnał się ze znajomymi ścieżkami i ulubionymi płaskorzeźbami w zrujnowanym mieście. Starannie spakował i zabezpieczył rysunki ofiarowane mu przez Pożeracza Chmur. Zszedł z dziećmi Mówcy na brzeg morza, by puszczać nieudane kaczki na wzburzonych falach, zdając sobie boleśnie sprawę, że wszystko tego dnia robi po raz ostatni.

Po raz ostatni też widział się z Łagodną i Pazurem, którzy niespodzianie pojawili się na skraju zrujnowanego miasta. Ojciec Pożeracza udawał, że obchodzi go tylko rozmowa z synem, ale Łagodna co rusz ocierała się wielkim łbem o chłopca, zapewniając go, że smuci ją jego odejście.

„Ty dobry przyjaciel dla moje dzieci” – przekazywała niezdarnie, wibrując od mruczenia. Przytulił się na chwilę do jej wielkiej głowy, zanurzając twarz w miękkiej sierści. Niedawno nad wyspą przetoczyła się kolejna fala ulewy i futro smoczyca zachowało ślad wilgoci. Liska nie rozumiała powagi sytuacji. Chciała się tylko bawić i szarpała Kamyka za rzemyki sandałów.

Kamyk wziął ją na ręce i podszedł do Pazura. Smok nadal udawał, że nie dostrzeżę człowieka, który zatrzymał się tuż obok jego masywnej łapy. Trwał sztywno jak posąg, choć chłopak zadzierał głowę, wpatrując się w niego uparcie. W tej walce charakterów, o dziwo, wygrał człowiek. Pazur nagle opuścił wielki łeb, z irytacją dmuchając gorącym oddechem wprost w twarz Kamyka. Chłopiec drgnął i zmrużył oczy, lecz nie cofnął się.

„Co...?” – mentalny przekaz od Pazura był szorstki jak pilnik.

Kamyk sapnął krótko, wykonując całkiem udaną imitację smoczego uśmiechu.

„Byłem gościem na twoim terenie. Traktowałeś mnie całkiem przyzwoicie... czasami. Dziękuję za to, że sprowadziliście Słonego.”

„Łagodna – ona mocno uparta” – odparł Pazur, ziewając z zakłopotaniem i trzępiąc uszami. – Idź, ty ludzkie szczenię. Uciekaj, bo ja zapomnieć, że ty dziecko.”

„Dziękuję” – powtórzył Kamyk, drapiąc Liskę po łebku i usiłując uniknąć jej entuzjastycznego lizania oraz podgryzania. Opuścił małą na ziemię i skierował się do domu Słonego. Znow zaczęła padać.

Dogoniła go szorstka myśl Pazura:

„Ja dziękuję za Liska.”

Zaskoczony, odwrócił się szybko, lecz smoki już odchodziły w głąb wilgotnego lasu. Pazur otrząsał skrzydła z deszczówki i bił ogonem po bokach niczym rozdrażniony deszczem kocur.



Kiedy Kamyk postawił stopę na Jaszczurze, nie miał prawie nic. Niemal wszystkie jego rzeczy zostały skradzione lub zniszczone. Z pewnym zdumieniem zorientował się, że przez tygodnie spędzone pod dachem Słonego jego majątek znacznie się powiększył. Mniejsza o to, że Księżycowy Kwiat przerabiała na chłopca męzowskie tuniki i spodnie – było ich tylko dwie pary, gdyż i tak w gorącym klimacie chodziło się półnago. Drobiazgi codziennego użytku w rodzaju drewnianego grzebienia czy nożyka do obcinania paznokci również nie zajmowały wiele miejsca. Natomiast na kolekcję owadów i próbek roślin przeznaczony dla Płowego potrzebował kilka sporych pudeł. Nie wspominając już o grubym pakiecie z notatkami i rysunkami Pożeracza Chmur – pod jego ciężarem po prostu opadały ręce. A tu jeszcze ostatniego dnia wręczano

mu różne podarunki na pamiątkę. Tygrysek szczerze ofiarował Kamykowi najładniejszego smoka ze swojego zbioru zabawek. Błyskawica i Żywe Srebro – muszlę o tęczowym wnętrzu, a Jagoda nóż znaleziony w podziemnej zbrojowni – oczyszczony z patyny, ponownie naostrzony i oprawiony w rękojeść, prezentował światu złowieszczy błysk mosiężnej klingi. Kamyk był nieco zakłopotany hojnością przyjaciół, lecz uczucie to wzrosło w dwójnasób, kiedy Słony wetknął mu do ręki monetę półtalentową, zbywając nominalną wartość prezentu lekceważącym: „Wracasz do cywilizacji, przyda ci się bardziej niż mnie”.

Pożegnanie z Pożeraczem Chmur przypominało rwanie zęba: było krótkie i pozostawiło po sobie długi ćmiący ból. Przyszedł dopiero wtedy, gdy Wędrowiec już gotował się powoli do skoku, a Kamyk stał obok niego wraz ze swoim bagażem. Być może próbował odsunąć jak najdalej nieunikniony moment pożegnania. Przywłókł się powoli, ze zwieszoną głową, kopiąc wilgotny po ostatnim deszczu piach.

„To był dobry rok” – odezwał się Pożeracz.

Kamyk pokiwał głową twierdząco, umykając spojrzeniem. Czuł ucisk w gardle i z zakłopotaniem usiłował ukryć wzruszenie.

„Tego by jeszcze brakowało, żebym się rozplakał. Nie jestem małą dziewczynką” – pomyślał.

Pożeracz Chmur przechwycił tę myśl i uśmiechnął się.

„Daleko ci do tego, dryblasie.”

Dwie chłopięce dłonie wyciągnęły się ku sobie z wahaniem, a potem ich palce splotły się mocno.

„Zobaczymy się jeszcze – obiecał Pożeracz. – Znajdę cię wszędzie. Nie myśl, że się mnie łatwo pozbędziesz.”

Kamyk wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu.

„Mam nadzieję, że nie. Jesteś jak choroba, do której człowiek się przyzwyczaja.”

„Do zobaczenia za rok w takim razie.”

Kamykowi wydało się wtedy, że rok to potworny szmat czasu, i prawdę mówiąc, niezbyt potrafił ogarnąć go umysłem.

Ostatnie pożegnania ze Słonym i Jagodą: najstarsi synowie Mówcy smutnawi, solidarnie unoszący dziecięce łapki w gestach symbolizujących pomyślność i szczęście. W końcu Wędrowiec chwycił chłopca mocno pod ramię. Jeszcze przez chwilę widział Słonego, Jagodę i Pożeracza Chmur stojących poza kręgiem wykreślonym zapobiegliwie na piasku przez Wędrowca,

a sekundę później świat złożył się jak kartka papieru. Kamyk kurczowo zacisnął powieki, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. To okazało się zdecydowanie gorsze niż pierwszy lot na Pożeraczu Chmur. Wokół nie było niczego. Absolutna nicość. Płuca nie mogły chwycić powietrza. Grunt umknął spod stóp, a gdzieś w brzuchu trwało to nieprzyjemne i dziwaczne uczucie jak na huśtawce opadającej w dół z wysoka. Zdawało się, że nie istnieje nic, prócz przypominającej kotwicę silnej dłoni maga. Skok nie trwał dłużej niż sekundę lub dwie. Nieprzyjemny wstrząs o mało nie zerwał chłopcu przepony, gdy wylądował twardo na sztywnych nogach.

Kamyk otworzył oczy. Stali obaj na plaży, zasypanej białymi jak kość odłamkami muszli i pokruszonym korałem, w wielkim kole ułożonym ze smołowanego sznura, czyli zaimprovizowanej rampie do skoku poza przestrzeń. W czasie, gdy Wędrowiec przebywał na Jaszczurze, załoga statku starannie omijała tę zakazaną strefę, gdyż nikt nie miał ochoty ryzykować, że jakiś ciężki przedmiot pojawi się znikąd i połamie komuś nogi. Kilka pik dalej widać było wyciągniętą na brzeg szalupę i niewielkie obozowisko. Dwaj żeglarze właśnie nosili wiadra słodkiej wody na koromysłach i napełniali beczułki. Dwaj inni oglądali burty łodzi. Reszta odpoczywała. Na redzie kołysała się leniwie na martwej fali jednomasztowa galera, nad którą zataczały powolne kręgi dwa smoki.

Marynarze natychmiast zaczęli przenosić pakunki do łodzi, popatrując niespokojnie w niebo. Nic dziwnego, że chcieli jak najszybciej wynieść się ze smoczych terytoriów, gdzie ich życie zależało od widzimisię stworzeń mających dwie piki w kłębie.

Kamyk stał otoczony uwijającymi się ludźmi, niektórzy rzucali mu zaciekawione spojrzenia, ale potem zaraz zajmowali się swoimi sprawami. Nikt nie próbował do niego podejść. Nagle chłopiec poczuł się absurdalnie samotny, zupełnie jakby od reszty świata oddzieliła go gruba szyba. Jeszcze nie opuścił Smoczego Archipelagu, a już za nim tęsknił.



*Nienawidzę statków. Nienawidzę morza. Nienawidzę kołysania. Nie wiem, co gorsze: czy to ciągłe bujanie na falach, od którego wywracają mi się wszystkie bebechy, czy sposób podróżowania Wędrowców, kiedy człowiek staje się tylko ogłupiałym kawałkiem materii. Oba sposoby są okropne. Na dodatek*



*wszyscy tutaj, łącznie z tym magiem, uważają chyba, że jak ktoś nie mówi, to także nie myśli i traktują mnie jak półgłówka. Żarcie paskudne. Ja chcę na ląd!*



Na dziedzińcu Wędrowców jak zwykle panował ruch i hałas. Magowie wchodzili na kamienne rampy, obciążeni torbami pełnymi listów, zapieczętowanych zwojów i innych przesyłek, po czym znikali z charakterystycznym kłaśnięciem zwierającego się na pustce powietrza. Inni pojawiali się i schodząc ze swych stanowisk, oddawali czekającym już dyżurnym przyniesione listy. Korespondencja z Zamku i do Zamku zwykle była obfita. Lekko mżyło, jak zwykle o tej porze roku, więc wszystkie przesyłki owijano w nawoskowane płótno.

Nocny Śpiewak nie miał żadnych listów do wysłania, a swoje drobne interesy zawsze wolał załatwiać sam, nie powierzając niczego posłańcom. Czuł się wtedy zdecydowanie bezpieczniej. Przez dziedziniec pocztowy wiodła natomiast najkrótsza droga do Bramy Wschodniej i mostu prowadzącego na Podzamcze.

„O... w mordę jeża!” – zaklął w myśli, widząc rosnącą postać Wiatru Na Szczycie. Usiłował wycofać się cichcem, lecz było już za późno. Hajg dostrzegł Śpiewaka i pokiwał na niego wystarczająco stanowczo, by chłopak uznał, że tym razem lepiej podejść i dowiedzieć się, o co chodzi, niż narażać się później na wyszukane złośliwości Mistrza Iluzji. Obok Wiatru czekał wysoki, dość chudy chłopak w wypłowiałej, brązowej tunice. Jego kędzierzawe włosy w wilgotnym powietrzu skręcały się w cienkie spirale jak sprężyny. Wokoło na bruku stało kilka skrzynek i tobołków.

– Śpiewak, świetnie, że jesteś! – zakrzyknął Hajg. – Weź no go, z łaski swojej, znajdź chłopakowi jakąś izbę i coś na ząb.

– A on kto? – mruknął niechętnie Śpiewak, dyskretnie macając utknięty w szarfie za plecami mały pakiecik. Licho nadało Mistrza Tkaczy akurat teraz, kiedy miał t o przy sobie.

– Następna „połówka” – wyjaśnił Wiatr, klepiąc Śpiewaka w ramię i przesuwając go jednocześnie równie łatwo jak kota.

„Połówkami” nieoficjalnie nazywano chłopców, którzy kandydowali do godności błękitnych, z powodu połowy emblematu, jaki wszyscy otrzymali.

Nocny Śpiewak z większym zainteresowaniem zmierzył przybysza spojrzeniem. No tak, znów ktoś dużo wyższy od Śpiewaka, ale to samo można było powiedzieć o większości mieszkańców Zamku. Śpiewak nie miał urazu na punkcie swego wzrostu. „Kto ma dalej do ziemi, tego bardziej boli jak spada” mawiał filozoficznie. Podobnie jak u młodego Stworzyciela w wyglądzie nowego chłopaka zwracały przede wszystkim uwagę skośne oczy oraz skóra o ciemnej, nasyconej barwie przefermentowanej esencji herbacianej. Stał spokojnie obok Tkacza Iluzji i w milczeniu obserwował otoczenie.

– Spóźniony, ale ma tu zostać – ciągnął Wiatr, kierując się ku jednemu z wyjść. – Ja się spieszę, muszę jeszcze zajść do rządcy, a potem mamy zbiórkę. Zajmij się nim, młody.

– Ja nie mogę! – krzyknął za nim Śpiewak ze złością. – Mnie też się spieszy!

– Dobra, pospieszysz się później! – rzucił mu Wiatr przez ramię, oddalając się wielkimi krokami.

– Uh...! – Śpiewak pogroził mu ukradkiem pięścią. Były momenty, kiedy bardzo nie lubił Wiatru Na Szczycie, zwłaszcza wtedy, kiedy ten zachowywał się jak poganiacz niewolników.

– No i co się gapisz? – warknął do krętowłosego chłopaka, który przyglądał mu się z ciekawością. – Maga nie widziałeś? W lustro se popatrz, baranie.

Ogarnął wzrokiem graty dokoła. Wyglądało na to, że kędzierzawy nie zabierze się z tym na jeden raz. Śpiewak, rad nie rad, zarzucił na ramię dwa tłumoki i zaczął, aż tamten starannie pozbiera resztę swoich rzeczy.

– Ale żeś się wyekwipował. Zapomniałeś jeszcze tylko łóżko wziąć i krowę na powróżku.

Kiwnął głową na przybysza i szybko poszedł przodem, nie sprawdzając, czy tamten nadaża. Sądząc po jego długachnych nogach, nie powinien mieć z tym trudności. Do „rezydencji połówek” był niezły kęs drogi i Śpiewak obliczał w myślach, ile czasu zajmie mu powrót do bramy. Jeśli uda mu się przekazać tego nowego w ręce kogoś innego, powinien zjawić się na umówionym miejscu nieprzesadnie spóźniony.

Z początku Śpiewak miał zamiar zachować milczenie przez całą drogę, ale jego wrodzona ciekawość wzięła górę.

– Ty... – odezwał się, nie oglądając się za siebie. – Jesteś Podglądacz, Pchacz, Suseł, a może Włóczykij?

Jak zdawało się Śpiewakowi, z tyłu panowało zdziwione milczenie. Najwyraźniej przybysz po raz pierwszy zetknął się z żargonowymi określeniami

kast.

„Dekiel wsiowy” – pomyślał młody Stworzyciel, a głośno powiedział:

– Pytałem, jaką masz kastę. Obserwator? Nie, pewno Żółw. Oni zawsze włoką ze sobą kupę książek. Odezdziesz się w końcu?

Cisza. Śpiewak przewrócił oczami z irytacją. Nie dość, że marnował czas, to jeszcze los wepchnął mu pod opiekę głupawego mruka. Sądząc z wyglądu przybyłego z najbardziej zapadłego zakątka kraju. Jakiejś straszliwej dziury zabitej dechami, gdzie jeden kogut przypada na trzech kmieciów i pożyczają go sobie nawzajem – tak osądził Śpiewak ze swej pozycji zdeklarowanego mieszcza. Chociaż... doświadczenie przeżytych prawie osiemnastu lat mówiło mu, że pozory czasem mylą. Widywał już kupców noszących się jak ministrowie, ministrów wyglądających na kupców i magów wyglądających jak... jak „niewiadomoco”. Generalnie stosowało się to również do Wiatru Na Szczycie, który po dziesięciu latach spędzonych na Południu nadal paradował w hajgońskim kilcie.

Nie namyślając się, Stworzyciel sięgnął do umysłu chłopaka, który ciągnął się za nim na zasadzie „ogona”. Było w nim coś dziwnego, ale Śpiewak nie miał czasu, by się nad tym zastanowić, gdyż pierwszym, co ujrzał, był bardzo wyraźny, klarowny obraz kudłatego psa, przechadzającego się na tylnych łapach. Na domiar złego psa odzianego w jego tunikę i szarfę. Takiej bezczelności nie można puścić płazem! Śpiewak cisnął tłumoki na ziemię i odwrócił się ku dowcipnisiowi, unosząc zaciśnięte pięści.

– Dobrze się bawisz?! Jeszcze raz nazwiesz mnie psem, gnojku, a obiecuję, że dalej zęby poniesiesz w garści!!!

Kędzierzawy zatrzymał się jak wryty. Lekko zmarszczywszy brwi, śledził wzrokiem kułak, niebezpiecznie krążący w okolicach jego nosa. Wciąż trzymał w objęciach stertę pudeł, przytrzymując je podbródkiem. Zrobił ruch, jakby chciał je odstawić na bok, lecz natychmiast zrezygnował i cofnął się o pół kroku.

*Przepraszam.*

Przed Nocnym Śpiewakiem pojawiły się zawieszony w powietrzu ulotne znaki, jakby splecione z ciemnoniebieskiego dymu. A więc mrukliwy przybysz to Tkacz Iluzji! W ciągu następnych paru sekund do tego inteligentnego stwierdzenia dołączyły dwa następne, wiążąc się w szokującą całość. Wychodziło na to, że chłopak jest protegowanym Wiatru Na Szczycie, a to z kolei znaczyło, że to nikt inny, jak sławny już Smoczy Jeździec! Nocnego Śpiewaka aż skręcało, kiedy przypominał sobie, że w zeszłym roku akurat podczas słynnego lądowania smoka w warzywnych ogrodach bawił z wizytą

u Bukata i ominęło go tak wspaniałe widowisko. A teraz oto miał przed sobą ową sławę! A do tego ów Smoczy Jeździec miał być jego towarzyszem w ławie szkolnej!



Przewodnik Kamykowi bardzo przypominał wielkiego wydrzaka, chodzącego na tylnych łapach. Chłopak widział podczas swoich podróży rozmaite zadziwiające rzeczy, ale z kimś takim zetknął się po raz pierwszy, więc nic dziwnego, że gapił się na niego wręcz nieprzyzwoicie. Błękitna szarfa, ściągająca bluzę włochacza w luźne fałdy, wyraźnie dawała do zrozumienia, że on także jest magiem, ale na tym kończyły się podobieństwa. Całą jego głowę, łącznie z twarzą, pokrywały gęste brązowe włosy! Z tej gęstwiny błyskały tylko zęby i białka oczu. Kosmate miał także wierzchy dłoni. Najwyraźniej sierść pokrywała całe jego ciało. Pierwszy raz w życiu Kamyk widział coś podobnego. Chodziły mu w związku z tym po głowie myśli niezbyt przystojne, takie, których nigdy by nie zapisał w swej kronice. I nie ujawnił, rzecz jasna, swojemu przewodnikowi. Gdy porośnięty włosiem mag raptownie cisnął Kamykowe bagaże i zaczął wymachiwać wojowniczo pięściami, Tkacz Iluzji w pierwszym odruchu rzucił oczami na boki, gdzie mógłby odstawić stertę piastowanych na rękach pudełek. Potem jednak zawstydził się. Obie jego bytności w Zamku Magów zaczęły się od zamieszania – nie wnikając, czy była to wina złośliwego Iskry, czy też zwariowanego smoka – trzeciej wizyty nie powinien zaczynać od bójki.

*Przepraszam.*

Pech. Że też musiał trafić na Obserwatora, Mówcę czy też innego maga, do którego umiejętności należało czytanie w myślach. Należało mieć tylko nadzieję, że krewki kosmacz porzuci jednak zamiar rozkwaszenia mu nosa. W przeciwnym razie Kamyk musiałby się bronić i jeden kapryśny Los wie, jakimi komplikacjami może się to znów skończyć. O dziwo, przewodnik natychmiast opuścił zaciśnięte kułaki. Trudno było się zorientować w wyrazie jego zarośniętej włosami fizjonomii, ale raczej nie malował się już na niej gniew. Szeroko otwarte, bursztynowe oczy lśniły ciekawością, entuzjazmem... podziwem...? Zdumiewające.

„Ty jesteś Kamyk! Ty jesteś Smoczy Jeździec!” – Mentalny kontakt tego chłopca w niczym nie przypominał łagodnego sposobu, w jaki Pożeracz Chmur

umiał wśliznąć się w Kamykowy umysł. Przypominało to raczej jaskrawy błysk światła lub nawet raptowne ukłucie igłą. Tkacz Iluzji przymknął oczy z zaskoczenia, gdy tymczasem jego „rozmówca” entuzjastycznie panoszył się w jego myślach.

„Czekaliśmy na ciebie! Są tu chłopcy z ostatnich trzech naborów! Wszyscy byliśmy ciekawi, kiedy wreszcie się zjawisz! Smoki – to niesamowite! Musisz wszystko, wszyściutko opowiedzieć!”

Chwila przerwy. Kamyk niepewnie zerknął na kosmatego, którego niemal roznosiło z emocji. I wtedy...

„Nazywam się Nocny Śpiewak, Stworzyciel. Chcesz ze mną mieszkać w jednej izbie? Proszę, zgódź się!”

Bursztynowe oczy kosmacza lśniły podnieceniem i nadzieją.

„Tak można? Nie jest zabronione?” – spytał Kamyk ostrożnie. Jak pamiętał, podczas prób chłopców kwaterowano osobno, choć nie wiadomo, jaki był cel owej separacji.

„Nie, skąd – zaprzeczył Nocny Śpiewak. – Prawie wszyscy podobierali się w pary. Nikt nie chciał mieszkać sam. Prócz Zwycięskiego Promienia Świtu – dodał, krzywiąc się pogardliwie. – Zresztą z nim to nikt i tak nawet nie rozmawia. Wredny typek. Masz coś przeciwko włosom w umywalce?” – jednym ciągiem przeszedł do innego tematu.

Kamyk uśmiechnął się ze szczerym rozbawieniem. Włosy! Gdyby miał cokolwiek przeciwko włosom, nie przestawałby z linejącym smokiem.

„Nic nie mam przeciwko włosom w miednicy. Byle nie było ich zbyt wiele.”

„Chrapiesz w nocy?”

„Nie zauważyłem. Skąd mam wiedzieć, skoro jestem głuchy?”

„Rzeczywiście. Lubisz piwo?”

„Nie lubię” – odparł szczerze Kamyk, zastanawiając się, dokąd prowadzi ta konwersacja.

„Nikt nie jest doskonały – skomentował Nocny Śpiewak. – W takim razie zamówię wino! Zapraszam w swoje skromne progi.” – I zrobił zamaszty gest gdzieś w głąb korytarza. Nie pozostawało nic innego, jak skorzystać z zaproszenia.



Kamyk pokręcił głową i uśmiechnął się sam do siebie. Dmuchnął delikatnie

na schnący tusz w kronice. Możliwe, że w innej sytuacji – gdyby nie został wtedy tak zaskoczony i nie czuł się tak zmieszany, nie przystałby na tę propozycję od razu. Gdyby miał choć odrobinę czasu do namysłu, może nie zgodziłby się w ogóle.



*Porządkuję luźne kartki. Przepisuję na czysto do mej grubej księgi treść pokreślonych, wymiętych świstków. Niemały to kłopot. Co jest ważne, a co ominąć? Jak ustawić w porządnny szereg wszystkie te wydarzenia, które splotły się w zdumiewający warkocz, sięgający momentu, gdy stanąłem na dziedzińcu Zamku Magów, aż do chwili obecnej, kiedy piszę te słowa? Tak wiele się zmieniło.*



*Myślałem, że Zamek będzie tylko przystankiem w podróży do Lenn, do domu. Stało się jednak inaczej. Krąg postanowił stworzyć możliwość lepszego wykształcenia wszystkim oczekującym na błękit mistrzów. Zgromadzono tu, licząc również mnie, dwudziestu siedmiu chłopaków – kandydatów do błękitu. Inni pobierali w Zamku nauki już od wiosny, ale gdy list od starszyny dotarł do Płowego, ja już dawno bawiłem na Smoczym Archipelagu. W ten sposób szczęśliwie ominęła mnie wątpliwa przyjemność ślęczenia nad książkami w gorące letnie miesiące. Przyznam, że wcale się tym nie zmartwiłem.*

*Mój nowy towarzysz nazywa się Nocny Śpiewak i to imię bardzo do niego pasuje. Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że najbardziej jednak przypomina wilka. Wydaje mi się też podobny do Pożeracza Chmur – ta sama pobudliwość na zmianę z atakami refleksji. Śpiewaka albo roznosi energia, albo kładzie się on na podłodze, patrzy w sufit i nad czymś głęboko rozmyśla. Zwykle potem bierze się do rysowania. Wszystkie ściany w komnacie zawieszono są kartkami, na których Nocny Śpiewak uwiecznia obiekty swoich zainteresowań. A są to fragmenty architektury lub nagie kobiety. Nic więcej. Żadnych kwiatów, psów, kotów, ptaków ani ludzi. To znaczy nie ma mężczyzn. Szybko się zorientowałem, że Śpiewak jest kobieciarzem, chociaż naprawdę nie wiem, które z opowieści o jego podbojach są prawdą, a które zmyśleniem. Dlaczego jakakolwiek dziewczyna miałaby tracić głowę dla kogoś, kto wygląda tak*

zwierzęco? Nie żebym uważał, że Śpiewak jest brzydki. Po prostu wygląda tak dziwnie, że absolutnie nie jestem w stanie pojąć, co mogłoby się w nim podobać kobiecie. Chyba że jest to tajemnica pokrewna fascynacji Pożeracza Chmur Jagodą.

Kiedy wszedłem po raz pierwszy do komnaty, którą miałem odtąd zajmować na spółkę ze Stworzycielem, natychmiast przypomniałem sobie pracownię Pływaka w Grobli. Najwidoczniej wszyscy Stworzyciele są bałaganiarzami (nie, może nie wszyscy, ale z pewnością wielu).

Wszyscy młodszy magowie (czyli również ja) mają kwatery na najniższej galerii, ogromnie podobnej do tamtej, którą zwiedziłem podczas pierwszej bytności w Zamku. Wokoło różanego ogrodu biegną galerie w trzech poziomach, a na nich mieszczą się pokoje lub przejścia do innych części budowli. Muszę przyznać, że Zamek Magów ma dość zawiłą topografię. Pewnie z początku będę się wciąż gubił. Jak już pisałem, ogród jest bardzo podobny do tego, z którym wiążą się moje niemiłe wspomnienia, o których wolałbym raczej zapomnieć. Tylko fontanna pośrodku jest inna – zamiast figurki chłopczyka z gęsią na cokole stoi postać kobieca trzymająca na ramieniu przechylony dzban, z którego cieknie woda.

Zaskoczyło mnie to, że drzwi do każdej kwatery zaopatrzone w tabliczkę z imionami mieszkańców, z czym do tej pory nigdzie się nie spotkałem. Owszem, emblematy na domach magów, na Wieżach Mówców, porozwieszane wąskie błękitne chorągwie, ale nie imiona. Dziwny obyczaj i nie wiem, czemu służy. Poza imionami na drzwiach znajdują się także zabawne rysunki i rozmaite napisy. Ktoś wywiesił kartkę głoszącą: „Tanio uczę karaluchy geometrii”. Gdzie indziej przeczytałem: „Alkohol wrogiem twego umysłu”, a pod spodem dopisek „Stworzyciel nie boi się wrogów”. Natomiast wierzeje Nocnego Śpiewaka (teraz także moje) zdobi wytłoczona z mosiężnej blachy głowa kota wyszczerzonego w szyderym uśmiechu. Koty się nie śmieją, ale Śpiewak twierdzi, że robią to, kiedy nikt nie widzi. „Widziałeś kiedy kota, który by się śmiał?” – zapytałem, a ten bezczelnie na to: „Nigdy, przecież mówię, że robią to tylko, jak nikt nie widzi”. No i dyskutuj z takim!

Komnata, do której tak chętnie zaprosił mnie Nocny Śpiewak, jest jasna i wielkością dorównuje chyba izbie, jaką zajmował Moneta. I tak samo jak pracownia malarza jest bez reszty zawałona gratami. Wszystkie półki, stół, a nawet spora część podłogi zajęta jest mnogością przedmiotów, całkiem jakby ta izba była małym bazarem. Stoją tu srebrne naczynia rozmaitych kształtów i przeznaczenia, figurki z gliny, metalu i porcelany, garście szklanych kulek

przemieszane z biżuterią, a na honorowym miejscu panoszy się niedokończony model Zamku. Brakuje mu większości muru, jednej wieży i chyba paru innych elementów. Ogólnie wygląda jak ponadgryzany. Wokoło walają się pogniecione papiery i kawałki drewna, książki porozkładane niedbale grzbietami do góry, pióra, ołówki, skłębione części ubrań porzucane byle jak i byle gdzie. Zastanawiam się, jakim cudem Śpiewak cokolwiek może znaleźć w tym mętliku. Mój współlokator jest chyba trochę stuknięty. Myślę jednak, że nie powinno mnie to dziwić – mam wyjątkowy talent do przyciągania dziwadła. Jeżeli jakiś wariat... to znaczy ktoś ekscentryczny znajduje się w odległości choćby i trzech mil, to ja na niego natrafę, nie ma obawy. Te przemyślenia naszły mnie z powodu tego, że pierwszego dnia, kiedy próbowałem się rozgościć w nowej kwaterze, pan Stworzyciel nie zmieścił się na swojej połowie, więc otworzył drzwi i najspokojniej w świecie zaczął wyrzucać różne przedmioty na korytarz. Muszę przyznać, że to mną wstrząsnęło. Płowy nie jest biedny, ale przez całe życie przyzwyczałem się do oszczędności, a tutaj byłem świadkiem niewiarygodnej rozrzutności. Zdaje się, że Nocny Śpiewak z Pożeraczem Chmur ma wspólną nie tylko sierść, ale również kompletną pogardę dla dóbr doczesnych. Prócz książek. Książki nie wyrzucił żadnej.

Na każdym kroku nowe niespodzianki. Na wewnętrznej stronie drzwi przypięta jest spora karta pergaminu, zapisana kanciastymi znakami, zupełnie niepodobnymi do pisma Nocnego Śpiewaka. Zresztą od razu zorientowałem się po treści, że nie on jest autorem.

„Młody człowiek, aspirujący do godności członka Kręgu, winien: okazywać szacunek starszym wiekiem z racji ich godności i doświadczenia, nie popolitować się ze służbą oraz ludźmi najniższego stanu, a tym bardziej przejmować ich nieodpowiednich obyczajów, w obejściu być skromnym, w wyglądzie schludnym, pamiętać o każdym czasie, iż fundamentalnym jego obowiązaniem jest praca i zdobywanie wykształcenia.

Walczyć winien z nieprzystojnymi przywarami charakteru, takimi jak: lenistwo, płochość, łakomstwo i niecierpliwość oraz gniew. Nieumiarkowane pożądanie właściwe jest zwierzętom, a kłamstwo i pycha są cechami niegodnymi maga”.

Przebrnąłem przez ten nieco archaiczny styl ze zdumieniem i rosnącym rozbawieniem. Tym większym, że Nocny Śpiewak soczyście komentował fragmenty. Przy niektórych wersach narysowane były tajemnicze znaczki czerwonym atramentem.

„Te rzeczy już zaliczyłem – objaśnił mnie Nocny Śpiewak. –



*Nieumiarkowanie i temu podobne brednie. Większość kończy się na gadaniu i groźbach. Ale spróbuj zabawić się na mieście i wrócić trochę urżnięty, a wtedy masz gwarantowaną ścianę”.*

*Nie wiedziałem wtedy, o co mu chodzi. Urżnięty? Dlaczego ktoś miałby go karać, jeśli się biedak skaleczy?*

*„Urżnięty czyli pijany” – wyjaśnił Nocny Śpiewak pobłażliwie i przekazał mi wyraźny obraz chłopca o obnażonych plecach, jak wyprostowanymi rękami wspiera się o ścianę, a starszy mężczyzna zamierza się trzcinką na jego plecy. Wszystko jasne! Aż się wzdrygnąłem. To była niewolnicza kara. Okropne. Ale Nocny Śpiewak nie wydawał się przejmować. Machnął tylko lekceważąco ręką.*

*„Tym większa hańba. W każdym razie tak myślą te zakichane staruchy. Mało to razy oberwałem? Nawet mi się nie chce liczyć. Raz wypuściłem w świat chyba z tysiąc złotych talentów. Rynek w okolicy kompletnie się załamał. Połapali się, bo kruszec był za czysty. Zazdrościcy. Nie podobało się, że robię lepsze pieniądze od cesarskiej mennicy.”*

*Ładne rzeczy, mieszkam z młodocianym przestępcą. Postanowiłem, że nigdy, przenigdy nie zasłużę na „ścianę”. Umarłbym chyba ze wstydu.*



Nocny Śpiewak doszedł do wstydliwego wniosku, że Tkacz Iluzji go nieco rozczarował. Oto pojawił się niezwykle podróżnik dosiadający smoczego grzbietu; ktoś, kto owinął sobie starszyznę wokół palca, a przede wszystkim człowiek do tej pory wolny od szkolnego jarzma, więc Śpiewak spodziewał się, że owa postać, poniekąd legendarna, będzie o wiele bardziej... cóż... nadzwyczajna? Chociaż w tym chłopaku tkwiło również coś odrobinę niepokojącego, a Śpiewak nie potrafił nazwać tego elementu, co go w pewien sposób irytowało.

Spodziewany bohater okazał się tymczasem bardzo spokojny i skupiony. Pedantycznie porozkładał swoje rzeczy. Co prawda wypił zaproponowane wino, ale rozmieszał je pół na pół z wodą, podczas gdy Śpiewak, jak zawsze, swoją porcję pochłoniął nieprzyzwoicie szybko i bez wody – nie przepadał za „popłuczynami”. Tkacz Iluzji obchodził komnatę, przyglądał się wszystkiemu z nieprzeniknioną miną, czasem brał jakiś przedmiot do ręki, by go uważnie obejrzeć. Śpiewak złapał się na tym, że gapi się na swego gościa bez przerwy, czego sam właśnie nie znosił u innych! Koszmar ziszczony, zrobił się podobny

do tych żelaznoczołych tępaków wytrzeszczających na niego ślepią, kiedy tylko postawił stopę poza Tartacznym Mostem. Brrr... Może właśnie od tego wstrząsu zbystrzał, bo w końcu doszedł, co właściwie tak go niepokoi w Kamyku. Tkacz Iluzji milczał. Milczał bez przerwy, jak ryba. Największy milczek przy nim wydawałby się gadatliwy – ostatecznie ludzie mówią przynajmniej „proszę”, „dzięki” albo „polej mi w szkło” – ale u Kamyka nie ma co na to liczyć. Tylko oczy latały mu na wszystkie strony, jak dwa noże do płatania ryb, zaiste. Nocny Śpiewak przez chwilę miał niemiłe wrażenie, że właśnie jest tym wzrokiem rozbebeszany i analizuje się nie tylko jego nikczemny wzrost czy nadnaturalne owłosienie, ale nawet niewidoczne szramy i nierówne zęby – dwa dolne zachodziły na siebie, ale to przecież nic takiego, do licha! Właśnie to było takie denerwujące: wydawało się, że ów jeździec smoka wszystko widzi i wszystko ocenia.

Poważna twarz Kamyka niespodziewanie rozjaśniła się w sympatycznym uśmiechu. Zupełnie jakby ktoś zapalił w jego wnętrzu świeczkę. Jeszcze raz potoczył spojrzeniem dokoła.

*Podoba mi się tutaj.*

Śpiewak niezauważalnie zaczerpnął powietrza, dopiero się orientując, że od dłuższej chwili wstrzymywał oddech. Uśmiechnął się również szeroko, nie dbając już, co Smoczy Jeździec pomyśli o jego zębach.

„Cieszę się. Ja też lubię tę norę.”



Młody Mówca lubił obserwować swoich kolegów i bez zaglądanego do ich myśli odgadywać, w jakim aktualnie są nastroju. Oceniać ich charaktery po zachowaniu i mowie ciała. „Każdy głupi potrafi wyczytać komuś w głowie. Zgadnij, co w człowieku siedzi, bez tego twojego talentu, to dopiero jest sztuka” – mawiał jego ojciec. Chłopak zgadzał się z tym w dużej części. I tak Obserwator Gryf, choć zgrywał się na twardziela, był w rzeczywistości romantykiem; Wędrowiec Wężownik, pochodzący z nad rzeki o tej samej nazwie, grzecznie studiował geografię cesarstwa i prawo handlowe, ale naprawdę marzył o czymś więcej niż służba w Ministerstwie Administracji. O czym marzył jedyny arystokrata wśród „połówek” – obdarzony przez matkę zupełnie nieprawdopodobnym imieniem Zwycięski Promień Świtu – trudno powiedzieć. Zapewne o tym, by uciec z Zamku Magów jak najdalej. Łatwo było

zauważyć, że nie znosi tego miejsca i pewnie najchętniej puściłby je z dymem razem z mieszkańcami, wykorzystując w pełni swój mistrzowski talent Iskry. Nigdy jeszcze młodemu Mówcy nie zdarzyło się spotkać równie rozpuszczonego, złośliwego, aroganckiego, nieużytego i pyszałkowatego gówniarza. Należał do grona „połówek” tylko formalnie, w dodatku przybywszy do Zamku Dłoni z dużym opóźnieniem, kiedy już większość chłopców zdążyła zżyć się ze sobą, tworząc dość zwartą grupę. To, że jawnie pogardzał swoimi gorzej urodzonymi towarzyszami, jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Dziedzic rodu Brin-ta-ena mieszkał sam, w komnacie dużo większej od kwater innych uczniów i oczywiście urządzonej znacznie wykwintniej, jak donosiły plotki roznoszone przez służbę. Iskra miał osobistego służącego, który go czesał, ubierał i dbał o jego rzeczy. Cała reszta chłopców omijała książątko jak trędowatego, ale to sprawiało tylko, że stawał się coraz bardziej złośliwy i przykry. Jeśli ktoś oparzył się o klamkę przy drzwiach, jeżeli komuś woda w kubku w jednej chwili zmieniła się we wrzątek, jeśli zagotował się atrament w kałamarzu, chlapiąc efektownie na wszystkie strony, albo osłupiały ze zgrozy uczeń znajdował wypaloną dziurę w samym środku wypracowania, przyczyna wszystkich tych nieszczęść zawsze okazywała się ta sama – Zwycięski Promień Świtu. Nie było na niego siły. Jego talent należał do tych niszczycielskich, więc czuł się całkowicie bezkarny. Ileż to razy młodzi Stworzyciele zastanawiali się, czy nie zamienić go w jakiś użyteczny przedmiot (na przykład nocnik), a Wędrowcy z rozkoszą wysłaliby go bezpowrotnie gdzieś daleko. Stanowiłoby to jednak jaskrawe przekroczenie praw Kręgu i pociągnęłoby za sobą najsurowsze kary. Nietrudno się jednak domyślić, że pan Brin-ta-ena jest silnie znudzony i pożąda czyjejś uwagi, nawet jeśli ta uwaga jest przeładowana złymi emocjami.

Nocny Śpiewak natomiast... trudno orzec, że stanowi całkowite przeciwieństwo okropnego książęcego potomka, choć dzieliło ich niemal wszystko: urodzenie, wygląd, rodzaj talentu i stan posiadania. Pokpiwał z kolegów tak samo, jak i z samego siebie, rzadko jednak złośliwie. Śpiewak uwielbiał się popisywać i być ośrodkiem powszechnej uwagi, a robił to z dużym wdziękiem, zyskując sobie sympatię otoczenia.

Mówca rozejrzał się po sali. No właśnie, gdzie się podziewa ów kudłaty rozrabiaka i bawidamek? Prawie wszyscy już zebrali się na popołudniową lekcję. Paru studentów przegląda notatki z porannych lekcji, reszta jednak porozsiadała się w wykuszach okiennych lub na podłodze, rozmawiają, przekomarzają się... Zwycięski Promień Świtu również raczył przybyć – siedzi

przy swoim pulpicie i udaje, że czyta. Plecy ma sztywno wyprostowane, łokcie trzyma przy sobie, sprawiając wrażenie, jakby brzydził się powietrza, które musi dzielić z resztą adeptów magii. Tylko Nocnego Śpiewaka brakuje. Wygląda na to, że ma zamiar odpuścić sobie dziś lekcje (i oberwać za to) albo spóźnić się widowiskowo, robiąc z wejścia całe przedstawienie, ku uciesze reszty chłopców opowiadając niestworzone historie o powodach swej nieobecności. Ciekawe, co wymyśli tym razem. Ostatnio z ogromnym przekonaniem opowiadał o lokalnym deszczu b a r d z o d r a p i e ż n y c h krabów na ulicy Studziennej.

Rozmyślania te przerwał łomot otwartych z rozmachem drzwi.

– Tada-dammmmm!!! – zakrzyknął patetycznie Śpiewak, stając w progu i rozkładając ramiona niczym kapłan, mający za chwilę zarznąć ciele na ołtarzu. To było typowe dla niego zachowanie. – Radujcie się i chwalby zanoście ku Bogini, gdyż przynoszę dobre nowiny!

– Czy to ta dobra nowina stoi za tobą, niewolniku? – zgryźliwie odezwał się Zwycięski Promień Świtu ze swego miejsca. – W takim razie Pani poczeka na moje modły do lepszej okazji.

Dalsza tyrada Iskry utonęła jednak w podnieconym gwarze. Za plecami Śpiewaka stał wysoki, kędzierzawy i bardzo opalony młodzieniec, nieśmiało zaglądnący do komnaty ponad ramieniem Stworzyciela.

– Wiecie, kto to jest?! Wiecie?! – puszył się Śpiewak, wciągając nowego przybysza za rękaw do środka, czemu ten poddał się cierpliwie, niczym melancholijny koń, prowadzony na postronku. – To jest SMOCZY JEŹDZIEC!!

W sali zawrzało. Jeśli Nocny Śpiewak chciał zrobić wrażenie, udało mu się to aż nadto. Rozgorączkowani chłopcy otoczyli przybyłych, na wyścigi zadając pytania. Nie ruszył się tylko książę, wykrzywiając pogardliwie wargi, oraz oczywiście Wędrowiec Myszka – jak zawsze zbyt nieśmiały, by przepychać się między starszymi i bardziej energicznymi kolegami.

Pytania sypały się jedno za drugim, a zadający je chyba zupełnie nie pamiętali o tym, co było wiadomo o słynnym już magu dosiadającym smoka – a mianowicie, że talent okaleczył mu słuch.

Czy naprawdę latał na smoku? Dlaczego jest taki opalony? Jak duży jest Pożeracz Chmur i czy zmieściłby się w tej komnacie? Ile dokładnie lat ma Tkacz Iluzji? Czy to prawda, że do tej pory podróżował po ziemiach za morzem?

Chłopcy w swej ciekawości przypominali kury, które zleciały się do ziarna. I podobnie jak spłoszone ptactwo, raptem rozbiegli się na swoje miejsca, gdy nadszedł nauczyciel.

Nazywano go Gladiatorem, ale to był tylko przydomek. Właściwie nikt nie

wiedział, jak naprawdę ma na imię. Wszyscy uczniowie zwracali się do niego oficjalnym zwrotem „Mistrzu Obserwatorze” i nikt nie miałby odwagi nazwać go inaczej, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że ten szlachetny tytuł mu się nie należy. Gladiator był mianowicie magiem w randze zaledwie czarnej. Wiadomo, że z Gladiatorzem lepiej nie zadzierać. Miał nieładny zwyczaj podpatrywania cudzych myśli oraz uczulenie na wszelkie głośniejsze dźwięki (twierdził, że „smarkacze” są nieznośnie hałaśliwi). W ciągu niewiarygodnie krótkiego czasu awansował na naczelnego wroga uciemężonej młodzieży. Uzbrojony w nieodłączną trzcinkę i niewiarygodnie bogatą kolekcję upokarzających epitetów, uwielbiał znęcać się psychicznie nad swymi ofiarami, mszcząc się pośrednio za d e g r a d a c j ę – gdyż właśnie za to uważał polecenie zajmowania się „farbowanym stadem tępych osłów”.



– To ten nowy? – zapytał tylko mężczyzna, sprawiedliwie obdzielając niechętnym spojrzeniem zarówno Śpiewaka, jak i wysokiego Tkacza Iluzji.

– Tak, to jest Kamyk – odparł Stworzyciel, prostując się dumnie obok swego protegowanego.

– Sam nie umie mówić?

– Nie umie.

– Jak zwykle bezczelny – warknął Gladiator. – Na miejsce! Na jutro przepisziesz dwieście wersów.

– Dwieście wersów z czego? – dopytywał się Śpiewak niewinnym tonem.

– Z czegokolwiek. Nie zaszkodzi ci, jak przeczytasz jakąś książkę, ty parodio studenta! Chociaż nie wiem, jak zmieści ci się w tym łbie cokolwiek poza pijaństwem i dziwkami. Siadaj!

Stworzyciel odwrócił się i skierował do swego pulpitu. Jak zawsze, obraźliwe słowa spłynęły po nim jak woda po gęsi, ale lekkie drżenie brązowych wąsów i nieznaczne zmrużenie oczu dawały znać, że Śpiewak nie omieszka zmarnować najmniejszej okazji, by ośmieszyć znienawidzonego nadzorcę.

Tkacz Iluzji stał nadal w miejscu, nie wiedząc, co ze sobą robić. Gladiator parsknął z niezadowoleniem, stuknął go w ramię końcem trzciny, a potem wskazał nią wolny pulpit. Tkacz kiwnął głową i usiadł, po czym natychmiast nieznacznie zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

– Nie mówi, nie słyszy, mam nadzieję, że przynajmniej myśli – wymamrotał

nauczyciel z obrzydzeniem. Niemal bez namysłu wybrał jedną z ksiąg, stojących na półce, nabazgrał notatkę na skrawku pergaminu i niedbale rzucił obie rzeczy na blat przed Tkaczem.

Mówca obserwował z boku pochmurniejącą twarz nowego kolegi. Delikatnie wszedł w zadziwiający umysł głuchego maga – żadnych słów, wyłącznie obrazy, symbole i uczucia... w owej chwili było to głównie niezadowolenie i niedowierzenie.

„Widzę, że nie podoba ci się ta książka?” – zagaił.

Głowa Kamyka poderwała się gwałtownie znad stronicy.



Kamyk nie miał wyboru, musiał zostać w Zamku, chociaż wolałby wpierw odwiedzić ojca. Rezygnacja z gościnności Kręgu oznaczała jednak zrażenie do siebie starszyny, a w dalszej perspektywie przypuszczalnie jakieś niemiłe konsekwencje nie tylko dla niego, ale i dla Płowego. Tymczasem wypytał Nocnego Śpiewaka o możliwość posłania do Żmijowych Pagórków listu i kolekcji motyli dla Płowego. Żałował, że nie zobaczy radości, z jaką stary mag otworzy pudła z podarunkami. No cóż, spróbuje odwiedzić dom później. Ten parszywy dach był już w okropnym stanie. Może jednak uda się przekonać tutejszą starszynę, by puścili go do Pagórków choć na parę dni?

Te niewesołe myśli szybko jednak zostały wypchnięte przez inne problemy. Oto po raz pierwszy Kamyk miał znaleźć się w dużej grupie. I to nie jakichś tam chłopców zbliżonych do niego zarówno wiekiem, jak i pozycją, jakichś nieświadomych wieśniaków, o nie... Przed złośliwością i przemocą nie obroni go błękitna szarfa. Młodzi magowie wcale nie musieli być przyjaźnie nastawieni, o czym przekonał się rok temu. Wszyscy uczniowie zdążyli się już zżyć ze sobą, zapewne nawiązali kontakty rozmaitej natury – od przyjaźni do otwartej wrogości. Kamyk miał spore obawy, czy zdoła wrosnąć w ten nowy grunt. Nowy przybysz, w dodatku niesłyszący, łatwo mógł się stać celem niewybrednych żartów. W dodatku prawdopodobnie był mocno opóźniony w nauce. Płowy starannie dbał o jego wykształcenie, ale czy wiejski medyk mógł dorównywać wiedzą tutejszym uczonym? Nic dziwnego, że idąc wraz z Nocnym Śpiewakiem na pierwszą lekcję, Kamyk czuł się niemal chory ze zdenerwowania. Jedyną pocieszającą myślą było to, że Stworzyciel jest do niego przyjaźnie nastawiony i wesprze go w razie potrzeby.

Ta odrobina otuchy rozplynęła się jednak, kiedy Nocny Śpiewak zrobił całe przedstawienie na progu, chwając się na prawo i lewo, co też za osobistość przyprowadził ze sobą, ku ogromnemu zażenowaniu Kamyka. Doprawdy, większe wrażenie zrobiłby tylko wjeżdżając na koniu, w pełnej zbroi i z chorągwią! Przecież ani nie wyglądał, ani tym bardziej nie czuł się jak bohater! Ćwierć setki zaciekawionych twarzy natychmiast obróciło się w stronę chłopca. Posypały się pytania. Te wprost do głowy w bezpośrednim mentalnym kontakcie były dla niego bełkotem, gdyż rozmówcy nie zdążyli się jeszcze zorientować, jakiego używa kodu porozumienia. Na inne, przekazywane za pośrednictwem Nocnego Śpiewaka, nie nadążał odpowiadać. Zmieszany i z każdą chwilą coraz bardziej niespokojny, miał ochotę uciec i zaszyć się w jakimś ciemnym, spokojnym kącie. Nadejście nauczyciela przyjął wręcz z ulgą, choć Śpiewak zdążył mu przekazać, że człowiek zwany Gładiatorem cieszy się jak najgorszą opinią. Rzeczywiście, nauczyciel nie wydawał się zachwycony dodatkowym uczniem. Kamyk wiedział, że nikogo nie należy oceniać po wyglądzie ani uprzedzać się od pierwszego spojrzenia, lecz trudno było te szlachetne zasady stosować do Gładiatora. Wyglądał odstręczająco, ale jego brzydota nie miała źródła wyłącznie w nabrzmiałej niezdrowo twarzy o obwisłych policzkach. Głębokie bruzdy ciągnęły się w dół od kątów jego ust, nadając mu wyraz nieustannego niezadowolenia. W jego oczach natomiast kryła się podejrzliwość i złośliwość... Najwyraźniej nie znosił swoich uczniów, a oni owo uczucie w pełni odwzajemniali.

A potem zrobiło się jakby gorzej. Przed Kamykiem wylądowała gruba książka z kartką na wierzchu, gdzie niedbałymi znakami zostało wypisane zwięzłe polecenie: „Przeczytać od strony trzeciej do szesnastej, napisać streszczenie, nauczyć się na pamięć”. Nic nowego, podobnymi sposobami uczył go również Płowy, choć raczej przedkładał praktykę nad teorię. Kiedy jednak chłopiec spojrział na tytuł dzieła, wręcz osłupiał. *Polityka społeczna i gospodarcza cesarstwa w regionach północno-zachodnich*. Przeczytał jeszcze raz.

„Może coś mam z oczami...? – pomyślał, usiłując oszukać samego siebie. – Może nieodpowiednio rozpoznałem jakiś znak, może to вина klucza...?”

Niestety nie. Musiał się z tym pogodzić. Nadciągały ciężkie czasy, a opanowanie na pamięć trzynastu stronnic urzędniczego bełkotu to tylko przedsmak – wyraźnie to przeczuwał – tego, co nastąpi później.

„Widzę, że nie podoba ci się ta książka?” – Niespodzianie ktoś zarzucił Kamykowi do głowy wędkę mentalnego kontaktu. Pytanie poprawnie

sformułowano w czytelne dla Tkacza znaki, a jego nadawca był... przyjazny? Miły? Przyjaźnie zainteresowany? Kamyk odwrócił głowę, przepatrując pochylone pilnie nad pergaminami postacie, usiłując zgadnąć, kto się do niego odezwał. Ów nowy kontakt nie miał cech impulsywnej gadaniny Nocnego Śpiewaka. Kimkolwiek był ten chłopak, musiał być poważniejszy i chyba starszy.

Pulpity do czytania i twarde krzesła ustawione zostały w cztery równe szeregi. Kamykowi trafiło się miejsce akurat w pierwszym rzędzie, na samym skraju, więc miał małe możliwości obejrzenia wszystkich bez zwracania na siebie uwagi Gladiatora. Tuż obok siedział jakiś nieduży, ładny chłopaczek. Ukradkiem zerkał na swego nowego sąsiada, mrugając nerwowo. Wyglądał na kogoś, kto co chwila przeprosza, że w ogóle żyje. Za nim znajdowało się stanowisko Nocnego Śpiewaka, który z kolei wydawał się kompletnie niczym nie przejmować. Rozparł się wygodnie na krześle, wyciągnął nogi do przodu i przeglądał jakieś papiery w niedbałej pozie właściciela połowy królestwa albo co najmniej dobrze prosperującej plantacji bawełny.

„Za tobą.”

Kamyk zerknął przezornie na nauczyciela, zajętego właśnie wyglądaniami przez okno, po czym obejrzał się. Powitał go przyjazny uśmiech. Chłopiec miał miłą, okrągłą twarz, okraszoną paroma pryszczami i widać było aż nazbyt dobrze, że jego ulubioną czynnością jest jedzenie.

„Jestem Mówca Koniec.”

„I to wszystko?” – zdziwił się Tkacz Iluzji.

Chłopak pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

„Na imię mam Koniec. Jestem najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa i mama miała już stanowczo dość dzieci. A ten obok to Winograd. Jest Bestiarem.” – Palec Mówcy wskazał nieznacznie na sąsiada.

Interesujące. Bestiarów nazywano także Mówcami Zwierząt, gdyż z nimi właśnie pracowali. Ciekawe, czy taki umiałby porozumieć się z lamią. Kamyk zerknął z zaciekawieniem. Chłopiec zwany Winogradem z wyglądu stanowił całkowite przeciwieństwo grubego Końca. Był długi i chudy jak drąg, a sztywne włosy sterczały mu jak kolce poirytowanego jeża. Jego wąska twarz robiła w pierwszej chwili niesympatyczne wrażenie, ale w bystrych oczach Bestiara lśniły isierki humoru. Widząc, że Kamyk patrzy na niego, uśmiechnął się porozumiewawczo, a potem uchylił poły skórzanej kurtki. Na moment wyjrzał stamtąd klinowaty łebek szczura. Chłopak o lisiej twarzy pogłaskał zwierzątko palcem po uchu, szczur ziewnął smacznie, a potem schował się z powrotem



w zakamarki ubrania swego pana.

„Ten przystojniaczek za Winogradem to Gryf. Obserwator” – kontynuował Mówca. Młody mag – w istocie ładny chłopiec o gęstej grzywce niedbale rozsypanej nad czołem – najwyraźniej zorientowany, że właśnie o nim mowa, odwrócił twarz w ich stronę i mrugnął znacząco. Koniec Mówca po kolei przedstawiał Kamykowi wszystkie „połówki”. Byli tam Wiatromistrzowie, Obserwatorzy i Mówcy, Strażnicy Słów zwani potocznie Żółwiami, Stworzyciele i Przewodnicy Snów, którymi Kamyk wyjątkowo się zainteresował, gdyż nigdy jeszcze nie spotkał żadnego z owych tajemniczych wróżów, których talent potrafił rozpoznawać zawile ścieżki ludzkiego losu. Wśród wyróżnionych przez Krąg znalazło się także kilku Wędrowców – między innymi właśnie ów mały chłopiec po sąsiedzku. Jak wyjaśnił Śpiewak, który zdążył wmieszać się do tej mentalnej konwersacji, malec nosił dość pospolite imię Jodłowy, ale nikt nie zwracał się do niego inaczej jak „Myszka”, co pasowało idealnie do tego małego i bojaźliwego chłopca. Nawet sam Jodłowy tak już przywykł do przydomka, że czasami nie reagował na własne imię. O dziwo, pośród tej parady talentów był tylko jeden jedyny Tkacz Iluzji – właśnie Kamyk. Przy okazji rozbawiony chłopiec dowiedział się również, że Nocny Śpiewak ma opinię birbanta, łazika, kombinatora i niepoprawnego kobieciarza. I to wszystko w wieku lat niespełna osiemnastu. „Za dwa lata stanę się legendą, którą mamki będą straszyć dzieciaki. Jak nie zjesz kaszki, to skończysz jak Śpiewak Straszliwy” – skwitował kpiarsko Śpiewak.

Rozmówki takie trwały przez cały czas popołudniowej nauki. Chłopcy udawali pilność przed nauczycielem, pochyleni nad swoimi książkami, jednocześnie zajmując umysły czymś całkiem innym. Widocznie akurat tego dnia Gladiator nie był w nastroju do szpiegowania, gdyż nikogo nie przyłapał na lenistwie. Pod koniec Kamyk orientował się już całkiem nieźle w nowych imionach i twarzach; przekonał się jednak, że ani Nocny Śpiewak, ani Mówca nie wspomnieli niczego o chłopcu siedzącym przy pulpicie pod oknem. Kamykowi zasłaniał go Wędrowiec Myszka, a w drugiej kolejności kosmaty Stworzyciel, więc nawet odchylając się do tyłu, mógł dojrzeć tylko długie, starannie ufryzowane loki spływające na ramiona chłopaka oraz jego plecy i ramię – przyodziane w elegancki, pełen zakładek kaftan z miodowego aksamitu, z dowiązywanymi rękawami, które przecięto w paru miejscach, by pokazać kremowy jedwab spodniej koszuli. Niewątpliwie to ktoś znacznie majątniejszy od reszty uczniów, których ubrania uszyto ze zwyczajnego sukna.

Na pytanie o ostatniego, dwudziestego siódmego ucznia, Śpiewak tylko

wzruszył ramionami i odparł z niechęcią: „To Zwycięski Promień”. Natychmiast też udał, że pilnie przepisuje coś z zadanego fragmentu, gdyż stanął nad nim nauczyciel, znacząco stukając końcem trzciny w stronicę.

Nic dziwnego, że zaciekawiony Kamyk, gdy tylko skończyła się lekcja, natychmiast zerwał się na równe nogi, aby obejrzeć intrygującą postać. A było co oglądać. Chłopak, zwany Zwycięskim Promieniem, miał na sobie strój stosowny raczej w świecie lektyk, złotolitych gobelinów, fontann tryskających winem – rzeczy tego rodzaju, które wyobraźnia zwykła wiązać z kręgami arystokracji; w każdym razie niezbyt pasujący do pustawej sali lekcyjnej o zdeptanej posadzce i wypłowiałych freskach na ścianach.

Szerokie, luźne spodnie sięgały młodemu arystokracie zaledwie do kolan, jakby był małym dzieckiem. Nosił też bielutkie pończochy i wykwintne trzewiki z miękkiej zielonej skóry, w miejsce zwyczajnych mocnych butów, które włożyłby każdy normalny człowiek na jesienne słoty. Wystrojony w te aksamity, jedwabie i wstążki, wyglądał jak dziewczyna! Kamyk przyglądał mu się z rosnącym zdumieniem i odrazą.

„Na wieczny Krąg... nie ubrałbym się w takie łachy, choćby mi dawali za to górę złota”, pomyślał.

Obserwowany chłopak odwrócił się twarzą do Tkacza Iluzji i wtedy Kamyk go nareszcie rozpoznał. Przedtem widział tę twarz skrzywioną w grymasie przestachu i bólu – teraz trwała w wyrazie pogardy, a czarne oczy taksowały Kamyka od stóp do głów. Elegant lekceważąco wydał wargi. Chłopak wyrósł od tamtej pory, gdy widzieli się ostatnio, ale Kamyk nie miał żadnych wątpliwości – to pamiętny Iskra, z którym swego czasu walczył w różanym ogrodzie.



Zamek Magów był niezwykłym miejscem. Pięć kolosalnych wieżyc – jedna pośrodku, a cztery pozostałe ustawione dokoła – stanowiły rdzeń całej zabudowy. Górowały nad innymi budynkami (również niemałymi) jak olbrzymy pośród gromady karłów lub dzieci. Jeżeli miało to na celu podniesienie prestiżu Kręgu, zamiar architektów powiódł się całkowicie, a może i podwójnie. Kamyk oglądał to niesamowite budowlane przedsięwzięcie z grzbietu Pożeracza Chmur i pamiętał, że układ całości przypominał kwiat czy też może czteroramienną gwiazdę. Dachy niższych budowli układały się według określonego wzoru, lecz

to dawało się dostrzec tylko z góry. Być może podobny widok ujrzałby z okna najwyższej, środkowej wieży. Niżej odnosiło się wrażenie przyjemnego nieładu.

Szli szczytem kolistego zewnętrznego muru: Nocny Śpiewak, Kamyk, świeżo poznany Mówca o niecodziennym imieniu Koniec, Winograd ze swoim szczurem, który biegał dokoła, obwąchując wszystko ciekawie, a na przyczepkę Myszka, z pewnego oddalenia przypatrujący się z respektem sławnemu Smoczemu Jeźdźcowi.

Mżyło. Na koronie Muru Obwodowego mokły spokojnie maszyny obronne i spżowe armaty troskliwie pookrywane natłuszczonymi płachtami.

Widoczne w dole faliste dachówki i łupkowe gonty lśniły czerwono i srebrno od wilgoci. Wykończenia rynien w kształcie pysków strasznych jaszczurów oraz głów delfinów pluły deszczówką. Kotary ciemnozielonej i rdzawej winorośli pokrywały ściany, a ich pędy ciekawie zaglądały do okien. Lekkie, misterne balustradki ograniczały wielopoziomowe galerie, które latem dawały schronienie przed upałem, a chłodną porą przed ulewami.

Nocny Śpiewak, przyjąwszy na siebie rolę przewodnika, objaśniał Kamykowi strukturę siedziby Kręgu z taką dumą i zapałem, jakby sam ją wybudował. Pokazywał zaprojektowane na płaskich dachach zbiorniki na deszczówkę – w Zamku zużywano tyle wody, że studnie nie zaspokajały tych potrzeb w całości, a rzeka była zbyt zamulona – oraz przeprowadzone między budynkami pomysłowe estakady, skróty do najbardziej uczęszczanych rejonów Zamku. Podekscytowany Stworzyciel zwracał uwagę kolegów na jakieś wyjątkowo oryginalne konstrukcje dachowe i nietypowe rozwiązania, gdy chodziło o rozmieszczenie ramp dla Wędrowców. Kamyk zauważył, że Koniec i Wężownik słuchając tego wykładu, wymieniają rozbawione spojrzenia i lekkie uśmiechy. Widocznie obsesja Śpiewaka nie była dla nich niczym nowym.

„Spędziłem w tych murach więcej niż pół życia. Znam tu wszystko i wszędzie trafię nawet z zawiązanymi oczami – pochwalił się dumnie Stworzyciel, kierując towarzyszy w dół, po schodkach wiodących z wierzchołka zewnętrznego muru. – Uczę się rysunku. Zostanę budowniczym!”

„To nie będziesz Stworzycielem?” – spytał Kamyk naiwnie i natychmiast zawstydził się tego niemądrego pytania. Nocny Śpiewak spojrział na niego z pobłażliwym rozbawieniem, a chłopcu wydawało się, że Mówca podziela uczucia kosmacza.

„Stworzyciel to przecież nie jest żaden konkretny fach. Nie chcę obijać się przez całe życie, korzystając tylko z talentu. A ty kim zostaniesz?”

Po raz pierwszy zadano Kamykowi takie pytanie. Tkacz Iluzji... to nazwa

kasty, określenie talentu, ale nie profesja. Wydawałoby się, że to właśnie talent określał teraźniejszość i przyszłość Kamyka, ale z biegiem czasu chłopiec zdążył dojść do wniosku, że ma przed sobą znacznie więcej dróg do wyboru.

*Chcę być uczonym i pracować ze smokami* – zadeklarował stanowczo. Może i nie było to rzemiosło równie konkretne, jak kowalstwo czy robienie garnków, ale Kamyka właśnie smoki oraz tajemnicze mechanizmy przyrody zawsze interesowały najbardziej. – A wy?

„Ja się jeszcze nie zdecydowałem. – Krągły Mówca nagle posmutniał, ale w mgnieniu oka na jego twarz znów powrócił przyjazny i beztroski wyraz. – Co do Winograda, to wiadomo. – Trącił żartobliwie łokciem sąsiada. – Najszczęśliwszy będzie gdzieś w oborze, psiarni albo wręcz jakiejś gadziarni.”

Winograd zaśmiał się i przywołał szczura, a zwierzątko bez wahania weszło przez rękaw pod kurtkę swego pana. Bestiar powiedział coś do Mówcy, a ten powtórzył odpowiedź Kamykowi.

„Winograd mówi, że wolałby konie. Za węzami nie przepada. Twierdzi, że są nietowarzyskie.”

A on? – Kamyk odwrócił się, szukając wzrokiem małego Wędrowca. – *Wybrałeś już, kim zostaniesz?*

Myszka nadal trzymał się z tyłu pomimo zachęcających gestów Tkacza Iluzji (a może właśnie z ich powodu) i nie chciał brać udziału w tej skomplikowanej rozmowie, prowadzonej na dwóch poziomach porozumienia. Pąsowy z zakłopotania, udawał, że całkowicie pochłania go obserwowanie szczurka, który właśnie znów wystawił łebek zza kołnierza za uchem Winograda.

Kamyk postanowił nie naciskać i zaczekać z dalszym oswajaniem nieśmiałego kolegi. Ostatecznie miał jeszcze na to dużo czasu.

Tymczasem Nocny Śpiewak prowadził ich przez południową ćwiartkę Zamku. Chociaż Tkacz Iluzji odwiedził Zamek na wyspie już dwukrotnie, nie miał przedtem czasu na dłuższe zwiedzanie, więc teraz niemal bez reszty pochłaniały go nowe widoki. Przede wszystkim budowla ta miała być luksusową siedzibą, prawdziwym Pałacem Magii, choć na zewnątrz sprawiała wrażenie twierdzy. Wewnątrz była po prostu przyjemnym dla oka miastem o dość gęstej zabudowie. Magazyny, stajnie, warsztaty, pomieszczenia dla służby oraz strażnice i tym podobne budynki naturalnie umieszczono bliżej zewnętrznego muru. Serce Zamku pozostało uroczym ogrodem. Gdzie tylko się dało, założono ogrody lub przynajmniej klomby z kwiatami. O tej porze roku róże już przekwitły, lecz wciąż jeszcze trwały na posterunkach jaskrawożółte

rozczochrane chmurniki, drobne tufliki o liliowych, brązowo nakrapianych płatkach, ostatnie kocie paszczki, a na krzewach pyszniły się mokre grona karminowych jagód. Poza obręb murów prowadziły dwie bramy: jedna ku przystani rzecznej, druga ku mostowi łączącemu wyspę z lądem, na którym rozrastało się Podzamcze – tętniące życiem handlowe miasto, ciągnące kolosalne zyski z bliskości Kręgu i obecności magów w bezpośrednim sąsiedztwie. Jednak gdyby ktoś nie odczuwał takiej potrzeby, mógłby nigdy nie postawić stopy poza obręb Zamku Magów, który sam w sobie był miastem państwem w miniaturze, a także twierdzą, zdolną w razie potrzeby bronić się przez całe dziesięciolecia (choć do tej pory nikt nawet nie próbował jej oblegać).

Los rzucił Kamyka właśnie tutaj, do siedziby Kręgu i może właśnie to było najlepsze, co mogło go spotkać? Co porabiałby zimą w Żmijowych Pagórkach? Czytał po raz kolejny znane już na pamięć książki, oporządzał kozy i nudził się śmiertelnie, nie mając tym razem do towarzystwa Pożeracza Chmur. Na myśl o pozostawionym za morzem przyjacielu mimowolnie poczuł ucisk w piersiach. Odetchnął głęboko, zerkając na idących obok chłopców. Przez nadchodzące miesiące miał z nimi przebywać większość czasu – podczas lekcji, posiłków... zapewne także jakichś gier i temu podobnych rozrywek. Jeszcze parę godzin temu czuł lęk na myśl o tym – teraz strach zamienił się w nadzieję. Nie wyglądało na to, żeby którykolwiek z rówieśników chciał go dręczyć. Może poza „ognistym” arystokratą, ale i to nie było pewne po nauczce, jaką tamten dostał pod sławetną fontanną.



*Dobrze żyje mi się z Nocnym Śpiewakiem. Na przykład zupełnie nie przeszkadza mi to, co irytowało jego poprzednich współlokatorów, którzy próbowali z nim dzielić sypialnię. Otóż Śpiewak ma dość swobodny stosunek do czyjejś własności, bez żadnego skrępowania używa cudzego grzebienia, miesza ręczniki, pożycza sobie koszule, jeśli nie może znaleźć własnych (a to zdarza się często, bo na swojej połowie ma wciąż okropny nieład, który rozpełza się też na moją część terytorium). Śpiewak jednak przy tym oczekuje takiego samego zachowania po mnie – jeśli jest mi potrzebne coś, co należy do niego, mam to sobie wziąć i nie zawracać mu głowy. Nie rozgranicza „moje – twoje”, co mnie na początku bardzo zdumiewało, bo takie obyczaje do tej pory widziałem tylko u smoków. Tymczasem Śpiewak poszedł nawet dalej, bo dzieli*

się ze mną i „legowiskiem”, i jedzeniem. Jest niewiarygodnie hojny, zasypując mnie przy każdej okazji (i bez okazji też) rozmaitymi podarkami. Wpierw mnie to wprawiało w zakłopotanie, teraz już przywykłem. Mam talent do przyciągania oryginalnych postaci, pisałem już o tym, prawda?

Na dodatek Nocny Śpiewak – i pewnie to ostatecznie zniechęcało moich poprzedników – włóczy się gdzieś po nocach (zgodnie ze swoim imieniem) jak nawiedzony kocur, najczęściej wracając w stanie „księżycowym”. Jest mi to całkowicie obojętne. Może wracać o dowolnych porach, trzaskać drzwiami i przewracać meble po ciemku. Przesypiam jego nocne eskapady kamiennym snem, o ile tylko nie świeci mi w oczy lampą, co zastrzegłem sobie na samym początku bardzo stanowczo. Czasem bycie głuchym ma swoje dobre strony. Nocny Śpiewak jak dotąd dotrzymuje przyrzeczenia. O dziwo, każdego ranka budzi się trzeźwy, świeży jak pączek różany (cokolwiek kudłaty pączek) i zupełnie nie widać po nim nocnego pijaństwa. Pod wieloma względami przypomina mi Pożeracza Chmur. Może dlatego mam dla niego tak wiele tolerancji.

Śpiewak jest bardzo dobry z rachunków – umie obliczać w pamięci takie ciągi liczb, jakie mnie wprawiają w bezradne oszołomienie – pomaga mi więc w arytmetyce, bo ta zawsze była dla mnie przysłowiowym nożem na gardle. Za to ja poprawiam mu wypracowania, wykreślając z nich rzeczy w rodzaju: „bakterie to są stworzonka z ogonkami, których dostaje się od niemycia rąk”. Nocny Śpiewak celuje w takich rewelacjach. Tego dnia, kiedy przybyłem do Zamku, Gladiator wlepił mu karę, a Śpiewak nazajutrz przyniósł na lekcję starannie przepisany fragment – całe nakazane dwieście wersów – z frywolnego poematu pod tytułem „Lotosu kwiecie, aboli ucieszne perturbacje panien z Cippony”. Huragan śmiechu, kiedy zaczął czytać owo dzieło w klasie, omal nie wywalił okien z ram. Tym razem, ku memu przerażeniu, zarobił „ścianę”, ale twierdził potem, że było warto dla samej miny Gladiatora. Śpiewak kompletnie lekceważy kary cielesne. Nie to, żebym ja nigdy nie oberwał różgą, ale traktowanie bicia tak, jakby była to chwilowa niewygoda w rodzaju zmoknięcia na deszczu, mieści mi się w głowie z dużymi oporami. To jest zdecydowanie nienormalne.

Pod wieloma względami Nocny Śpiewak przypomina mi Pożeracza Chmur – tak samo pyskaty i bezczelny; identycznie też linieje, co jest całkiem zrozumiałe przy ilości włosów, jaka go porasta. Brązowe włosy znajdują wszędzie, nawet pomiędzy kartami książek. Upłynęły jednak całe tygodnie, zanim wyklarował mi się prawdziwy obraz Nocnego Śpiewaka. Pod maską zuchwałego nicponia i szydery kryje się wrażliwy, czuły na piękno człowiek, który skrycie cierpi z powodu swego wyglądu i pragnie akceptacji. Stąd biorą się jego popisy,

pozorne lekceważenie wszelkich autorytetów, podarunki rozdawane lekką ręką kolegom. Śpiewak rozpaczliwie pragnie być lubiany i podziwiany. Ciekawe, kiedy do niego dotrze, że lubiłbym go nawet wtedy, gdyby o to szczególnie nie zabiegał, i że za przyjaźń nie trzeba płacić w żaden sposób.

Podoba mi się tutejszy obyczaj, rozpowszechniony wśród „połówek”, że talenty są wspólnym dobrem i nikomu nie odmawia się drobnych przysług. Jeśli masz za sąsiada Iskrę, zawsze zapewnia on ciepłą wodę do mycia. Jeśli ktoś zapomniał czegoś ze swojej kwatery, a lekcja ma się rozpocząć już za chwilę, może liczyć na Wędrowca, który przyniesie potrzebny przedmiot. Stworzyciele przygotowują wszystkim pióra do pisania i nawet nie trzeba ich o to specjalnie prosić. Wytwarzają też pokątnie słodczyce, bo tych autentycznych zawsze brakuje. Jestem pewny, że Śpiewak produkuje również rzeczy bardziej zakazane od fałszowanych cukierków, ale jak dotąd z mojej strony są to przeczucia, niepoparte konkretnymi dowodami. Mówcy są naszymi stróżami, niezbędnymi zwłaszcza na lekcjach z Gladiatorem. (Nienawidzę go teraz tak samo jak inni. Obrzydliwy, złośliwy i podły typ.) Nieraz dostawałem ostrzeżenie od Końca, Szarego albo Obłoka: „Uważaj, Gladiator znów szpieguje”. Bez tej ochrony pewnie nigdy byśmy się nie wygrzebali z karnych prac i dodatkowych ćwiczeń.

Staram się rewanżować za te uprzejmości, tak więc spędziliśmy niejedną miłą wieczór w iluzyjnych światach. Na życzenie kolegów zabierałem ich na Smoczy Archipelag, gdzie mogli napatrzeć się do syta na skrzydlate olbrzymy. Zwłaszcza Winograd, Gryf, Myszka i Wężownik, który również należy do kasty Wędrowców, są zafascynowani smokami i na okrągło czytają kopie moich notatek z podróży na Południe. Nigdy nie mają tego dosyć. Tak więc co drugi, trzeci dzień wędrujemy po dusznej dżungli. Czasem ich przewodniczką jest mirażowa Jagoda, czasem Słony – zapoznałem też chłopców z całą rodziną Mówcy. Oglądaliśmy już podwodne krajobrazy u wybrzeży Jaszczura – tak jak je zapamiętałem. Najczęściej jednak proszą o iluzję Liski. Nie znają jej w rzeczywistości, ale zakochali się w niej wszyscy, jak jeden mąż. Jednego odmawiam, mimo że co jakiś czas próbują mnie do tego nakłonić. Mianowicie nigdy nie pokazałem im całej grozy ataku syren (choć same syreny owszem) i nie mam zamiaru nigdy nikomu za pomocą talentu odtwarzać moich wspomnień, kiedy to walczyłem z piratami. To zbyt osobiste przeżycia. Chociaż w sumie mogę w nich uchodzić za bohatera, czuję opór przed ich ujawnianiem. Chyba jedynym człowiekiem, któremu ufam na tyle, jest Płowy, ale jego nie zobaczę jeszcze długo.

Ulubionym tematem Nocnego Śpiewaka są miraż, w których pokazuję

*starożytne ruiny na Archipelagu. Jest wręcz zafascynowany tymi budowlami i kiedy tylko obaj mamy wolną chwilę, przenosi moje iluzje na papier. Nie tylko utrwała ich obecny stan, ale także fantazjuje, rysując ruiny jako nowe budynki w pełni świetności, takie jak wyglądały przed wieloma laty, zanim zniszczyła je dżungla, pogoda i wstrząsy ziemi.*

*Zaprzyjaźniłem się nie tylko z Nocnym Śpiewakiem. Tworzymy zwartą gromadkę wraz z Końcem, Winogradem i Myszką, który dzieli sypialnię z Bestiarem. Jeżeli ktokolwiek nadaje się do oswojenia Myszki, to właśnie tylko łagodny i cierpliwy Winograd, kochający z wzajemnością wszystkie psy, koty i gołębie w okolicy. Zupełnie szczerze mógłbym przyznać, że jestem zadowolony, a może nawet i szczęśliwy w nowym miejscu, gdyby nie dwie postacie niczym ze złego snu: Zwycięski Promień Świtu i Gladiator.*



*Właściwie jak silny talent ma to koszmarnie książątko? – spytał Kamyk, oglądając z niesmakiem pęcherz na palcu, który był nie wiadomo już którym z kolei wynikiem sabotażu ze strony dokuczliwego Iskry. Tym razem Tkacz Iluzji nieostrożnie dotknął metalowego okucia stołu, które było rozgrzane niemal do czerwoności. W odwecie posłał rywalowi bardzo realistycznie wyglądającą wielką skolopendrę, więc nieznośny panicz Brin-ta-ena spędził najdłuższe chyba pięć minut swego życia, zaciskając kurczowo powieki i usiłując zignorować łążącego po nim robala. Zwycięski Promień Świtu nie odważył się powtórnie otwarcie wystąpić przeciw Kamykowi, ale chował głęboką urazę za tamto upokorzenie w różanym ogrodzie i szukał odwetu, kiedy tylko się dało.*

*„Ten pieprzony paniczek ma talent wielkości Niemierskiego Szczytu – odparł Nocny Śpiewak. – Mógłby zagotować staw w mgnieniu oka i chyba nawet niezbyt by się zmęczył.”*

*Ale nie ma z tego powodu żadnych defektów, tak jak ja albo ty. – Kamyk zamyślił się na chwilę.*

*„On ma defekt w charakterze, jest obłąkany, chociaż na pierwszy rzut oka może tego tak nie widać” – podsumował Nocny Śpiewak z jawnym obrzydzeniem i na nowo pochylił się nad budowaną makietą zamku na znak, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż rozważanie zalet i wad Zwycięskiego Promienia (z dużą przewagą tych ostatnich).*

*Kamyk jednak nadal rozmyślał nad niedoskonałością natury ludzkiej. O ile*



motywy Iskry dawało się jako tako określić – młody książę czuł się pewnie pokrzywdzony traktowaniem na równych prawach z „wieśniakami i bękartami”, a może również zazdrosny o popularność Śpiewaka i Tkacza Iluzji – o tyle powody ponurej zaciekłości, z jaką Gladiator tępił swoich uczniów, były niejasne, niepokojące i zupełnie niezrozumiałe. Wyglądało na to, że Gladiator darzy ich wszystkich identyczną (paradoksalnie sprawiedliwą) nienawiścią, która obejmowała nawet Zwycięskiego Promienia Świtu, choć teoretycznie nauczyciel mógłby go jakoś wyróżniać ze względu na szlachetną krew.

Jako Obserwator Gladiator pozornie miał mniejsze niż Zwycięski Promień możliwości, by dokuczać chłopcom. Wykorzystywał jednak z odstręczającą pomysłowością wszelkie drobne nawet pomysły uprzykrzenia im życia. Na przykład nie rozstawał się z grubą trzcina, którą bił chłopców w dłonie za błędne odpowiedzi lub lenistwo, przy czym jego definicja „lenistwa” była dość płynna. Kamykowi zdarzyła się raz jeden ta wątpliwa przyjemność i uznał to za kompletny bezsens. Spuchnięte palce nie pomogły mu zrozumieć zadanej lekcji, a na dodatek nie mógł pisać.

Gladiator uwielbiał również czatować na tych, którzy bładzili myślami po manowcach i walił zniecka trzcina w pulpity zagapionych chłopców. Z Kamykiem mógł co prawda próbować tej sztuczki dowolnie długo, co najwyżej zainteresowałyby się, co nagle poruszyło się w jego polu widzenia, za to biedni koledzy młodego maga wystraszeni podskakiwali pod sam sufit. Gladiator chłostał też słowem. Epitetów: próżniak, tępak, bałwan nieszczęsny, kołek nieociosany, szczeniak albo łagodniejszego „wiedzoodporny” używał bez przerwy. Według nauczyciela wszystkie „połówki” powinny zastanowić się nad obraniem takich profesji, jak odstraszenie ptaków w sadach lub pasanie krów, bo do szycia butów potrzeba nieco więcej rozumu. Według Gladiatora, Koniec byłby geniuszem, gdyby jego inteligencja dorównywała żarłoczności. Myszka zyskał opinię głupawego mazgaja, gdyż któregoś razu rozplakał się na lekcji, nie wytrzymał nerwowo. Nocnego Śpiewaka, jeśli w końcu zostanie wyrzucony z Zamku Magów za skandaliczne prowadzenie się, miała czekać kariera psa łańcuchowego. Stworzyciel powtarzał później Kamykowi co soczystsze określenia i głuchy Tkacz po raz pierwszy w życiu uznał swoje kalectwo za korzystne. Skoro już musiał oglądać Gladiatora, to przynajmniej unikał słuchania.

Nie udało się w jednym, powiodło się w drugim – nauczyciel bezbłędnie wyczuł słabe punkty Tkacza Iluzji i regularnie torturował go zadaniami z rachunków oraz geometrią. Dla urozmaicenia przeplatał to nudnymi aż

do mdłości rozprawami o polityce i życiorysami kolejnych cesarzy, wybierając wyłącznie takich, którym nie przytrafiło się nic szczególnie ciekawego.

Po upływie zaledwie kilku dni Kamyk doszedł do wniosku, że Płowy, choć był tylko wiejskim lekarzem, potrafiłyby nauczyć ich nieporównywalnie więcej w znacznie krótszym czasie i to raczej bez oporu ze strony nauczanych.

Ukoronowaniem tego wszystkiego stało się coś, co przebiło wszelkie inne profesorskie osiągnięcia. Jeden z młodych Strażników Słów zdobył się na odwagę, zadając pytanie, czy nie mogliby zająć się na niektórych lekcjach literaturą – chociażby fragmentami najsłynniejszego poematu Bramy Zachodu. Usłyszał wtedy odpowiedź wygłoszoną tonem jakby wyciągniętym z lodowni: „Literatura jest grzeszna”. Wstrząśnięty Żółw przez dłuższy czas nie mógł dojść do siebie, podobnie jak reszta świadków.

Pod błahym pozorem zabroniono uczniom wolnego dostępu do zamkowej biblioteki. Cenne rozprawy, traktaty, pamiętniki – spuścizna po nieżyjących już magach, zarówno błękitnych, jak i czarnych – nie były przeznaczone dla rozhukanych smarkaczy, którzy, według zgryźliwego nauczyciela, najpewniej owe bezcenne woluminy by zniszczyli, zagubili... albo zjedli, jak skomentował ironicznie to niesłychane rozporządzenie Nocny Śpiewak, wygłaszając zjadliwą tyradę proczytelniczą. Reszta „połówek” (nie licząc dziedzica Brina-ta-ena) popierała go całkowicie. W jaki sposób mieli zdobyć porządne wykształcenie, skoro zabraniano im dostępu do doświadczeń poprzedników? Śpiewak twierdził, że oddałby wszystko (no, może nie wszystko, ale całkiem sporo) za kopię „Anatomii” pióra Kobziarza Stworzyciela. Koniec po przybyciu do Zamku miał nadzieję na przeczytanie unikalnych opracowań historycznych o ostatniej wojnie, a teraz był głęboko rozczarowany. Inni podzielali jego frustrację. Zainteresowania Kamyka już dawno ustabilizowały się w okolicach biologii, a dzieciństwo spędzone w domu lekarza dało mu całkiem przyzwoite podstawy wykształcenia medycznego. Profesor jednak zdawał się celowo ignorować indywidualne zdolności swych podopiecznych. Nawet Winograd miał z nim niemałe kłopoty, gdyż Gladiator wciąż szukał okazji, żeby zlikwidować jego hodowlę szczurów. Doszło do tego, że Bestiar prowadził z nauczycielem prawdziwą wojnę podjazdową, przemycając swoje zwierzaki do sali lekcyjnej, gdyż nie potrafił się z nimi rozstać nawet na krótko. Szczury Winograda były wyjątkowo oswojone i czyste, ale nauczyciel dostawał ataków furii na widok choćby koniuszka ogona „roznosiciela zarazy”, grożąc biednemu właścicielowi okrutną chłostą, a szczerom trucizną.

Człowiek jest istotą przekorną, więc nic dziwnego, że zakaz wstępu

do księgozbiorów zaowocował czymś wręcz przeciwnym. Nawet największe lekkoduchy c h c i a ł y czytać, zwłaszcza dlatego, że było to zakazane. Wędrowcy z łatwością, i oczywiście zupełnie nielegalnie, przenikali do zakazanych pomieszczeń, wynosząc książki dla wszystkich żądnych wiedzy. Czytano te woluminy ukradkiem po nocach, jak kiedyś w dzieciństwie opowieści o piratach, skarbach, potworach i okrutnych wojnach z barbarzyńcami. Pomiędzy „połówkami” krążyły listy zapisów na poszczególne tomy, a zabawa w konspirację bawiła wszystkich tym bardziej, im gorzej srożył się ich wróg.

Na szczęście istniały także rzeczy przyjemniejsze. Wiatr Na Szczycie, traktując dość poważnie swoją rolę Kamykowego mentora, docenił jego umiejętność rzucania nożem i zaproponował naukę walki na miecze. I miała to być p r a w d z i w a walka, a nie jakieś eleganckie machanie nożykiem do jabłek – jak to pogardliwie określał góral.

„W bitwie liczy się ten, kto ma dłuższe żelazo i jest szybszy. Reszta to zawracanie głowy” – twierdził wojowniczy mag, wyciskając ze swego podopiecznego siódme poty podczas ćwiczeń drewnianymi mieczami i w walce wręcz.

I tak mijał czas. Jednym słowem: młody Tkacz Iluzji nie mógł narzekać na nudę.



Tuż przed zimowym przesileniem Kamyk otrzymał przesyłkę od ojca. Już dawno, krótko po zadomowieniu się na galerii „połówek”, posłał do Żmijowych Pagórków kolekcję owadów i dołączony do niej długi list. Jakiś czas czekał na odpowiedź, ale w końcu stracił nadzieję, podejrzewając, że pismo od Płowego mogło zaginąć gdzieś po drodze z Lenn. A teraz dostał nie tylko list, ale i paczkę! Najwidoczniej Płowy zrezygnował z kosztownych usług magicznych, woląc zawierzyć sprawdzonej już wielokrotnie poczcie rzecznej.

Przesyłka zawierała świąteczne ubranie, które stało się podejrzenie krótsze i węższe niż przed dziewięcioma miesiącami, nowy płaszcz z koziej wełny oraz kronikę, pozostawioną swego czasu w domu. Między fałdami płaszcza chłopiec znalazł paczuszkę kandyzowanych moreli. Z rozbawionym uśmiechem i ciepłem w sercu poczęstował owocami Śpiewaka, a potem sam włożył lepki kąsek do ust. Doprawdy, czyżby Płowy nadal uważał go za spragnionego łakoci

malca?

List, dołączony do przesyłki, czytał z mieszanymi uczuciami.

Płowy był wdzięczny wszelkim możliwym bóstwom, że jego wychowanek wyszedł cało (czy też prawie cało) ze straszliwych przygód w dzikich krajach. Ubolewał też nad tym, że w sumie najgorszym niebezpieczeństwem okazali się ludzie, a nie smoki. Wylewnie dziękował za zbiór egzotycznych owadów i chrząszczy. Pytał o sprawy, o jakie zwykle pyta się w listach – o zdrowie, kolegów i naukę, a także, czy Kamykowi nie trzeba czegoś jeszcze, prócz przysłanych rzeczy.

*Wierzba przywędrowała do naszej wsi z początkiem lata – pisał Płowy – To jeszcze całkiem młoda kobieta, ale już okrutnie doświadczona przez życie i skrzywdzona przez maga, co mnie zabolalo. Tak więc poczułem się obowiązany, aby naprawić zło wyrządzone przez jednego z naszych. A historia jest tak zwykła i głupia, drogi chłopcze: ładna dziewczyna, na której zawiesił oko młody Obserwator, kancelista. Dziewczyna się zakochała, on jej obiecywał więcej, niż mógł i chciał dać – miłość na wieki, małżeństwo, dom i tak dalej – ale jak w drodze było dziecko, kochanek zniknął niby duch nad ranem. Niedługo po urodzeniu syna Wierzba opuściła rodzinę. Dlaczego – o tym nie mówi, ale wyczytuję, że marny widać ten jej dom, a krewni niezyczliwi. Tułała się długo, najmując do pracy to tu, to tam, nigdzie nie zagrzewając miejsca na dłużej, ale małego Jesiona nie porzuciła, choć ostatnimi czasy wiodło im się bardzo źle. Prawdę mówiąc, trafili do mnie prawie całkowicie zagłodzeni. W Jesionie nie ma ani śladu talentu, jaki mógłby odziedziczyć po ojcu, dlatego nie ma co próbować zwracać się do Kręgu z prośbą o wsparcie na jego wychowanie. Niestety, zwykły malec, choć całkiem przyjemny i bystry, o ile ja się znam na dzieciach. Przyznaję, że mało się znam, bo moje doświadczenie dotyczy tylko ciebie, synu, a tyś jest egzemplarz nieprzeciętny. – Kamyk parsknął krótkim śmiechem i czytał dalej. – Tak czy owak, Wierzbę zatrzymam tutaj, choćbym miał dźwierze zabić gwoździami. Doskonale zajmuje się domem, jest pracowita i gotuje o niebo lepiej ode mnie. Jak wiosną spróbujesz jej kluseczek, to padniesz przed nią na kolana. Żoną mi nie będzie, bom na to za stary – córką prędzej chyba, a Jesion wnukiem. Napisz jeszcze kiedy do swojej rodziny, jak ci się wiedzie na tym nieobyczajnym Południu, obieżyświacie. Ucz się pilnie, a za jakął posadą potem rozejrzyj na Podzamczu – bo coś mi się widzi, że Pagórki już nie dla ciebie, za małe i za ciasne na twoje ambicje, synku.*

Niżej widniał już tylko podpis. Kamyk na powrót zwinął list w rolkę, zamyślony. Los jest kapryśnym bóstwem. Jeszcze niedawno chłopak martwił

się, jak Płowy poradzi sobie w pustym domu, a teraz okazuje się, że Obserwator nie tylko ma się doskonale, ale przygarnął następne dwie sieroty i Kamyk musi posunąć się w jego sercu, robiąc miejsce tamtym dwojgu. Jego maleńka rodzina nagle się powiększyła i ta myśl niemal zaparła chłopcu dech.

„Na Matkę Świata, Płowy umie zaskakiwać ludzi – pomyślał, oszołomiony. – Mam siostrę. I brata!”

To nie sprawiło mu przykrości. Wręcz przeciwnie, z każdą chwilą ten pomysł podobał mu się coraz bardziej. Z zapałem począł opróżniać kieszenie, licząc posiadane zasoby pieniężne.

„Co robisz?” – zainteresował się Śpiewak, odrywając się od przeglądania Kamykowej kroniki.

„Mam zamiar kupić podarunki mojej rodzinie” – odparł Kamyk, marszcząc brwi z zatroskaniem. Pięć srebrnych smoków i trochę miedzi, w sumie niezbyt wiele.

Śpiewak wyszczerzył się w promiennym uśmiechu, dorzucając do kupki złotą półtalentówkę.

„Oddasz mi później.”

„Kiedy?! Wiesz, że tyle nie będę miał – zaprotestował Tkacz Iluzji. – Prawdziwa?” – dodał, nieufnie oglądając monetę.

„Za kogo ty mnie masz?” – oburzył się Stworzyciel demonstracyjnie.

Kamyk spojrzał na niego spode łba.

„Za fałszerza, drogi przyjacielu. Jesteś czarujący, ale straszny krętacz.”

„Przysięgam, że zarobiłem ją uczciwie! – Śpiewak dotknął palcem czoła, warg i zakończył gestem wyrażającym uroczystą przysięgę. – I jak chcesz, to cię wciągnę do interesu, bo mi potrzebny pomocnik. Nie wyrabiam się z zamówieniami. Odrobisz mi tę pożyczkę i nie będziesz musiał żebrać u starych. A teraz pozbieraj ten złom i idziemy do miasta. Nie puszczę cię samego, bo cię orzną sklepikarze. Złodziej na złodzieju siedzi w tych sklepach, bezwstydni są, naprawdę...”

Nie pozostawało nic innego, jak włożyć nowy płaszcz i udać się za „kryształowo uczciwym” Śpiewakiem, który już otworzył drzwi, nie przestając narzekać na niesłychaną obłudę okolicznego świata handlowego.



Ku uldze Kamyka, interesy Nocnego Śpiewaka rzeczywiście były legalne, a w

każdym razie nie tak bardzo nielegalne, jak mogło się wydawać, jeśli przymknąć oko na fakt, że nie należał do żadnej gildii i swoje wyroby sprzedawał po niższych cenach niż koncesjonowani rzemieślnicy. Śpiewak wytwarzał srebrną zastawę stołową i rozmaite bibeloty, próbował też nieśmiało sił na innych polach. Gdyby te machinacje doszły do wiadomości rady miejskiej, rozwścieczeni mistrzowie obdarliby Śpiewaka z kosmatej skóry, a resztki powiesili na bramie miejskiej... albo przynajmniej p r ó b o w a l i b y to zrobić.

Współpraca dwóch „prawie legalnych” współników polegała na tym, że Tkacz Iluzji przywoływał mirażowe modele rozmaitych przedmiotów (czy to według szkiców Śpiewaka, czy to własnej fantazji) i poprawiał je tak długo, aż zadowolili ich obu. Następnie Stworzyciel wypełniał owe iluzje surowcem, stwarzając materialne już przedmioty. Powstawały w ten sposób kryształowe naczynia, niewiarygodnie skomplikowane rzeźby, zegary wodne i ręcione, a nawet proste mechanizmy. Kupcy coraz chętniej witali w swych progach młodego Stworzyciela, płacili więcej, przedsięwzięcie przynosiło konkretne dochody, a Kamyk po raz pierwszy w życiu poczuł się jak człowiek majątny. A w każdym razie dużo bogatszy niż do tej pory, co było tym przyjemniejsze, że Podzamcze oferowało całkiem sporo możliwości wydawania pieniędzy: od łakoci, przedstawień teatralnych i książek, aż po usługi dam lekkich obyczajów, zwanych pieśczośliwie „kwiatkami” – choć korzystania z tej ostatniej przyjemności Kamyk konsekwentnie odmawiał.



Śpiewak delikatnie odsunął z twarzy śpiącej dziewczyny kosmyk włosów. Westchnęła i otworzyła oczy, uśmiechając się. Blask jedynej świecy malował jej skórę miodową barwą.

– Śpij – mruknął chłopak. – Zapłaciłem za całą noc. Odpocznij dzisiaj.

Pocałował ją czule w policzek.

– Łaskoczesz... – szepnęła, śmiejąc się cichutko i przytuliła go mocniej. – Cała noc, Mistrzu Stworzycielu? Jesteś strasznie rozrzutny, Śpiewak. Rozrzucasz pieniądze na prawo i lewo.

– Nie na prawo i lewo, tylko na ciebie – odparł przekornie.

– I na wino, i na... – zaczęła wyliczać, więc zamknął jej usta pocałunkiem.

– Ty niedobra dziewczyno, nie doceniasz, że chcę dać ci pospać? – spytał z wyrzutem. – Ostatnio wyglądasz na zmęczoną.

- Ale może ja nie chcę spać? Wolałabym...
- Wolałabyś...?
- Czytaj w moich myślach, magu...
- Czytam straszne nieprzyzwoitości, dziecino – zamruczał Stworzyciel, a jego dłonie rozpoczęły wędrówkę po nagich udach dziewczyny. Pchnęła go na plecy, przykrywając rozgrzanym ciałem, rozdmuchała włosy na twarzy chłopca tak, że nastroszyły się buńczucznie.
- Jestem specjalistką od nieprzyzwoitości. I mam zamiar odrobić to, za co zapłaciłeś.



- Teraz to już naprawdę idę – oświadczył Nocny Śpiewak, wciągając tunikę przez głowę. – Chociaż doprawdy nie wiem, jak zaśniesz w tym hałasie.
- Za ścianą pokoju słychać było śpiewne jęki pracującej kurtyzany, symulującej rozkosz, oraz zwierzęce odgłosy wydawane przez jej partnera.
- Widać akurat klient tak wymaga – stwierdziła dziewczyna obojętnie, przeczesując włosy palcami. – Czemu nie możesz zostać do rana? Łóżko jest dość szerokie. Nie zabraniają wam przecież przychodzenia tutaj.
- Śpiewak machnął ręką ze zniechęceniem.
- Gladiatora opanowała ostatnio nowa mania i wprowadza zaostrome rygory. Lepiej, żeby nikt ze służących nie widział, jak stąd wychodzę.
- Spotkamy się jutro? – zapytała z nadzieją.
- Jasne, ptaszynko. W południe, tam gdzie zawsze. – Skradł jej jeszcze jeden pocałunek i wysliznął się cicho za drzwi. Korytarz zamkowego domu uciech oświetlało parę lamp, dających miękkie, rozproszone światło. Na czerwonych kotarach z lśniącego jedwabiu w lekkim przeciągu falowały prążki cienia. Ozdoby z paciorków i posrebrzanych cekinów błyskały w półmroku. W powietrzu unosił się zapach perfum i aura rozbuchanej kobiecości.
- „Królestwo rozpusty” – pomyślał Śpiewak z humorem.
- Przy drzwiach pokoju Róży przystanął na chwilę, mając ochotę zapukać. Nawet odruchowo uniósł rękę, ale natychmiast ją opuścił. Róża na pewno pracowała – jeśli nie u siebie, to gdzieś na zewnątrz.
- Z powodu obić na ścianach, miękkich sof, poduszek na podłodze i rozmaitych ozdobnych frędzelków, przedsionek sprawiał wrażenie aksamitnej groty.

Nocny Śpiewak zatrzymał się w przejściu, słysząc stłumiony szloch. Przy drzwiach wejściowych stała smukła postać. Po twarzy chłopca spływały czarne łzy, zabarwione henną. Chlipał, po dziecięcemu siakając nosem, oglądając w świetle kinkietu ramię pokryte sińcami.

– Pozdrowienie. Ciężka noc, co? – zagaił Śpiewak, wychodząc z cienia. Chłopiec błyskawicznie opuścił rękaw, oczy obwiedzione rozmazanymi czarnymi wzorami rozszerzyły się w przestachu, potem jednak rozpoznał stałego gościa przybytku uciech.

– Który to? – spytał mag cicho, ze współczuciem. Wiadomo, że niektórzy z mieszkańców Zamku Magów preferują chłopców, choć nie mówiło się o tym powszechnie. „Zabaweczki” były równie popularne jak „kwiatki”. Młodzieńcy ci pracowali tak samo ciężko jak dziewczęta, choć traktowano ich z ledwie skrywaną pogardą.

Chłopak westchnął spazmatycznie, tłumiąc płacz. Potrząsnął głową.

– Pieprzony zбочeniec... Wie, że nie mogę się poskarżyć. Na moje miejsce tutaj czeka z dziesięciu... – Wytarł twarz rękawem i zaklął cicho, zorientowawszy się, że ubrudził tunikę farbą. – Uparł się akurat na mnie, bydlak jeden. Za którymś razem pewnie mi coś złamie, skurwiel...

– Taa... życie nie jest proste – mruknął Śpiewak ponuro. Rozejrzał się wokoło, po czym wyciągnął z kieszeni maleńką paczuszkę i wepchnął ją szybko swemu rozmówcy do ręki.

„Ani mru-mru. Następnym razem jak cię wezwie, to włóż szczyptę pod język, będzie mniej bolało. I nie masz tego ode mnie, jasne?”

– Jasne – wyszeptała pobita „zabaweczka”, zaciskając podarunek w dłoni. – Dzięki.

„Przy okazji szepnij też słówko Hajgowi. Jak go znam, to niebawem tego twego wielbiciela brutalnych zabaw spotka jakiś wypadek.”

Śpiewak mrugnął porozumiewawczo.

– Dobrej nocy. I powodzenia – powiedział głośno i wyszedł na zewnątrz, wprost w zimową mżawkę.



Zwyczajski Promień Świtu zwykle kładł się wcześniej do łóżka. Bynajmniej nie dlatego, że był śpiochem. Przebieranie, mycie, skomplikowana pielęgnacja włosów, kolacja spożywana w iście złotym tempie – codzienne, niezmiennie



rytuały – pomagały choć trochę skrócić nudę długich deszczowych wieczorów. Podparty stosem poduszek spędzał potem w łóżku całe godziny, otoczony lichtarzami, czytał w świetle świec do późnej nocy. Jego jedyne towarzystwo stanowił milkliwy służący imieniem Oset, do tego stopnia cichy, że chłopiec zapominał czasem o jego istnieniu. Niezadowolenie młodego maga wzrastało wtedy. Oset został znakomicie wyszkolony. Perfekcyjny, doskonale zorganizowany, sprawny i widzialny tylko wtedy, gdy to było konieczne. Zwykle odzywał się z góry przewidywalnymi zdaniami: „Na co panicz ma ochotę?”, „Czy panicz sobie czegoś życzy?”, „Tak, paniczu”, „Nie, paniczu”. Zwycięski Promień Świtu marzył, by Oset choć przez chwilę zapomniał o swojej układności. Żeby chociaż raz zwrócił mu uwagę, że psuje sobie oczy w marnym świetle, że za mało jada... Celowo był opryskliwy w stosunku do swego sługi, licząc, że ten nareszcie straci cierpliwość, a wtedy Zwycięski Promień mógłby się z nim posprzeczać, wszcząć obustronną awanturę, wyrzucić ze służby (a potem łaskawie przyjąć z powrotem)... cokolwiek. Cokolwiek, aby tylko przerwać tę piekielną nudę, jaka trawiła go od chwili przybycia do tego parszywego miejsca! Doszło wręcz do tego, że uczył się tylko po to, by czymkolwiek się zająć. Pisał listy do rodziców, narzekając na wszystko: od braku godziwych teatrów (ku jego obrzydzeniu akurat panowała moda na pantomimę), poprzez marnych kucharzy i zupełnie beznadziejnego nauczyciela, aż po niezdrowy klimat delty, mając nadzieję, że pozwolą mu wrócić do domu albo przynajmniej zmienić miejsce pobytu na jakieś przyjemniejsze.

Zwrotnie otrzymywał chaotyczne, płaczliwe w tonie epistoły od matki, niezawierające niczego konkretnego, najeżone głupstwami i bezsensownymi plotkami. Zniechęcony, przebiegał je pośpiesznie wzrokiem, mnąc potem w dłoniach i wyrzucając byle gdzie. Pan na włościach Brin-ta-ena milczał, wzgardliwie ignorując rozpaczliwe apele jedynaka. Nie było to nic nowego zresztą...

Tymczasem tu nie miał rzeczywiście żadnego zajęcia, prócz tkwienia nosem w książkach. Pomyśleć, że na Zamku brakowało strzelnicy, coś niewiarygodnego! Miał do wyboru: ćwiczyć łucznicstwo w jakiejś nieoświetlonej, śmierdzącej szopie albo na dworze, w wilgoci, od której rozciągały się cięciwy, a z łączyska złąził lakier. Iskra spojrzął z goryczą na swój wypieszczony łuk wiszący na ścianie obok łoża. Na palcach jednej ręki mógł zliczyć, ile razy go tutaj używał. Przynajmniej dokuczanie tej błękitnej zbieraninie pomagało jakoś zabić czas, ale książkę sam przed sobą przyznawał, że

jest to wyjątkowo niestosowne. Koszmar.

– Oset, obierz mi jabłko. Nie, pomarańczę... Nie chcę jeść kolacji. Możesz to zabrać albo zjeść, jak uważasz. Zapal świecę. Podaj mi książkę, tak, tę. – Rozdrażniony chłopak popatrzył na mokre szyby. – Dlaczego znów leje?!

Oset widocznie uznał, że jest to pytanie skierowane bezpośrednio do niego.

– Bo jest zima, paniczu.

– Zamknij się.

– Tak, paniczu.

Pogryzając cząstki pomarańczy, Zwycięski Promień Świtu patrzył, jak sługa zapala świecę w porcelanowych misach.

– Czy chciałbyś wrócić do domu? – zapytał impulsywnie.

Oset popatrzył na niego rybim wzrokiem.

– Nie wiem, paniczu.

– Dlaczego? Tu jest nudno! Tu jest strasznie. – Chłopiec ze złością walnął pięścią w podgłówek. – Czemu ty jesteś taki... taki obojętny?! Czemu jest ci wszystko jedno?!

Oset bez pośpiechu zapalił ostatnią świecę i wrzucił draskę do żeliwnego piecyka, gdzie żarzyły się węgle.

– Mam służyć paniczowi, takie są moje obowiązki. To, co bym wolał, nie liczy się.

– A jakbym ci kazał stanąć na głowie i recytować wiersze? – warknął „panicz”.

– Znam niewiele wierszy na pamięć, paniczu, ale chyba mógłbym je czytać – odrzekł sługa spokojnie.

– Jasne... – mruknął chłopiec, otwierając książkę w miejscu, gdzie tkwiła zakładka. Wiedział z doświadczenia, że na wydobywie z Osta czegoś więcej nie może liczyć.

Sługa wyszedł, zabierając tacę z nietkniętym posiłkiem. Po jakimś czasie wrócił, usiadł na swoim posłaniu, widocznie już zmęczony po całym dniu, lecz nie kładł się, nadal gotów wypełniać polecenia. Zwycięski Promień zerknął na niego tylko przelotnie, natychmiast wracając do lektury. Jaszczur Zdobywca, nawet z jego tasiemcowymi opisami przyrody, był bardziej interesujący niż widok sługi podpierającego ścianę. Od książki oderwał się dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że już od paru minut słyszy stłumione mamrotanie. Podniósł wzrok.

– Światła... światła... – Służący, mrużąc oczy, usiłował niezdarnie zasłonić twarz przed blaskiem świec. Mamrotanie Osta szybko zmieniło się w bełkot.

Wykonywał bezładne ruchy, jakby coś z siebie zbierał czy strzepywał. Chłopiec zmartwił.

– Oset... – wy dobył z trudem z zaciśniętego gardła.

Mężczyzna zerwał się nagle z okrzykiem przestachu, wymachując rękami, zupełnie jakby odpędzał od siebie jakieś niewidzialne istoty. Zwycięski Promień poderwał się natychmiast z łoża.

– Oset! – krzyknął, czując na plecach zimny dreszcz przerażenia.

Sługa zataczał się, obijając o sprzęty, jego twarz wykrzywiała się coraz bardziej, oczy obracały się dziko na wszystkie strony. Ciśnięte z nadnaturalną siłą krzesło rąbnęło w słupek baldachimu, aż ten przełamał się z głośnym trzaskiem. Chłopiec wycofywał się powoli w stronę drzwi, starając się nie robić nagłych ruchów. Było jasne, że Oset jest czymś oszołomiony i niebezpieczny. Nagle ramię mężczyzny wystrzeliło w przód, palce zacisnęły się kurczowo na koszuli chłopca, paznokcie zadrapały go w kark. Chłopak zdołał się wyrwać – zatrzeszczał rozpruty szew – dopadł drzwi, już w progu rzucił za siebie przerażone spojrzenie. Oset na szczęście go nie gonił, opadł na czworaki i kołysał głową jak zmęczony nagonką niedźwiedź.



Wiatr rwał chmury nad Zamkiem i nadgryziona tarcza księżycy co rusz to pojawiała się, to znikwała, skąpiąc światła.

– Bez łaski – mruknął do siebie Śpiewak, patrząc na podniebną lampę. Znał rozkład budowli tak samo dobrze, jak ustawienie sprzętów we własnej komnacie. Trafiłby wszędzie nawet w kompletnych ciemnościach. Przemykał w cieniach kładących się pod ścianami, omijając bezszelestnie nieliczne strażę. W ogrodach dwukrotnie natknął się na znacznie groźniejszych strażników – wielkie, drapieżne koty sprowadzone z Gór Zwierciadlanych – ale nie bał się ich zupełnie. Pantery bez trudu rozpoznawały człowieka, który przy każdej okazji wtykał im smaczne kąski. Zwinne cielska ocierały się o jego nogi, mrużąc przyjaźnie.

Śpiewak wystawiał twarz na deszcz, czując chłodną wilgoć na wargach i powiekach. Kiedy wielki księżyc wypływał zza chmury, krople na jego rzęsach mieniły się srebrem. Myślał o kochance, którą właśnie opuścił. Nie na długo – zobaczą się znów za te marne kilka godzin. Cierpliwość była cnotą wartą pielęgnacji. Srebrzanka, jego Srebrzanka... Ich romans trwał od czterech

miesiący i nie wyglądało na to, by uczucia wygasały, raczej przeciwnie. Miał ochotę nucić, przepełniało go uczucie szczęścia. Przeskakiwał po dwa stopnie na raz, wchodził na balustrady i balansował na ich wąskich krawędziach tanecznym krokiem. We włosach pozostał mu jeszcze zapach pachnidła, a dłonie pamiętały miękkość i ciepło kobiecego ciała.

Dotarł do różanej galerii, siedziby „połówek”. Przed szeregiem drzwi zwolnił kroku, by uciszyć kłapanie podeszew odbijające się lekkim echem od ścian w nocnej ciszy. Większość jego kolegów pewnie już spała kamiennym snem, podobnie jak współlokator młodego Stworzyciela. Śpiewak kpiąco wyszczerzył zęby w mroku. Ach, ten Kamyczek... Taki grzeczny, taki porządny i układny, i taki dobrze wyprasowany... Oczywiście, był inteligentny, sympatyczny na swój sposób i niesłuchanie cierpliwy. Jego tolerancja dla wybryków Śpiewaka osiągnęła już poziom spokoju krowy przeżuwiającej trawę na pastwisku – tak w każdym razie uważał sam Nocny Śpiewak. Czuł się jednak trochę rozczarowany. Od początku zakładał, że Smoczy Jeździec, podróżnik, waleczny pogromca piratów i lamii, wykaże się większą fantazją i będzie towarzyszył mu w jego wyprawach, zakazanych rozrywkach oraz drobnych matactwach. Niestety, Kamyk okazał się straszliwie porządny. Wcześniej wstawał, uwielbiał mycie w zimnej wodzie, nie pił, a dziewczyny, nawet te najatrakcyjniejsze, jakby dla niego nie istniały. Na próżno Śpiewak namawiał go do wizyty w Aksamitnym Zakątku – Tkacz Iluzji konsekwentnie odmawiał. Przez jakiś czas Śpiewak zastanawiał się, co jest nie tak z jego kolegą, ale w końcu machnął na to ręką. Może Kamyka po prostu tak idiotycznie dobrze wychowano, a może powody były inne, wszystko jedno.

Nocnego Śpiewaka dzieliła już niewielka odległość od własnych drzwi, gdy raptem ostatnie w szeregu otworzyły się nagle. Na galerię chlusnęła struga światła, a z wnętrza wypadła szczupła postać w rozwianej koszuli nocnej, potykając się na progu. Śpiewak zamarł, zaskoczony. Chłopak w nocnej odzieży odwrócił się do niego – pobladły i bez wątpienia przerażony – uniósł rękę, jakby chciał zatrzymać... Śpiewak ze zdumieniem rozpoznał nieznośnego, wielkopańskiego Iskrę. W tym momencie od najbliższej kolumny oderwała się ciemna sylwetka. Jej ręce wykonały błyskawiczny ruch nad głową Zwycięskiego Promienia. Krzyk chłopca zamarł w powietrzu, zduszony do cichego charkotu. Młody mag miotał się, ledwo dotykając ziemi stopami, jak ryba na haku. Sięgnął w tył, wczepiając palce we włosy napastnika. Wrzask bólu!

„Morduje go!!!” – Nocny Śpiewak przemógł bezwład, wyszarpnął nóż zza cholewki buta. W dwóch skokach znalazł się przy walczących i niezdarnie wbił

ostrze w bok wyższego mężczyzny. Poczuł, jak zatrzymuje się na czymś twardym – żebro? Skrytobójca puścił ofiarę i kopnął Śpiewaka, mierząc w krocze. Chłopak w ostatniej chwili przekreślił ciało. Otrzymał cios w udo wysyłający iskry bólu aż do kolana oraz mięśni brzucha. Niemal instynktownie sięgnął do umysłu napastnika i tylko dlatego zdołał częściowo uniknąć następnego uderzenia, które miało trafić w szyję, co skończyłoby walkę natychmiast. Na pół ogłuszony ciosem w skroń, zachwiał się i opadł na jedno kolano, upuszczając nóż i odruchowo unosząc dłoń ku głowie. Tym razem wokół jego szyi owinęła się linka, odbierając mu oddech i omal nie odcinając palców, przyciśniętych raptem do szyi. Kolano skrytobójcy wparło się w kark chłopca. Pod czaszką Nocnego Śpiewaka załomotały ciężkie młoty, przed oczami zawirowały srebrzyste punkty. Czuł, jak wzbiera w nim niepowstrzymana fala zwierzęcej paniki, spiętrza się, próbując obalić wzniesione w jego głowie tamy, a w końcu przełamuje się nad nimi i wszystko ginie w powodzi srebrnego światła.

Trzeszczenie, jakby w ogniu pękała trzcina... Zawodzenie... Chłód. Ból w gardle i piersiach, jakby ktoś od wewnątrz kroił go nożem. Ktoś kaszłał w mroku, przeciągle, boleśnie rżąc...

Śpiewak zorientował się, że to on sam. Klęczał na zimnym kamieniu, podpierając się rękami i usiłując nie wymiotować. W powietrzu unosił się drażniący smród rzeźni. Potem poczuł, że jest mokry. Paskudna, ciepła, lepka wilgoć... Kamienna podłoga pod nim również była mokra i śliska. Przeczuwał, że nie oznacza to nic dobrego. Och, doprawdy, lepiej, że jest ciemno i nie widać niczego zbyt wyraźnie. Sięgnął do szyi, ze wstrętem ściągając z niej sznur. Obok leżał niekształtny pagórek – czyjeś ciało. Śpiewak rozejrzał się niespokojnie. Dwa kroki dalej siedział na pół przytomny Zwycięski Promień Świtu, przyciskając obie dłonie do gardła i chwiejąc się na wszystkie strony, jakby za chwilę miał się osunąć na ziemię, ale nie mógł się jeszcze zdecydować na kierunek upadku. Nocny Śpiewak podniósł się z pewnym trudem (uszkodzona noga znów dała o sobie znać) złapał Iskrę pod pachy i z wysiłkiem postawił na nogi.

– Stój, zarazo! – warknął ze złością, potrząsając nim niedelikatnie, gdyż książątka zaczęło się znów osuwać w dół.

Ktoś, zwabiony hałasem, wyjrzał na galerię ze swej kwatery.

– Co się tam dzieje, u licha?!... – rozległ się zirytowany, zaspany głos z głębi pomieszczenia.

– To tylko Śpiewak z jakąś panienką – odrzekł inny, dostrzegając widocznie

tylko dwie przytulone postacie, z czego jedną długowłosą i w białym giele.

– Do czarnej zarazy! Czy on musi się łajdaczyć właśnie tutaj?!

Drzwi zamknęły się na powrót. Nocny Śpiewak znów potrząsnął Iskrą, ale nie wywołało to żadnej reakcji, poza jękiem.

„Trudno, trzeba będzie obudzić Kamyka”, pomyślał z rezygnacją.



Kamyk jednak nie spał. Po lekcji szermierki z Wiatrem Na Szczybie, zmęczony i zziębnięty, napił się zimnej wody z fontanny, a teraz ów brak rozwagi brał odwet i chłopca bolało gardło. Leżał z otwartymi oczami, gapiąc się na taniec blasków świeczki na mrocznym suficie i rozważając, czy jutro zgłosić chorobę, co uwolniłoby go przynajmniej na dwa dni od Gladiatora, czy iść na lekcje, nie ryzykując niemiłych zabiegów ze strony lekarza. Toteż gdy do komnaty wtoczył się Nocny Śpiewak, podtrzymujący słaniającego się Zwycięskiego Promienia Świtu w niekompletnej odzieży, Kamyk miał kontakt z jawą.

„Nie śpisz? Chwała Bogini!” – Stworzyciel zapalił od świecy lampę olejową, w jej świetle ostatecznie już rozbudzonemu Kamykowi jako pierwsze rzuciły się w oczy czerwone plamy na białym przyodziewku Iskry, a potem dostrzegł rozległe, ciemne zacieki na ubraniu Śpiewaka i pozlepiane włosy na jego głowie i rękach. Wyglądał, jakby chluśnięto na niego wiśniowym syropem. Z tym, że to na pewno n i e b y ł syrop. Iskra, którego Śpiewak posadził na swoim łóżku, miał oczy przymknięte i trzął się coraz bardziej, jakby ogarnęło go straszne zimno.

*Co się stało?! Zrobiłeś mi coś?!*

Stworzyciel zachnął się niecierpliwie, ściągając zakrwawioną odzież i nalewając wody z dzbana do miski. Kamyk pospiesznie wkładał na siebie przypadkowe części ubrania, podczas gdy Nocny Śpiewak próbował, z miernym skutkiem, zmyć z siebie krew, jednocześnie opowiadając w dużym skrócie zajścia sprzed dziesięciu minut.

„Jakbym miał mało kłopotów! – wyrzekł Stworzyciel. – Trup na korytarzu, wszędzie krew... Co z tym dworskim pieskiem, możesz go obejrzeć?”

Kamyk podniósł Iskrze brodę palcami, zajrzał w oczy. Zraniony chłopak był całkiem bierny. Wyglądało na to, że niewiele do niego dociera z zewnątrz. Oprócz otarcia na szyi, Kamyk nie znalazł na jego ciele żadnych obrażeń.

*Jest w szoku. Źrenice ma wielkie jak talerze. Nic groźnego. Wystarczy, że się*

*prześpi i dojdzie do siebie. Będzie tak samo nieprzyjemny jak wcześniej, gwarantuję. Komu to wszystko zameldujesz? Straży?*

Nocny Śpiewak złapał się za głowę, ogarnięty spóźnioną paniką. Popatrzył na kolegę z rozpaczą.

„Ratunku! Ja nie mogę się przyznać, nie mogę! Zabiłem go talentem! Nie mogę! Obedrą mnie za to ze skóry!”

„Nie bredź, Śpiewak. Przecież musiałeś się bronić. Ratowałeś życie temu tutaj. Własne zresztą też. Co za różnica czy nożem, czy talentem? Tego nie może zakazywać prawo!” – upierał się Kamyk, zbrojny w doświadczenie podobne, choć niewspółmiernie łagodniejsze.

„Nie powinno mnie tam wcale być. Powinienem grzecznie leżeć w łóżku – upierał się Nocny Śpiewak. – Szykują się nieliczne kłopoty. Ty nie wiesz... ja nie mogę się przyznać. Po prostu nie mogę.”

Czas biegł nieubłaganie. Na galerii leżał nieboszczyk i lada chwila mógł natknąć się na niego nocny patrol. A zapach krwi, roznoszący się coraz dalej w wilgotnym powietrzu, prędzej czy później na pewno przywabi hajgońskie pantery. Jedynym człowiekiem, jaki przyszedł Śpiewakowi na myśl i do którego miał zaufanie, był Stworzyciel Imbir, lecz – niestety Imbir już od ładnych paru lat prowadził praktykę w mieście i w tych warunkach równie dobrze mógł mieszkać na księżycu. Pozostawał jedynie przyjaciel Róży, Wiatr Na Szczycie.

Kiedy Kamyk ujrzał zabitego skrytobójcę, natychmiast zrozumiał, czemu Śpiewak nie chce się przyznawać do jakichkolwiek z nim związków. Trup wyglądał paskudnie, naprawdę paskudnie. Chłopiec przełknął z wysiłkiem ślinę, opanowując mdłości. Widywał już kończyny z otwartymi złamaniami, rany kłute i cięte, bywał świadkiem uboju zwierząt. Tym razem nie potrafił znaleźć określenia na stan martwego ciała. Najbliższe sedna byłoby chyba „częściowo wycinowane” w rejonie klatki piersiowej. Na głowie i twarzy zabitego widniały głęboko wypalone, zwęglone ślady, w miejscach, gdzie dotknęły go dłonie Iskry. Gdyby przeżył, tak czy owak bezpowrotnie straciłby urodę.

Chłopcy wspólnie zaciągnęli trupa do komnaty Zwycięskiego Promienia Świtu i tu o nowy wstrząs przyprawił ich widok drugiego ciała. Tym razem był to służący Iskry.

„Wygląda, jakby spał. Żadnej krwi, żadnych ran” – stwierdził Kamyk, obejrzawszy zwłoki.

„Śpiący oddychają – skomentował Nocny Śpiewak, masując obolałą nogę. – A niech to piorun strzeli, czuję się, jakby mnie koń kopnął. Nie wiem, czy dojdę do Hajga, boli mnie coraz bardziej.”

„Sam pójdę, wiem, gdzie to jest.”

Kamyk pozostawił Nocnego Śpiewaka przy ciałach, a sam czym prędzej pobiegł, by sprowadzić Mistrza Iluzji, w pośpiechu nie dbając o to, że ma na sobie tylko cienką tunikę, a na zewnątrz wciąż siąpi drobny deszcz.

Szedł dziwnymi skrótami, które swego czasu pokazywał mu Nocny Śpiewak. Na przełaj przez warzywniki, przez furtki dla służby zamkowej. Dwa razy przeczekiwał patrole. Strażnicy mijali go na wyciągnięcie ręki, nie mając pojęcia, że obok stoi mag, ukryty pod iluzją niewidzialności. W końcu dotarł do znajomych drzwi na trzeciej kondygnacji, prowadzących do przedsionka, do którego przylegało kilka kwater zajmowanych przez Mistrzów rozmaitych kast. Zapukał niepewnie, drżąc w przemoczonej tunice i zastanawiając się jednocześnie, jak wytłumaczy swoją wizytę służącemu z nocnej zmiany. Nikt się nie zjawiał. Zacząć walić pięściami? Służący widać zasnął albo właśnie tutaj nikt nie potrzebował jego usług w nocy. Kamyk pchnął wierzeje na próbę – nadal pozostawały zamknięte. Nie miał zamiaru podnosić na nogi wszystkich mieszkańców, zwłaszcza że właśnie dyskrecja była tu sprawą kluczową. Okna komnat Wiatru Na Szczycie wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, a pod nimi biegł ozdobny gzyms, wystarczająco szeroki, by na nim stanąć. Powziąwszy decyzję, Kamyk zdjął buty. Dla zręcznego chłopca przejście przez balustradę galerii i przejście po gzymsie to błażostka. Nawet jeśli występ muru niewiele szerszy niż szarfa ociekał wilgocią, chmury zakrywały księżyc, a trzy piętra niżej twardy bruk dziedzińca czekał na jeden fałszywy krok. Człowiek w pewnych stanach ducha zdolny jest i do dziwniejszych rzeczy. Kamyk sunął wolno, przylepiony do ściany, i zastanawiał się, czy popędliwy Hajg, wyrwany nagle ze snu, nie skreśli mu karku, zanim go rozpozna. Dotarł na niewielki balkon, przylepiony do ściany na podobieństwo jaskółczego gniazda i odetchnął z ulgą. Okno komnaty Mistrza Iluzji uchylono zachęcająco, ale wewnątrz panowała ciemność.



Wiatr Na Szczycie leżał na swoim twardym pościeli umoszczonym z futer wprost na podłodze i słuchał deszczu szemrzącego za oknem, usiłując sobie wyobrazić, że jest w szalasie gdzieś na połoninie. Było to trudne. Właściwie wręcz niemożliwe, choć Wiatrowi nie brakowało fantazji. Od dziesięciu lat nie widział śniegu. Zimy na Południu przypominały raczej górskie jesienie, ale



przynajmniej deszcze odganiały wszechobecną duchotę lata i smród miasta, wypłukując starannie wszelkie brudy z rynsztoków w krętych uliczkach Podzamcza. Zima w Lengorchii to pora oczyszczenia – jedna z niewielu rzeczy, jakie tu cenil poza piwem i kobietami. A ściślej rzecz biorąc, jedną kobietą. Myśli mężczyzny pobiegły do Róży. Była inna niż wszystkie. Ba! Trudno tego nie zauważyć. Piękna i silna, a do tego twarda jak krzemień... Ech, nie bała się go od samego początku ani przez chwilę, kiedy inne oczami wielkimi jak talerze oceniały jego klanowe tatuaże, blizny i zamiłowanie do broni. Prędko nabrał odrazy do tamtych wątłych kukiełek, które albo usiłowały mu się przesadnie podlizywać, albo go poniżać. Pierwsze szukały niedobrych podniet w ramionach „brutala”, drugie próbowały udowodnić swoją odwagę, a tymczasem oba typy odznaczały się po prostu tchórzostwem i głupotą. Róża przez wszystkie te lata stała się dla niego nie tylko kochanką, ale również przyjaciółką.

Z mężczyznami wiodło mu się równie podle. Jak to mówią: źle trafić raz – to przypadek, drugi raz – żart bogów, a trzeci – to już twoja własna głupota. Trzeci raz Wiatr nie próbował. Wolał już „zabaweczki”. Jedna noc – jedna moneta, żadnych obietnic, więzów i żadnych zdrad – wszystko jasne. Śmieszili go ci chłopcy, z początku niepewni, nawet wystraszeni nowym klientem, który mógłby mieć niecodzienne wymagania. Wymaganie Wiatr miał zawsze tylko jedno: zmyć te idiotyczne malowidła z twarzy. Długonogie, smukłe jak trzciny „zabaweczki” przypominały mu nieporadne żrebaki, rozczulająco młode Gwiazdy, z jakimi stykał się w domu... w Górach Zwierciadlanych.

Tak, miał teraz pod opieką Gwiazdę, choć niesłychanie dziwną. Uczył chłopaka, szkolił, czuwał nad nim z daleka, ale nic poza tym. Kamyk był... no tak, zbyt uparty, zbyt niezależny, za mało hajgoński i zdecydowanie za bardzo „lengori”, by posunąć się choć krok dalej poza sporadyczne poklepanie po karku.

W monotony szelest deszczu wplótł się inny dźwięk. Coś poruszało się za oknem. A raczej ktoś. Wiatr Na Szczycie z flegmatycznym spokojem wyciągnął nóż spod podgłówka i wypróbował ostrość klingi kciukiem. Nie miał nic przeciwko złodziejom, wnosili w jego życie element niespodzianki. Ciekawe, ile potrwa tym razem, zanim tamten wrzaskiem zacznie wzywać pomocy i zepsuje Wiatrowi zabawę.

Choć w komnacie panował mrok, Wiatr Na Szczycie widział całkiem wyraźnie postać prześlizgującą się przez otwarte okno. Przybysz zatrzymał się, przyzwyczajając wzrok do gęstszej ciemności. Jego sylwetka rysowała się w postaci ciemniejszego konturu na tle okna.

„Dupa, a nie włamywacz – pomyślał Wiatr z politowaniem. – Żeby nie sprawdzić wpierw, czy ktoś jest w środku... Myślał, że mnie zarżnie we śnie, czy co?”

Hajg napiął mięśnie, rozważając, czy zerwać się już teraz na równe nogi i obezwładnić rabusia, dodatkowo łamiąc mu na przykład rękę dla łagodnego upomnienia, czy odczekać jeszcze trochę, by się oswoił, stracił resztki czujności i zaczął przeszukiwać izbę.

– Wiatr. Wiatr Na Szczycie...

Wiatr zdębiał z wrażenia, a potem parsknął śmiechem, rozpoznając aż nazbyt znajomy, monotony tembr głosu człowieka, który nie słyszy sam siebie. Kamyk! No nie, ten chłopak chyba jest obłąkany. Co on tu robi o tej porze? Naprawdę, wyjątkowo dziwny sposób na zaloty. Odłożył nóż, wstał i podszedł do chłopca. Położył mu ręce na ramionach.

– Jesteś zupełnie przemoczony – mruknął miękko, dotykając policzka Kamyka i pochylając się, by musnąć drugi wargami. Chłopiec pachniał deszczem i, nie wiedzieć czemu, szałwią.

Uderzenie w pierś było dla mężczyzny pełnym zaskoczeniem. Chłopak rzucił się do tyłu, wpadając na jakiś mebel i przewracając się wraz z nim z łoskotem. Jęk bólu. W powietrzu uformowało się niebieskie, kuliste światełko, które jednak, niestety, nie oświetlało niczego – jak zwykle iluzje światła. Wiatr zaklął pod nosem, cofając się w stronę półki, na której stała lampa. Zapałka, potarta o drewno, zapaliła się z głośnym sykiem, wydzielając paskudny odór. Wiatr nie znosił tego paskudztwa, przedkładając stare poczciwe krzesiwo nad modne wynalazki, ale tym razem pośpiech był wskazany. Po chwili komnatę rozjaśnił blask lampy. Kamyk siedział na podłodze, oparty o przewrócone krzesło i masował stłuczony łokieć z urażoną miną.

*Wietrze, na Miłosierdzie Bogini, czy ja jestem aż tak łatwy do pomylenia z dziewczyną? Nawet po ciemku?*

„Trzeci raz to już głupota, prawda?” – spytał Wiatr sam siebie szyderczo. Nagle ogarnęła go złość. Na siebie i na tego głupiego chłopaka, który widać był nie tylko głuchy, ale i ślepy...

*Jak ktoś włazi do mnie przez okno, to zwykle jest albo złodziejem, albo chce ze mną iść do łóżka. O złodziejstwo ciebie nie posądzam, no to co miałem myśleć?! –* wygarnął brutalnie. Chłopakowi zrzędała mina, podniósł się, nadal macając stłuczone ramię. Dało się jednak zauważyć, że robi to po to, by zająć czymś ręce.

*Kijami tłuczemy się na dziedzińcu, a tutaj to ja zapraszam gości. Tak też*

*ty mi powiedz, co ty ode mnie chcesz we środku nocy, jak nie rozchodzi się o łóżko?* – szedł za ciosem rozeźlony Wiatr, wypisując w powietrzu dość koślawe znaki, nie dbając zbytnio o gramatykę.

Kamyk zrobił się czerwony jak wiśnia.

*Zapomniałem. Ty jesteś przecież Hajgiem?*

*Nie!* – Wiatr Na Szczycie rąbnął pięścią w stół. – *Jestem mała złota rybka! Rozum straciłeś, młody? Pewnie, że jestem Hajgiem!*

*A Hajgowie to...* – zapis urwał się, jakby chłopak nie miał odwagi dokończyć albo nie znał odpowiedniego znaku pisma.

– A Hajgowie to robią ze sobą! Wojownik z wojownikiem, pasterz z pasterzem, kowal z kowalem i na krzyż też! – krzyknął Wiatr z rozdrażnieniem. – Jak mi teraz powiesz, że jestem skrzywiony na umyśle, to cię tak zdzieleę przez łeb...

W tej chwili zorientował się, że Kamyk w skupieniu wpatruje się w jego usta, usiłując zrozumieć cokolwiek z tej przemowy. Wiatr odetchnął głęboko i machnął ręką.

*Gadaj, co cię tu przyniosło po nocy i do tego bez butów.* – Zerknął z niesmakiem na bose stopy zmieszanego chłopca.

*Trup. Dwa trupy. Śpiewak, Iskra* – w powietrzu pojawił się wyjątkowo oszczędny zapis.

Wszelkie niezręczne problemy natury erotycznej nagle poszły w zapomnienie. Lodowaty strumień lęku przepłynął Hajgowi po plecach. Śpiewak! Złapał Kamyka za ramiona, aż tamten skrzywił się z bólu.

– Śpiewak zabity?!

Widocznie chłopak zorientował się, że coś nie jest w porządku, bo poprawił się zaraz:

*Jakiś człowiek napadł na młodego księcia i Śpiewaka. A Śpiewak go zabił. Mamy naprawdę duży kłopot. Śpiewak nie chce wezwać straży.*

„No, ja myślę” – skomentował Wiatr w duchu, oddychając z ulgą i pospiesznie zaczął wciągać buty. Zdejmując z kołka płaszcz, spojrzął na przemoczonego Kamyka i bez słowa rzucił mu swoje okrycie. Lengorijeny bez porównania byli delikatniejsi niż twarde plemię górskie.



Wiatr Na Szczycie obejrzał zwłoki, starając się odtworzyć przebieg wydarzeń.

Sługa Zwycięskiego Promienia Świtu musiał zginąć jako pierwszy, prawdopodobnie od trucizny. Chłopak z pewnością również miał zginąć, ale nie zjadł czy też nie wypił tego, do czego została dosypana czy dolana. Morderca czekał na zewnątrz, widocznie nie spodziewając się żadnych kłopotów, bo miał przy sobie jedynie łątwą do ukrycia linkę dusiciela. Odczekiwał po prostu pewien czas, by potem bez przeszkód przeszukać komnatę. Na swoje nieszczęście zetknął się z Nocnym Śpiewakiem, który nadszedł w odpowiednim momencie. Pozostało jedno pytanie, które nurtowało wszystkich. Kto i dlaczego zlecił zabójstwo Zwycięskiego Promienia Świtu?

– To nie był zwykły złodziej, chociaż kraść tu jest co. – Wiatr Na Szczycie rozejrzał się po bogato urządzonej komnacie, wzruszając ramionami. – Złodzieje nie zabijają chętnie. Nawet ci, co rabują w zaułkach, wolą dać parę razy po łbie i zostawić człowieka żywego. Ten tutaj to był cichorečki. Nie przyszedł po fanty, tylko zabić.

– Ale dlaczego? – stęknął Nocny Śpiewak, siadając na skraju łoża i ostrożnie wyciągając przed siebie poszkodowaną nogę. – Czyżby...

Urwał, patrząc w stronę drzwi, które uchyliły się powoli, a na progu pojawił się Zwycięski Promień Świtu. W pierwszym momencie pomyśleli, że książkę widocznie doszedł do siebie na tyle, żeby rozjaśnić co nieco sytuację, jednak pierwsze wrażenie było mylne. Wszedł do komnaty, lekko powłócząc nogami i nie odzywając się ani słowem. Potracił bosą stopą leżącą na podłodze książkę, podniósł ją mechanicznie, po czym usiadł obok Śpiewaka i otworzył tom, jakby szykując się do czytania. Z tym, że trzymał go do góry nogami.

– U... – odezwał się Nocny Śpiewak, zaglądając w szkliste oczy sąsiada. – Nie wygląda to najlepiej.

Próby wyciągnięcia Iskry z szoku nie były zbyt udane. Równie dobrze mogliby dobijać się do niego przez szklaną ścianę. Jego myśli i uczucia snuły się chaotycznie, odpowiadał monosylabami lub pojedynczymi słowami, najczęściej niedorzecznie.

– Zupełnie jakby był zalany albo spał z otwartymi oczami – stwierdził w końcu Śpiewak, zniechęcony. – Może coś powie, kiedy obudzi się jutro. Ale ja, prawdę mówiąc, wolę nawet nie wiedzieć. Oficjalnie mnie tu nie ma!

– W śledztwie wylezie, że tego tutaj utłukł Stworzyciel – odparł Wiatr.

– Mało mamy tu Stworzycieli? Jak psów – zaperzył się Śpiewak. – Klinga od dziesięciu lat szuka na mnie haka. Tym razem bym się nie wywinął, choćbym uratował życie samemu cesarzowi. Niech to idzie na konto tego pięknisia. Niech sobie zostanie bohaterem, nie zazdraszczam mu. Z uprzejmości mogę trupowi

zrobić dziurę w sercu, żeby nie wyglądało na zabójstwo talentem. A poza tym, won z tym ode mnie, mam własne problemy, cudzych mi nie potra.

– Niezła przemowa. Szkoda tylko, że tak strasznie widać, że to nie żaden Iskra go załatwił. – Hajg znów pochylił się nad poszarpanym ciałem, oceniając jego marny stan. – Trza było lepiej się przykładać do walki nożem, kiedy jeszcze cię uczyłem.

– Jestem artystą, nie nożownikiem – warknął chłopak. – Nafta, zapalki, wielkie mi co. Lepsze sztuki po pijaku robiłem.

– Jak chcesz. Ale teraz trzeba stąd zabrać te trupy.

– Dokąd?

Wiatr skinął na Kamyka, który dotąd czekał na zakończenie sporu.

*Musimy wynieść ciała, najlepiej do piwnic do lodowni. Przeleżą się te parę godzin, a jutro się zobaczy, co dalej. To niedaleko.*

Młodszy Tkacz tylko kiwnął głową z rezygnacją. Pobity Śpiewak nie może pomóc, a z Iskry chwilowo nie było żadnego pożytku. Męcząca noc nie chciała się skończyć.



Zwycięski Promień Świtu ocenił ten poranek jako zdecydowanie najgorszy od bardzo dawna. Po paru godzinach płytkiego snu, wciąż męczonego nawracającymi koszmarami, obudził się jeszcze bardziej zmęczony, niż w chwili kiedy kładł się do łóżka. Jeden rzut oka na pusty siennik w odległym kącie komnaty wystarczył, by z porażającą wyrazistością do chłopca powróciły nocne wydarzenia. Iskra skulił się pod kołdrą, odruchowo sięgając dłonią do gardła nadal ściśniętego obręczą bólu. Przekleństwo! Nawet tutaj, w tej „historycznej ostoje magii”, twierdzy podobno nie do sforsowania, miejscu (najwyraźniej fałszywie) uznawanym za nienaruszalne, zaatakował go skrytobójca! Od samego początku mówił, że bezpieczniejszy byłby w Lenenji, w Pałacu Tysiąca Komnat, a nawet i w rodowej rezydencji oddalonej bardzo niewiele od siedziby Jego Świetlistości Cesarza, ale nie! Musieli go zesłać tutaj, na to cholerne bagno. I widać dokładnie, na co się to zdało – psu na zelówki!

Chłopak podniósł się niechętnie z łóżka, boso stanął na lwiej skórze, nadal patrząc na opustoszały siennik z pomiętymi kocami. Bezwiednie zamknął oczy, jakby spodziewając się, że gdy znów podniesie powieki, zobaczy na starym miejscu swego sługę śpiącego spokojnie i wszystko okaże się złym snem.

Otworzył oczy i odetchnął głęboko. Rzeczywistość upominała się o swoje prawa. Oset zgiął, ale Zwycięski Promień Świtu żył. I został zupełnie sam. Co oznaczało na przykład, że albo po raz pierwszy w życiu samodzielnie się ubierze, albo będzie musiał chodzić w nocnej koszuli. Zanim jednak młody arystokrata uporał się z nowym wyzwaniem, jakie postawiła na jego drodze egzystencja, ktoś załomotał do drzwi. Zwycięski Promień upuścił oglądaną właśnie część garderoby. Serce na chwilę wskoczyło mu do gardła. Szybki rzut oka na drzwi pozwolił stwierdzić, że rygiel tkwi bezpiecznie w żelaznym gnieździe. Przypomniawszy sobie niejasno, że ktoś parokrotnie stanowczo nakazywał mu zamknięcie drzwi. Najwyraźniej zastosował się do polecenia, nie pamiętał jednak tego faktu.

– Kt... – Odchrząknął. – Kto tam?

– Wiatr Na Szczybie. Otwieraj.

Chłopak zmierzył wierzeje nieufnym wzrokiem, podchodząc bliżej. Głos przybysza tłumilo drewno i wcale nie był pewien, czy faktycznie należy on do rosnącego Mistrza Iluzji.

– Nie otworzę. Po... daj h-hasło. – Ku jego irytacji głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Jakie hasło, do ciężkiej zarazy?! Otwieraj, smarkaczu, te cholerne wrota, nim je wkopię do środka razem z futryną!

Nagle w samym centrum drzwi pojawiła się rozszłoszczona fizjonomia górala. Ciemne oczy łypnęły groźnie, po czym iluzyjna głowa maga cofnęła się. Iskra wzruszył ramionami i odsunął rygiel. Mistrz Iluzji zamasyście wkroczył do środka, nie czekając na zaproszenie. Rozejrzał się bystro po komnacie, obrzucił pełnym obrzydzenia spojrzeniem dziedzińca rodu Brin-ta-ena, po czym rozwalił się bezceremonialnie na jego najlepszym fotelu.

– Dobra, żywy i przytomny, znaczy może odpowiadać na pytania.

– Niech sobie sam odpowie, jak taki wścibski – odburknął Iskra, stwierdzając przy tym z niezadowoleniem, że ironiczny ton wypada nader słabo, kiedy się ochryple szepcze.

– A! – Hajg wycelował w niego palec. – Niech nie pyskuje. Jakoś mało miał do gadania zeszłej nocy, kiedy go cichoręki w sznurek odział.

– To są moje sprawy i nikt nie będzie wtykał w nie nosa – upierał się chłopak, wciąż usiłując choć trochę utemperować przybysza i zdając sobie jednocześnie boleśnie sprawę, że ze strony tego bezczelnego parweniusza może tylko narazić się na drwiny. W nocnej koszuli (nawet ozdobionej drogimi koronkami i haftami), z sianem na głowie i podkrążonymi oczami na pewno nie

wyglądał imponująco. – Zostawcie mnie w spokoju, ty i ten twój niewolnik.

– Sprawa nie jest już twoja, od kiedy Śpiewak uratował ci życie – odrzekł starszy mag, a na jego twarzy rozlał się wyraz bezbrzeżnej pogardy. – Myślałby kto, że będziesz za to wdzięczny, ale czy można się spodziewać czego dobrego od takiej małej zmił? Między tymi, co noszą szarfę, nie ma niewolnych i panów, zapamiętaj sobie, szczeniaku! – Głos mężczyzny podnosił się stopniowo, aż wystraszonemu chłopcu zdawało się, że pobrzmiwa w nim echo gniewnego ryku pantery. Zwycięski Promień Świtu podczas tej tyrady usiadł powoli na skraju łóżka, a jego ręka nieświadomie znów uniosła się do szyi. Opuścił głowę, by włosy zakryły mu twarz, podczas gdy Tkacz Iluzji ciskał w niego twardymi słowami. Czuł się wyjątkowo mało „zwycięsko”.

– No dobra, gadaj któż to cię tak bardzo nie lubi – powtórzył Tkacz swe pytanie, kiedy wyczerpał zapas inwektyw.

– A wybierz sobie – mruknął Iskra zza kurtyny potarganych kosmyków, robiąc niedbały gest ręką. – Wszyscy mnie tu nienawidzą, łącznie z tym twoim kudłatym pieszczochem.

– I nie dziwota, skoro wszystkimi pomiatasz – odparł Hajg, znacznie już jednak spokojniej. – Może ja i jestem prostak, nie taki „rafinowany” jak inni, ale nie głupi. Widzę, że coś się kroi.

Promień milczał krnąbrnie, podczas gdy mężczyzna ciągnął dalej jowialnym tonem.

– Młody, tyś tu wcale nie powinien być, na mój rozum. Na co tobie Zamek Dłoni? Taki panicz powinien siedzieć we swoim pałacu z jakim mądralą w książkach uczonym i mieć go na usługi tylko dla siebie. W Lenenji u cesarza albo na jakim ichnim uniwersytecie, czy jak to się tam nazywa. Ale nie tu i nie z jednym sługą...

– Jak wygnaniec! – Iskra nie wytrzymał i wybuchnął dawno tłumioną goryczą. – Z jednym sługą, w jednej izbie i nawet konia mi nie zostawili! W tej zapowietrzanej cytadeli, jak w więzieniu razem z pospólstwem, wieśniakami i bękartami... – W tym momencie ugryzł się w język.

– Synu... – odezwał się Hajg zwoźniczo łagodnym tonem. – Czyś ty taki durny naprawdę, czy takiego tylko udajesz?

– Może udaję – wymamrotał chłopak, uparcie wbijając wzrok w posadzkę.

– Ci „wieśniacy i bękarty” to twoi współbracia i tego nie zmienisz. Chyba że otworzysz sobie ten głupi łeb i wyrwiesz z niego jądro talentu. A to by bardzo bolało, synu, o tak... – Urwał i zerknął bystro na chłopaka, który tymczasem podniósł oczy i patrzył na niego z rezerwą. – To nie pierwszy raz, co, młody?

Nie pierwszy skrytobójca na ciebie nasłany?

Twarz Iskry wykrzywił nagły skurcz. Pokręcił głową.

– Czwarty – szepnął.

Hajg gwizdnął krótko.

– To ty wielki szczęściarz jesteś albo też Gildia mocno podupadła, że jednego szczeniaka nie umie za Bramę wystawić.

Wzrok maga złagodniał jeszcze bardziej, wydawał się wręcz współczujący, a Zwycięski Promień ze zdumieniem usłyszał samego siebie:

– Pierwszy raz... zabili pode mną konia, na polowaniu. Strzałka przeznaczona była dla mnie, ale koń się spiął i trafiła go w szyję. Tyle że zdążyłem wyciągnąć nogę ze strzemienia, padł w jednej chwili. Potem drugi zabójca dostał się do samego pałacu. S-spałem go... – Głos mu zadrżał, gdy pamięć podsunęła wciąż świeże wspomnienie ohydneho smrodu zwęglonego mięsa i włosów. – Za trzecim razem ktoś próbował mnie otruć, ale też mu się nie udało. I wtedy odesłano mnie tutaj.

Iskra przygryzł wargę, hamując zdradziecki potok wymowy. W tej krótkiej relacji nie wspomniał ani słowem o swoich lękach, nocnych koszmarach, o tym, że przez dłuższy czas nic nie jadł, prawie zagłodziwszy się na śmierć. Nie chciał też mówić o nawracającej hysterii matki czy też zimnej obojętności ojca, urozmaicanej jedynie wybuchami irytacji. Ataki na dziedzica rodu były przykrymi incydentami, zakłócającymi zwykły porządek i utarte obyczaje w szacownej rezydencji Brin-ta-ena.

– Masz braci? – zapytał niespodzianie Hajg.

Zaskoczony chłopiec pokręcił głową przecząco. Nie, nie miał rodzeństwa, ku niezadowoleniu i wiecznym utyskiwaniom księcia ojca, który o taki stan rzeczy obwiniał żonę.

– A więc to chyba ciebie tej wiosny wyswatano najmłodszej cesarzównie? – ciągnął Wiatr Na Szczycie. – Coś mi się o uszy obiło.

„Coś”! Doprawdy, ten góral jakby dopiero wczoraj z lasu wychynął. Żeby nie wiedzieć o najgłośniejszych zaręczynach ostatnich lat!

– To się nie spodobało innym konkurentom – odparł gorzko pechowy narzeczony. – Któryś zaczął na mnie polować, licząc, że zajmie to cudowne stanowisko cesarskiego powinowatego. Ja bym mu je oddał i jeszcze dopłacił, ale na to nie zezwoli ani Krąg, ani książę. Chcą mieć w rodzinie cesarskiej maga, no i dla rodu Brin-ta-ena to wielki zaszczyt.

– Kupy się to nie trzyma – stwierdził Wiatr pogardliwie. – Zamiast cię pilnować jak oka w głowie, trzymają cię tutaj, gdzie właściwie każdy może



wejść i wyjść, jak mu się podoba. Ochrona Zamku jest dziurawa jak torba żebraka, od dawna to mówię, ale czy mnie tu kto słucha? Straż się snuje jak śnięta, a moje kotki to w końcu tylko zwierzaki i można je oszukać. Ten drań podchodził cię już od dłuższego czasu, jak jelenia. Pewno najął się tu do pracy, przesiąknął zapachem Zamku, odczekał swoje, a w końcu wziął się do roboty.

– To Zamek ma jakiś zapach? – bąknął chłopiec.

– A jakże! – Głos Wiatru brzmiał tak, jakby tłumaczył rzeczy oczywiste pięciolatkowi. – Wszystkie ubrania pierze się w tym samym rodzaju mydła. Człowiek może tego nie czuje, ale kot – tak. W ten sposób strażnicy wracają z nocnych obchodów ze wszystkimi rękami i nogami. Złodziejom jest za to trudniej... – Zaśmiał się rubasznie, klepiąc dłonią w gołe kolano.

– Ale to nie zawsze się sprawdza, jak widać – rzekł Iskra kwaśno. – Z tego wynika, że cichoreki udawał pewnie kuchcika. Zatruł mi kolację i tylko przypadkiem padło na Osta, bo ja nie miałem akurat apetytu. I czekał pod drzwiami tylko po to, żeby się upewnić, czy trutka zadziałała. Spodziewał się Osta, dlatego miał z sobą jedynie garotę. – Znów dłoń chłopca powędrowała odruchowo ku szyi, na której widniała purpurowosina pręga. – Jego udusiłby z łatwością, a ze mną mu się nie udało.

Hajg pokiwał głową twierdząco.

– Słusznie prawisz, młody. Coś tam masz między tymi uszami. Chociaż gdyby nie Śpiewak, to pewnie ten cały „powroźnik” jednak by skończył, co zaczął. Góra się tym zajmie, pokażę im trupa i...

– Nie! – chłopak zaprotestował gwałtownie.

– Nie? – Hajg zmarszczył brwi, zaskoczony.

Młody mag potrząsnął głową, krzywiąc się rozpaczliwie i łapiąc oburącz za szyję. Jego ciemne oczy zaszklily się z bólu. Wiatr prychnął z lekką irytacją, podniósł się z fotela i pociągnął chłopaka do okna. Na nic zdało się stawianie oporu, mężczyzna złapał go za kark i siłą otworzył mu usta z równą łatwością, jakby miał do czynienia z chorym szczeniakiem. Kątem oka chłopiec dojrzał jak brutalny góral wyciąga nóż... szarpnął się w nagłej panice.

– Spokojnie! – skarcił go Wiatr. – Nic ci nie robię przecież. I nie kop mnie, bo ci przyleję.

– Oa...! – Zwycięski Promień Świtu nie mógł powstrzymać jęku, kiedy Mistrz Iluzji oglądał mu gardło w świetle odbitym od błyszczącego ostrza.

– Nie wygląda to najgorzej. Chrypisz, ale możesz gadać – osądził Wiatr Na Szczycie. – Plućś krwią?

– E-e... – zaprzeczył Iskra, zezując na niego z urazą. Starszy mag puścił

go wreszcie, klepiąc niedbale po ramieniu, może chciał mu w ten sposób dodać otuchy, ale sprawił, że pod chłopakiem ugięły się kolana.

– Nic ci nie będzie. Nie chcesz, żeby szukali mordercy? Tego, co dał zlecenie Gildii? – Hajg wrócił na swe miejsce w fotelu, znów rozwalając się na nim niedbale.

– A co to da? – wycedził Iskra, masując szyję. – Tyle zyskam, że mnie gdzieś zamkną i nawet nie pozwolą wyjść z komnaty. A więzienia są dla złoczyńców, a nie ofiar! Jestem ofiarą, do czarnej zarazy! Myślisz, że nie zrobili śledztwa poprzednio? Zrobili i nic to nie dało. Trupy są mało rozmowne.

– Jak Stworzyciele obejrzą tego twojego sługusa, to choć się wywiedzą, czym się struł. Zawsze to coś.

Promień dostał wypieków z irytacji.

– Trucizna to trucizna. Powtarzam: niczego pożytecznego się nie dowiedzą, a ja będę miał tylko problemy. Co za różnica, czym go otruto? Zresztą od razu mogę ci powiedzieć, że to wyciąg z cierniowego jabłka, a to każdy da radę przygotować, nie trzeba specjalisty.

– Skąd wiesz, że to cierniowe jabłko?

– Oset zaczął się skarżyć, że go świeca razi, potem coraz szybciej oddychał, zaczął bełkotać bez sensu... zrobił się agresywny. Wtedy się wystraszyłem, chciałem... Nieważne. – Iskra machnął ręką. – Typowe objawy. Wbijano mi to do głowy na lekcjach. Arystokracja musi się znać na truciznach, dla własnego bezpieczeństwa.

Wiatr milczał długą chwilę, skrzyżowawszy ramiona na szerokiej piersi.

– Aha... to znaczy mam ukryć zwłoki i milczeć? Nie chcesz rozgrzebywać sprawy, nie chcesz ochrony?

– Nie.

– Samobójca – skwitował krótko Hajg, wzruszając ramionami.

– Chcę żyć, ale jak ma to być życie za kratą, to piękne dzięki – odparł chłopiec z urazą.

Kłótnia, jaka wywiązała się później, tylko wzmogła upór Iskry. Nie chciał słyszeć o środkach ostrożności w rodzaju wzmocnionych okiennic czy dodatkowej straży, a wspomnienie o listownym zawiadomieniu rodziny sprawiło, że z wściekłości rzucił o ścianę kubkiem. O dziwo, Wiatr przyjmował te demonstracje dość spokojnie, uśmiechając się nawet pod nosem.

– Jest jedna droga – rzekł wreszcie. – Musisz się przyłączyć do tych wszystkich „wieśniaków i bękartów”. O ile ci na to zezwolą – dodał przytomnie.

– Muszę? – Iskra wykrzywił wargi z obrzydzeniem, jakby proponowano mu coś nieprzyzwoitego.

– Nie, skąd, nie musisz – odpowiedział Wiatr niedbale. – Ale w takim razie idź do składów, znajdź tam człowieka imieniem Bycze Oko i spytaj go, czy ma dostatecznie dużo drewna i oleju na stos całopalny. Bo ty masz zamiar wyprawić sobie niebawem bardzo wystawny pogrzeb.

Chłopakowi zrzęda mina.

– Nie wolno ci nigdzie chodzić samotnie, a już na pewno nie poza bramy – ciągnął mag. – Masz trzymać się reszty jak rzep wełny, jeść razem z nimi, spać razem...

– Spa... – Zwycięskiego Promienia zatkało na chwilę ze zgrozy, po czym jęknął: – Przecież i tak nikt nie zechce! Poza tym ja nie mam pary. „Połówek” jest nieparzysta liczba!

– Ha, trudno. Nie zaszkodzi ci, jak trochę spokojniejsz. Może nawet któryś z tych „wieśniaków i bękartów” spuści ci baty. – Hajg uśmiechnął się paskudnie. – Ale to i tak lepsze niż nóż w plecy, prawda? A jak już jesteśmy przy ochronie, to ja dam ci podarek. Kotka. Będziesz go karmił, czesał i codziennie głaskał, bo kotek to bardzo lubi. Za to jak ktoś przyjdzie ciemną nocką, żeby ci poderznąć gardło, to kotek go zeżre.

Ogłuszony chłopiec gapił się tępo na swego rozmówcę. Poprzez opary niewyspania i ogólnego szoku docierało do niego zrozumienie, że właśnie zaczyna nowy etap życia. Życia, w którym będzie musiał dzielić komnatę z półdziką panterą.



Włóczenie się po deszczu nie wyszło Kamykowi na zdrowie. Śpiewaka obudził jego kaszel i ciężki oddech. Jeden rzut oka na kolegę, który trząśł się pod kocami, wystarczył, by przekonać się, że Tkacz Iluzji bezwzględnie powinien zostać w łóżku. Przykrył Kamyka dodatkowym pledem i obiecał, że przyśle służącą ze śniadaniem. Tkacz Iluzji miał wypieki i oczy szkliste od gorączki – nie było wątpliwości, że porządnie odchoruje nocną wyprawę. Śpiewak odnotował w pamięci, że powinien zawiadomić o chorobie Kamyka kogoś ze skrzydła medycznego. Kiedy uświadomił sobie, że dodatkowo czeka go nieunikniona rozmowa z Wiatrem Na Szczycie, może przesłuchanie odnośnie do tego nieszczęsnego zajścia (postanowił konsekwentnie wypierać się

wszystkiego); musi też koniecznie odwiedzić łaźnię i domyć się z resztek krwi, a do tego wszystkiego niebawem umówiony jest ze Srebrzanką, doszedł do wniosku, że to będzie bardzo pracowity dzień. Do tej nieszczęsnej sieroty wielkopańskiej też pewnie powinien zajrzeć... jedyny z tego wszystkiego pożytek, że pewnie nie zdąży zmieścić w tym rozkładzie lekcji.

Obmacał nogę – nie bolała już tak bardzo jak w nocy, choć zeszywniała i dość mocno kulała. Krytyczne spojrzenie w lustro pozwoliło mu się przekonać, że ma lekko zapuchnięte oko, ale nie było to zbyt wyraźnie widoczne, zwłaszcza że rysy twarzy i tak zawsze miał zatarte z powodu sierści. W sumie nic, czego nie można by zrzucić na upadek ze schodów w stanie nietrzeźwym. A w jego nietrzeźwość wszyscy uwierzą bez najmniejszego wahania.

Z wieży zegarowej dopiero ogłaszano godzinę pierwszą, więc w jadalni o tak wczesnej porze Nocny Śpiewak zastał tylko kilku zaspanych kolegów.

– A gdzie Kaaaaamyk...? – zagadnął go Diament Wiatromistrz, ziewając szeroko.

– Chory – odparł krótko Śpiewak, nakładając sobie na talerz porcję smażonej rzepy i ryżu z mizerną ilością mięsa. Widać kucharz dzisiejszego dnia postanowił zadbać o delikatne młodzieńcze żołądki i nie obciążać ich zbyt ciężką strawą. Diament tylko kiwnął głową, żując ospale. Natychmiast stracił zainteresowanie swoim kolegą na rzecz zawartości talerza. Choroba Tkacza Iluzji nie była niczym zaskakującym. Od jakiegoś czasu Kamyk co rusz kasłał i łapał katar za katar, ku własnej straszliwej irytacji. Nie cierpiał bezczynności, a te drobne, uporczywe choroby przeszkadzały mu zarówno w nauce, jak i rozrywkach.

Śpiewak rozejrzał się po stołach. Brak Zwycięskiego Promienia Świtu również nie dziwił nikogo. Księżę nie zniżał się do jedzenia z „pospólstwem”. Jego osobisty służący – zwykle milczący i nieprzystępny – nosił mu na tacy posiłki wprost z zamkowej kuchni lub dostarczał rozmaite przysmaki z miasta.

„Nim obstaluje nowego pokojowca, będzie musiał się do nas zniżyć. Co za nieszczęście – pomyślał Śpiewak z humorem. – Ale jak znam życie, pewnie już tam rozstawia posługaczy po kątach i awanturuje się, że się go nie traktuje jak należy.”

Wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru przejmować się kapryśnym ksiązątkiem. Ocalił mu skórę, to chyba wystarczy?



Kiedy jednak późnym popołudniem Stworzyciel stanął w końcu pod drzwiami „książątka”, panowała za nimi cisza. Śpiewak wpierw przycisnął ucho do drewna. Żadnych poleceń wydawanych podniesionym głosem, żadnych odgłosów świadczących o krzątaniu przy pakowaniu kufrów i rozkładaniu mebli na części wygodne do przenoszenia. Czyżby ten paskudny typek już zebrał manatki i wrócił do domu? Ale nie... wewnątrz słycać było jednak coś jakby ciche pomruki i szelesty. Nocny Śpiewak energicznie zabębnił knykciami w drzwi, a w odpowiedzi, ku jego zdumieniu, zza nich rozległo się całkiem wyraźne i raczej nieprzyjazne „rrroahrrrr”. Śpiewak zdębiał.

– Zwycięski...!?!

Drzwi otworzyły się, a zaskoczony młody Stworzyciel stanął oko w oko z nastroszoną panterą, która ostrzegawczo machała puszystym ogonem. Wydobywający się z niej monotony hurgot kojarzył się z kamieniami mielonymi w młynie i w przekładzie „z kociego na nasze” znaczył zapewne „zjem cię bez przypraw”.

– A żebym wyłysiał... co jest...? – wymamrotał Śpiewak pod nosem, na wszelki wypadek nieruchomiejąc jak słup.

– To jest Miętówka – ozwał się znajomy głos, a zza uchylonych drzwi wyjrzała głowa sukcesora rodu Brin-ta-ena. Nie bez ziarna satysfakcji Nocny Śpiewak natychmiast dostrzegł, że nieznośny książę raczej się nie wyspał (o ile w ogóle zdołał przymknąć oczy), jest niewiarygodnie rozczochrany, a w jego tonie więcej jest zmęczenia niż tradycyjnej książęcej arogancji. Rzucił okiem na wciąż warczącą panterę. Wiatr Na Szczycie używał kilku hasel, na które reagowały jego „kicie”. Jakiego jednak użył w tym przypadku? Nocny Śpiewak znał dwa z nich. Utarcie nosa zarozumiałemu Iskrze byłoby miłym akcentem tego dnia, więc młody mag zaryzykował:

– Śliwkowa karawana.

Wielka kocica nadal wydobywała z siebie znaczące „rrrr”, grożąc odgryzaniem kończyn. Usta Zwycięskiego Promienia Świtu wygięły się w ironicznym uśmiešku.

– Rybi grzebyk – nie poddawał się Śpiewak, przeklinając w duchu Hajga i jego pomysłowość. Ironiczny uśmiešek książątka stał się jeszcze bardziej ironiczny. Stworzyciel w nagłym przebłysku natchnienia sięgnął wprost do umysłu Iskry, gdzie aktualne hasło leżało sobie na wierzchu, gotowe do wzięcia.

– Marmurowe maliny – wygłosił Śpiewak z głęboką przyjemnością, po czym podrapał za uszami panterę, która natychmiast się uspokoiła, jakby ktoś

rzucił na nią magiczne zaklęcie.

– Wiedziałem od początku, że idea ochrony tego rodzaju jest chybiona – skwitował Iskra z goryczą, usiłując zamknąć na powrót drzwi. Śpiewak jednak naparł na nie ramieniem i bez ceremonii wkroczył do środka.

– Idea ochrony? Chybiona? Dlaczego zwyczajnie nie powiesz, że „pomysł był do dupy”?

– Bo ja nie używam takich wulgarnych określeń.

Śpiewak wzruszył ramionami.

– O, to już wiem, czemu arystokraci są tacy paskudni. Zamiast solidnie zakląć i wywietrzyć sobie rozum, tłamsicie w sobie złość i nic nie wyrzucacie na zewnątrz. Każdy nocnik kiedyś trzeba opróżnić, jaśnie paniczu.

– Nie jestem nocnikiem, wypraszam sobie! Czego chcesz?

Śpiewak nie odpowiedział na to pytanie. Przyglądał się spod oka Iskrze, znów poufale drapiąc za uszami panterę, która wyraźnie przyjmowała pieśczęotę z przyjemnością, gdyż basowe burczenie w jej gardle nabrało miękkich tonów mruczenia zadowolonego kota. Mrużyła bursztynowe ślepia i nadstawiała krągły łeb pod rękę Stworzyciela. Iskra przygryzł wargę.

– Spokojnie – powiedział Nocny Śpiewak. – Ani Wiatr, ani Bestiarowie nie rozgłaszają panterzych haseł.

– Ale ty je znałeś!

– Wyciągnąłem ci je z głowy. I nie myślisz chyba, że pomiędzy skrytobójcami są jacyś Obserwatorzy? Jesteś bezpieczny, przynajmniej tymczasowo.

Wymizerowana twarz niedoszłej ofiary przyoblekła się w pogardliwą minę pod tytułem „a co ty możesz wiedzieć”. Śpiewaka to jednak nie zraziło. Cóż, Zwycięski Promień Świtu z rodu Brin-ta-ena był jaki był. To, że nie wywlókł na światło dzienne żalosnych początków życiorysu Śpiewaka i nie zaczął go wprost obrażać, nazywając kundlem oraz żebrakiem, i tak należało uznać za wyjątkową uprzejmość. A może to po prostu wynik zmęczenia? Młody książę wyglądał wręcz na chorego: twarz miał poszarzałą i ściągniętą, pod jego zaczerwienionymi oczami kładły się głębokie cienie. Ubranie miał wymięte, marszczyło się na nim, jakby zostało źle uszyte i Śpiewak dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że swój aksamitny kaftan blady książę włożył tyłem naprzód, a srebrne guziki powinny znaleźć się na plecach, gdzie pozapinałby je służący. Jeden rzut oka na książęce trzewiki pozwolił stwierdzić, że Iskra miał również spore problemy ze sznurówkami. Modnie tkane taśmy, zamiast układać się w miłe dla oka ornamenty, wiły się jak wściekłe węże i skręcały w supły.

Najgorzej jednak wyglądały włosy Zwycięskiego Promienia – przedtem nawoskowane i pozwijane w szlachetne loki, sięgały mu do łopatek. Teraz rozkręciły się, nietknięte szczotką od dnia wczorajszego – zmechrały, pozbijały w kłaki i przypominały trochę festony porostów, jakie Śpiewak widywał na gałęziach drzew moczarowych. Z tą różnicą, że nie były zielone.

Zielonkawa za to raptem stała się twarz Iskry. Chłopak zachwiał się dość wyraźnie, dla utrzymania równowagi chwycił słupek baldachimu przy łożu, a potem usiadł na nim ciężko, masując czoło – skrzywiony.

– Chory jesteś? – zainteresował się Śpiewak.

– Nie. Tak... Nie wiem – wymamrotał poblady i z lekka zazieleniony miejscowy przedstawiciel arystokracji. – Głowa mnie boli. I czuję się, jakbym miał kamień w żołądku – dodał, co zabrzmiało, pewnie niezamierzenie, raczej żałościwie.

Śpiewak zmrużył oczy z namysłem.

– Jadłeś coś dzisiaj?

– Nie – mruknął Iskra, przykładając dłoń do brzucha. – Wczoraj też nie, jakoś nie miałem ochoty na jedzenie.

– Ty jesteś po prostu głodny, a nie chory! – prychnął Śpiewak. – Bez żarcia od wczoraj, nic dziwnego, że czujesz się słabo.

– Głodny? – Na twarzy Zwycięskiego Promienia odbiło się niekłamane zdumienie. – Nie sądzę, żebym był głodny. Nie chce mi się jeść. Po prostu mnie mdli.

– Widać, że nigdy nie głodowałeś. Po jakimś czasie już nie burczy w brzuchu i nawet nie chce się jeść. – Nocny Śpiewak machnął ręką, uśmiechając się gorzko. – Tylko człowiek słabnie i najchętniej by tylko spał. Taki jest głód, podstępny, wyjadający od środka jak jaki robak. Ciesz się, jaśnie paniczku, że nie masz większych doświadczeń z prawdziwym głodem.

Książę milczał, więc Stworzyciel ciągnął dalej, zacierając ręce:

– Skoro tymczasem nie masz podnóżka, co by ci przynosił smakołyki pod nos, musisz sam się pofatygować do naszej jadalni. Ale nie w tych łachach i nie z tą kupą siana na głowie. Wyglądasz jak coś, co kot przyniósł z pola. Nigdy nie rozumiałem, po co „urodzonym” takie długie kłaki.

Dziedzic Brin-ta-ena nadał się momentalnie, zaciskając pięści. Po chwili jednak wypuścił z sykiem powietrze i odparł z ponurą godnością:

– Długie włosy są oznaką szlachectwa. Byle kto nie może takich mieć.

Rozbawiony kudłaty Stworzyciel parsknął śmiechem, jednocześnie bez pytania unosząc wieko jednej ze skrzyń i lustrując jej zawartość. Znalazł tam

głównie lśniące jedwabne koszule z misternie haftowanymi wyłogami.

– Wiesz co? Gdyby to włosy dawały szlachectwo, to ja byłbym największym szlachcicem w całym tym pieprzonym mieście!



Zwycięski Promień Świtu po raz kolejny spytał sam siebie, dlaczego jeszcze nie wyrzucił tego bezczelnego plebejusza, byłego niewolnika... osobnika półzwierzęcego, prawda... tę omyłkę natury, tego gadatliwego szelmę za drzwi na zbity kosmaty pysk. Poszczuwszy Miętówką na pożegnanie.

– Dlaczego ja cię jeszcze stąd nie wyrzuciłem? – wygłosił w końcu owo pytanie wciąż zachrypniętym głosem.

Nieznośny gość udał głęboki namysł, przybierając pozę myśliciela i drapiąc się jednocześnie po brodzie.

– Bo jestem miły i zabawny?

– Bo chcę z tobą... zawrzeć układ? – dodał Iskra z naciskiem.

– Gdyż?

– Gdyż wolałbym, żeby sprawa z tej nocy nie rozniosła się?

– Żadnych meldunków? Żadnego śledztwa? – zdumiał się Śpiewak, wypadając z roli beztroskiego rezonera.

– Wczorajszej nocy... w ogóle nic się nie zdarzyło. – Jakby na przekór własnym słowom Zwycięski Promień Świtu odruchowo przesunął palcem po przędze na szyi. – Chociaż to przykre, że nie mogę wyprawić Ostowi prawdziwego pogrzebu. Był dobrym sługą i zasługuje na to.

– Pozbyć się ciała? – upewnił się Śpiewak. – Nic prostszego. Mnie to również odpowiada.

– Zawarliśmy układ?

– Zawarliśmy.

– Czego chcesz za to?

Stworzyciel przekręcił głowę w lekkim namyśle.

– Nigdy więcej nie nazwiesz mnie niewolnikiem.

Iskra wzruszył ramionami.

– Niska cena.

– W takim razie traktuj to jako pierwszą ratę. O resztę upomnę się w stosownym czasie.





Tego dnia nikt nie zauważył nic szczególnego. W jednej z zamkowych kuchni samowolnie porzucił pracę posługacz, wynosząc się w niewiadomym kierunku i nie zabierając nawet swego skromnego dobytku. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Między służbą krążyła wieść, że młody arystokrata oddalił służącego, będąc pewnie niezadowolonym z jego usług. Włochaty Stworzyciel wyglądał na dziwnie czymś przybitego, a w czasie zajęć lekcyjnych zasnął z głową na książce, czym znów naraził się nauczycielowi. Dwie „połówki” zachorowały. W sumie nic nadzwyczajnego.

Kamyk rozmyślał z goryczą, że sam, własnymi rękami przygotował sobie odpoczynek od Gladiatora przynajmniej na parę tygodni. Jedyne ten element całej sytuacji był trochę pocieszający. Poza tym bolało go gardło i kłuło w piersiach, a życie generalnie przedstawiało się podle. Jeszcze przed południem zajrzał do chłopca medyk – Obserwator o zimnych dłoniach, który nie miał bladego pojęcia, jak oglądać czyjeś gardło w delikatny sposób. Zmusił Kamyka do wypicia jakiegoś paskudztwa, jeszcze gorszego w smaku niż pamiętne nalewki Słonego na Jaszczurze. Na domiar złego coś mu się nie spodobało w Kamykowym oddechu.



*Podobno mam szmery w płucach. Musiałem dokładnie opisać mu swoją chorobę na wyspie. Oglądał blizny. Straszyl, że z pewnością mam „rozległe zmiany martwicze w prawym płacie” (cokolwiek to znaczy) i każde zaniedbane przeziębienie może skończyć się śmiercią. Zostawił po sobie tabliczkę zapisaną od góry do dołu bzdurami, a ponadto tyle lekarstw, że mógłbym tym wszystkim otruć konia. Samowolnie zmniejszyłem sobie zalecane dawki o połowę. Niektórych flaszek postanowiłem w ogóle nie ruszać. Od ojca wiem, że najlepszym lekiem na gardło jest zwykły imbir – świeży albo wysuszony i zmielony na proszek. Po prostu wyślę Nocnego Śpiewaka na targ po zioła. Pewnie się nawet ucieszy, bo uwielbia kupować i zawsze się strasznie targuje, co wygląda za każdym razem na okropną kłótnię ze sklepikarzem, tyle że potem obaj bardzo zadowoleni ściskają sobie ręce i zapewniają o tym, że ta heca sprawiła im ogromną przyjemność. Południowcy – zabawni ludzie.*



*Lekarz przyszedł po raz drugi i strasznie się cieszył, że terapia przynosi dobre skutki. O tak, MOJA terapia. Gdybym pił to wszystko, co mi zostawił, już by mnie grzebali w gustownej urnie. Przyniósł mi wiadomość, że czeka mnie wizyta u Stworzyciela, bardzo dobrego chirurga, który miał położyć kres moim dolegliwościom. Głupcy są jak chwasty – nie trzeba się starać, sami wyrastają.*

*W ciekawy sposób toczy się również historia Zwycięskiego Promienia Świtu. Jak wszyscy nie żywią ciepłych uczuć dla Zwycięskiego Promienia, ale mogą sobie wyobrazić, że jest mu teraz ciężko. Wiatr Na Szczycie powtórzył mnie i Śpiewakowi wszystko, co wy dobył z tego rozpieszczonego chłopaka. Powrót do wygód rodzinnego pałacu mógłby oznaczać dla niego śmierć, prędzej czy później. Najdziwniejsze jest to, że Nocny Śpiewak może nie tyle polubił Iskrę, co poczuwa się do niej jakiejś odpowiedzialności za niego. Jak sam twierdzi, „do czasu, aż ta niunia nauczy się samodzielnie zapinać guziki”. Nie było śledztwa, nie było też pogrzebu. Wszystko, co ponoć zostało ze zwłok, to wielka kałuża wody i kupa czegoś podobnego do mokrego piachu. Bez trudu dało się to zebrać w kubły i dyskretnie wsypać do kanału. Wiatr Na Szczycie dla porządku ofiarował w świątyni zboże i mleko za spokój dusz zmarłych. Zapytałem, dlaczego modlił się za mordercę, a on odparł, że to zawodowiec i zginął na posterunku, więc zasługuje na szacunek. Hajgowie – jeszcze dziwniejsi ludzie.*



*Zwycięskiemu Promieniowi śniło się, że spaceruje po zamku z Nocnym Śpiewakiem i spierają się o coś. Jak często w snach, nie wiedział właściwie, o czym toczy się dyskusja – w tej mętnej i chaotycznej wizji układ korytarzy zmieniał się ciągle, jakby budowla była rozklekotaną układanką. W pewnym momencie spod stóp usunęły im się schody i chłopak runął w dół, czując, jak jego żołądek ulatuje z kolei do góry w paskudnym uczuciu nagłego strachu.*

*O ile lot ku ziemi był jedynie marą senną, to samo uderzenie okazało się jak najbardziej realne. Zwycięski Promień Świtu otworzył oczy, stwierdzając, że znajduje się na podłodze. W zasięgu jego wzroku poza krawędź łóża wystawały łapy przeciągającej się pantery.*

*– Miętówka, ty zarazo! – warknął właściciel tak niecznie zagarniętego łóżka, podnosząc się do pozycji siedzącej. – Pewnego pięknego dnia z twojego futra*

zrobię dywanik, a resztę upiekę i zjem. I zatańczę z radości, że nie muszę oglądać twojej wąsatej mordy, ty wredna kocico!

W odpowiedzi usłyszał przyjazne mruczenie, a „wredna kocica” liznęła go językiem szorstkim jak pilnik.

– Fuuuuj... – Chłopak z obrzydzeniem wytarł się rękawem nocnej koszuli.

Od kiedy Zwycięski Promień Świtu został uszczęśliwiony towarzystwem hajgońskiej pantery o wdzięcznym imieniu Miętówka, takie poranki stały się już niemal rytuałem. Kocica upodobała sobie łóżko młodego maga. Zaczynała od tego, że kładła się na brzeżku, po trochu jednak zdobywała teren i kończyło się na tym, że to śpiący chłopiec leżał na skraju, a czasami nawet spadał na podłogę.

Jednak ku jego własnemu zdziwieniu, przeszkadzało mu to mniej, niż mógłby przypuszczać. Szybko przywykł do podrapanych mebli i nawet zaślinionych części odzieży. Miętówka nie odstępowała go na krok, towarzysząc mu jak cień nawet na lekcje. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna czuł się bezpiecznie. W dodatku miał wrażenie, że to zwierzę go... lubi?

Łomotanie do drzwi o zabójczo wczesnej porze również należało już do rytuałów.

– Hej, jaśnie panie, rusz tyłek z wyra! – wydarł się za drzwiami Nocny Śpiewak.

– Hasło! – odkrzyknął Zwycięski Promień.

– W dupę je sobie wsadź!

– To nie jest prawidłowe hasło!

– Ogon świstaka bulgota ukośnie! Odzew! – prowokacyjnie zawył Stworzyciel przez drzwi.

– Najlepsze świstaki ma Goździkowa! – odkrzyknął Iskra.

– Marmurowe maliny – powiedział cicho do Miętówki, drapiąc ją za uchem i poszedł otworzyć. Hasło do ataku pantery brzmiało po prostu „ap!”, ale miał szczerą nadzieję, że nie będzie musiał go nigdy wykorzystać.

Od pewnego czasu codziennie rano Śpiewak budził go bębnieniem w drzwi. Potem czekał, aż Iskra się ubierze, czasem pomagając mu w tej kłopotliwej czynności. Drwił sobie z niego bezlitośnie, póki wściekły Zwycięski Promień Świtu nie nauczył się porządnie wiązać butów i czesać się samodzielnie, co bardzo ułatwił fakt, że nieznośny Stworzyciel barbarzyńsko skrócił mu włosy o ponad połowę, beztrąsco kwitując całą rzecz krótkim: „odrosną”. Wprawilo to młodego księcia w fatalny humor na pół dnia, potem jednak zaczął doceniać wygodę nowej fryzury. Czuł się z początku dziwnie, ale za to przeklęte włosy

przestały zaczepiać się o wszystko i kołtunić.

Zaczął też, nie mając innego wyjścia, chodzić na posiłki do wspólnej jadalni. Pierwszy raz przyprawił jedzących o wstrząs, tym bardziej że oczywiście towarzyszyła mu hajgońska pantera. Kolacja tamtego dnia minęła w grobowej ciszy. Iskra starał się nie odrywać oczu od własnego talerza, czując na sobie zmasowany atak nie tylko wzrokowy, ale i mentalny. Chłopcy nadal obrzucali go nieufnymi spojrzeniami, lecz nikomu jak dotąd nie zdarzyło się oparzyć wrzącą zupą, więc powoli sytuacja się normowała. Nie próbował dołączać do rozgadanych grupek zbierających się przed i po lekcjach z Gladiatorem, za to podczas rozmów przy posiłkach zaczął rzucać celne oraz ironiczne komentarze, co wywoływało wojnę na docinki, a w końcu śmiech. Jednym słowem, czuł, że idzie ku lepszemu. Przymierze z „wieśniakami i bękartami” zaczynało dawać wymierne korzyści.



– Idziemy do Kamyka – zarządził Nocny Śpiewak, kiedy nareszcie Gladiator i jego trzcina odpłynęli w dal po porannych lekcjach.

– Razem? – upewnił się Iskra. Łagodnie mówiąc, nie lubili się zbyt z Tkaczem Iluzji. Za każdym razem, kiedy Kamyk raczył na niego spojrzeć, Zwycięski Promień Świtu miał wrażenie, że to bożyszcze tutejszej młodzieży kompletnie go lekceważy. A to mu się bardzo nie podobało. Co więcej, podejrzewał, że tamten tylko czeka na okazję, by znów napuścić na niego jakąś wyjątkowo wredną iluzję. Taką, jak choćby tamto robactwo.

– Razem. Miętówka też – odparł Stworzyciel apodyktycznie.

– Nie chcę – oznajmił Iskra tonem równie stanowczym.

– Chcesz.

– Nie chcę i nie pójdę.

– Pójdiesz, bo to jest kolejna rata długu, a ty jesteś honorowy i spłacasz długi – wyszczerzył się radośnie Śpiewak.

Zwycięski Promień przez moment zaniemówił na taką bezczelność.

– A można wiedzieć, która to rata? – wycedził zgryźliwie.

– Druga.

– Trzecia. Druga była, jak mi obciąłeś włosy, ty barbarzyński futrzaku.

– Miałeś mnie nie obrażać.

– Miałem cię tylko nie nazywać niewolnikiem.

– Ja też cię lubię.

W ten sposób, miło sobie gawędząc, dwaj magowie dotarli do drzwi, na których pyszniła się wypolerowana miedziana głowa roześmianego kota.

Zwycięski Promień Świtu nie wiedział, jak wyglądają izby zajmowane przez towarzyszy ze szkoły, ale jego wyobrażenia oscylowały gdzieś w okolicach stylu koszarowego (raz widział koszary szeregowców gwardii cesarskiej w Lenenji), więc spodziewał się czegoś w rodzaju białych, gołych ścian, twardych prycz z równo poskładanymi kocami i moskitierami... ewentualnie jeszcze stołu ze stosikiem książek w jednym rogu i rolkami pergaminu w drugim. W każdym razie nie tego, co ujrzał, kiedy Nocny Śpiewak otworzył przed nim drzwi i wepchnął go do środka.

– Tu jest... – zaczął i zgubił wątek. Słowo „brudno” nie pasowało do tego wnętrza, określenie „śmietnik” również zamarło mu na wargach, kiedy zobaczył stojącą pośrodku stołu wielgachną złotą wazę, w której z łatwością mógłby utopić się kot. Z brzegu monstrualnego naczynia zwisała pojedyncza skarpeta. Dokoła poniewierały się garście szlachetnych kamieni.

– To złoto? – wyrwało się Zwycięskiemu Promieniowi, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Które? To? A nie, nie. Srebro, pozłacane, ale i tak kurewsko ciężkie. I brzydkie jak noc deszczowa. Im bardziej próbujemy poprawić, tym bardziej robi się tandetne. A jak usiłuję zrobić azurowy dół, to się gniewa pod ciężarem góry. Dojrzewam do przerobienia tego świństwa na nocnik.

Promień otrząsnął się z wrażenia, jakie zrobiło na nim poczarne naczynie i poszukał wzrokiem Tkacza Iluzji. Kamyk, wbrew przewidywaniom, nie leżał w łóżku w charakterze obłożnie chorego. Całkowicie ubrany, siedział w poprzek posłania, podparty stertą jedwabnych poduch, długie nogi położył na stołku, a wokół niego poniewierały się liczne kartki papieru. Obok na stoliczku parowała kadzielnica – w całym pomieszczeniu unosił się intensywny zapach sosnowej żywicy i goździków. Uniósł głowę znad czytanej właśnie książki, popatrzył na przybyłych z lekka nieprzytomnym wzrokiem. Z pewnym zaciekawieniem zmierzył Iskrę spojrzeniem od stóp do głów, po czym nagle parsknął śmiechem, który niemal natychmiast przerodził się w atak kaszlu. Tkacz zgiął się wpół, upuszczając książkę i nie mogąc złapać tchu.

– O, niedobrze – zatroszczył się Stworzyciel. – Wiesz, po tym jak go na Smoczycach Wyspach postrzelili w płuco, byle co go teraz rozkłada.

– To zaraźliwe? – burknął Zwycięski Promień, cofając się pół kroku.

– Coś ty. Zaraz mu przejdzie. – Śpiewak wylał na chustkę jakiś specyfik

z buteleczki odgrzebanej ze stosu szpargałów. Podał ją Kamykowi, który przykrył nią nos i usta, wciąż kaszląc rozdzierająco. Tkacz Iluzji w końcu przestał rzeźić. Odłożył chusteczkę i otarł zażawione oczy.

*Na Wieczny Krąg, w ogóle go nie poznałem. Coś ty z nim zrobił, Śpiewak?*



Kamyk był pod wrażeniem. Cudaczne stworzenie w aksamitnych łaskach – ni to chłopak, ni dziewczyna – ustąpiło miejsca całkiem zgrabnemu szesnastolatkowi. Loki Iskry zniknęły. Najwyraźniej w ruch poszły nożyce. Włosy miał znacznie krótsze, gładkie, szesane z czoła do tyłu, co uwydatniało jego ostre rysy, sprawiając, że wyglądał stanowczo i po męsku. Na karku sterczała mu kita czarnych włosów, opleciona rzemieniem – uczesanie myśliwych. Zwycięski Promień Świtu miał też na sobie irchową bluzę z frędzlami, dopasowaną w talii, żeby mógł wygodnie owinąć się błękitną szarfą maga. Całość dopełniały wąskie czarne spodnie ozdobione z boku sznurem i wysokie buty z cielecej skóry. Jedyne element nie pasujący do tej całej łowieckiej przebieranki stanowił jedwabny szalik, którym Iskra szczelnie owinął szyję.

*Myślałem, że to jakiś nowy. Jakiś myśliwy spod pasma Igielnych. – Kamyk machnął ręką w stronę Iskry. – Co z twoją szyją?*

Promień odchylił szal, pokazując sine, ale blednące już pasmo na skórze. Nocny Śpiewak przekazał jego odpowiedź.

*„Mówi, że już go nie boli i że mu przejdzie.”*

*Mnie jeszcze boli. – Kamyk poklepał się znacząco po piersiach. – Mam dość tego zalegania. Już wolałbym lekcje z Gladiatorom. Jedyne pożytek, że mam więcej czasu na to. – Wskazał na rozłożone wokół papiery.*

Skupiony na odczytywaniu iluzyjnego pisma, co widać było dla niego sporą nowością, dopiero po chwili Iskra zwrócił uwagę na zalegające tu dziesiątki szkiców ołówkiem, węglem i piórem. Z zaciekawieniem zaczął je oglądać, podnosząc jeden po drugim. Jego wyraziste brwi unosiły się coraz wyżej.

Na szkicach uwieczniono głównie rzeźby ze starych ruin na Smoczym Archipelagu – część z nich wykonał jeszcze Pożeracz Chmur, nowsze wyszły spod rysika Nocnego Śpiewaka, który miał za wzór Kamykowe iluzje. Tkacz Iluzji wybrał jeden z rysunków i uniósł go w górę.

*Popatrzcie. Czy ten nie jest identyczny jak nasz prześwietny książę? – spytał*

z filuternym uśmieszkiem.

Szkic wyobrażał skośnookiego wojownika, który strzegł na Jaszczurze zrujnowanej siedziby jakiegoś bogacza sprzed wieków. Rzeczywiście, szczupła twarz, zarys podbródka, a przede wszystkim kształt orlego nosa bardzo przypominał młodego arystokratę z Brin-ta-ena. Żywy odpowiednik rysunku nadął się w pierwszej chwili, z zamiarem śmiertelnego obrażenia się, ale doszedł do wniosku, że dalsze szperanie w rupieciarni Stworzyciela będzie znacznie bardziej interesujące. Miętówka z kocim hedonizmem uwalila się na łóżku Śpiewaka i zapadła w drzemkę, natomiast chłopcy z rosnącym zainteresowaniem zaczęli wyszukiwać spomiędzy obrazków te wizerunki, które kojarzyły im się z ludźmi z otoczenia. Dopasowywali do nich stwarzane przez Tkacza Iluzji miraże szkolnych kolegów. Podniecony Nocny Śpiewak notował rezultaty, a Zwycięski Promień Świtu zaglądał mu przez ramię, śledząc postępy. Zarówno rzeźby, jak i rysunki ludzi skopiowane ze ścian podziemnego labiryntu z grubsza prezentowały ten sam typ urody: długonogie, smukłe postacie o prostych, czarnych włosach. Ich twarze, zbliżone kształtem do trójkąta, miały wystające podbródki, oczy jak kreski oraz dość duże, ostro zarysowane nosy.

W krótkim czasie okazało się, że u każdego z chłopców wezwanych do Zamku dało się znaleźć choć jedną z wyżej wymienionych cech. Większość miała włosy czarne jak sadza. Oczy Kamyka, Nocnego Śpiewaka i Winograda były wiernymi odbiciami tych z rysunków. Myszkę zdradzał kształt twarzy i budowa ciała, natomiast Zwycięskiego Promienia Świtu – nos, dziedziczony z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów.



– Nie wyprzemy się przodków. Tu oto mamy portret idealnego maga – powiedział Nocny Śpiewak, pukając palcem w jeden z rysunków. – Niestety, krew się w nas szalenie rozwodniła i jesteśmy teraz...

– ...kundle – dokończył Iskra tak dziwnym tonem, aż Nocny Śpiewak spojrział na niego zdumiony.

– Czy to coś złego być mieszańcem? – zapytał Stworzyciel. – Daj spokój, chyba nie wierzysz w bajędy o tym, że niby lepiej urodzeni mają złotą krew?

– Nie – burknął Zwycięski Promień Świtu nieuprzejmie i zamilkł na dłużej. Widać było, że nie w smak mu odkrycie, iż w przeszłości krew świetnego rodu Brin-ta-ena mogły, – ba! – z całą pewnością zanieczyściły jakieś obce

naleciałości.

– Ty, nie bocz się – odezwał się Nocny Śpiewak. – Taki Klinga całym Zamkiem trzęsie, a jego rodzina to zwykli handlarze solą. Tak czy owak, stoisz wyżej od niego.

Zwycięski Promień Świtu wzruszył ramionami.

– Ma mnie pocieszyć to, że teraz rządzi mną kupczyk? Brin-ta-enowie od zawsze są wojownikami. Nie ma i nie było wśród nas „handlarzy solą”.

– A szkoda, bo to daje niezłe zyski – odparł Śpiewak i zachichotał.

Promień już nabrał powietrza, by zripostować ostro, lecz Tkacz Iluzji znów dostał ataku kaszlu, co siłą rzeczy skupiło na nim uwagę wszystkich, łącznie z Miętówką, która raczyła nawet podnieść łeb ze swych pieleszy.

– Od czego on właściwie się rozchorował? – zapytał Iskra z lekkim niesmakiem. – Przecież to brzmi tak, jakby miał się za chwilę udusić.

– Tej nocy, kiedy nas napadł dusiciel, Kamyk pobiegł zawiadomić Wiatr Na Szczycie. Łało, więc przemókł i zmarł. Plony tej przechadzki właśnie widzisz.

– Ale po co on się w ogóle mieszał? – Czoło Zwycięskiego Promienia Świtu zmarszczyło się w wyrazie głębokiego zastanowienia. – Co mu to dało? Co zyskał?

Nocny Śpiewak westchnął ciężko.

– Nic.

– Nic? Więc po co... Nie rozumiem.

– Mam nadzieję, że kiedyś zrozumiesz. W przeciwnym wypadku pożałuję, że tydzień temu przechodziłem w nocy koło twoich drzwi – oznajmił Śpiewak znaczącym tonem, odwracając twarz w stronę Iskry i patrząc mu głęboko w oczy.



Nareszcie Kamyk wyzdrowiał na tyle, by zacząć wychodzić z komnaty. Wiatromistrzowie w przypływie dobrego humoru podarowali miastu pogodne popołudnie, więc chłopcy z radością zaczęli zwoływać się do gry w piłkę. Niestety, Tkacz Iluzji, który z racji wysokiego wzrostu grał zwykle pośrodku pola jako znakomity podający, nie mógł w niej uczestniczyć, gdyż wciąż jeszcze był zbyt osłabiony. Pozostawało mu jedynie obserwowanie zabawy z zazdrością. Gracze z drużyny Kamyka nie mieli innego wyjścia, jak pozycję „obrotowego”



zapropnować Zwycięskiemu Promieniowi Świtu. Co prawda, wszyscy spodziewali się, że dziedzic Brin-ta-ena odmówi i to w dość przykry sposób, lecz, o dziwo, przyjął zaproszenie nawet dość chętnie. Ambitny Iskra, choć doświadczenie w grze w pierścienie miał znikome, brak wprawy nadrabiał energią i rosnącym entuzjazmem. Uwijał się, przejmując najtrudniejsze zagrywki przeciwników i z wielkim poświęceniem uczestniczył w najgorszych kotłowaninach, gdy gra z powodu rosnących emocji przeradzała się chwilami w niegroźną bójkę. To właśnie wtedy jego imię uległo znacznemu skróceniu, gdyż znacznie wygodniej było krzyknąć po prostu: „Promień, do ciebie!”. Potem cała drużyna zgodziła się, że to głównie dzięki niemu miotacze pod wodzą Gryfa zdołali zaliczyć wrzutki do wszystkich czterech pierścieni, zanim jeszcze przeciwnicy zdobyli dwie. A gdy wreszcie zwycięzcy i zwyciężeni schodzili z pola, na równi zmęczeni i straszliwie brudni, na przedzie kroczyli ramię w ramię Promień i Gryf – pierworodny syn księcia oraz chłopiec, o którego pochodzeniu dało się powiedzieć tylko tyle, że zamieszana była w to jakaś kobieta i co najmniej jeden mężczyzna.



Kamyk stał na korytarzu w budynku nieopodal Wieży Wschodniej, zastanawiając się, jakim typem lekarza jest człowiek, który na swoich drzwiach wieszta tabliczkę z napisem głoszącym: „*Grzywa Stworzyciel. Najlepszy chirurg na tym piętrze. Cuda wykonywane od ręki. Rzeczy niemożliwe z opóźnieniem jednodniowym*”. Niby wrażenie było dość przyjemne – drzwi wyglądały na czyste i lśniły od wosku, ale to raczej mogło wskazywać na kompetencję służby, a nie medyka.

Powyższe rozmyślenia powstały jako wynik tego, że ozdrowiały Tkacz Iluzji nie mógł już dłużej wykręcać się od wizyty u chirurga. Dlatego więc w chwili obecnej wygniatał podłogę pod jego drzwiami, nie mogąc zdecydować się na wejście. Biorąc pod uwagę to, co potrafił z pacjentem wyprawiać Płowy, chirurg Stworzyciel pewnie okaże się dwa razy gorszy.

Niespodziewanie drzwi się otwarły, jakiś człowiek chwycił chłopca za ramię i wciągnął do środka.

„Przy tobie można stracić cierpliwość. Stoisz tu od pięciu minut i doprawdy nie wiem, co takiego ciekawego jest w moich drzwiach. Liczyłeś sęki?”

Kamyk poszedł za swym przewodnikiem w głąb pomieszczenia. Stworzyciel

– a musiał być to zapewne sam Grzywa – nie przerywał umysłowego kontaktu, paplając beztrzesko. Nic nie zapowiadało żadnych wyrafinowanych tortur, więc chłopiec zaczął się uspokajać. Grzywa wyglądał sympatycznie, tak samo jak wewnątrz jego pracowni. O dziwo, wbrew oczekiwaniom Kamyka, że tak samo jak u Pływaka i Nocnego Śpiewaka, tak i u tego Stworzyciela zostanie gigantyczne zbiorowisko „absolutnie niezbędnych do egzystencji” przedmiotów, komnata wyglądała wręcz nieskazitelnie. Przypominała raczej salon niż pracownię.

Ściany pomalowano żółtą farbą w wesołym odcieniu, a na nich wiły się stylizowane motywy kwiatowe. Z sufitu zwieszały się na nitkach szklane ozdoby, rzucając wesołe błyski. We wnękach okiennych stały wazony z kwiatami. Gdyby nie unoszący się w powietrzu szczególny zapach lekarstw, można by pomyśleć, że to całkiem zwyczajny pokój. Nic bardziej mylnego. Nieco bystrzejszy obserwator mógł dostrzec, że zgrabne szafeczki nie zawierają kryształów i sreber, lecz instrumenty medyczne, flaszeczki z tajemniczą zawartością, a także lśniące groźnie ostrza różnych wielkości i rodzajów umieszczone w specjalnych przegródkach. Wielki prostokątny stół, choć przykryty cienkim batystowym obrusem, był nieproporcjonalnie wysoki. Prawdopodobnie nie służył do biesiadowania, tylko do zabiegów medycznych.

Grzywa, siwiejący mężczyzna o młodych oczach, w których błyszczała inteligencja i humor, miał przyjemny uśmiech i bardzo zadbane ręce, co Kamyk zauważył z niejakim zdumieniem. Tak wypielęgnowane dłonie miewały kobiety. Stworzyciel spodobał mu się. W przeciwieństwie do poprzedniego lekarza, nie traktował Kamyka, jakby chłopak był słaby na umyśle i nie próbował za wszelką cenę wykazać swej ważności. Grzecznie zaprosił pacjenta, by ten usiadł na kozetce i rozebrał się do połowy – wciąż uśmiechnięty, przyjazny i rzucający żarcikami.

„Której połowy?” – spytał Kamyk, starając się nadać temu ton równej uprzejmości, ale potny uśmieszek wbrew woli rozciągał mu usta.

Grzywa parsknął śmiechem.

„Górnej, młodzieńcze, górnej... Chcę obejrzeć twoje płucka, panie Dowcipny. Tak, dobry humor to podstawa, zawsze to powtarzam chorym: chcesz mieć skutki, gnaj precz smutki.”

Nie wiadomo, ile serdeczności Grzywy wynikało z jego usposobienia, a ile z chęci uspokojenia pacjenta. Ważne, że osiągał dobre wyniki. Młody pomocnik, wyglądający na medycznego praktykanta, podał mu drewniany stożek, w którym wychowanek Płowego bez trudu rozpoznał przyrząd do osłuchiwania.

„Oddychaj teraz głęboko – polecił Stworzyciel, przykładając narzędzie do pleców Kamyka. – Jaka ładna muzyczka, jakby wiatr hulał. Zachwycające objawy, naprawdę przepięknie typowe, jak z książki.”

Lekarz szybko skończył osłuchiwanie. Obejrzał blizny po ranach. Stwierdził, że zrosły się czysto i pochwalił lecznicze metody Słonego. Zajrzał Kamykowi do gardła, obejrzał oczy przy jasnym świetle padającym od okna. Potem, z niejasnych powodów, obmacał dokładnie mięśnie chłopca.

„Wygląda na to, że jesteś w całkiem znośnej formie. Osłabiony, trochę za chudy, ale nie powinienem za dużo wymagać.”

Grzywa sięgnął pod tunikę – okazało się, że pod ubraniem ma zawieszony na rzemieniu klucz. Podał go asystentowi, który zaczął otwierać nim drzwiczki podzielonego na wiele przegródek kredensu. We wnętrzu eleganckiego mebla kryła się niebagatelna kolekcja słoików oraz flaszeczek wypełnionych płynami w różnych barwach i zielonkawymi albo szarymi proszkami. Zaciekawiony Kamyk wyteżył wzrok, by z daleka odczytać nazwy. Wiele było znajomych. Przypominał sobie – tego używał jego przybrany ojciec, i tamtego także... To na serce, tamto uśmierzało ból... Duży słoik zawierał zielonożółty proszek – prawdopodobnie zmielony zestaw ziół na polepszenie trawienia.

„Bądź tak miły i teraz się połóż. Musimy cię uśpić.”

Kamyk bezwiednie napiął mięśnie.

„Usypiano mnie już raz do badania. Miałem złą reakcję, nie mogłem potem się obudzić.”

Grzywa zaniepokoił się nieco. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się.

„Co ci dawał tamten medyk?”

„Nie wiem. Jakiś narkotyk.”

„Stosuję coś innego” – uspokoił chłopca Grzywa.

„Wolałbym być przytomny.”

„Naprawdę? A ja bym wolał, żeby mi pacjent nie uciekał spod noża.”

Kamyk z pewnym wysiłkiem przełknął ślinę.

„No widzisz, już nie jesteś taki odważny.” – Chirurg z uśmiechem poklepał go po nagim ramieniu.

Nie mając już żadnych argumentów, chłopiec przyjął pozycję poziomą. Na suficie również namalowano kwiatki. Obserwował krzątanie medyków, zastanawiając się, czy Grzywa także używa igieł przy pracy, podobnie jak Stworzyciel z Grobli, i czy będzie musiał znów pić jakieś paskudne mikstury. Na razie nic na to nie wskazywało. Stworzyciel rozebrał się do koszuli, podwinął

wysoko rękawy i starannie szorował ręce w gorącej wodzie. Jego pomocnik skończył przygotowywać coś za bocznym parawanem, po czym pozapalał świece w wysokich podłogowych lichtarzach. W komnacie zaczął rozchodzić się intensywny zapach lawendy, zagłuszając woń spirytusu i leków.

Pomocnik Grzywy podszedł i położył Kamykowi na twarzy kawałek płótna, złożony w kilkoro. Wilgotna tkanina pachniała intensywnie czymś dziwnym. Nie był to zapach nieprzyjemny, ale pewnie właśnie od tej woni Tkacz Iluzji dostał zawrotów głowy i zaczęło go lekko mdlić. Kwiatuszki na suficie zaczęły pływać, więc chłopak zacisnął powieki. Uczucie spadania w dół wzmogło się.



– Nie powinien tego przeżyć – odezwał się asystent, podając Grzywie ręcznik. Chirurg dokładnie wytarł zaczerwienione od mycia dłonie w czyste, wygotowane płótno.

– Nie powinien, a przeżył – skwitował tonem pogawędki. – Czemu?

– Nie wiem – odpowiedział młodszy medyk. – Nie powinien. Czytałem raport. Prymitywne warunki, spora utrata krwi, infekcja praktycznie nie do uniknięcia...

– Tak, tak – przerwał mu niecierpliwie Stworzyciel. – Mamy przed sobą przypadek niepasujący do podręcznika? I co? Nie sugerujesz chyba, że powinniśmy go „dopasować”?

Asystent otworzył szeroko oczy.

– Pan żartuje, oczywiście...?

– Oczywiście – uspokoił go Grzywa. – Jak rozpoczniesz własną praktykę, nieraz spotkasz się z takimi przypadkami, co to niby wydają się jakimś pieprzonym cudem. A mogę cię zapewnić, że każdy ma jakieś wytłumaczenie. Popatrz na niego... – Mężczyzna kiwnął głową w stronę śpiącego na sofie chłopca. – Widzisz szramy? Cztery palce w górę, a dostałby w główną żyłę, trzy w dół – nie miałyby nerki. Mogło być znacznie gorzej. Poza tym ja mam własną teorię na temat właściwości smoczej śliny.

Asystent ożywił się.

– I to wszystko wyjaśnia?

– Za mocne słowa. Może to z powodu tego, że chłopaka smok oblizał, a może dlatego, że ktoś bardzo chciał, żeby żył. Może był w łaskach bogów?

– Nie wierzę w cuda – oznajmił twardo młodszy lekarz. – Żadne takie.

Konkret: albo się zdrowieje, albo umiera i nie mieszajmy do tego religii.

Grzywa pokiwał głową, wydymając wargi i przypatrując się z bliska śpiącemu pacjentowi. Chłopak wyglądał dobrze. Oddychał regularnie, głęboko, jego skóra miała normalny kolor.

– A dlaczego palimy przy zabiegach świece z lawendą?

– Lawenda ma własności odprężające i uspokajające, co dobrze wpływa na chorego. Lawenda ma również właściwości odkażające, dobrze jest więc lawendą oczyścić powietrze – wyrecytował asystent ustęp z książki.

– Dobrze – powiedział Grzywa. – Ponadto zioła lawendy pali się również w świątyniach Księżycowej Bogini, podczas obrzędu Otwarcia. To tyle, jeśli chodzi o niemieszanie medycyny z religią.

Młodzieńcowi zrzęda mina.

– Przygotuj stół, a potem zawołaj Trzpienia, niech ci pomoże przenieść chłopaka – polecił Stworzyciel.

Młodszy medyk pokornie skinął głową. Zaczął składać wielki obrus, odsłaniając blat stołu, lśniący złowieszczą wypolerowaną stalą.



Ktoś uniósł Kamykowi głowę, próbując wlać coś do ust. Zacisnął zęby w odruchu obrony. Mdliło go już naprawdę okropnie. Na Miłosierdzie, przecież zaraz zwymiotuje!

„Nie grymas. To stabilizator. Spokojnie, powoli...”

Rozpoznając znajomy przekaz Stworzyciela Grzywy, posłusznie spróbował przełknąć. O dziwo, płyn był słodki. Szalejący żołądek chłopca uspokajał się z wolna, a zmysł równowagi sadowił na swoim miejscu. Kamyk ostrożnie uniósł powieki. Rozejrzał się, powolutku przekręcając głowę.

Grzywa nadal mył ręce, a Kamyk stwierdził, że zaczyna się nieco irytować. Ileż czasu można się myć? Jak długo miał jeszcze czekać?

„Już po wszystkim. Minęły prawie cztery godziny – odezwał się Stworzyciel. – Jak się czujesz?”

Jakie godziny? Kiedy? Zamknął przecież oczy tylko na chwilę. Kamyk podniósł się powoli na łokciu, stwierdzając przy okazji, że jest przykryty prześcieradłem i pledem, a poza tym nie ma na sobie nic więcej. Otoczenie wydawało się niepewne, płynne... Ciało niezbyt chciało go słuchać, chwilami wszystko rozmywało się i chłopiec miał problemy ze skupieniem wzroku.

Grzywa otrząsnął z rąk różowawe krople i podstawił dłonie pod strugę wody z dzbanka trzymanego przez asystenta. Obaj magowie wyglądali na bardzo zmęczonych. Grzywa miał ściągniętą twarz i już się nie uśmiechał. Dopiero wtedy Kamyk zauważył, że woda w miednicy jest czerwona. Stworzyciel zmywał z dłoni krew?! Czyją krew? Nienienienie... chyba jednak tak.

Kamyk pomacał podejrzliwie prawy bok. Czuł się, jakby zdrowo go poobijano, skórę na torsie miał podrażnioną i tkliwą, ale poza tym nie widać było żadnych śladów operacji, nawet najmniejszych. Blizna po grocie nadal znajdowała się na swoim miejscu. W zasadzie wyglądało to na oszustwo.

„Mężczyźni lubią chwalić się bliznami. Dlaczego miałbym ci odbierać tę przyjemność? – wyjaśnił Grzywa. – A poza tym... otworzyliśmy cię jak pudełeczko, drogi chłopcze. Lepiej nie pytaj o szczegóły. Połataliśmy cię w środku, jesteś też odrobinę lżejszy. Miałeś w płucu trochę zwapnień. Wyrzuciłem te śmieci, tkanka ładnie zareagowała na bodźce i chyba w większości da się namnożyć. Oczywiście prócz sieci nerwowej. Nie musisz dziękować.”

Kamyk przetrawiał te rewelacje z oszołomioną miną. Otwarty... jak pudełko...? Uch, lepiej sobie tego nie wyobrażać. Potrząsnął głową, usiłując pozbyć się nie milego obrazu.

„W takim razie NIE dziękuję. I naprawdę NIE jestem wdzięczny. – Uśmiechnął się blado do Stworzyciela. – I na pewno NIE napiszę do swojego ojca o tym, jak mnie wyleczyłeś, Mistrzu Stworzycielu.”

„Jak się czujesz?” – powtórzył pytanie lekarz.

Chłopak przez chwilę zastanawiał się nad sygnałami otrzymywanymi z własnego ciała.

„Słaby. Trochę senny. Nic mnie nie boli. Mogę iść? Gdzie moje ubranie?”

„Nie zginęło, nie bój się. Wolałbym, żebyś jeszcze się przespał tutaj. W końcu niewielka różnica, czy tu, czy we własnym łóżku. A nie chcę ryzykować, że zasłabniesz gdzieś po drodze.”

Kamyk tylko kiwnął głową na znak zgody i przewrócił się z powrotem na sofę, powalony nowym atakiem ponarkotycznej senności. Powieki opadały mu same. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak asystent oddaje Stworzycielowi klucz do składu leków, który mag zawiesił na szyi.

„Chwalebna ostrożność...” – pomyślał mętnie chłopiec i zasnął na nowo.



*Wędrowiec Jodłowy, zwany przez wszystkich Myszka, jest najmłodszy i najmniejszy z nas. Ma czternaście lat, ale wygląda na dwanaście, a może nawet mniej. Patrzy na świat wielkimi jasnoorzechowymi oczami, w których zastygł wyraz melancholijnego zdziwienia. Jest okropnie nieśmiały, a do tego niewiarygodnie tchórzliwy. Nie mam pojęcia, jakim cudem Myszcze udało się przejść przez egzamin pod surowym okiem mistrzów, a w dodatku otrzymać szansę na błękit. Kiedy na niego patrzę, jak prawie mdleje ze strachu, kiedy Gladiator choćby tylko na niego spojrzy, wydaje mi się to niemożliwe. A już na sam widok igieł Mistrza Tatuażu powinien chyba umrzeć. Uśpili go do tego bolesnego i krwawego zabiegu, czy jak? Mysz okropnie boi się pajaków, więc Winograd, z którym dzieli sypialnię, musi je wyłapywać i wynosić do ogrodu. Oczywiście żadnego rozdeptywania! Nie wtedy, gdy robi to Bestiar. Ciekawe, czy takie same uczucia i ochronę Winograd miałby dla pluskiew. Na szczęście tutaj nie ma ani jednej, więc pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Wracając do Myszkę, jak już pisałem, jest strasznie płochliwy i nerwowy, starczy zrobić przy nim gwałtowny ruch (a ja przecież na lekcjach siedzę obok i często robię gwałtowniejsze gesty), Myszka natychmiast kuli się i mruży oczy, jakby się spodziewał, że go uderzę. To bardzo deprymujące. Przecież nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby skrzywdzić takie chuchro. Nawet Zwycięski Promień Świtu nigdy go nie zaczepiał, a w każdym razie ja nic o tym nie wiem. Trudno to wytrzymać, ale Myszka jest jednocześnie bardzo uprzejmy i uczynny.*



Wszyscy wiedzieli, że Myszka (poza innymi okropnościami) straszliwie boi się Gladiatora. Bał się odpowiadać na lekcjach i bał się spóźnić, gdyż wtedy nauczyciel zwróciłby na niego uwagę – i m ó w i ł b y wprost do niego, besztając bezlitośnie. Myszka zawsze pierwszy zjawiał się pod salą lekcyjną i jego starsi koledzy przywykli do widoku małego chłopca podpierającego ścianę, choć mógł przecież wejść do środka.

Jakież więc było ich zdziwienie, gdy pewnego ranka nie zastali Myszkę ani przed wejściem, ani na jego zwykłym miejscu, przy pulpicie w pierwszym rzędzie. Winograd również nic nie wiedział. Kiedy obudził się rano, jego kolega już zniknął z pokoju. Musiał wyjść bardzo wcześnie.

Zajęli miejsca, oczekując Gladiatora z jego nową porcją pseudonaukowych tortur. W sali panował zwykły leniwy ruch. Paru chłopców rozmawiało,

odwracając się do siebie. Kilku w pośpiechu dopisywało ostatnie wersy do zadanych rozprawek. Wężownik, zatkawszy uszy, powtarzał lekcję, spodziewając się odpytywania, gdyż poprzedniego dnia fatalnie wypadł z gramatyki.

Raptem wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi, w których stanął gniewny Gladiator, prowadząc ze sobą Myszkę. Trzymał chłopca za włosy na karku, tam gdzie zawsze najbardziej boli. Biedny dzieciak wspinał się na palce, usiłując zmniejszyć ból naciągniętej skóry. Uczniowie nie wierzyli własnym oczom. Każdy mógłby znaleźć się w takich opałach, ale przecież nie Myszka!



Dla Kamyka widok małego Wędrowca był takim samym zaskoczeniem, jak dla innych. Cóż złego mógł zrobić ten łagodny, greczny, bojaźliwy jak królik chłopaczek? Nigdy z nikim nie zadzierał, nikogo nie obrażał i wręcz przesadnie starał się przestrzegać poleceń starszych magów. Tkacz Iluzji uszczypnął się ukradkiem, sprawdzając, czy przypadkiem się nie zdrzemnął i nie śni jakiegoś wyjątkowo głupiego snu. Zaboląło, więc targany za włosy Myszka należał do świata jawy.

Tymczasem Gladiator przyprowadził Myszkę przed front klasy. Jego usta poruszały się, wyginając ciągle w grymasach gniewu i pogardy – zapewne bezlitośnie rugał chłopca za jakieś przewinienie, prawdziwe lub wyimaginowane. Błady jak papier Myszka dygotał, oczy biegały mu na wszystkie strony, niczym u osaczonego zwierzęcia. Pełen niedobrych przeczuć Kamyk powolutku wysunął się ze swego miejsca. Gladiator był głupcem i jak zwykle ludzie tępi, grzeszył również zadufaniem. Najwyraźniej uważał, że popularne przysłowie: „nie podchodź do byka z przodu, do konia z tyłu, a do maga ani z przodu, ani z tyłu” jego nie dotyczy. Tymczasem Myszka wyglądał, jakby zaraz miał stracić przytomność... lub w panice uciec, oczywiście najprostszą, instynktownie wybraną drogą – przez wrota Wędrowców. Jeszcze chwila, a przerażony chłopiec mógł rzucić się na oślep w pustkę. Kamyk wolałby nie rozważać wszystkich konsekwencji, ale nasuwały się same, mimo woli. Najbardziej sugestywnym obrazem, jaki cisnął mu się przed oczy wyobraźni, był Gladiator, zalewający posadzkę potokiem krwi z kikuta ręki.

Nauczyciel, z ustami ściągniętymi w okrutną kreskę, wykręcił małemu



Wędrowcowi ramię, przyciskając go twarzą do pulpitu i wzniósł trzcinę nad plecami chłopca.

Tkacz Iluzji chwycił Obserwatora za przegub, nim zdążył uderzyć. Mag zwrócił w jego stronę twarz, wykrzywioną nienawiścią. Prawdopodobnie krzyczał coś, czego Kamyk nie słyszał i nie rozumiał.

„Ty podły śmieciu. Ty gadzie. Precz, brzydzą się tobą jak łajnem.” – Chłopak wiedział, że Obserwator z łatwością może przejąć te myśli, ale było mu już wszystko jedno. Ze wstrętem odepchnął mężczyznę od siebie z całej siły, aż tamten wpadł na ścianę. Myszka schował się za starszego kolegę jak za tarczę. Kamyk dostrzegł, że reszta „połówek” również zerwała się z miejsc. Chłopcy stali, napięci jak struny, zaciskając pięści, w dziwny sposób podobni do wilków na chwilę przed atakiem.

Oczy Gladiatora rozszerzyły się w niedowierzaniu, na brzydkiej twarzy rozlewał się ceglasty rumieniec wściekłości. Kamyk czuł, jak wylewa się z niego spiętrzana od dawna cała odraza, jakiej doznał w stosunku do tego człowieka. Nienawiść, która wyrosła na podatnym gruncie poniżeń, drwin, bicia i szpiegowania myśli, tak że nikt nigdy nie czuł się bezpiecznie podczas lekcji.

*NIE WOLNO CI!* – W powietrzu rozwinęła się wstęga iluzyjnego pisma, wiotka i pokrzywiona, jakby niewidzialne pióro znajdowało się w ręce drżącej ze złości. – *Nie wolno ci nas dręczyć! Nie masz prawa nas poniżać ani bić! My będziemy mistrzami, a ty jesteś CZARNY i zawsze będziesz tylko CZARNY!*” – Kamyk musiał trafić w czułe punkty Gladiatora, gdyż mężczyzna ze szkarłatnego zrobił się amarantowy, żyły wystąpiły mu na skroniach. Ostatnie, co Kamyk zobaczył to pięść, lecąca ku jego twarzy. Nie zdołał się uchylić, przerażony Myszka, wczepiony w jego bluzę, działał jak kotwica.

Kamyk otrzymał potężny cios prosto w twarz i poleciał do tyłu. Gwałtownego zetknięcia z podłogą już nie poczuł.



Następną rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, był pulsujący ból, rozlewający się z miejsca, w którym, jak miał nadzieję, powinien znajdować się nos, a promieniujący aż w tył czaszki. Kamyk stwierdził, że jest przyciśnięty bokiem do czegoś twardego, a przed nim gubi się gdzieś w perspektywie gładka szara ściana.

„Kamyk, żyjesz?”

Zamrugął. Kierunki wróciły na swoje miejsca, świat wyprostował się. Ściana stała się z powrotem kamienną podłogą sali lekcyjnej. Czuł w ustach i gardle piekący, słonawy smak krwi. Zakrztusił się, odruchowo próbując oddychać przez nos.

„Chyba żyję.”

Życzliwe ręce pomogły mu się podnieść. Wokoło niego klęczeli na posadzce wystraszeni koledzy: Śpiewak, Koniec i Myszka (nadał blady jak śmierć). Z duszą na ramieniu Kamyk obmacał zęby językiem. Na szczęście były wszystkie. Krew nadał lała się chłopcu z nosa, więc Nocny Śpiewak przyłożył mu do twarzy chustkę.

*Jak to wygląda? Śpiewak, tylko nie łżyj, że dobrze.*

„Szczerze? Okropnie. Ten skurwysyn chyba złamał ci nos.”

Gładiator leżał na podłodze parę kroków dalej. Dwóch chłopców trzymało go za ręce, a Promień siedział mu na brzuchu, z miną pantery czyhajacej na zdobycz i ostrzegawczo wyciągał nad twarzą Obserwatora rękę z rozłożonymi palcami.



– Zrób mi tę przyjemność. Proszę, proooooszę... – cedził Iskra przez zęby. – Sprowokuj mnie, błaaaagam.

Stworzyciel Stalowy i Obserwator Gryf – dwaj najroślejsi chłopcy w grupie „połówek” (poza Kamykiem), którzy przytrzymywali tymczasowego więźnia za ramiona, patrzyli na Iskrę nieufnie.

– On jest szalony, mówię ci. Szalony jak normica na wiosnę – wyszeptał Gryf do sąsiada.

Gładiator natomiast milczał, zeszywniały w bezruchu. Starał się nawet nie mrugać, patrząc na Zwycięskiego Promienia Świtu z przerażeniem. Oto w jednej chwili całe jego miniaturowe królestwo, w którym rozkoszował się władzą absolutną, rozpadło się w gruzy. Ba, nawet nie gruzy, po prostu zostało zdmuchnięte jak garstka kurzu, a on – dotąd postrach – został pobity i wzięty do niewoli w mgnieniu oka.

– On musi iść do lekarza. Natychmiast – ocenił Koniec stan Kamyka. – „Możesz wstać?”

Tkacz Iluzji, owszem, mógł wstać, ale nie wyglądało na to, że dojdzie gdziekolwiek bez problemów. Puchł z minuty na minutę i coraz gorzej widział.

– Ja wiem, gdzie jest lekarz! – odezwał się Myszka, bardzo przejęty i wdzięczny za obronę.

– Jemu potrzebny jest chirurg.

– To jest chirurg! Ja go znam, ja tam byłem zupełnie niedawno, wiem, gdzie to jest. Znam koordynaty! Ja, ja pójdę z Kamykiem! – trąknął Myszka, po raz pierwszy gorąco upierając się przy swoim zdaniu, co stanowiło zaskakującą nowość dla jego kolegów.

– Puśćcie go, jak wie, to niech skacze – odezwał się inny z Wędrowców. – Nie ma co tracić czasu.

W ten sposób, w krótkim czasie, Kamyk znów trafił pod drzwi pracowni Grzywy. Myszka bez wahania nacisnął klamkę i wmaszerował do środka, prowadząc rannego kolegę za łokieć. Na szczęście Stworzyciel był obecny. Słowa „czym mogę służyć” zamaryły mu na wargach. Wygląd chłopaka starczył za wszelkie wyjaśnienia.

– Aua... – mruknął, sadzając czym prędzej pacjenta na krzesło i odejmując chustkę od jego twarzy. – A cóż to? Ze schodów zleciał? A może ktoś mu pałką przywalił? – spytał, zmywając ostrożnie krew. – Nie, pewnie znów piłka. Panowie w czasie gry nieuważni bardzo są. Co z twoją kostką, panie Jodłowy?

– Dobrze, mistrzu Stworzycielu – odrzekł Myszka szybko i wyjaśnił z oburzeniem: – Nauczyciel go uderzył! Złamał mu nos!

Grzywa obejrzał się na chłopca ze zdumieniem.

– Nauczyciel? Gładiator złamał mu nos? – Mag pokręcił głową ze zgrozą i niesmakiem. – Nie, no to po prostu oburzające. Nic dziwnego, że go przezywają Gładiatorem, to brutal. Pęknięta kość, znaczne przemieszczenie przegrody...

„Muszę cię znieczulić, żebyś mi tu nie zemdlał przy nastawianiu” – zwrócił się wprost do Kamyka w mentalnym kontakcie. Chłopak tylko przymknął oczy na znak, że zrozumiał.



Kamyk kątem oka obserwował Myszkę. Młodszy chłopiec trzymał go za rękę, chcąc dodać otuchy, ale wyglądał przy tym tak, jakby sam potrzebował pomocy medyka. Poturbowany Tkacz Iluzji obawiał się trochę, że Stworzyciel, tak jak poprzednio, uśpi go jakimiś tajemniczymi miksturami, co znów spowoduje fatalne samopoczucie. Na szczęście nie było takiej potrzeby. Stworzyciel

zatomował płynącą krew, a potem zza parawanu przyniósł przedmiot ogromnie przypominający kryształowego jeża. Z przejrzystej kuli o spłaszczonej podstawie, podziurkowanej wąskimi otworami, sterczały dziesiątki cieniutkich igieł. A więc Grzywa podobnie jak Pływak używał tej techniki. Jednak Stworzyciel tym razem postanowił je powbijać w pacjenta! Kamyk zrobił nieufnego zęza w stronę zbliżającej się do jego twarzy igły, lecz natychmiast doszedł do fatalistycznego wniosku, że bardziej go już chyba nie może boleć. Grzywa z wielką uwagą umieszczał cieniutkie kolce u nasady nosa, pod oczami, koło brwi i w wielu innych miejscach. Niebawem ból rozbitego nosa przycichł, a wreszcie cała twarz odrętwiała. Chłopaka ogarnęło niepokojące wrażenie, że ma pośrodku niej dziurę sięgającą aż do środka czaszki, zupełnie jakby jego głowa stała się wklęsłą miską.

„Już nic nie czujesz? – upewnił się Grzywa. – To będę działać dalej. Nie ruszaj się.”

Nawet gdyby Kamyk chciał się poruszyć, i tak by nie mógł. Czyjeś ręce – zapewne pomocnika Stworzyciela – chwyciły go zniemacka od tyłu za czoło oraz szczękę i sprawnie unieruchomiły. Grzywa wybrał niewielkie szczypce spośród swoich instrumentów. Kamyk widział ponad ramieniem lekarza pobladłego, przerażonego Myszkę. Chłopiec przełknął i zacisnął mocno powieki. Kamyk natychmiast doszedł do wniosku, że najlepiej zrobić to samo.

Zabiegi chirurga nie były przyjemne, o nie. Mimo że Kamyk nie czuł żadnego bólu, miał niemiłe wrażenie, że jego twarz jest łamigłówką, przy czym zabawa polega na wstawianiu w poprzednie miejsce kawałków kości. Na oślep.

W końcu Grzywa odłożył narzędzie tej wyrafinowanej tortury i powyciągał igły, a silne ręce pomocnika zwolniły wreszcie uchwyt, co chłopak przyjął z wielką ulgą.

„Sprzątanie mamy za sobą. To już prawie wszystko. Jeszcze tylko jedno.”

Kamyk nieufnie rzucił oczami na boki, jaką też kolejną nieprzyjemnością okaże się to „jedno”, ale mag po prostu położył mu kciuki po obu stronach nosa. Nadeszło wrażenie ciepła, potem gorąca. Chłopiec miał tuż przed oczami wierzchy dłoni i przedramiona Grzywy. Ze zdumieniem ujrzał, jak podnoszą się na nich drobne włosy, całkiem jakby żyły własnym życiem. Stworzyciel w skupieniu patrzył w jakiś punkt pomiędzy Kamykowymi brwiami. Po paru minutach uczucie gorąca i mrowienia zaczęło zanikać. Kamyk poruszył ostrożnie mięśniami twarzy. Czucie wróciło mu całkowicie. Wydawało się, że wszystko działa normalnie.

„Koniec. Jutro powinna zejść opuchlizna i będziesz tak samo piękny, jak

zwykle.” – Stworzyciel przesadnie wyrafinowanym gestem wręczył swemu pacjentowi lusterko.

„Ale ja nie jestem piękny” – zaprzeczył Kamyk, odruchowo patrząc w zwierciadlaną taflę. – *Widzisz tu jakąś urodę? Bo ja nie, Mistrzu Stworzycielu. Samo chcenie nie pomoże.*

Grzywa roześmiał się serdecznie.

„O tym decyduje jedynie kobiecy gust, drogi chłopcze.”

*Dziękuję za pomoc. Złamanie nosa to jednak najgorsza rzecz, jaka mi się dotąd przytrafiła.*

„Czy to, co masz na sobie, to twoja najlepsza bluza?” – spytał mag.

Kamyk spojrział po sobie z rezygnacją. Krew zostawiała trudne do usunięcia plamy, a jak na złość włożył tego dnia najładniejszą rzecz, jaką podarował mu w przypływie dobrego humoru Nocny Śpiewak: krótką tunikę z białej, grubo tkanej wełny, ze skórzanymi wstawkami na ramionach wytłaczanymi w postaci smoków.

„Zdejmij ją i idź się umyć do tamtej komnaty. Ja tymczasem porozmawiam z twoim wrażliwym przyjacielem” – polecił mu Grzywa, wskazując ręką drzwi w rogu pracowni.

Kamyk spodziewał się po prostu miski i dzbana z wodą, lecz okazało się, że w przyległej sali urządzone jest mała łazienka. W wykafelkowanym barwnymi płytkami pomieszczeniu zastał nie tylko miednice – od maleńkich aż po takie, w których zmieściłaby się krowa – ale także wielką porcelanową wannę (w kwiatki) z doprowadzonymi do niej rurami wodociągu. Albo Grzywa uwielbiał się moczyć, albo to pomieszczenie służyło do leczenia kąpielami ziołowymi, co było wielce prawdopodobne.



– Jak to się stało, że chłopak pobił się z Gladiatorem? – zapytał wprost Stworzyciel, mnąc w dłoniach bluzę Tkacza Iluzji, pokrytą zakrzepłą krwią.

– Nie, nie... to nie tak – spłoszył się Myszka, machając gorączkowo rękami.

– To ja. To znaczy mnie chciał Gla... profesor ukarać. Zbić, no... i... – Chłopiec wstrząsnął się na samo wspomnienie, kurczowo zaciskając dłonie.

– ...i Kamyk stanął w twojej obronie – dokończył Grzywa domyślnie.

– Taaak... – wymruczał Myszka, spuszczaając oczy.

– I dostał w nos. A potem?

Mały Wędrowiec odetchnął głęboko, jak przed skokiem do wody.

– Potem to się strasznie zakotłowało. – Chłopiec z rozpaczą wczepił palce we włosy i jęknął: – Wylecimy stąd wszyscy! Prędzej deszcz zacznie z ziemi padać, niż nam to darują.

Stworzyciel zachichotał.

– Chyba jutro w takim razie włożę nieprzemakalne portki, bo zapowiada się ciekawe zjawisko pogodowe.

– E tam... – mruknął smętnie Myszka, zwieszając głowę. Mag uniósł mu brodę palcem.

– Coś ci powiem, chłopcze – rzekł, zniżając głos. – Pan Gladiator jest niemiłym człowiekiem i ma wyjątkowo niewiele przyjaciół. Wpakowaliście się w bagno po uszy, ale on też nie jest bez winy. Co innego podnieść rękę na starszego maga, czarnego nadmieniam, a co innego złamać nos kandydatowi na błękitnego. Ja w każdym razie będę świadczył na waszą korzyść.

W tejże chwili otworzyły się sąsiednie drzwi i do komnaty wszedł Tkacz Iluzji, przyglądając mokre od mycia włosy. Grzywa otrzepał jego bluzę z brązowego proszku i już czystą podał chłopcu.

„Masz tu swój skarb. Los świadkiem, że nie biorę od Kręgu pieniędzy za darmo.”



*Byłem pewien, że sprawa z Gladiatorzem nie skończy się niczym i miałem rację. Śledztwo wszczęto niemal natychmiast, o czym donosili nasi Obserwatorzy i Mówcy. Natomiast następnego dnia odwołano lekcje, za to trzech błękitnych ze złowieszczymi minami spędziło nas wszystkich razem w korytarzu przed jakąś komnatą w pobliżu Wieży Zachodniej, gdzie do tej pory żaden z nas nie był. Tylko Nocny Śpiewak miał jakieś niejasne wspomnienia, że chyba kiedyś odwiedził to miejsce i raczej nie zaliczał go do przyjemnych. „Myślę, że to jest sala do przesłuchań. Policyjna” – powiadomił nas ponuro. Można się było spodziewać, że mnie wezwą jako pierwszego. Siedzieli za stołem, wyglądając rzeczywiście jak sędziowie: Mówca, Stworzyciel i Strażnik Słów – sądząc po ornamentach kastowych na ich tunikach. Ten ostatni pewnie po to, by dokładnie zapamiętać zeznania, a potem odtworzyć je w dogodnej chwili. Komnata wyglądała nieprzyjemnie. Przede wszystkim była strasznie biała. Biała i czarna w sposób obrzydliwy, denerwujący i obrażający wszelki dobry gust, a w*

końcu jakiś gust mam. Biała marmurowa posadzka, która zdawała się stworzona do wybijania zębów, ale potem dostrzegłem, że na szczęście jednak pokryta jest tysiącami drobniutkich rowków, więc podeszwy całkiem niezłe się jej trzymały. Białe otynkowane ściany, których jedyną ozdobę stanowiły trzy czarne paski, biegnące poziomo w połowie wysokości. A do tego czarne, ciężkie hebanowe meble. Całość wyglądała po prostu okropnie. Pierwsze, co zrobiłem po wejściu, to wyciągnąłem z kąta krzesło i ustawiłem je naprzeciwko stołu, a potem usiadłem. Jeśli spodziewali się, że będę przed nimi stał jak skazaniec, czekający na wyrok, to się mylili. Spojrzeli po sobie znacząco.

„Nie boisz się? Obserwator Arena rzuca dość poważne oskarżenia.”

W ten sposób poznałem prawdziwe imię Gladiatora. Skojarzenie było zupełnie proste: Arena – Gladiator.

„Rzecz idzie o pobicie maga starszego rangą. Możesz stracić szarfę” – ciągnął Mówca.

Jeśli chciał mnie rozzłościć, to mu się udało.

„O czyje pobicie? Moje czy jego? Nie ja go uderzyłem, tylko on mnie. Złamał mi nos, do czarnej zarazy. A szarfa to tylko kawałek tkaniny. Dobrze służy jako pasek i można w niej chować jakieś drobiazgi. Nie muszę mieć koniecznie niebieskiej. I niekoniecznie muszę tu zostać.”

Znow wymienili spojrzenia.

„Zdawało się nam, że z początku bardzo ci zależało na zostaniu mistrzem.”

„Już mi nie zależy. Marnuję tu czas. Gladiator – to znaczy Arena – nie uczy nas niczego pożytecznego. Więcej wiedzy zdobyłem na wyspach niż tutaj.”

Wzruszyłem pogardliwie ramionami. Wcale nie zależało mi na tym, żeby wyglądać grzecznie i robić dobre wrażenie. Gdyby mnie wyrzucono, przynajmniej wróciłbym do domu i zaczął robić coś sensownego.

To chyba troszkę ich poruszyło. Czyżby spodziewali się wystraszonego, pokornego dzieciaka, który ze łzami w oczach będzie przepraszał za to, że się ośmielił wyciągnąć głowę z jarzma? Nie czułem się dzieciakiem. Nie jestem nim.

Kazali mi opisać bardzo dokładnie całe tamto nieszczęsne zajście. Oczywiście wyjaśniłem, czego się obawiałem, jeśli chodziło o Myszkę, i co mnie skłoniło, żeby obrazić nauczyciela. Pytali, kto pierwszy uderzył. Ja z kolei zapytałem, czy popchnięcie na ścianę liczy się jako uderzenie, bo jeśli tak, to zaczęłam ja i mogą mnie wysłać od razu do Lenn, gdzie wrócę z przyjemnością. Jakoś nie kwapili się z osądem. Kto uderzył Gladiatora po mnie? Skąd miałem wiedzieć, skoro leżałem nieprzytomny na podłodze? A tamci drążyli coraz głębiej. W końcu przestałem cokolwiek rozumieć. Pytania

*z tych dotyczących bójki z Gladiatorem zeszły na lekcje i na moich kolegów. Pytali mnie o iluzje, o spotkania z Wiatrem Na Szczycie, zainteresowania i rozrywki, a nawet o to, jakie książki czytam. Muszę przyznać, że ze złośliwą satysfakcją wypisałem w powietrzu tytuł tego, co ostatnio zadał mi Gladiator. „Zmiany w prawie celnym za panowania Skały Piorunów”. Wszyscy trzej wytrzeszczyli oczy jak przydeptane żaby.*

*„Po co Tkaczowi Iluzji studia o prawie handlowym?” – zdumiał się Mówca.*

*Wzruszyłem ramionami i zobaczyłem, że tamci jednocześnie robią to samo. Na tym moje przesłuchanie się skończyło.*



Okazało się, że wszystkich chłopców pytano mniej więcej o to samo. I uzyskiwano podobne odpowiedzi. Kiedy sędziowie musieli wysłuchiwać, po raz nie wiadomo już który skarg i z goryczą cytowanych wyzwisk, których „profesor” nie szczędził podopiecznym, czuli się o wiele, wiele mniej „sędziowsko” niż na początku. Na dodatek nie było wątpliwości, że żaden z chłopców nie kłamie – to gwarantowała obecność Mówcy i Stworzyciela.

Natomiast przed salą przesłuchań rozpaleni ciekawością koledzy nareszcie dopadli Myszkę, który od dnia poprzedniego unikał ich jak ognia, słusznie obawiając się, że kiedy się ujawni, zostanie przyciśnięty i bezlitośnie wyżęty z informacji.

– Żółwie złapały mnie w bibliotece – wyznał ze zmieszaniem. – Bo... zasnąłem.

– Zasnąłeś?! Miałeś tam zwyczajnie wejść i wyjść! Coś ty tam robił do licha?! – wysyczał z irytacją Obserwator Gryf.

Myszka przygarbił się lekko i zaczął oglądać sobie paznokcie. Wymruczał pod nosem coś niezrozumiałego.

– Głośniej, Myszo, jeśli łaska.

– Przepisywałem *Księgę Koordynatów* – powtórzył chłopiec wyraźniej.

Gdyby w tym momencie zawalił się strop, prawdopodobnie zostałyby to zarejestrowane zaledwie naskórkową warstwą świadomości, a może nawet w ogóle przeszłoby niezauważone.

– CO?!

– CO???

– Co...?!



Myszka rozejrzał się powoli po wianuszku zaszokowanych kolegów i powtórzył cierpliwie, wyraźnie i dzieląc słowa na sylaby:

– Prze-pi-sy-wa-łem Księ-gę Ko-or-dy-na-tów. I zasnąłem w trakcie. Jak się zarywa każdą noc po trochu, to w końcu coś musi się zawalić – dodał posepnie.

– A ja myślałem, że on zupełnie nie ma jaj – rzekł z podziwem i zdumieniem Wędrowiec, noszący imię Pióro.

*Księga Koordynatów* była dla Wędrowców czymś w rodzaju księgi świętej. Owo solidne tomiszcze leżało w jednym z działów biblioteki na specjalnym stole, przymocowane do niego łańcuchem – choć wydawać by się mogło, że to ostrożność chyba przesadna, gdyż żaden złodziej nie uniósłby tej „książeczki” w pojedynkę. W *Księdze Koordynatów* zamieszczono wszystkie współrzędne ramp do skoków w obrębie cesarstwa, a prócz tego wyliczenia, opisy, plany i stałe punkty krajobrazu do bardziej ryzykownych podróży w miejsca mało uczęszczane, o zmiennej charakterystyce ukształtowania. Nic dziwnego, że ten skarb stanowił obiekt pożądania wszystkich magów z kasty Wędrowców, których dopuszczano do tego źródła wiedzy niezbyt często i pod nadzorem. Każdy na własną rękę chomikował swoje wykresy i mapy, a kopie krążyły między nimi na zasadzie handlu wymiennego – „dwa punkty na podgórzu Igielnych oddam za jeden w Zwierciadlanych”.

Logicznie rzecz biorąc, pewnie niejeden z dorosłych dobierał się nielegalnie do tego źródła wiedzy. Natomiast czymś zupełnie niesłychanym i niewiarygodnym było to, że na taki czyn zdobył się właśnie Myszka – najbardziej pomiatana i lekceważona ze wszystkich „połówka”. Gnany namiętnością do zdobycia skarbu, prawie noc w noc przenikał do biblioteki. Kradnąc po dwie, trzy godziny snu, przy świetle małej świecy pracowicie przepisywał to straszliwe tomisko. Wreszcie stało się to, co dawało się przewidzieć od początku. Przemęczony chłopiec zasnął z piórem w ręku. Tak zastali go Strażnicy Słów, którzy rankiem otworzyli podwoje swego królestwa i stwierdzili, wstrząśnięci, że tylko wyjątkowa łaskawość boga Losu sprawiła, iż cała biblioteka nie spłonęła w przypadkowym pożarze. Biedny Myszka został wytargany za uszy i oddany w karzące łapy Gladiatora. A to z kolei spowodowało całą lawinę wypadków.



Jako ostatni wyszedł z sali przesłuchań Winograd. Dopiero co zaszokował trzech

starszych magów opowieścią o trucicielskich zapędach nauczyciela, który chciał zlikwidować jego hodowlę szczurów. Nie brakowało im wyobraźni i doskonale wiedzieli, co dla każdego Bestiara znaczy jego „żywotnik”. Takie zwierzę było nawet czymś więcej niż przyjaciel – częścią własnego „ja”. Nie można przecież kogoś pozbawiać połowy duszy tylko dlatego, że owa „połowa” jest szczurem!

– Nie zobaczymy już Gładiatora – rzekł do przyjaciół z niezachwianą wiarą.  
– Powiedzieli, że jutro też mamy wolne. Wyrzucą go, zobaczycie.



Siwowłosy mag stał za filarem na galerii drugiego piętra, przypatrując się grupce młodych magów, zgromadzonych koło ogrodowej fontanny. Z tak znacznej odległości nie mógł rozróżnić twarzy (zwłaszcza że wzrok nie służył mu już jak dawniej), a z rozmowy dolatywały go tylko strzępy – za to doskonale odczytywał mowę ciał, nie mówiąc już o sprawie tak oczywistej jak myśli. A zarówno jedną i drugą sferę wypełniał niepokój. Zostaną przegnani z Zamku czy starszyzna pozwoli im zostać? Jeśli nie, co się z nimi stanie? Wielu z nich nie miało domów i rodzin, do których mogliby wrócić – dzieci obdarzone talentem, wychowankowie Kręgu, których przeznaczeniem od urodzenia było magiczne rzemiosło. Jeśli pozostaną, jakie kary ich czekają?

W końcu ktoś buntowniczo zakrzyknął, aż młodzieńczy głos dotarł na galerię:

– Dość biadolenia! Kto chce zagrać w pierścienie?!

Mag uśmiechnął się w głębinach posiwiałej brody. Ot, młodość! Nigdy nie daje się stłamsić do ostatka. Na dole zapanowało poruszenie, któryś z Wędrowców zniknął z głośnym kłaśnięciem, zapewne udając się do swojej izby po twardą skórzaną piłkę. Reszta, przekomarzając się, podwijała rękawy, zdejmowała błękitne szarfy, by ich nie zabrudzić podczas gry, mocniej wiązała buty.

Uwagę maga przyciągnął ruch na niższej, bocznej galerii. Pod tym kątem widział między balustradą a ozdobnie rzeźbionym ażurowym ornamentem okapu tylko czerń męskiej tuniki i czerwień kobiecej sukni oraz dwie pary splecionych ze sobą dłoni. Niewiele myśląc, mężczyzna przykucnął, spoglądając między balaskami. Omal się nie roześmiał, widząc dwie głowy, skierowane ku sobie, jakby para szeptała sobie jakieś sekrety – co może zresztą rzeczywiście robiła.

– Śpiewak, Śpiewak... Co te kobiety w tobie widzą? – szepnął mag

w zadumie. Była to prawdopodobnie jedna z zagadek natury, która nie doczeka się rozwiązania.



W zamkowej winiarni oficjalnie nazwanej Pod Dzwonem – a nieoficjalnie Pod Wieżą, gdyż istotnie mieściła się w podziemiach pod Wieżą Północną – zgromadziło się, jak zwykle wieczorami, dość liczne, mieszane kastowo towarzystwo. Tematem dyżurnym, który powracał co rusz, jak niezapłacony weksel, były oczywiście „połówki”.

– Niewiarygodne! – rozprawiał podniesionym głosem zirytowany Strażnik Słów. – A jednak mogę wam powtórzyć zdanie po zdaniu, co oni mówili. Jeden po drugim to samo. W ciągu ostatnich trzech lat zidentyfikowaliśmy zaledwie dwadzieścia siedem mistrzowskich talentów. Dwudziestu siedmiu błękitnych w całym jeziorze czerni! Przyznacie sami, że to znikomy ułamek!

– Może trzeba zaniżyć kryteria? – odezwał się ktoś ironicznie.

– Po moim trupie zaniży się kryteria!

– O, nie mów, bo się sprawdzi.

Urażony Żółw postanowił udawać, że nie słyszy i ciągnął dalej.

– Mało błękitnych, więc powstał taki pomysł, by przynajmniej ich należycie wykształcić, a tymczasem co mamy? Hę? Pan Arena nawarzył piwa, które my teraz pijemy. Ten chłopak, Gryf, bezczelny oczywiście, ale nie bez racji, rzucił mi w twarz, że się nim poniewiera, bo jest wychowankiem, sierotą, za którym nikt się nie wstawi. Wiecie, jak ja się poczułem? Jak zbrodniarz jakiś...

– Nie przesadzaj.

– Dobrze, nie będę przesadzał, ale sam przyznasz, że w s z y s c y uczniowie nie mogą być wyłącznie leniwymi, tępymi, nic nie wartymi obwiesiami, bo to po prostu nie jest możliwe. A musicie wiedzieć, że „on nam nie pozwalał czytać” powtarzało się dwadzieścia siedem razy jak jakiś cholerny refren!

Któryś z obecnych prychnął ironicznie.

– To samo można powiedzieć o was, Żółwiach. Tak kochacie te swoje pergaminy, że najchętniej byście na nich spali jak smoki na złocie.

Strażnik Słów oburzył się śmiertelnie.

– Odmówiłem ci kiedyś dostępu do jakiejś książki?!

– Ty osobiście nie, ale tak w ogóle to owszem, odmówiono mi – odparł jego

oponent, wyniośle zadzierając brodę.

Żółw zacmokał.

– Widocznie akurat ten tom powędrował do introligatorni, albo coś... Niemniej Gladiator jest głupim degeneratem! Wydzielać książki, jakby to było lekarstwo na kaszel. To jakiś obłąd!

– I to jakie książki... – wtrącił Mówca. – Zmiany w prawie celnym... Na wieczny Krąg! Chłopaka, który odważył się wyprawić na Smoczy Archipelag, który przywiózł stamtąd zupełnie profesjonalnie sporządzone opracowania, zmuszono do uczenia się takich bredni. Ja się nie dziwię, że chce wracać do domu. Ja się dziwię, że jeszcze nie uciekł! Ostatecznie ten twój Kamyczek to niepokorna natura, prawda? – odwrócił się w stronę Wiatru Na Szczycie, który popijał wino, jak zwykle w pozie swobodnej, z nogami wyciągniętymi prawie na środek sali.

– Od dawna mówiłem, że ten cały Gladiator to bałwan i oprawca! – warknął Hajg. – Ale czy mnie się tutaj słucha? Kamyk to drugi Biały Róg. Takich pod krzakiem się nie znajduje, a ja musiałem patrzeć, jak mi chłopaka marnujecie.

– Skąd w tobie tyle raptem uczuć rodzinnych, Wietrze? Myślałem, że u Hajgów to raczej sprawa... majątkowa – odezwał się znowu mag, który przed chwilą spierał się ze Strażnikiem Słów.

– Wara ci od moich obyczajów! – wybuchnął Mistrz Iluzji. – Gdybyś sobie k u p i ł żonę, to byś ją może szanował! Masz syna wśród „połówek”. Tylko szkoda, że chłopak nie wie nawet, że ma ojca!

Złośliwy mag zacisnął usta i wycofał się do kąta.

– Jak to się właściwie stało, że akurat Gladiator dostał tę posadę? Przecież nie nadawał się do tego zupełnie. W dodatku czarny! – rzucił ktoś pytanie, jakie nurtowało większość obecnych.

Stworzyciel, który był wśród przesłuchujących, wzruszył ramionami.

– Zrobiłem wywiad. „Szanowny” pan Arena zawsze miał spore ambicje, a małe talenta. Przyjął stanowisko na zasadzie tymczasowej, mając nadzieję na awans mistrzowski. Tymczasem awans nie nadchodził, a obowiązki pozostały. Nie tylko się nie nadawał na nauczyciela, ale wręcz tego nie znosił. Wygląda na to, że odgrywał się na uczniach za to, że góra go ignoruje. W sumie dość częste zjawisko. Kopiesz psa, kiedy nie możesz sięgnąć jego pana.

– Awans mistrzowski...? – zdumiał się jeden z magów. – Skąd przyszedł mu do głowy tak nedorzeczny pomysł?

– Gladiator jako Obserwator ma słabe osiągi, ale mieści się w górnej skali czerni – wyjaśnił Stworzyciel. – Pewnie miał nadzieję, że akurat dla niego z a n i

ż y s i ę k r y t e r i a.

Zewsząd dały się słyszeć pogardliwe prychnięcia.

– Prędzej bym zaniżył kryteria swojej papudze. Też po mnie powtarza, ale przynajmniej jest przystojniejsza od tego bałwana – mruknął ktoś.

– Generalnie sprawę Gladiatora mamy załatwioną. Dziś rano dostał wypowiedzenie. I ani słychu o awansie – rzekł Stworzyciel, a w winiarni rozległy się złośliwe śmieszki. – Pozostaje sprawa dzieciaków. Nie możemy puścić ich samopas.

Magowie zaczęli spoglądać na siebie niepewnie. Niektórzy wbijali wzrok w dna pucharków z winem, udając nagle permanentną głuchotę.

– Ja jestem tylko hodowca panter – odezwał się Wiatr Na Szczycie z widocznym żalem. – Mogę ich uczyć co najwyżej rąbania mieczem, ale nie geografii, czy czegoś tam.

– A my nie chcielibyśmy mieć raptem dwudziestu siedmiu Lengorchian z niebieskimi pasami na twarzach – powiedział ktoś półzartem.

Wtedy odezwał się starszy wiekiem mag, który milczał do tej pory, słuchając tylko licznych komentarzy.

– Ja wezmę to nieciekawe dziedzictwo po Arenie. Jeszcze dziś pójde z tym do Zarządcy.

Ta nieoczekiwana deklaracja była sporym zaskoczeniem dla wszystkich.

– Zastanowiłeś się nad tym, co robisz? Przecież to ćwierć setki wyrostków, których dopiero co wybroniliśmy od kary za pobicie nauczyciela. Sam Nocny Śpiewak starczy za dziesięciu – rzekł ostrzegawczo Strażnik Słów.

Mag łyknął wina z czarki i otarł posiwiałe wąsy.

– Przecież i tak ktoś musi to zrobić, więc czemu nie ja? I nie demonizujcie Nocnego Śpiewaka. Słuchając was, można by pomyśleć, że to jakiś potwór na miarę Jedliny Krwawego.

– Stawiam pięć złotych talentów, że za dziesięć dni znów będziemy szukać kogoś na twoje miejsce. Słyszysz, Kowal? – rzekł jeden z magów.

– Od przybytku głowa nie boli. Szykuj pieniądze – odparł mag, nazwany Kowalem. – A ja mogę się założyć, że skończą się kłopoty Żółwi, którym książki w bibliotece to giną, to pojawiają się na nowo. – Mrugnął porozumiewawczo do Strażnika siedzącego opodal.



Mijały godziny podarowanego „połówkom” dnia wolności, a Gladiator nie pojawiał się, by znów ich gnębić. Najwyraźniej sprawdzała się przepowiednia Winograda. Los spojrział na chłopców przez niebiański mur i uśmiechnął się łaskawie. Pod wieczór zaczęli ściągać do kwatery Nocnego Śpiewaka i Kamyka, by jeszcze raz wyrazić uznanie dla odwagi tego drugiego. Śpiewak, jak zawsze rad gościom, częstował wszystkich winem. Wkrótce zrobiło się bardzo ciasno i wesoło. A że prawie nikt nie przychodził z pustymi rękami, więc kolejne dzbanki z winem i piwem słodowym zapełniały wolne miejsca na zagraconym stole. Wreszcie nie było już miejsca ani na kolejnego gościa, ani na następną butelkę, więc lekko już zaproszone towarzystwo przeniosło się za ścianę, do przestronnej komnaty Zwycięskiego Promienia Świtu. Nastrój zrobił się wręcz jarmarczny. Każdy sadowił się, gdzie miał ochotę: na nielicznych krzesłach; niektórzy rozłożyli się wygodnie na wielkim łożu Promienia, inni siedzieli po prostu na podłodze albo na kufrach z odzieżą. Magiczna młodzież pochłaniała piwo całymi kubkami i jadła z apetytem twarde, słone ser. Alkohol rozwiązywał języki – jedna za drugą sypały się historyjki, żarty i udawane spory. Robiło się coraz cieplej i duszniej. Diament Wiatromistrz przyniósł nalewkę na brzoskwiniach – łaskawie przyjęto tę odmianę smaku, a w krótkim czasie za sprawą Nocnego Śpiewaka i Stalowego ilość brzoskwiniołki wzrosła niezmiernie i uczestnicy biesiady radośnie przerzucili się na nowy trunek.

Kamyk nie przepadał za gorzkawym piwem, ale brzoskwiniożercą był od wczesnego dzieciństwa, nic więc dziwnego, że natychmiast zawładnął dzbanem brzoskwiniowej nalewki. Wypił jeden pucharek, potem drugi. Zagłębiony w zajmującej dyskusji, jaka toczyła się w gronie Mówców, wkrótce stracił rachubę. Świat zawężił się do tego przytulnego, zatłoczonego pomieszczenia, pełnego spoconych i podekscytowanych ludzi. Większość przedmiotów straciła właściwe kształty i wymiary, kurczyła się lub nadymała, a chłopcu wydawało się, że sprzęty i różne drobne przedmioty pękają wprost ze śmiechu. Niektórym wyrastały łapki, mrugały świeżo pozyskanymi oczkami. Ulatywały w powietrze, pod powałę, gdzie unosiły się barwne obłoczki, gwiazdki i lśniące twory, zadziwiająco podobne do tłustych, puchatych i bardzo różowych smoków. Gapiąc się z niejakim zdumieniem wraz z innymi na to widowisko, Tkacz Iluzji zastanawiał się mętnie nad przedziwnymi, a dotąd nieodkrytymi właściwościami swego talentu.

Winograd, z wypiekami na twarzy i włosami wilgotnymi od potu, karmił swoją piątkę szczurów chlebem maczanym w brzoskwiniołce. Zwierzaki łążyły po stole, wpadając na wszystkie naczynia, coraz bardziej pijane. Wkrótce dwa

z nich zasnęły w misce po serze, trzeci i czwarty umknęły (bardzo krzywo) pod szafkę przed zaciekawioną Miętówką. Ostatni uparcie próbował stanąć słupka i umyć sobie wąsy. Za każdym razem tracił równowagę i przewracał się na grzbiet, rozpaczliwie machając łapkami ku ucieście widzów, którzy płakali wręcz ze śmiechu. Promień, wtulony w szaroczarne futro pantery, patrzył na to, co działo się w jego komnacie, nie mogąc wyjść ze zdziwienia i rozmyślając nad tym, że jeszcze niedawno nigdy by nie uwierzył w podobną sytuację. Obok niego spał słodko Myszka, którego zmorzyła zbyt duża ilość wina i późna pora. Iskra usiłował dojrzeć zegar, by sprawdzić godzinę, lecz zasłaniał go właśnie Śpiewak, stojący na krześle i recytujący z pamięci pikantne fragmenty Kwiecica lotosu, z przesadną i komiczną gestykulacją. Iskra ziewnął i w duchu machnął ręką na wszelkie zegary. Zbyt dobrze się bawił.



Tkacz Iluzji obudził się we własnym łóżku, mając wrażenie, że ktoś ściska jego czaszkę żelazną obręczą i co chwila bez litości dokręca śrubę. Ostrożnie obmacał głowę, sprawdzając, czy na pewno jest na miejscu. Równie ostrożnie otworzył na próbę jedno oko. W miejscu wydarzeń ostatniej nocy ziała spora dziura.

„Nigdy więcej” – pomyślał, nie precyzując jednak, czego miałyby dotyczyć owo „nigdy”.

Na dworze musiał być piękny dzień, gdyż przez szyby wpadały ukośne promienie słońca, odbijając na ścianie krzywe owale okiennych opraw. Prawdopodobnie zrobiło się też już straszliwie późno. Kamyk zdecydował się otworzyć drugie oko i zaryzykował odwrócenie głowy w bok, żeby sprawdzić, co porabia Nocny Śpiewak.

Stworzyciel spał na wznak, straszliwie rozczochrany, z ramieniem pod głową. Możliwe, że wyczuł, iż ktoś go obserwuje, gdyż niespodzianie otworzył oczy i uśmiechnął się do sąsiada.

„I jak? Miło było?” – spytał uprzejmie, ziewając szeroko. Usiadł i przeciągnął się z widocznym zadowoleniem. Za nim na poduszce spoczywała dziewczęca główka ze zmierzwionymi włosami. Kwiat na jej policzku rozmazał się w kolorową smugę.

Gdzieś wewnątrz Kamyka zaczął narastać niepokój. Dziewczyna w łóżku Śpiewaka nie zaskoczyła go w żaden sposób – ostatecznie znał doskonale

zwyczaje i słabostki współlokatora, chociaż ten jeszcze nigdy nie przyprowadził żadnego „kwiatka” do ich sypialni. Kamyk nadal nie mógł sobie przypomnieć, jak właściwie trafił z powrotem do swojej komnaty i co działo się przez większość szalonej nocy. Miał jednak niejasne wrażenie, że gdzieś coś robił... ale co? Poruszył się, a wtedy z bezbrzeżnym zdumieniem stwierdził, że tuż obok niego, przytulony, leży ktoś jeszcze! Nadal otępiały i senny, usiłował dopasować twarz śpiącego chłopca do imienia którejś z „połówek”. Niestety, mimo wysiłków, wychodziło na to, że jest to ktoś zupełnie obcy. Kamyk skrzywił się, przyciskając skronie palcami. Na Miłosierdzie Losu, kto to jest, do cholery, i co robi w jego łóżku? Wydarzenia ostatniej nocy, pływały gdzieś w głębiach jego pamięci, swobodnie niczym rybki w misce, nieuchwytnie, prześlizgujące się między palcami.

Twarz chłopca śpiącego obok, ta twarz... znał ją, widział przedtem... gdzie? W jakich okolicznościach? Nareszcie z wielkim trudem wpasował ją w odpowiednie miejsce układanki, a wtedy reszta fragmentów zaczęła układać się wokół. Matko Świata! Podłoga wtedy kołysała się pod jego stopami jak pokład okrętu. Czuł ostry, upajający zapach egzotycznych kwiatów, pocałunki... Ktoś go całował. Ta sama twarz tak blisko, że mógł policzyć wszystkie rzęsy w świetle czerwonej lampy, te same usta – wilgotne, namiętne – przyciskające się do jego warg. Gorąca skóra, podniecenie, pieszczoty... Nocny Śpiewak, przyglądający się im z filuternym uśmieszkiem, obejmowany przez dziewczynę w czerwonej sukni.

Kamyk zerwał się, przerażony, w jednej chwili zapominając o migrenie.

*ŚPIEWAK! JA CIĘ ZABIJĘ!*

„Dlaczego? Przecież dobrze się bawiłeś” – zdziwił się Śpiewak niewinnie.

Kamyk poczuł, że robi mu się niedobrze. Zacisnął pięści.



Nagle poruszenie obudziło śpiącą „zabaweczkę”. Chłopiec uniósł głowę, przecierając zaspane oczy wystudiowanym, wdzięcznym ruchem. Nawet teraz podświadomie zachowywał się zgodnie z głęboko wpojonym nawykiem: zawsze, w każdych okolicznościach wyglądać ładnie i pociągająco.

– Hiacynt, lepiej już idź – odezwał się Śpiewak ostrzegawczo. – Klient niezadowolony.

Spojrzenie zaspanego chłopca natychmiast nabrało czujności.



- Przepraszam...
- Nie twoja wina, ale lepiej idź.

Dwaj ludzie wygrażający sobie pięściami w kompletnym milczeniu stanowią dziwny i niezrozumiały widok, ale jeśli chodzi o magów, w Zamku można zobaczyć dziwniejsze rzeczy. Chłopiec z domu uciech w pomiętej tunice porwał tylko pantofle z podłogi i czym prędzej zniknął za drzwiami, ze zwierzęcą przezornością unikając przykrości. Przebudzona Srebrzanka uniosła głowę znad poduszki, z niepokojem patrząc na rozgrywającą się tuż obok scenę.



*Spiełeś mnie i wykorzystaleś okazję!* – Kamyk nie posiadał się ze złości.

„Spiełeś się sam! Z tym akurat nie miałem nic wspólnego! A prawdziwego wykorzystania to ty na oczy jeszcze nie widziałeś!” – odpyskował natychmiast Śpiewak.

„Miałem do ciebie zaufanie, a ty je zawiodłeś!”

„Wielkie rzeczy! W drzwiach się musisz schylać, a zachowujesz się jak dziewczynka! Jesteś magiem czy mnichem?”

„Nie będziesz za mnie decydować, kiedy, jak i z kim mam to zrobić! A już na pewno nie z jakąś dziwką! I do tego męską! Coś ty sobie myślał, do kurwy nędzy?! Że jestem... – Tu Kamykowi zabrakło określenia. Przez dłuższą chwilę poszukiwał odpowiedniego symbolu w swej bogatej bibliotece znaków, aż w końcu wyrzucił z siebie: – Zabawką dla Hajgów?! Świnia, podsuwasz mnie jakiemuś obleśnemu typowi...”

„A nie?! – Śpiewak zasapał z wściekłości. – Obnosicie się ze sobą ciągle, jak para napalonych zajęcy. Pół zamku o tym plotkuje.”

Kamyk stracił oddech, zupełnie jakby otrzymał cios w brzuch. Złośliwie usłużna pamięć natychmiast podsunęła wydarzenie w sypialni Hajga. Uchylone okno, próba pocałunku... a więc tak to wyglądało z zewnątrz? Ilu jeszcze ludzi wokoło uważało, że obaj Tkacze Iluzji są kochankami?

„Czyli mam wierzyć, że cię Wiatr nie zaliczył? – zdziwił się Śpiewak obłudnie. – Tyle czasu spędzacie razem...”

Ręka Kamyka uniosła się jakby bez udziału woli. Przez jedno mgnienie oka miał wizję, jak jego dłoń z rozmachem styka się z policzkiem Nocnego Śpiewaka, jak głowa tamtego odskakuje do tyłu od impetu uderzenia...

Śpiewak zasłonił się w tej samej chwili, odruchowo unosząc przed siebie

obie ręce, odwracając twarz i kuląc ramiona w obronnym geście.

Ręka Tkacza Iluzji opadła bezsilnie.



*Pewnego razu, kiedy odpoczywaliśmy po szczególnie wyczerpującym ćwiczeniu, spytałem Wiatru Na Szczycie: „Co jest nie tak ze Śpiewakiem?”. To pytanie nurtowało mnie od dawna. Porównując go z innymi „połówkami”, widziałem coraz więcej oznak jego „inności”. Różnił się nie tylko wyglądem, ale i charakterem. Z jednej strony wydawał się wręcz niewiarygodnie zuchwały, a z drugiej niepewny siebie, zupełnie jakby przez to ciągle łamanie reguł coś chciał sobie udowodnić. „Co jest nie tak ze Śpiewakiem? – powtórzył wtedy Wiatr, kiwając głową. – Z nim jest wszystko nie tak, młody”.*

*W ten sposób poznałem wstrząsającą historię Śpiewaka, którą Wiatr przekazał mi w zaufaniu. Ile dokładnie lat miał mój przyjaciel, nie było wiadomo. Nie znano jego rodziny, ani nikogo, kto mógłby to wiedzieć. Matkę Śpiewaka Wiatr Na Szczycie nazwał dosadnie: „dziwka”. Świat jest brutalny, zwłaszcza w dzielnicach biedoty. Gdyby nie jego niezwykły wygląd, mały Stworzyciel pewnie skończyłby jak niechciany szczeniak – w worku na dnie rzeki. Na szczęście sprytna kobieta wymyśliła sobie, że na dzieciaku można zarobić i sprzedała go cyrkowcom. W ten sposób Śpiewak – wtedy jeszcze bezimienny – został niewolnikiem, dzieckiem wilkiem, które ku uciesze gawiedzi ukręcało łby kurczakom. Przez długie lata właściciel zwierzyńca dorabiał się na małym „wilkołaku”, jednocześnie bijąc go i głodząc. Talent magiczny objawił się u Śpiewaka późno, lecz za to niezwykle gwałtownie. Właściciela cyrku zakopano pośpiesznie w ziemi, bez zwyczajowego stosu i kapłana. Podobno był w bardzo małych kawałkach. Sprawy nie dało się ukryć. Plotki dotarły do najbliższego Mówcy na posterunku w wieży przekaźnikowej. Zajął się poranionym, na pół zagłodzonym i zdziczałym dzieciakiem. Nadał mu imię, a potem posłał wprost do siedziby Kręgu. Śpiewaka nie wysłano, tak jak innych dzieci, na wychowanie do majątku ziemskiego. Może dlatego, że miał status prawny niewolnika – człowieka sprzedanego i kupionego za garść monet. Wyrósł w Zamku, a wychowywali go wszyscy po trochu i nikt w szczególności. Większość uważała, że Nocny Śpiewak to kara zesłana na nich przez Los. O dziwo, najwięcej życzliwości miały dla niego zamkowe prostytutki, a jedna z nich, Róża, traktowała go prawie jak młodszego brata. Dziwne, że przez to groteskowe*

wychowanie nie stoczył się zupełnie. Przez te wszystkie lata nie pozbył się strachu przed bólem, biciem, przemocą. Nie pozwalał nikomu nad sobą zapanować, obrywał karę za karą, a jednocześnie lekcewał je zupełnie. Żadna chłosta, areszt, post nie dorównywał temu, co wycierpiał z ręki cyrkowca zwanego Bykiem.

To wszystko przypomniałem sobie, kiedy tylko jedno mgnienie dzieliło mnie od spoliczkowania Śpiewaka. Zasłonił się tak, jakby to zrobiło dziecko – bite tak często i mocno, że starczyło tylko zrobić przy nim gwałtowniejszy gest, a już odruchowo unosi ramiona, by zasłonić głowę przed ciosem, nawet nie robiąc tego świadomie.

Wstrząśnięty, opuściłem rękę, nie uderzyłem go, z czego teraz jestem bardzo zadowolony. Jednak czułem się wtedy zbyt urażony i skrzywdzony. Moja duma za mocno ucierpiała, by natychmiast przebaczyć. Po prostu zacząłem się pakować.



Śpiewak usiadł powoli na brzegu łóżka. W oczach miał ogromne rozżalenie i lęk. Srebrzanka, milcząc, pogładziła go współczującym gestem po plecach. Obserwowali, jak Tkacz Iluzji ubiera się i zbiera swoje rzeczy. Wybierał spomiędzy nich wszystkie upominki, jakie kiedykolwiek podarował mu Śpiewak i wyrzucał je na „połowę” Stworzyciela. Nocny Śpiewak patrzył, jak na podłodze pogardliwie odrzucone lądują książki, rysunki, ubrania i rozmaite drobiazgi, a w oczach kręciły mu się łzy. Próbował je ukryć, opuszczając coraz niżej głowę.

– Srebrzaneczko, jak jeszcze raz przyjdzie mi do głowy taki dumny pomysł, to mnie walnij, a porządnie – szepnął drżącym głosem.

„Jestem ci winien jeszcze dwa talenty, za tamtą cukiernicę z motylami” – przekazał Kamykowi.

„Nie jesteś mi nic winien. Ten chłopak musiał sporo kosztować, a ja nie lubię mieć długów. Kupiec złożył następne zamówienie?”

„Złożył...”

„To odmów” – polecił mu Tkacz sucho, nadal składając pergaminy i nie patrząc w jego stronę.

– Nie! To nie do wytrzymania! – Srebrzanka zerwała się na nogi. Jednym susem dopadła pakującego się chłopaka i chwyciła go za ręce. – Nie, przestań!

Proszę, zostań. Nie rób tego. Proszę...

– On cię przecież nie słyszy... – wtrącił się Śpiewak.

– Ty bądź cicho! Dość nabroiłeś! Kamyk, proszę cię, nie zostawiaj tego bałwana, widzisz, że żałuje.

Kamyk, niepewny, zmieszany, patrzył długą chwilę na błagającą dziewczynę. Wyjął powoli ręce z jej kurczowego uścisku. Obejrzał się na przygnębionego Stworzyciela, który nadal siedział na brzegu posłania z miną winowajcy.

Westchnął ciężko i usiadł po swojej stronie na krześle, unikając łóżka, jakby było czymś skażone.

*Powiedz mi jedno, tylko szczerze. Co się działo w nocy? Prawie nic nie pamiętam. Czy ja i on... Czy my, rozumiesz?*

Śpiewak skwapliwie pokręcił głową, wciąż wystraszony, z miną jakby bolał go brzuch.

„Nic z tych rzeczy. Jesteś moralny, że aż się niedobrze robi. Hiacynt cię pocałował. Raz, dwa razy, nie wiem... Pogłaskałeś go łaskawie jak psa, przewróciłeś się na wyrko i zacząłeś chrapać.”

„Nic więcej?”

„Nic kompletnie. Nawet buty ci musieliśmy zdjąć. Zresztą mnie też dużo nie brakowało. To była niezła popijawka.”

„A czemu to nieszczęsne chuchro spało koło mnie, zamiast wrócić do tego swojego o g r ó d k a ?!”

„Był zmęczony. Dla nich każda godzina snu jest cenna – wyjaśnił Śpiewak. – Gdyby wrócił zbyt szybko, powstałoby podejrzenie, że klient był niezadowolony i zażąda zwrotu pieniędzy. Chłopaka może by ukarano, a już na pewno zaraz wysłano do kogoś innego. Skoro już zapłaciłem za całą noc, przynajmniej mógł odpocząć. To ciężka praca, naprawdę.”

Kamyk z zadumą patrzył na siedzącą naprzeciwko parę. Były niewolnik i młodziotka prostytutka – przytuleni do siebie, trzymający się za ręce.

„Moralność, czym właściwie jest moralność? W Pagórkach chyba by ich ukamienowano, na Wieczny Krąg... A Śpiewak wyrzuca pieniądze, żeby »zabaweczka« mogła odpocząć. I żeby właściciel burdelu nie dał chłopaczkowi po buzi. Zresztą może ich nie biją w twarz, żeby nie oszpecić...” – Chłopiec poczuł, że lada chwila problem go przerośnie. Śpiewak był dobry. Śpiewak był szalony jak zajac wiosną. Śpiewak miał zielono w głowie i złoto w sercu. Był okropny, nieznośny i zupełnie nieobliczalny. Jak smok. „Jeśli wytrzymałem z Pożeraczem, dlaczego nie mogę wytrzymać z tym tutaj?”

Para w przeciwległym krańcu izby czekała.

*Nie pójdę gdzie indziej. Ale na drugi raz nie rób mi takich niespodzianek. Ja NIE sypiam z mężczyznami. I Wiatr Na Szczycie NIE jest moim kochankiem, jasne?*

Śpiewak odetchnął z wielką ulgą i rozpromienił się natychmiast w szerokim uśmiechu.

„Jasne. Następnym razem obstaluję ci dziewczynę. Róża jest...”

*NIE!!!*



Kiedy mag wszedł do sali lekcyjnej, przywitało go dwadzieścia siedem par oczu, patrzących z jednakowym wyrazem rezerwy. Rozejrzał się po młodych twarzach – niektóre dopiero traciły dziecięcą krągłość, po innych widać było, że ich właściciele już zaczynają się golić. W pierwszym rzędzie zwraca uwagę rośła postać. Ten to już prawie mężczyzna. Na szerokie brwi spada gęstwa kręconych włosów, a spod nich patrzą przenikliwie skośne, brązowe oczy. Kowal bez żadnych wątpliwości rozpoznał protegowanego Wiatru Na Szczycie. Tuż obok, garbiąc się za pochyłym pulpitem, jakby chciał się za nim schować, siedzi całkowite przeciwieństwo Tkacza Iluzji – chłopczek tak mały i drobny, że przy dużym Kamyku wydaje się po prostu dzieckiem. Dziwny widok, lecz ten małe niewątpliwie musi mieć ukończone czternaście lat, inaczej w ogóle nie zostałby powołany do próby. Na rękawach ma naszyte ornamenty ze sznura, więc pewnie jest Wędrowcem. No tak, Nocny Śpiewak jako następny: potargany, niedbale oparty na łokciu, zupełnie jakby siedział w knajpie. Hmm, zobaczymy kto kogo...

Pod oknem, na samym końcu rzędu jakiś młody łowca. Rozparł się swobodnie w krześle, ręce zaplótł na piersi w wyzywającej pozie. Widać jego okręcone rzemieniami nadgarstki, rękawy podwinięte powyżej łokcia. Oczy ma czarne i zimne jak kamienie wyciągnięte z dna potoku.

Kowal rozejrzał się po tylnych rzędach, szukając wzrokiem znajomych Mówców, przy których wprowadzeniu asystował. Jest grubawy Koniec. Niemały talent, niezwykle pochodzenie. O rodzinie tego chłopca mówi się ciekawe rzeczy, zawsze zniżonym głosem.

Z tyłu natomiast... jak mu tam było? Piaskowiec chyba. Są również Obłok i Szary – patrzą na niego zza pleców kolegów i uśmiechają się lekko. A gdzież

się podział ten młody księżę – nieszczęsna latorośl księcia Brin-ta-ena? Kowal zdał sobie sprawę, że nie widywał chłopca już od pewnego czasu. Czyżby wrócił do stolicy? Ale w takim razie coś by o tym słyszał. No i miałby dwudziestu sześciu uczniów, a nie dwudziestu siedmiu.



Ten dzień zaczął się dziwnie. O poranku, kiedy „połówki” wciąż jeszcze trwały w stanie zawieszenia, nie wiedząc, co ze sobą zrobić i gdzie się podziać (prawdę mówiąc, po trzech dniach ta hipotetyczna wolność zaczynała robić się nudna), zjawił się posłaniec z suchym zawiadomieniem, że popołudniowe lekcje zaczną się wreszcie toczyć normalnym trybem, jest już nowy profesor, i że chłopcy na miesiąc mogą się pożegnać z pensją „na cukierki”. Biorąc pod uwagę, że każdy miał tu zapewniony wikt, dach nad głową, a większość posiadała jakieś drobne oszczędności, kara była wręcz symboliczna.

I oto mieli nowego nauczyciela przed sobą. Wyglądał o niebo sympatyczniej niż Gladiator, ale to oczywiście nie musiało o niczym świadczyć. Mężczyzna liczył już sobie co najmniej lat pięćdziesiąt, więc wydawał się chłopcom bardzo stary. W jego włosach i krótkiej brodzie było równie dużo siwych pasm co brunatnych. Jego niewielkie oczy, otoczone siatką zmarszczek, patrzyły bystro. Nabrał powietrza, szykując się najwyraźniej do dłuższej przemowy, więc Kamyk dał ukradkiem znak Końcowi, prosząc, by ten powtórzył mu potem słowa nowego nauczyciela.

– Nazywam się Kowal. Tak się składa, że jestem błękitnym Mówcą – odezwał się mężczyzna, co natychmiast spowodowało wśród uczniów wymianę wielu znaczących spojrzeń. Oto następny wścibski złodziej myśli.

– Uważam, że zwrot „Mistrzu Mówco” jest zbyt oficjalny do używania na co dzień, a jak słyszę „Mistrzu Kowal”, to czuję się jak właściciel kuźni. Wystarczy więc „panie Kowal” – ciągnął mag, udając, że nie zauważa reakcji swych nowych uczniów.

„Podlizuje się” – skomentował Koniec.

Tymczasem nauczyciel dostrzegł na podłodze trzcinę Gladiatora, która wciąż leżała tam, gdzie Obserwator ją upuścił. Mówca podniósł pręt i wygiął go w rękach, przypatrując mu się z nieodgadnioną miną. Widzowie milczeli jak głazy.

– Synku, otwórz no okno – zwrócił się mag do Promienia, delikatnie

stukając końcem kija w jego pulpit do czytania.

Iskra rzucił mu spode łba spojrzenie, jakim obdarzyłyby psa odzywającego się raptem ludzkim głosem. Obejrzał się na witrażowe okno, potem zerknął na Nocnego Śpiewaka, który ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

– Dobrze, dobrze... – wymamrotał, podnosząc się opieszale.

– Dziękuję uprzejmie – odparł Mówca ironicznym tonem, a potem, kiedy już ciężkie staroświeckie skrzydło okienne uchyliło się, wpuszczając do wnętrza komnaty wilgotne, rześkie powietrze, wziął zamach jakby rzucał włócznią... i trzcina wyfrunęła z sali prosto w gałęzie starego drzewa, rosnącego na dziedzińcu. Ktoś westchnął. Nadal panowała cisza, ale Mówca wyczuwał w niej więcej nadziei niż niechęci.

– Pan się nazywa...? – Mówca zawiesił głos, patrząc na Promienia.

– Zwycięski Promień Świtu Brin-ta-ena – oświadczył chłopak z godnością.

– Duże zmiany, zaiste duże... – Mówca Kowal pokiwał głową, oglądając go z góry na dół. – Ładne buty.

– A ty jak masz na imię, synku? – zwrócił się nagle do zaskoczonego Myszki.

– Mysz... eee, J-jodłowy – wyjąkał chłopiec, czerwieniąc się z zakłopotania.

– Mysz Jodłowy? Niespotykane imię, powiedziałbym – rzekł nauczyciel z łagodnym zdumieniem, gdy tymczasem uczniowie zasłaniali usta rękami, by nie parsknąć głośnym śmiechem. – A więc, Jodłowa Myszko, idź teraz do biblioteki i poproś Żółwie, żeby dały ci indeks tematyczny. Ale tylko z piątego działu, bo całości nie uniesiesz.

Myszka skwapliwie pokiwał głową, wciąż rumiany jak czereśnia, po czym zniknął z charakterystycznym klaśnięciem.

Nauczyciel tymczasem wypatrzył Winograda. Szczur młodego Mówcy Zwierząt akurat skończył drzemkę za jego kurtką i usiłował wyleźć na zewnątrz, by rozprostować łapki. Spłoszony Winograd upychał go na powrót, garbiąc się za pulpitem, by ukryć te manipulacje.

– Co tam masz, synku?

– Nic! – zaprzeczył Winograd, wbrew oczywistym faktom. Zwierzątko protestowało coraz energiczniej, tym razem wybierając drogę na wolność przez plecy, więc chłopiec wykonywał coraz rozpaczliwsze ruchy, by je zatrzymać. Nadaremnie. Wymiętoszony szczur wylaźł mu ponad kołnierzem.

– O, szcurek. Pokaż no go, pokaż. Jaki ładny! – ucieszył się Mówca, wyciągając ręce. – Nie gryzie?

Winograd z wahaniem podał zwierzątko Mówcy.

– Nie gryzie – zapewnił trochę nerwowo. – W ogóle nie szkodzi. Nie przeszkadza, cały czas śpi! Jest bardzo czysty, ciągle się myje!

Starszy mag uniósł gryzonia w dłoniach złożonych w muszlę.

– Ładnie utrzymany – pochwalił mag. – Ale jakiś chudy... – Zważył szczura na dłoni.

– Bo on jest jeszcze młody – wyjaśnił Winograd, uspokojony, że najwyraźniej ten nowy nauczyciel nie ma zamiaru ukreścić jego pupilowi łebka.

„Potrafisz zrobić drugiego?” – Mówca wszedł do głowy Kamyka tak niespodzianie, że chłopiec drgnął.

„Potrafię. To nic trudnego.”

W mgnieniu oka mag trzymał na rękach dwa szczury. Oba wciskały mu spiczaste nosy między palce, wspinały się na ramiona. Delikatnie pogłaskały obydwa, po czym jednego oddał Bestiarowi, a drugiego posadził na pochyłym pulpicie. Winograd niepewnie spoglądał to na jednego, to na drugiego. Oba były identyczne.

– Hmm... który jest prawdziwy? – spytał Mówca, uśmiechając się w głębinach brody.

Chłopcy z zainteresowaniem wyciągali szyje i wstawali z miejsc, żeby lepiej widzieć. Winograd z zakłopotaniem poszukał wzrokiem Kamyka, próbując odczytać z jego twarzy jakiś znak, lecz Tkacz Iluzji patrzył tylko na szczury.

„To próba – pomyślał Winograd. – Nic takiego, tylko drażni się ze mną. Muszę się skupić.”

Podrapał lekko trzymanego szczura po karku, koncentrując się na miękkości jego futerka, sztywnych, wibrujących wąsikach, na odczuciach drobnego umys... och...! Winograd uśmiechnął się z tryumfem, oddał Mówcy szczura, a tego, który właśnie balansował zgrabnie na zwieńczeniu pulpitu, posadził sobie na ramieniu gestem właściciela.

– No bo tamten był p u s t y – wyjaśnił.

Mówca roześmiał się jowialnie i zmierzwił nastroszone włosy chłopca. Winograd uchylił się lekko, zaskoczony tą poufałością. Szczur w ręku starszego maga rozwiął się jak dym.

– Dobry jesteś – pochwalił Mówca, a potem uprzejmie skinął głową Tkaczowi Iluzji, który oddał ukłon. – Równie dobry jak nasz mistrz miraży. Świetny szczur, naprawdę, dla niemaga nie do odróżnienia od oryginału.

Tymczasem wrócił Myszka, uginając się pod ciężarem opasłego tomiszcza. Profesor odebrał go od chłopca i rozłożył na swoim stoliku.



– A teraz, skoro jesteście tacy zdolni, ty i ten wyrośnięty młodzian... – zwrócił się do Winograda. – W nagrodę możecie jako pierwsi wybrać sobie po książce, które weźmiecie do czytania na najbliższy tydzień.

Winograd wytrzeszczył oczy.

– No chodźże, chodź – zachęcił go Mówca. – Rozejrzyj się. Co byś chciał?

– Nnie wiem. – Oszołomiony tym bezmiarem łaskawości, biedny Bestiar miał pustkę w głowie. – Coś o... ee... o zwierzętach. Eee... o koniach?

Kamyk nie miał takich problemów.

*Smoki.*

„Cokolwiek o smokach?” – upewnił się mag, zaglądając do kodeksu i przerzucając parę stron.

„Nie cokolwiek.” – Chłopak zajrzał mu przez ramię. – *To* – pokazał palcem odpowiednią pozycję. – *Tego jeszcze nie czytałem.*

– Bardzo zdecydowany młody człowiek – mruknął Mówca pod nosem, wypisując na skrawku pergaminu kwit na wypożyczenie wybranej pozycji.

Wzywani uczniowie kolejno deklarowali chęć studiowania rozmaitych rzeczy. Niezdecydowani mogli rozejrzeć się w spisie i wybrać coś, kierując się radą Mówcy. Ku zdziwieniu innych Wędrowców, którzy jak jeden mąż wybierali mapy z opracowaniami, Myszka zażyczył sobie *Ryb tropikalnych* – tom duży i opasy, rzucający się w oczy na półce, a więc do tej pory pozostający poza zasięgiem jego czytelniczych apetytów.

Natomiast Nocny Śpiewak prowokacyjnie zażądał *Wojny o puchar* – opowieści pełnej wojowników, potworów, skarbów i pięknych księżniczek, niemającej nic wspólnego z dziełem naukowym. Jeśli spodziewał się sprzeciwu czy choćby jakiegoś komentarza na temat swoich gustów, rozczarował się srodze. Nauczyciel nawet okiem nie mrugnął.

Aż do dzwonu obwieszczającego popołudniową godzinę dziewiątą, Kowal Mówca zarządził głośne czytanie na zmianę wyjątków z *Filozofii codzienności* i podczas gdy po sali niósł się młody, załamujący nieco z tremy głos aktualnego lektora, profesor uczył się na pamięć imion i kast swych uczniów.

„Życie jest ciągłym czekaniem. W dzieciństwie czekamy na to, byśmy dorosli do rzeczy. Do stołka, do schodów albo by nas na grzbiet kuca wsadzono, jako tego pragniemy. Dziewczątka małe na szaty niewieście oczekują, chłopięta na mieczyk wpierw drewniany, a potem już chcą żelaza. Czekamy, ustawicznie pragnąc nowego, a tem, co mamy, rzadko się umiemy cieszyć...”

Była to zdecydowanie najbardziej osobliwa, ale i najlepsza lekcja, jaką młodzi magowie odbyli do tej pory.



Ku zaskoczeniu „połówek”, nauczyciel nie poprzestał na wepchnięciu im po książce. Minęło kilka dni, wypełnionych filozofią, gramatyką i naukami przyrodniczymi, a potem się zaczęło. A konkretnie, zaczęło się od Nocnego Śpiewaka – niepokornego dziecięcia Kręgu.

– Przeczytałeś już *Wojnę o puchar*, synku? – spytał Kowal.

– Przeczytałem – potwierdził Śpiewak, nie przeczuwając jeszcze nic złego.

– To teraz opowiedz kolegom o treści.

Po sali przeleciał zefir chichotów.

– Szczegółowo? – spytał Nocny Śpiewak, z głupawym uśmiechem.

– Nie trzeba, wystarczy ogólny zarys fabuły – uściślił Mówca, moszcząc się wygodnie na krześle i przygotowując do dłuższego słuchania. Nocny Śpiewak wzruszył lekko ramionami i zaczął opowiadać. W trakcie Kowal poprawiał go dwa razy, wskazując, że chłopak opuścił jakieś ważne wątki. Śpiewak patrzył na niego coraz bardziej podejrzliwie, czując, że coś wisi w powietrzu.

– Dobrze, synku. Masz niezłą pamięć – pochwalił go nauczyciel, wstając i zwracając się do wszystkich. – Drodzy chłopcy, pewnie o tym nie wiedzieliście, ale „Wojna o puchar” w rzeczywistości jest dość swobodną interpretacją historii walk terytorialnych na Półwyspie Wojennym. A teraz powiedz mi, Śpiewak, którzy z bohaterów powieści są autentycznymi postaciami historycznymi. No, szybciotko.

Prawdopodobnie młody Stworzyciel zbladł pod sierścią.

– Krzemień... Długoręki... eee... Sól Na Rany... – zaczął wymieniać niepewnym głosem. – Księżniczka Narcyza...

– Ta to akurat jest tak zwanym „niezbędnym dodatkiem erotycznym” – sprostował Kowal. – A teraz zanalizujemy sobie bitwę nad Jelenim Brodem, tak jak wyglądała w rzeczywistości, bez tych idiotycznych ozdobników literackich. Odsuńcie wszystkie sprzęty pod ściany i niech ktoś przyniesie kredę. Zrobimy plan bitwy na podłodze, a Nocny Śpiewak będzie naszym przewodnikiem.

I tak potoczyła się wyjątkowa lekcja historii, choć po godzinie uczniowie już jęczeli, że bolą ich kolana od łażenia na czworakach po twardej posadzce. Za to wszyscy świetnie się bawili. A raczej wszyscy prócz Nocnego Śpiewaka, który pod koniec lekcji wyglądał na tak wymiętego, spoconego i wyżętego psychicznie, jakby osobiście brał udział w prawdziwej bitwie. Kowal był dla niego bezlitosny, choć ani razu nie podniósł głosu. W końcu dał chłopcu spokój,

a Nocny Śpiewak otrzymał prawo ponownego wyboru lektury. Tym razem bez żadnych wygłupów zamówił Alchemię – wybrane zagadnienia.

Hasło „czytałeś – to opowiedz kolegom” weszło do powiedzeń szkolnych, a omawianie lektur stało się zwykłym elementem lekcji.

– Dlaczego ciągle mamy coś opowiadać? Połowę czasu czytamy, a drugą połowę referujemy innym to, co przeczytaliśmy. Kim ja jestem, gawędziarzem jakimś? A pan nas n i e u c z y! – zbuntował się któregoś razu Promień.

Świadkowie zamarli. U Kowala można było sobie pozwolić na nieporównywalnie więcej niż u Gladiatora, ale Promień zachował się doprawdy niesłychanie bezczelnie. Oczekiwanie zawisło w powietrzu gęstą chmurą – da mu Kowal w ucho czy nie? Zruga? Wyrzuci za drzwi?

Cisza przedłużała się. Mówca patrzył w milczeniu na stojącego przed nim w wyzywającej postawie nastolatka... i nic nie robił. W końcu chłopak zaczął przestępować z nogi na nogę skonsternowany brakiem reakcji nauczyciela.

– Czy ja dobrze rozumiem? – odezwał się wreszcie Kowal. – Oczekujesz, że podam ci wiedzę w postaci przeżutej papki, wprost do głowy? Tak po prostu? Skrót z *Bram Zachodu*? Filozoficzne dysputy Kory i jej sióstr, rozpisane jako reguły? Mam ci powiedzieć, co dokładnie miał na myśli poeta, pisząc *Włócznię*? Albo...

– Nie! – przerwał mu Promień. – Oczywiście, że nie. Ja tylko... jestem już trochę znużony tym ciągłym wykazywaniem się. Jaki to jestem, do licha, inteligentny. Przepraszam. Po prostu – pewność siebie w jego głosie zaczęła jakby słabnąć – chciałbym... chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś, czego nie ma w książkach. A pan, Mistrzu Mówco, jest od nas przecież bardziej... hm... światowy.

Kowal przypatrywał się z lekkim niedowierzaniem „nieświatowemu” młodzieńcowi, który większość życia spędził prawdopodobnie w stolicy, przy dworze cesarskim lub w podróży po kraju. W końcu nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– Światowy... – wykrztusił z rozbawieniem. – Panie Brin-ta-ena, pan się mija z powołaniem. Powinieneś pisać komedie. Niestety, muszę cię rozczarować, aż tak ś w i a t o w y nie jestem i większość tego, co umiem, czerpałem właśnie z literatury.

– A co pan ostatnio czytał? – Promień natychmiast poszedł za ciosem.

Mówcy nie opuszczało rozbawienie.

– *Zatopione miasta*. Nie jest to dzieło naukowe, prawda? Niemniej naprawdę zainteresowała mnie ta wizja.

Mina Promienia wydłużyła się zauważalnie, podobnie jak wszystkich słuchaczy.

– Jak sądzisz, czy ten pomysł miasta na dnie morskim, pod szklanymi kopułami jest w jakimś stopniu realny? – kontynuował Kowal wesolutko. – Czytałeś to?

– Czytałem. Nie uważam tego za realne.

– A w przyszłości? Proszę powiedzieć, co pan o tym sądzi, panie Brin-ta-ena i poprzeć wywód logicznymi argumentami. Reszta może się przyłączyć, jeśli chce.

I w ten sposób Zwycięski Promień Świtu znów został zmuszony do wykazywania się inteligencją.



Pulpity, które powędrowały pod ściany w czasie pamiętnej lekcji historii, nie wróciły już na stare miejsca. Okazało się, że znacznie wygodniej jest pozostawić je po bokach z wolnym miejscem pośrodku. W ten sposób wszyscy nawzajem się widzieli, a Kowal, chodząc wewnątrz, prowadził wykłady i mógł podejść do każdego ucznia. Ktoś żartem nazwał to „Wewnętrznym Kręgiem”, choć w rzeczywistości pulpity ustawione były w kwadrat, ktoś inny poprawił na „Drugi Krąg” i tak już pozostało. Nazwa wyszła poza salę i niezbyt chlubne miano „połówki” zostało szczęśliwie zapomniane. „Jak tam twoi chłopcy? Jak tam Drugi Krąg?” – pytano Kowala przy okazji spotkań towarzyskich. „Świetnie, świetnie – odpowiadał zwykle, podkreślając dziarsko wąsy. – Parę latek i zostaniecie odłożeni do lamusa, staruchy.” Kwitowano te żarty śmiechem, ale Mówca wiedział, że czasem ten śmiech brzmiał nieszczerze. On sam natomiast z przyjemnością obserwował, jak grupa z początku niechętnych, zamkniętych młodych ludzi teraz pracuje z entuzjazmem i otwiera się coraz bardziej, coraz większym darząc go zaufaniem. Spóźnienia i nieobecności odeszły w siną dal, już nie tylko Myszka przychodził wcześniej na lekcje. Zwykle Kowal zastawał wszystkich w komplecie, już czekających niecierpliwie, kiedy otworzą się przed nimi nowe, ciekawe perspektywy. Zadziwiająco, ale doszło nawet do tego, że musiał niemal siłą odsyłać chorych, pozaziębianych lub z bolącym zębem – a za każdym razem desperowali, że ich „omienie najlepsze”.

Tym najlepszym w pojęciu Drugiego Kręgu były tak zwane „godziny chwały” – idea, która zrodziła się niedawno podczas dyskusji o wyższości

jednego talentu nad drugim. Każdy z chłopców otrzymał więc szansę pokazania się ze swej najlepszej strony, a oczekiwano tych demonstracji zarówno z niecierpliwością, jak i onieśmieniem, i przygotowywano się do nich niemal równie starannie, jak niegdyś do egzaminu na błękit.



*Drugi Krąg. Nie chodzi tu jedynie o urządzenie sali lekcyjnej. Drugim Kręgiem jesteśmy po prostu my sami, powiązani wzajemną solidarnością. Teraz uważam, że w pewien sposób Gladiator zrobił nam przysługę. Nic tak nie jednoczy ludzi, jak wspólny wróg. Nawet Promieniowi byliśmy w stanie wybaczyć jego nieczyste gierki, gdyż w porównaniu z naszym byłym profesorem zdawał się uosobieniem taktu.*

*„Godziny chwały” nareszcie stwarzają okazję, by przekonać się naocznie, ile naprawdę potrafimy. Porównujemy umiejętności Wędrowców, Obserwatorów, Stworzycieli i całej reszty. Ci najlepsi mają słuszne powody do dumy, ci słabsi nadrabiają braki, ciężiej pracując. Oczywiście talent ma się taki, jaki się ma – lepszy lub gorszy – ale pod kierunkiem Kowala i z pomocą bardziej obdarzonych kolegów, chłopcy ćwiczą najbardziej efektywne wykorzystanie swoich zdolności. Nareszcie mieliśmy okazję poznać pełne możliwości Myszki i przekonaliśmy się, że naprawdę wyjątkowo go nie docenialiśmy. Mysz – taki skromny, niepozorny, nieśmiały – jest bezspornie najpotężniejszym Wędrowcem w naszej gromadce.*

*Kiedy nadeszła jego kolej, raczej nikt nie spodziewał się niczego efektownego. Tymczasem Myszka, z powagą i napięciem malującym się na dziecinnej twarzy, pojawiał się i znikał w różnych punktach sali z prędkością, która przyprawiała o zawrót głowy. Nie mogłem nadążyć za nim oczami. Wydawało się to wręcz niewiarygodne, jak może w tak krótkim czasie wyliczyć precyzyjnie miejsce skoku i nie rozbić się na niczym. Przemieszczał również niewielkie przedmioty z jednego miejsca na drugie, a granica błędu wahała się dosłownie o grubość włosa, co specjalnie mierzyliśmy, zaznaczając rysy na stole cienkim ostrzem. Myszka dzielił również swym talentem owoce, wysyłając ich fragmenty do dwóch, trzech, a nawet czterech miejsc jednocześnie. Widziałem, jak znika połowa brzoskwini, a cięcie przechodziło precyzyjnie przez skórkę, mięsz i twardą pestkę. Jasne, sam owoc można przekroić ostrym nożem, ale spróbuj zrobić to samo z pestką! Każdy wie, że Wędrowcy są niebezpieczni, lecz*

*ta wiedza jest jakby rozmyta, usuwa się ją gdzieś na dno umysłu, jak wszelkie nieprzyjemne rzeczy, o których nie mamy ochoty myśleć. Dopiero, kiedy wyobraziłem sobie nagle takie samo cięcie przeskoku, dzielące nie owoc, lecz ludzkie ciało – poprzez skórę, mięśnie, kości – zrobiło mi się autentycznie zimno i poczułem, jak włosy mi wstają na karku.*

*Oto dlaczego Krąg tak zazdrośnie strzeże swych tajemnic przed pospolitymi ludźmi, czemu tak twardo żąda od magów przestrzegania prawa i dlaczego tak straszliwie boją się nas kraje sąsiednie. Wędrowiec pewnie nawet w pojedynkę byłby w stanie wybić wrogą armię, wysyłając ją po prostu donikąd. Albo, jeśli chciałby dać pokaz okrucieństwa, zrobiłby to z połową tej armii. Na przykład górną.*

*Zauważyłem, że po „godzinie chwały” chłopcy zaczęli traktować Myszkę z większym szacunkiem.*

*Talenty Mówców i Obserwatorów są mało efektywne. Gryfowi, który jest właśnie Obserwatorem, trudno było się czymś popisać, a przecież chciał wypaść jak najlepiej, jak każdy zresztą. Stąd pojawiła się potrzeba współpracy między kastami. Wędrowcy zadania mieli proste, przynajmniej z pozoru: skoczyć jak najdalej, w określone miejsce, i przynieść z niego dowód pobytu. W ten sposób Wężownik pokonał drogę do Białych Pól, by dostarczyć z nich charakterystyczny kawałek białego marmuru z tamtejszych kamieniołomów. Natomiast Pióro wyprawił się nad Bobrownik i narwał pachnącej trawy, rosnącej tylko w tamtych okolicach. Gryf odszukał go aż tam, cierpliwie i z wielkim wysiłkiem przeczesał talentem coraz dalsze obszary. Podyktował Nocnemu Śpiewakowi raport ze wszystkiego, co robił Pióro na swej wyprawie i później biedny Wędrowiec (zawstydzony i wściekły) musiał akceptować takie zapiski jak: „dłubie w nosie” albo „sika pod krzakiem”. Śpiewak przekazywał mi te rewelacje na bieżąco, pękając ze śmiechu.*



Wszystkich bardzo interesowało, co planują Iskry, a zwłaszcza, co wymyślił Zwycięski Promień Świtu. Ambicja książęcego potomka chwilami osiągała niepokojące rozmiary – kiedy ktoś go w czymś wyprzedzał, Iskra czuł się wręcz chory. Nikogo więc nie zdziwiłaby „godzina chwały” polegająca na widowiskowym pożarze centralnej wieży zamku. Przeznaczeniem Promienia było chyba jednak istotnie zaskakiwanie otoczenia, bo kiedy nadeszła jego kolej

w zaprezentowaniu swych zdolności, poprzestał na pokazie stosunkowo skromnym.

Na tradycyjnym miejscu pośrodku sali, jak to określano: w Kręgu, położył dość grubą kamienną płytkę, na niej ustawił toporne naczynie z porowatego kamienia, a na nim położył bryłę czerwonego metalu.

– Czy on ma zamiar to stopić? – mruknął któryś z Iskier i trącił łokciem sąsiada. – Zakład o dziesięć gołębi, że zaleje się krwią za pięć minut?

– Dobra, zakład, że wytrzyma – odszepnął chłopak i obaj szybko zetknęli poślinione kciuki.

Tymczasem Promień po raz ostatni ocenił krytycznym spojrzeniem przygotowania i zwrócił się do widzów:

– Siedzicie na miejscach, niech żaden nie podchodzi bliżej. Wężownik...

– Tak?

– Jak będzie coś nie tak, to wywalisz ten kram prosto do rzeki?

Zagadnięty Wędrowiec obejrzał się na Kowala, a potem pokiwał twierdząco głową. Iskra postawił w pewnej odległości krzesło i usiadł na nim, podciągając wysoko nogi. Splótł ręce na kolanach i oparł na nich podbródek. Zapadła cisza pełna napięcia. Towarzysze Iskry od razu wyczuli, że w sali podniosła się temperatura. W ciągu minuty ruda bryła miedzi zaczęła świecić. Jej centrum jaśniało coraz bardziej, przemieniając się w oślepiająco białą gwiazdę, a jasna czerwień rozpełzała się szybko na boki, pochłaniając wiśniową barwę rozgrzanego metalu. Do kamiennej formy najpierw zaczęły spadać grube gruzłowate krople, a potem surówka pociekła strugą. Promień siedział nieruchomo, kurczowo obejmując kolana ramionami. Prawie nie mrugając, wpatrywał się w skupieniu w topniejącą bryłę.

Wężownik, któremu powierzono odpowiedzialne zadanie zareagowania, gdyby „coś było nie tak”, zaniepokoił się. Coś rzeczywiście chyba szło nieprawidłowo. Naturalne się wydawało, że w sali lekcyjnej powinno robić się coraz goręcej. Logicznie rzecz biorąc, w tej chwili powinien panować tutaj przeraźliwy upał. Tymczasem po początkowym ociepleniu robiło się coraz zimniej. Wężownik popatrzył na kolegów, którzy kręcili się na swych miejscach, najwidoczniej również zaalarmowani nieprawidłowym stanem rzeczy. Wężownik z nagłym lękiem dostrzegł obłoczek pary, wydobywający się z jego ust. Podobne obłoczki unosiły się z nosa i ust innych. Myszka skulił się i potarł rękami ramiona. Jemu też było zimno.

– Promień... – odezwał się Wężownik z wahaniem, ale Iskra nic nie odpowiedział. Wędrowcem wstrząsnął dreszcz, kiedy zobaczył wykwitające

na blacie białe, pierzaste liście szronu. Nie, zdecydowanie było NIE TAK! Dlaczego Kowal nic nie mówi? Chłopak wyciągnął rękę w stronę formy odlewniczej i zwinął przestrzeń.

W chwilę potem rozpętało się coś w rodzaju miniaturowego cyklonu. Zwycięski Promień Świtu zachłysnął się powietrzem i usiłował zerwać z krzesła, jednak czy to z powodu szoku, czy zwinęcia w kłębek, zleciał na podłogę, uderzając w nią głową. Leżał w dziwnej pozycji, w nieskoordynowany sposób poruszając rękoma. Wystraszony Kowal usiłował podnieść chłopca, jednocześnie przytrzymując mu głowę. Poszkodowany Iskra nagle ocknął się, doznał przyływu sił i rzucił się na Wężownika, miotając zupełnie niearystokratyczne obelgi. Gdyby nie nauczyciel, który przytrzymał go z godnym podziwu refleksem, doszłoby do gorszących rękoczynów. Wszyscy uczniowie gadali z podnieceniem jeden przez drugiego, a ponad tym gwarem wybijał się obrażony wrzask Promienia:

– Zepsuł mi pokaz! Zepsuł mi pokaz! Świnia, zrobił to celowo!

– Wcale nie! – darł się w odpowiedzi oburzony Wężownik. – Mówiłeś, że jak coś będzie nie tak...

– Wszystko szło dobrze, ty kretynie bezmózgi!

– Sam jesteś kretyn! Nie wyglądało, że wszystko idzie prawidłowo! Było zimno!

– Bo miało być zimno! Chciałeś się tu upiec, baranie?!

– Jak ja jestem baran, to ty jesteś...

– CISZA!! – ryknął Mówca, potrząsając Promieniem jak workiem. – Na wieczny Krąg! I to ma być poważne, dojrzałe zachowanie?!

Promień przestał się wyrywać. Reszta uczniów zamilkła.

– Zniszczył mi eksperyment... – wymamrotał jeszcze z goryczą. – Przez niego mi nie wyszło.

– Yh... Prze... praszam – wybąkał zmieszany Wędrowiec. – Wystraszyłem się. Wszędzie się robił lód. – Przesunął palcem po stole. – Właściwie dlaczego lód?

– Świetne pytanie, Wężownik – powiedział Kowal, popychając lekko Promienia ku jego zwykłemu miejscu w kręgu. – Skąd lód? Dlaczego zrobiło się tak zimno? Czy ktoś ma jakiś pomysł? Nie, panie Promień, tym razem niech się wykaże ktoś inny.

Pełna konsternacji cisza przedłużała się, ale w końcu w górę podniosła się ręka, należąca do Iskry o imieniu Gronostaj.

– Zauważyłem, że kiedy coś rozgrzewam, to czasem dokoła robi się



chłodniej – powiedział. – Myślę, że to ciepło, to ono się skupia w jednym miejscu. Tak jakby uciekało z sąsiedztwa i... tam wtedy się robi... zimniej – ciągnął z coraz większą niepewnością. – To pewnie głupie...

– Nie, bardzo dobrze – odpowiedział nauczyciel zachęcającym tonem. – To właśnie nazywamy Prawem Równowagi. Promień skupił w tym kawałku miedzi mnóstwo energii, ale nie mógł wziąć jej z siebie, gdyż pewnie by tego nie przeżył, więc pożyczył ją sobie z okolicy. Tak było, panie Brin-ta-ena?

– Tak było – odburknął Iskra, nadal nadąsany.

– A że pan Brin-ta-ena jest talentem wyjątkowym, więc przepchnął tej energii naprawdę wiele, na tyle dużo, by drastycznie obniżyć temperaturę wszędzie dookoła, jednocześnie podwyższając ją wydajnie w jednym punkcie – na tyle, by stopić metal. Promień, myślę, że to był mimo wszystko bardzo udany i robiący wrażenie pokaz.

Ambitny Iskra spojrział spode łba i machnął ręką. Najwyraźniej potrzebował czasu, by przełknąć porażkę. Połowiczny sukces to nie to, z czym ambitny chłopiec mógł się łatwo pogodzić.



Na rzece Enite, niedaleko brzegu kołysała się na falach niewielka łódka. Siedzący w niej rybak wpatrywał się z konsternacją w ułamany koniec kija, trzymanego w rękę. Kilka minut temu ognista kula spadła z nieba, zniszczyła mu wędkę i z ogromnym pluskiem zniknęła w odmętach, ochlapując go wodą. Zsunął na kark słomiany kapelusz, drapiąc się z zatroskaniem po ciemieniu. Popatrzył na niebo, potem w stronę Zamku na Wyspie, nie mogąc się zdecydować, czy winą obarczać niebiański panteon, czy może bardziej przyziemnych sprawców. W końcu zdjął kapelusz i powiedział z szacunkiem:

– O Matko Świata i Sztormowy Panie, jestem tylko biednym rybakim i nie mam dużo haczyków, a ten zdzierca kowal liczy sobie po gołębiu za jeden. Okażcie łaskę i wynagrodźcie mi stratę dobrym połowem.

Uklonił się i wsadził z powrotem kapelusz na głowę, po czym odwrócił się w stronę Zamku i pogroził pięścią.

– A żeby was zaraza, łachudry jedne. Trzymajta się swego, a na moje nie wlaźta.

Splunął z pasją do wody i zabrał się za nakładanie robaków na zapasowe haczyki.



Oczywiście zastanawiano się, kto zdobędzie w Drugim Kręgu nieoficjalny tytuł mistrza nad mistrzami i okaże się najlepszy niezależnie od kasty. Po cichu robiono zakłady, faworyzując Kamyka, jako obdarzonego talentem, było nie było, ogromnie ekscytującym.

Niespodziewanie okazało się jednak, że wszystkich zakasował Winograd. Bestiar na zapowiedzianą „godzinę chwały” przyniósł swojego ulubionego szczura, starannie wyszczotkowanego, z błękitną kokardą zawiązaną na karku, i przedstawił go z całą powagą jako jedyne w swoim rodzaju wykształconego przedstawiciela kasty „Gryzoni”. Pośród ogólnej wesołości posadził go na dużej karcie papieru pośrodku komnaty i położył przed nim mały kawałek grafitu do pisania. Sam usiadł z boku na podłodze, krzyżując nogi. Z początku nic się nie działo. Szczur kręcił się, węszył, drapał tylną łapą za uchem i próbował zjeść kokardkę. Winograd siedział skupiony, nieruchomy jak posąg. Na twarzach widzów zaczęły się pojawiać kpiące uśmiešky. Tu i ówdzie dały się słyszeć szepty: „Nie, coś ty, nie da rady. Sypnęło mu się coś... Przekombinował...”

Wtem jednak szczur zainteresował się rysikiem. Wziął go w chwytne łapki, wpierw obwąchał starannie, a nawet poskrobał zębami, a potem, ku ogromnemu zdumieniu obecnych, mozolnie zaczął stawiać niezdarne, lecz całkiem czytelne znaki na papierze. Z zapartym tchem i wytrzeszczonymi oczami chłopcy czytali, w miarę jak pojawiał się napis:

„DAJCIE SERA, GŁUPKI.”

Wybuchnął huragan śmiechu. Młodzi magowie zwijali się na swoich miejscach, targani nieopanowanym atakiem wesołości. Nawet Mówca Kowal rechotał basem, ocierając załzawione ze śmiechu oczy.

Niestety, spłoszony szczur zanurkował pod bluzę Winograda i nie dał się już namówić na żadne dalsze popisy. Tak więc teoretyczna „godzina” Winograda trwała bardzo krótko, ale i tak została uznana za najbardziej udaną. Szczura uhonorowano serem, a Winograd w nagrodę otrzymał zaproszenie na wieczór w winiarni ze starszymi magami.



Biblioteka jest miejscem spokojnym i miłym, o ile ktoś lubi przebywanie między regałami przeładowanymi książkami, które jak przykurzone ściany pną się

ku mrocznemu sufitowi, gdzie przędą swą prywatną mitologię kolejne pokolenia pajaków. W dole jednak bywa o wiele przyjemniej. Na wtłoczony między półki stół padało siwe światło z okna – choć na dworze znów lał deszcz, wewnątrz biblioteki było przytulnie i całkiem ciepło. Kiedy opadło już zamieszanie po sprawie Myszki, odszedł Gladiator, a Kowal przeprowadził kilka rozmów z bibliotekarzami, ugłaskane Żółwie stwierdziły, że „jak już te chłopaczyska mają tu broić, to niech to robią za dnia” – w ten sposób władcy zgromadzonego w Zamku Magów księgozbioru łaskawie zezwolili Drugiemu Kręgowi na nieskrępowany dostęp do swych zasobów. No, może prawie nieskrępowany.

Owego ulewnego dnia, który uniemożliwił przebywanie na zewnątrz nawet najbardziej wodoodpornym, w cichym zakątku między półkami zasiedli Kamyk i Nocny Śpiewak. Stworzyciel z lubością bobrował w dziełach poświęconych architekturze, z każdą chwilą coraz bardziej zakurzony, znosił na stół kolejne tomy. Kamyk po stoczeniu niewielkiej bitwy charakterów otrzymał prawo przejrzenia rzeczy nie byle jakiej, bo osobistej kroniki samego Białego Roga! Gdyby Kamyk nie był Kamykiem – osobą o już dość ustalonej reputacji, a na dodatek protegowanym Mistrza Iluzji – pewnie musiałby obejść się smakiem. Dyżurny Strażnik Słów dał się jednak przekonać, tylko co jakiś czas nieufny Żółw wyglądał zza winkła, zupełnie jakby spodziewał się złapać młodego Tkacza Iluzji na jakimś grzechu czytelniczym. Bogini jedna wie, na czym polegającym, może na bazgraniu po marginesach albo wręcz zjadaniu kartek.

Kronika Białego Roga była równie gruba i ciężka, jak ta, którą swego czasu otrzymał Kamyk. Miała też podobne okucia i kłamrę. Karty sygnowane imieniem właściciela: *Biały Róg, syn Fali, z ojca Dębowego, z domu na Kozich Wzgórzach*”. Obecnie te wzgórze nosiły nazwę Wzgórz Iluzyjnych. Jednak o ile swój diariusz chłopiec zapisał już w całkiem pokaźnej części, księgę należącą kiedyś do legendarnego Tkacza Iluzji zapełniono mizernie.

*Nazywam się Biały Róg, mam piętnaście lat i jestem Tkaczem Iluzji. To lepiej, niż być Obserwatorem, bo ludzie nie lubią, jak im zaglądać do głów. A ja mogę wymyślać różne rzeczy i wtedy się nie nudzę. Ten mag, co mnie sprawdzał, a potem dał tę księgę i szarfę, powiedział, że pewnie spełniło się marzenie mojego życia. A to nie jest prawda. Bo najbardziej bym chciał paść kozy na pastwiskach należących do mego ojca. Powiedziałem to człowiekowi Kręgu, a on się śmiał. Nie domyślił się, o co mi chodziło. Jakbym był pasterzem, to by znaczyło, że mogę chodzić i biegać, i mam prawdziwe nogi, a nie takie chude patyki. Ale skoro nie mogę być pasterzem, to muszę być magiem. To też jest jakieś zajęcie.*

Kamyk uniósł brwi w zdumieniu. Biały Róg bez żadnych wątpliwości pisać nie lubił i tej umiejętności sobie nie cenił. Wiele znaków wyrysowanych zostało niewprawnie. Stronice usiano też gdzieś tam czarnymi kwadracikami – wyglądało na to, że właściciel kroniki po zrobieniu błędu starannie i równiutko zamazywał ideogram, by obok napisać go prawidłowo. Kamyk zamyślił się na chwilę. Piętnaście lat... prawie tyle, ile on ma w tej chwili. Jaki był ten kiedyś jego rówieśnik, a obecnie nieżyjący od dawna mężczyzna? Powrócił wzrokiem do zapisków. Małomówny? Pewnie dokładny i staranny. Nudny? Kamyk w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić nijakiego, mdłego Tkacza Iluzji. Co prawda jego doświadczenia jak dotąd obejmowały znajomość tylko dwóch Tkaczy Iluzji. Siebie, rzecz jasna, za nudziarza nie uważał, a do Wiatru Na Szczycie pasowało wiele określeń, spośród których na pewno nie znalazłoby się „nudny”.

Śledząc wzrokiem oszczędne zapisy, chłopiec poznawał historię egzaminu Białego Roga, a potem rozpaczliwej obrony Koziwego Wzgórza. Wiele się domyślał, odczytywał między wersami, gdyż Róg pisał sucho, jakby wstydząc się swego bohaterstwa. Więc tak to się odbyło... Kamyk poczuł się lekko oszołomiony. Żadnych szarż, żadnego wielkiego miasta z tysiącami żołnierzy na murach ani też setek zabitych wrogów. Żadnego wielkiego krwawego widowiska, które tak chętnie stwarza zbiorowa wyobraźnia ludu. Za to był drewniany forcik i dwóch przerażonych chłopców. I ściskająca gardło deklaracja: „Ja cię nigdy nie zostawię”. Kamyk aż sapnął, wytrzeszczając oczy. Wyprostował zgięte plecy i przeczesał palcami rozczochrane włosy. Ta relacja z pierwszej ręki, choć tak oszczędnie sformułowana, zrobiła na nim większe wrażenie niż pompatyczna opowieść spisana przez jakiegoś kronikarza cierpiącego na przerost wyobraźni. Nocny Śpiewak rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

„Interesująca lektura?”

„Nawet bardzo. Idę rozprostować kości” – odparł Kamyk, wstając. Rzeczywiście czuł, że musi się trochę rozruszać. Pod czaszką kłębiło mu się zbyt wiele myśli naraz. Na ścianach biblioteki gęsto wisały portrety zasłużonych magów. Chłopiec przeglądał je już wcześniej, wiedział więc, w jaką okolicę się udać. Z portretu spoglądał na niego mężczyzna w średnim wieku, o pospolitej, niezbyt ciekawej twarzy. Wyglądał na niezadowolonego, może nawet złego i znudzonego pozowaniem, choć portrecista zapewne starał się wygładzić jego rysy i nadać mu jakiś przyjemniejszy wyraz twarzy.

„Nie chciałeś tu być – pomyślał Tkacz Iluzji, mrużąc krytycznie oczy

i przekrzywiając głowę. – Nie lubiłeś Zamku Dłoni, wolałeś swój dom na wzgórzu i pasanie kóz. A jednak ciekawy z ciebie typ. Niecodzienny.”

Kamyk powrócił do zakątka przy nakrapianym mżawką oknie i do lektury. Biały Róg nie używał ozdobnych sformułowań. Pisał prostym, konkretnym, miejscami wręcz brutalnym stylem. Przedstawiał wojnę nie jako pełen chwały pochód mężnych wojowników, lecz brudną pracę – przez jednych wykonywaną dla zysku lub prestiżu, przez drugich (takich jak on) z miłości do ziemi i rodziny. Niemniej i tak wojna oznaczała trupy, krew, cierpienie i lęk. Róg brał udział w ekspansji na północne tereny późniejszej Lengorchii. Jako członek drużyny złożonej z Wędrowców i Obserwatorów pomagał zdobywać miasto Toum, które później przemianowano na Lenenję i ustanowiono stolicą nowego królestwa. Wraz z wojskami ówczesnego króla dotarł do Pierścienia i był świadkiem podpisywania traktatu ze starszyzną czterech hajgońskich plemion. Wojna przyniosła mu sławę i bogactwo, które zdawał się niezbyt cenić. Zwłaszcza sławę. Swoje zasługi opisywał wyjątkowo skąpo, jakby czynił to tylko z obowiązku prowadzenia kroniki, jaki nałożyło na niego prawo Kręgu. Nawet widzenie z samym Skałą Piorunów zbył wyjątkowo krótką notatką. Historia Białego Roga urywała się dość gwałtownie, bez żadnego podsumowania, zajmując zaledwie połowę objętości księgi, podczas gdy inni magowie potrafili w ciągu swej kariery zapełnić takich dwie lub więcej, jeśli byli bardzo czynni, a do tego gadatliwi.

Jako miłą niespodziankę Kamyk uznał znaleziony w kronice wklejony niewielki prostokąt pergaminu, na którym nieznany rysownik nakreślił tuszem portret młodego mężczyzny i chłopca, siedzących obok siebie. Mężczyzna miał niewiarygodnie szerokie ramiona i mocny kark. Proste, czarne włosy spadały mu na czoło i uszy. Kamyk rozpoznał w wizerunku młodszą wersję Białego Roga, o twarzy jeszcze niepoznanej bruzdami, jakie rzeźbią lata. Obok przedstawiono młodzieńca bardzo podobnego do legendarnego Tkacza, lecz za dużego na jego syna. Czyżby to jego brat, Koziółek, wspomniany w diariuszu? Kamyk odwrócił kartę, szukając podpisu, notki, czegokolwiek, co rozjaśniłoby jego niewiedzę. Na kolejnej stronie odczytał – napisane już obcą ręką:

*Biały Róg przejął na Wzgórzach Iluzyjnych posiadłość Widłowa Kotlina, zniszczoną podczas drugiej kampanii Eiminaeri. Odbudowana, służyła mu za siedzibę aż do śmierci, kiedy to ziemię zgodnie z ostatnią wolą Mistrza Iluzji przejął jego bratanek, Korzeń – syn Anajilii, z ojca Koziółka, ze Wzgórz Iluzyjnych.*

A więc tak potoczyły się losy Białego Roga. Ostatecznie dopiął swego – żył, jak chciał i gdzie chciał. W otoczeniu rodziny i przyjaciół, nie mieszając się w sprawę wielkiego świata.

Kamyk zamyślił się. Biały Róg miał zdecydowanie mniejsze ambicje niż talent. Talent w pewnym sensie zmarnowany. Ale z drugiej strony, czy ktokolwiek miał prawo go osądzać? Dał, co mógł, swemu władcy i swoim rodakom, a że jego pragnienia nie sięgały dalej niż do spokojnego życia na prowincji... Biały Róg i tak nie miał łatwego życia. Każdy jego dzień był walką z ograniczeniami ciała. Jednak nie skarżył się na cokolwiek. Czytając między wersami, Kamyk widział, jak wiele w nim kryło się godności i dumy. Miał wrażenie, że polubiłby Białego Roga, gdyby Los pozwolił im się spotkać.

„A właściwie czego ja chcę w życiu?” – spytał sam siebie po lekturze.

„Błękit to władza, bogactwo... Zastanów się, czy na pewno to jest to, czego naprawdę pragniesz.” – Kamyk przypominał sobie przekaz Słonego.

Biały Róg wiedział, czego chce. Czego chciał on – Kamyk? Czy wygodnego życia w Zamku? Łatwego spełniania zachcianek? A czego oczekiwał od niego Krąg w zamian za swe łaski? Lojalności, wdzięczności i posłuszeństwa? Zapewne wszystkich trzech rzeczy, z naciskiem na posłuszeństwo. Kamyka nawiedziło niejasne przeczucie, że jego osobiste interesy nie muszą pozostawać we wszystkim zbieżne z interesami Kręgu.



Nocny Śpiewak absolutnie nielegalnie wspinał się na półki, usiłując dosięgnąć najwyższych, najbardziej interesujących (i również najbardziej zakurzonych) woluminów. Po drabinę iść mu się nie chciało. Była ciężka, a poza tym musiały z nią przedefilować obok dyżurnego Żółwia, który z całą pewnością zacząłby się czepiać: a po co? a na co? Któż wie, do jakich niecnych czynów mogłaby posłużyć drabinka biblioteczna, gdyby dostała się w łapy tak niepoczytalnego monstrum jak Nocny Śpiewak, czyż nie?

Chłopak wspiął się na palce, czepiając się jedną ręką półki, a drugą sięgając jak najwyżej, by podważyć końcami palców interesujący go tom, ściśle wpasowany między sąsiednie.

„Żebym... tak... był... tro... chę... wyż-szy... – Księga wysunęła się ze swego gniazda, zaczepiając okuciami o książkę obok. Dłoń Stworzyciela z tryumfem zacisnęła się na sfatygowanym grzbiecie. – Mam cię!”

W tej chwili stara listwa, w którą Śpiewak był wczepiony lewą ręką, nie wytrzymała i pękła z suchym trzaskiem.

„O kurwa...”, przemknęło przez myśl chłopakowi, który właśnie leciał na nieuchronne spotkanie z twardą posadzką. Za nim runęła niewielka lawina literatury, spadając z łomotem na niego, jak również na podłogę dokoła. Śpiewak leżał przez kilka sekund nieruchomo, zastanawiając się, czy ma jeszcze całe kości. Przed oczami wirowała mu zasłona srebrnych pyłków, za którymi majaczyła zaniepokojona fizjonomia Kamyka. A w sali odbijały się lekkim echem kroki zbliżającego się bibliotekarza. Młody Stworzyciel zerwał się rześko, jakby nigdy z niczego nie spadł i w panice zaczął układać na stole porozrzucane woluminy. Kamyk nie zadawał pytań, natychmiast idąc koledze z pomocą.

Kiedy zaniepokojony Żółw nadszedł, szczątki listwy zostały już bezpiecznie upchnięte pod regałem, a obaj chłopcy siedzieli przy stole obłożeni stosami książek.

– Co to za hałas? – zapytał Strażnik Słów podejrzliwie.

Śpiewak uniósł głowę znad lektury, tocząc wokoło wzrokiem z mistrzowsko udawanym roztargnieniem.

– Hałas? Jaki hałas? Nic nie słyszałem.

– Ja słyszałem!

– Och...? To chyba gdzieś na zewnątrz. Kamyk, słyszałeś coś?

Głuchy Tkacz Iluzji nawet nie podniósł głowy. Śpiewak rozłożył ręce.

– On też nic nie słyszał.

Bibliotekarz wycofał się z kwaśną miną, obrzucając dowcipnisią wzrokiem pełnym nagany. Gdy tylko zniknął z widoku, niewinny uśmiech Śpiewaka przemienił się w bolesny grymas. Z cichutkim jękiem pomacał plecy.

„Ożeż zaraza i pryszcz... Czuję się jak worek z grochem. Jak mnie rozetniesz, to mi się ze środka wszystkie kosteczki wysypią.”

„Czy przynajmniej ryzyko się opłacało? – zapytał Kamyk, szacując spojrzeniem stosik książek. – Mały włos i długo byś tu nie miał wstępu.”

„Zobaczmy, co my tu mamy. – Śpiewak zaczął przeglądać zdobycz. – *Pszyposobienie słuszby w domye pszyzwoitem* – dziękuję, nie skorzystam. *Żywoty błogosławionych...*? I ja dla t e g o ryzykowałem życie?”

Następny tom nie był właściwie książką, lecz niepozornym plikiem luźnych kartek, ściśniętym między bardzo sfatygowanymi okładkami, które zostały okręcone po wierzchu sznurkiem. Skrzywiony Śpiewak już miał odłożyć tę paczkę, lecz ostatecznie zdecydował się zajrzeć do środka, gdyż na pociemniałej

ze starości skórze okładki dostrzegł wytłoczony znak Kręgu i Płomienia, z którego niemal bez śladu wytarły się złocenia. Rozplątał sznurek, otworzył i zamarł w szoku. Na pierwszej stronicy ktoś niedbale wymalował cienkim pędzelkiem kilka znaków. Tusz musiał być bardzo dobrej jakości, gdyż nie zrudział z upływem czasu.

„*Buron Stworzyciel – syn Sowy i Targana*” – Bogini... – wyszeptał Śpiewak, podnosząc kartę i czując, jak po całym ciele zaczynają mu biegać mrówki.

*Co się stało?* – spytał Kamyk, obserwując towarzysza. Śpiewak bez słowa podał mu kartkę. Pod nią leżała kolejna karta, chyba bardzo stara, gdyż papier wystrzępił się trochę na brzegach, choć nadal pozostał biały – najwyraźniej właściciel nie skąpił na dobry surowiec. Stronicę pokrywał maczek drobnego pisma. Gdzieniedzie widniały skreślenia i krzywo dopisane komentarze. Śpiewak przeglądał znalezione zapiski z rosnącym wciąż przejęciem, a jednocześnie z lekkim niedowierzaniem. Czym dla Tkaczy Iluzji był Biały Róg, tym dla wszystkich Stworzycieli – Buron. Z tą różnicą, że po Rogu została, skąpa bo skąpa, ale jednak spuścizna w postaci autentycznego pamiętnika i licznych zapisów historycznych w kronikach wielkiej wojny, natomiast niemal wszystkie prace Burona spłonęły w pożarze, w którym stracił życie również sam mag. Po bibliotekach krążyły jedynie ocalałe od pogromu kopie smętnych pozostałości Buronowego dorobku. A tutaj pamiętnik legendarnego maga sprzed prawie czterech wieków, skarb wręcz niewyobrażalny spada Śpiewakowi dosłownie na głowę! To wydawało się snem, złudą, to było chyba niemożliwe...!

Nocny Śpiewak wodził palcami po stronicach zapisanych starodawnym krojem pisma.

„Matko Świata! Kamyk, on przecież zginął w pożarze! Jego kronika spłonęła, ale to muszą być NOTATKI NA BRUDNO!”

Kamyk z przejęciem kiwał głową.

„I to tak po prostu leżało tutaj na półce? Są przecież ludzie, którzy daliby sobie za to rękę uciąć. Myślisz, że nikt do tego nie zaglądał przez te wszystkie lata?”

„To możliwe, nie jest podpisane na wierzchu i właściwie wygląda jak coś do wyrzucenia. Na dodatek tkwiło tak wysoko, że gdybym sobie nie ściągnął go na łeb, nadal by tam leżało. Zaraz zacznę czytać i nie przerwę, aż skończę. Choćby przez całą noc.”

Kamyk był sceptyczny.

„O zmierzchu nas stąd wyproszą, a do zachodu słońca już całkiem



niedaleko.”

„To zabiorę ze sobą!”

Tkacz Iluzji wzruszył ramionami.

„Uważasz, że cię Żółwie stąd wypuszczą z takim skarbem?” – zauważył trzeźwo.

Nocny Śpiewak przygarbił się, jakby uszło z niego powietrze.

„No... nie”.

„Dawaj to.” – Kamyk nagle się zdecydował. Stanowczymi ruchami zapakował domniemane zapiski Burona z powrotem w wyszmelcowane okładki, po czym upchnął pod bluzą. Pakiet był gruby i wyraźnie odznaczał się pod ubraniem. Do czasu. Wystarczyła odrobina wysiłku Tkacza Iluzji, a jego wygląd przestał w jakikolwiek sposób odbiegać od normy. Przesadnie uprzejmym gestem wskazał Śpiewakowi prześwit między regałami.

*Pan idzie przodem i odwraca uwagę, a unizony sługa idzie z tyłu i niesie pański bagaż. Proszę.*

„Kamyk, czy ja cię zdemoralizowałem?”

„Tak. Okrutnie.”

Bibliotekarz raczący się lekturą w pobliżu drzwi z niejakim zdziwieniem spostrzegł, że młodzi goście wychodzą.

– Już? Myślałem, że roboty macie jeszcze na parę godzin.

– Zgłodnieliśmy – wyjaśnił Śpiewak, szczerząc obłudnie zęby, choć z wrażenia ugiwały mu się kolana. – Eeee... Trochę nabałaganiliśmy. Nie pamiętam, gdzie które książki stały.

– Mało lat – dużo miejsca w brzuchu – mruknął Strażnik Słów, machając ręką, jakby oganiał się od much. – Żebyś ty kiedy drogę do kuchni zapomniał, ale nie ma obaw. Kysz. Sam poukładałam.

– Dzięki, Mistrzu!

Chłopcy oddalili się z niebezpiecznego rejonu.



Rankiem Kamyk bez szczególnego zdziwienia zobaczył na sąsiednim łóżku rozbrajający obrazek: Śpiewak, całkowicie ubrany, tulił do piersi notatki Burona Stworzyciela, czułym gestem, jakim dziewczynki zwykle przytulają swe szmaciane lalki. Tkacz Iluzji zaśmiał się głośno, ale to nie obudziło pogrążonego w kamiennym śnie maga. Dopiero rzucony celnie but sprawił, że Śpiewak zaczął

się poruszać, wypływając powolutku z sennych odmętów. Ziewnął przeraźliwie i natychmiast przypomniał sobie o swym skarbie, oglądając go, jakby sprawdzał, czy przypadkiem miniony wieczór i noc spędzona na czytaniu nie była jednak snem.

*Przeczytałeś całość?* – zapytał Kamyk.

„Przeczytałem.”

„Myślisz że to jest prawdziwa kronika Burona?”

„Dużo na to wskazuje. – Śpiewak z uczuciem pogłaskał okładkę. – Są tu kawałki dotyczące pracy nad mózgiem i siecią nerwową.”

„Teraz musisz to odnieść z powrotem Żółwiom.”

Śpiewak zrobił minę czterolatka zagrożonego przez złodzieja cukierków.

– Nieeeee... „Nie rób mi tego!”

„Co ja robię? Ja nic nie robię. Chcesz zatrzymać te zapisy tylko dla siebie? Zawsze myślałem, że lubisz się dzielić – zauważył Kamyk. – Przecież Żółwie muszą to skierować do kopiarni, żeby i inni skorzystali.”

Choć z bólem serca, Śpiewak nie mógł się z nim nie zgodzić. Zatrzymanie odnalezionego skarbu tylko dla siebie byłoby szczytem egoizmu.

Nocny Śpiewak jeszcze raz zajrzał do drogocennej teczki.

„Wiesz, właściwie to nieprzyjemny typ. Bardzo zdolny. Piekielnie inteligentny, ale obrzydliwie cyniczny. Nie bardzo mi się podobały niektóre jego komentarze.”

„Jakie?” – zainteresował się jego kolega.

Śpiewak posmutniał.

„Buron był jakiś taki bezlitosny. Ogólnie. Na przykład pisał, jak obdzierać zwierzę ze skóry i odsłaniać nerwy do obserwacji. Żywcem. To wstrętne. Albo w innym miejscu opowiadał o dwóch ludziach umierających na tę samą chorobę. Jednego leczył, a drugiego nie i porównywał. Mądry, wykształcony, ale przy tym zimny jak wąż.”

„Co za szczęście, że już nie żyje” – skomentował sucho Kamyk.



Jeśli Śpiewak spodziewał się pochwał za swoje odkrycie, to spotkało go rozczarowanie. Bibliotekarze przyjęli stare notatki bez zbędnych komentarzy, a nawet z pewną nieufnością, jakby uważali, że zostały sfalszowane. Młody Stworzyciel uzyskał dość zdawkowe podziękowanie, ale poza sztywną (a nawet

niewielką protekcjonalną) uprzejmością nie doczekał się niczego więcej. Żółwie obiecały przekazać materiały do wewnętrznego badania, a potem ewentualnie do kopiarni, jeśli tak zadecyduje zarząd. No cóż... może to i lepiej.

Minęło jednak parę dni i nic się w tej materii nowego nie wydarzyło. Śpiewak spodziewał się chociażby kilku pytań, typu: gdzie TO znalazł, na którym regale, czy może zauważył tam coś więcej? Ewentualnie postawionego wprost oskarżenia, że własnoręcznie spreparował te dokumenty – dla żartu bądź ze spodziewanej chęci zysku... wszystko jedno. A tu – głucha cisza.

W końcu wybrał się do zamkowej biblioteki specjalnie po to, by spytać, co się dzieje z jego znaleziskiem.

Wrócił milczący, z miną tak dziwną, że widać to było nawet przez zasłonę sierści. Jadł kolację wraz z innymi, nie odzywając się zupełnie, co tak bardzo do niego nie pasowało, że zwrócił na siebie powszechną uwagę. Każdy (i nie tylko) z magów czytających myśli i nastroje, widział, że pod zewnętrzną powłoką milczenia aż się gotuje i byle co może wprowadzić go w stan, kiedy rzuca się krzesłami. Kamyk obserwował przyjaciela z niepokojem, ale nie zaczepiał, odkładając pytania na wieczór. Wreszcie Stworzyciela odważył się zagadnąć Koniec.

„Co jest? Masz kłopoty? Potrzebujesz pomocy?”

Śpiewak łypnął ponuro znad talerza. Przez dłuższą chwilę wahał się, ale spokojne, mądre oczy Mówcy nie odrywały się od jego twarzy. Koniec czekał cierpliwie.

„Zajrzyj do nas później wieczorem. To jest na dłuższe gadanie” – przekazał wreszcie Śpiewak i zajął się na nowo swoją porcją ryby.

Zaintrygowany Mówca oczywiście skwapliwie skorzystał z zaproszenia. A w przytulnej, zabałaganionej norce zajmowanej przez Stworzyciela i Tkacza Iluzji dowiedział się rzeczy zdumiewających i wstrząsających.

– I rozumiesz, poszedłem się dowiedzieć, co się dalej z tym stało, i wtedy mi odpowiedzieli, że nic nie wiedzą. Nic! Niczego nie dostali, niczego do rąk im nie dałem! – ciągnął Śpiewak, piniąc się ze złości. – Kłamali, rzecz jasna, bo rozpoznałem tego, z którym rozmawiałem onegdaj. Jeszcze mi się nic nie rzuciło ani na rozum, ani na oczy tym bardziej. Zacząłem naciskać, to mnie wyrzucili z biblioteki.

– Wyrzu...

– Prawie – skorygował Śpiewak. – Zostałem wyproszony, wyjątkowo oziębłe.

– A nie próbowałeś im myśli wyczesać?

Stworzyciel nadął się lekko.

– Za kogo mnie masz? Jasne, że czesałem, i tylko dlatego dowiedziałem się czegoś ciekawego. Kronika Burona została ukryta.

– Gdzie?

– Przekaz nie był klarowny, zaledwie mgnienie. Jakieś... ukryte miejsce, tajne miejsce... coś niedostępnego. Nie kopiarnia, nie biblioteka, coś innego. Rozumiesz, gdyby mi powiedzieli, że właśnie czytają albo że przekazali jakiemuś specjalście poza Zamek... Gdyby wymyślili jakąś gładką bajkę, to może bym to połknął jak leszcz i poszedł. Ale usiłowali mi wmówić, że te notatki w ogóle nie istnieją. Potem zaczęli kręcić, że widocznie się pomyliłem i przyniosłem im jakieś bezwartościowe śmieci. Ogólnie wili się jak glisty na patelni.

– Pewnie ich zaskoczyłeś i nie mieli czasu wymyślić nic sensownego.

– Pewnie tak. Ignoranci. Ja lepiej kłamię nawet przez sen – oświadczył Śpiewak z pogardą.

Koniec roześmiał się.

– Nie wątpię. I co teraz?

– Teraz mam zamiar wyszperać tę ich skrytkę i zabrać to, co mi się należy. – Śpiewak wyprostował się godnie.

– A na pewno ci się to należy? – zapytał Koniec z powątpiewaniem.

Nocny Śpiewak nie odpowiedział, obrócił się do Kamyka, który do tej pory na pozór całkiem spokojnie zszywał swoją koszulę, w której puścił szew.

„Opowiesz mu o Jaszczurze?”

Tkacz Iluzji kiwnął głową twierdząco i wpiął igłę w płótno.

*Zaczęło się od trzęsienia ziemi, które odsłoniło wejście do starego tunelu. Znalazł je Pożeracz Chmur i namówił mnie do zbadania podziemi...*

To był wieczór wielkich niespodzianek. Koniec wysłuchał, a raczej odczytał historię odkrycia ukrytej biblioteki, a także dowiedział się o planach Słonego i jego braku zaufania do Strażników Słów Kręgu, co, ku przykrości młodego Mówcy, właśnie znalazło potwierdzenie w historii Nocnego Śpiewaka i jego znaleziska.

– Dlaczego to robią? – spytał w zamyśleniu i zaraz sam sobie odpowiedział:

– Bo wiedza to władza. A im mniej ludzi dzieli władzę, tym więcej jej mają dla siebie. W tych bazgrołach Burona musiało być coś, co wydawało im się niebezpieczne.

– Pchasz palce między drzwi, Śpiewak – dodał.

Kudłaty mag wzruszył ramionami.

– A bo to pierwszy raz?

– Będziesz potrzebował pomocy.

– Kamyk mi pomoże.

Koniec uśmiechnął się lekko.

– Tobie są potrzebni ludzie z otwartą głową i umiejętnościami przynajmniej Obserwatora, żeby grzebać w głowach Żółwiom. I bezpieczniej, żebyś nie robił tego tylko ty, a więc... – Mówca wyciągnął rękę do Stworzyciela. – Jestem do usług.



Pomoc Końca polegała nie tylko na dyskretnej obserwacji biblioteki, ale także na pozyskaniu do niewielkiej drużyny jeszcze jednego spiskowca. Ku konsternacji Kamyka i Śpiewaka okazał się nim Obserwator Gryf, który nie zdobył tytułu pierwszego zawiadacza, birbanta i niewyparzonej gęby Zamku Dłoni tylko dlatego, że tę pozycję od dawna piastował sam Nocny Śpiewak. Gryf nie należał do tak zwanych grzecznych chłopców i z pewnością nie zdradziłby towarzyszy starszyźnie. Koniec uciął jałowy spór w prosty sposób.

– Mieszkam w jednej izbie z jednym z najlepszych Obserwatorów w okolicy. Jak myślicie, ile by potrwało, nimby się zorientował, że coś z wami kombinuję?

Trudno było się z tym nie zgodzić. Od Gryfa odebrano więc uroczystą przysięgę, że „nie otworzy dzioba do obcych”, jeśli nie chce „znaleźć własnych uszu na tyłku”.

Akcja szpiegowska, prowadzona wspólnym wysiłkiem trzech „czytaczy myśli” i jednego „iluzjonisty” przyniosła mierne rezultaty w postaci informacji, że tajny magazyn Żółwi istotnie znajduje się gdzieś w Zamku. Miało to wszelkie znamiona prawdopodobieństwa – z pewnością zachłanne papieroluby nie zniosłyby myśli, że ich drogocenne zbiory są daleko od nich. Ale gdzie mógł się znajdować ów tajny skarbiec Strażników Słów?

I tu w sukurs przysłała pasja Nocnego Śpiewaka.

Śpiewak, praktycznie wychowany w Zamku, znał go jak własną kieszeń. Poza tym Stworzyciel, od dzieciństwa ogarnięty pasją architektoniczną, już od dawna z upodobaniem rysował i gromadził plany Zamku. Wszystkie spoczywały bezpiecznie w skrzyni: od tych kreślonych jeszcze niewprawną ręką

dziecka, aż do najnowszych, wypieszczonych rzutów poziomych i pionowych, wraz z dołączonymi opisami i wymiarami. Tak więc domorosły inżynier wyciągnął swoje papiery i zaczął mozolne analizy. W grę wchodziło prawdopodobnie całkiem spore pomieszczenie, wypełnione książkami. Nie jakaś komórka, raczej komnata.

Od razu należało wykluczyć rejon pomieszczeń dla służby, stajnie i temu podobne miejsca. To samo dotyczyło sal położonych blisko kuchni i łaźni, ze względu na wilgoć.

– Jeśli ten zbiór został zakonserwowany jak tamten z Jaszczura, to może być nawet zatopiony w wychodku – zauważył Gryf drwiąco. – Będziesz wyławiał?

– Nie, wyślę ciebie – odgryzł się Śpiewak, niezadowolony, gdyż analiza rysunków jak na razie nic nie dawała. – A jak się okaże, że to w lochach, to cię wyślę z łopatą.

– Jestem stworzony do wyższych celów, mistrzuniu.

– Czyżby do wyrobu drabin?

Zasoby Nocnego Śpiewaka nie zawierały wszystkiego. Wieża Centralna – serce Zamku – najtrudniejsza do opracowania również dlatego, że starsi nie lubili, gdy kręciła się tam „smarkateria”, wciąż miała postać niekompletnego szkicu. Podobnie z Wieżą Południową i paroma innymi budynkami, jak na przykład miejscowy lazaret.

Większość magów znała zainteresowania Nocnego Śpiewaka, więc nikogo nie dziwił widok kosmatego Stworzyciela bazgrzącego pracowicie na kawałkach pergaminu i porozkładanych wokół przyrządów do pomiarów wysokości, lunet i taśm mierniczych. Wszyscy patrzyli na te manipulacje przychylnym okiem, słusznie uważając, że jest to o wiele pożyteczniejsze zajęcie niż bałamucenie miejscowych dziewczyn lub nadużywanie trunków.

Po namyśle ostrożny i przewidujący Koniec zaproponował, żeby już na zapas zwerbować do grupy poszukiwawczej Wędrowca. Kto wie, czy nie zajdzie potrzeba dostania się w jakieś odizolowane, trudno dostępne miejsce? Pomysł od razu został zaaprobowany przez resztę, wahano się tylko między kandydaturą Wężownika i Myszki. Pierwszy z nich był starszy i dojrzały, ale za to Myszka już dał dowody w gruncie rzeczy niepokornego ducha. Ostatecznie to właśnie on jako pierwszy zaczął włamywać się do Żółwiowego sanktuarium. To przeważało szalę. Co zaskakujące, mały Wędrowiec zgodził się na wszystko natychmiast, niemal bez namysłu, za to postawił warunek, że do tajemnicy muszą dopuścić również jego współlokatora, czyli Mówcę Zwierząt Winograda. W sumie to żądanie wydawało się nawet dość logiczne – żyjąc razem w jednej

izbie nader trudno jest ukryć cokolwiek przed sąsiadem. W ten sposób liczba poszukiwaczy urosła do sześciu i uznano, że na razie to wystarczy aż nadto.

Chłopcy z niecierpliwością oczekiwali rezultatów pracy Śpiewaka, lecz dni mijały, a w zamkowej architekturze nie udało mu się doszukać niczego podejrzanego. Sam Śpiewak zaczął wątpić w sens tych poszukiwań. Mieli bardzo wątpliwe podstawy do swoich podejrzeń. Może zwyczajnie nabili sobie głowy nierealnymi fantazjami? Czy to w ogóle miało sens?



Tymczasem nad Zamkiem Magów wybuchł wiosenny gejzer ciepła, słońca i kwiatów. Kamyka – do niedawna mieszkańca chłodniejszych rejonów na północy kraju – zaskoczyło wcześniejsze nadejście ciepłej pory roku. W Żmijowych Pagórkach w tym czasie jeszcze woda stała wysoko, a noce nadal były zimne.

*W ogrodach rozkwitają pienniki, wyglądają z daleka jak pęczki białych piórek, poprzyklejane do gałązek. Na krzewach różanych zawiązują się pąki. Na trawnikach podnoszą różowe głowy stokrotki samosiejki. Widziałem też cienkie pędy węzowców, ale tutaj noszą nazwę „dusznych nici”, bo miejscowi wierzą, że to duchy ludzi, których ciała nie zostały oczyszczone w ogniu, tylko oddane ziemi, i chcą się spod niej wydostać. Ci południowcy są chyba trochę stuknięci.*

*W Zamku wiosenne porządki. Nie, żeby było tu brudno na co dzień, ale teraz służba szoruje wszystko, co tylko się da. Jeszcze trochę, a zaczną chyba wyciągać cegły z murów i je przecierać ścierką, każdą osobno. Wszędzie trzepie się z kurzu kobierce i gobeliny, wywiesza materace do wietrzenia. Płaszczce, ciepłe bluzy i zimowe buty powędrowały do skrzyń. Na światło dzienne wydostały się płócienne tuniki, wzorzyste pończochy i sandały. Wiosna w pełni. Chociaż lekcje są nadal tak samo ciekawe, jakoś chęć do nauki w nas osłabła. Znowu gramy w piłkę na błoniach Podzamcza, a Wężownik coraz częściej namawia kolegów na wyprawy na ryby, a ja więcej niż poprzednio (bo pogoda wciąż sprzyja) fechtuję się z Wiatrem Na Szczybie. Tylko już po skończonych ćwiczeniach nie idę razem z nim do łaźni, żeby się umyć. Od kiedy uświadomiłem sobie jego pre-fe-ren-cje (to było trudne do napisania), wolę się przy nim nie rozbierać. Po prostu niepokoi mnie to, co może o mnie myśleć – nawet jeśli wzrok ma całkiem niewinny, nawet jeśli dotyka mnie przypadkiem, powraca ten*

*fatalny moment w jego kwaterze. Przez własną głupotę wpakowałem się w taką niewygodną sytuację, a Nocny Śpiewak dołożył swoje.*

*Zresztą teraz i tak nie mam czasu na rozmyślania akurat o tym, bo Śpiewak w końcu odkrył tę swoją tajną bibliotekę Żółwi i szaleje z podniecenia.*

*Wieża Południowa. To zakrawa na żart – widzimy ją z okna. Mamy ją cały czas pod nosem.*

*Większości wydaje się, że najstarszą budowlą Zamku jest Wieża Centralna, ale to nieprawda. W rzeczywistości to Wieża Południowa jest najstarsza. Obmierzenie i rozrysowanie całej wieży to robota straszliwa, zwłaszcza gdy nie ma się dostępu do wszystkich pomieszczeń, ale z pomocą Myszki Śpiewak jakoś sobie poradził. Najniżej położona jest znana mi już sala zgromadzeń, na drugim poziomie mieszczą się komnaty zajmowane przez rodzinę zarządcy, wyżej dużo różnych pracowni. Na czwartej kondygnacji to samo, a nad nimi powinny już być strychy. Oto co wyłożył mi Śpiewak: sala zgromadzeń ma sześć pik wysokości, potem następują trzy piętra, gdzie od posadzki do stropu są cztery piki, potem jeden poziom na niecałe dwie piki. Wysokość wieży od zewnątrz to według tego zwariowanego mierniczego dokładnie dwadzieścia pięć pik, trzy i pół kroku oraz dwa łokcie. Do tego trzeba doliczyć dach i jakieś legary. Co to jest legara? Połowy tych jego wyliczeń nie rozumiem, jestem naprawdę fatalny w rachunkach. Najważniejsze jest to, że różnica między środkiem a wierzchem wynosi prawie trzy piki na korzyść wierzchu, a to naprawdę sporo i nie da się tego zrzucić na żadne architekture odchylenia. A to może oznaczać tylko jedno.*



– Tam jest jeszcze jedno piętro! – oświadczył Nocny Śpiewak, tocząc tryumfalnym spojrzeniem po zebranych chłopcach.

– I nikt się przez te wszystkie lata nie połapał? – zdumiał się Myszka, który z wrażenia dostał wypieków.

– Wieża jest taka wielgachna, że te trzy piki w ogóle gdzieś giną. Komu zresztą chciałoby się to mierzyć? Chyba tylko takiemu wariatowi jak ja.

Nocny Śpiewak ustawił w szerokim wykuszu okiennym stojak z lunetą, przez którą wszyscy mogli dokładnie obejrzeć interesującą ich budowlę. Rozmiary miała zaiste imponujące – nawet w stolicy nie znalazłoby się gmachów porównywalnej wysokości, a i wieża centralna była wyższa



od południowej zaledwie o dwie piki, wliczając w to szpic wieńczący kopułę.

*Jak się tam można dostać?* – Kamyk zadał to fundamentalne pytanie, patrząc przez szkło. Mury wieży w pewnych partiach były zupełnie jednolite, w innych miały niewielkie otwory okienne, które z daleka sprawiały wrażenie strzelnic, lecz po dokładniejszym przyjrzeniu dostrzegało się błysk szkła okiennego. Z powodu wysokości i grubości murów okien nie wybito dużo, a niektóre pomieszczenia musiały się w ogóle bez nich obejść. Jak twierdził Śpiewak, czy zimą, czy latem w wieżach zawsze panował chłód i półmrok. Pokoje zarządcy, choć położone w tak prestiżowym miejscu, wcale nie przedstawiały się zbyt komfortowo.

„Ze strychów nie ma wejścia. Sprawdziłem. Jednolite ściany. Kamień na zewnętrznych i cegła na działowych. Grubość wahająca się od kroku do dwóch dłoni. Strop położony na legarach, dębowe dechy” – wyjaśnił Śpiewak, jednocześnie to samo powtarzając głośno na użytek słyszających kolegów.

„Jakieś ukryte przejście?”

„Nie ma.”

„Na pewno nie ma?”

„Jak mówię, że nie ma, to nie ma. Jestem Stworzycielem, czy nie?”

„Jesteś. I najlepszym architektem, jakiego znam.”

„Dużo ich znasz?”

„Tylko ciebie.”

*Zrobić dziurę w stropie?* – zaproponował Kamyk, ale z jego miny można było poznać, że sam nie jest przekonany do tego pomysłu.

„Jak myślisz, jak długo by potrwało, nim Żółwie by zauważyły tę dziurę?” – odpowiedział Śpiewak pytaniem na pytanie.

*Czyli od góry nic. A jak to wygląda od dołu?*

„Od dołu nijak. Tam są pracownie astronomów, ekonomów, a pewnie jeszcze gastronomów, autonomów i różnych innych nomów. Jeśli nawet prowadzą stamtąd jakieś schody na górę, to nie da się tamtędy wejść, bo z tych sal korzysta dużo ludzi i zawsze ktoś tam jest, nawet w nocy.”

*Wygląda na to, że mogą się tam dostać wyłącznie Wędrowcy...*

Oczy wszystkich zwróciły się na Myszkę, który zaczął kręcić się niespokojnie.

– Eee... ja miałbym tam skoczyć?

– Jesteś Wędrowcem? – zapytał surowo Gryf.

– Eee, no tak, ale...

– No to o czym mówimy?

Niespodzianie mały Wędrowiec zbuntował się.

– Chcesz mnie tam wysłać na ślepo? Bez żadnych wyliczeń, bez koordynatów?

– Co to jest, ten kawałek...?

– Głupi jesteś! – krzyknął Myszka, trzęsąc się i zacinając ze zdenerwowania.

– Sam sobie sk-kacz, ty... Ja tam mogę trafić na jakieś belki, na k-kolumny.

Nie można mu było odmówić słuszności.

– Myszo, nie bądź taki nieużyty. Naprawdę, jak jakiś... arystokrata. – W pojęciu Śpiewaka już samo bycie szlachcicem było czymś zdrożnym. – Zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz. Choćby sorbet z białych winogron. Całą miskę, tylko dla ciebie. Co tam miskę, wannę – kusił Stworzyciel. – A kolumny czy inne podpory to przecież wiem, gdzie się znajdują.

Sorbet był wykwintnym deserem z lodu, owoców i miodu. Lód sprowadzano aż z gór Igielnych, więc łatwo zgadnąć, że nawet w Zamku Magów podawano go tylko od wielkiego święta.

– Mam r-ryzykować życie dla deseru?! – wybuchnął Myszka z autentycznym oburzeniem. – Mogę zg-ginać nawet dlatego, że wyjdę z międzyświata akurat tam g-gdzie jest szafa z książkami! Szafy też umiesz przewidzieć? Przewodnik Snów za pół miedziaka! Z-zabity szafą – na urnie mi to napiszesz?!

– Nie poznaję tej Myszy – rzekł Koniec w zadumie. – Pyskaty się zrobił niemożliwie.

– Cicho, nie kłócić się – odezwał się z niesmakiem milczący dotąd Winograd. Stał przy oknie, to wyglądając na zewnątrz, to obserwując rozwój sytuacji w środku. – Myszka ma rację. Nie możemy go tak narażać. Cierpliwości, panowie. Musimy mieć narysowaną przynajmniej prowizoryczną mapkę tego pomieszczenia.

Przerwał na chwilę, zastanawiając się nad czymś.

– Koniec, Gryf, czy teraz w tej wieży ktoś jest?

– W pracowniach na pewno – mruknął Gryf, kierując wzrok na okno. – A wyżej...

– Wyżej nie ma nikogo. Dziura mentalna – dokończył Mówca stanowczo.

– Możliwe, że tam w ogóle rzadko ktokolwiek wchodzi – wysunął przypuszczenie Śpiewak. – Można czekać do usranej śmierci, i się nie doczekać. Albo przegapić akurat ten moment, kiedy jakiś Żółw tam wlezie.

– Mhmmmm... – mruknął Winograd z namysłem, po czym wystawił rękę

za okno. Już po chwili na jego przegubie siedział jeden z wielu gołębi gnieżdżących się na gzymsach i w załomach murów. Bestiar pogłaskał szare pióra ptaka, a na jego lisią twarz wypłynął znajomy wyraz oddalenia. Niewątpliwie właśnie łączył się z jaźnią ptaka.

Posadził gołębia na lunecie, a sam usiadł na podłodze, krzyżując nogi i kładąc ręce na kolanach. Przymknął oczy. Reszta magów obserwowała go w milczeniu.

Gołąb odleciał. Trzepocąca się szara plamka pomknęła w stronę wieży. Przez lunetę było widać, jak ptak ląduje kolejno w wąskich wykuszach okiennych. Potem zniknął za węglem.

Winograd marszczył brwi, drgały mu powieki, poruszały się lekko dłonie, jakby chciał naśladować ruchy skrzydeł ptaka. Wtem Twarz Bestiara rozjaśniła się w wyrazie radosnego niedowierzania. Chłopcy w napięciu śledzili wyraz jego twarzy, na której odbijały się: wesołość, zdumienie, namysł, lekki niepokój... Potem znów uśmiech... W końcu, po dłuższym czasie, na nowo przybrała maskę skupienia.

– Za chwilę wróci – szepnął cicho Myszka.

Nagle twarz Winograda wykrzywiła się w grymasie przerażenia. Szarpnął się gwałtownie do tyłu, waląc głową w podłogę. Ciało chłopca wygięło się w okropnym spazmie, aż przez chwilę opierał się wyłącznie na czubku głowy i piętach. Ręce wyrzucił przed siebie w obronnym geście. Zanim jednak wystraszeni przyjaciele pospieszyli na pomoc, już było po wszystkim. Bestiar rozluźnił mięśnie, opadł na podłogę i otworzył oczy, tocząc dokoła półprzytomnym spojrzeniem.

– Co się stało?!

– G-gołapf... aaoa... – jęknął wstrząśnięty Winograd, dotykając ust. – Ugrysem sief jensyk. Jascomp go chyba dorwau.

– Język??

– Gupis! Gouembia – wybełkotał Bestiar z nieszczęśliwą miną. – M-matko, to byuo strafne...!

Jak się okazało, powracający ze swej misji wywiadowczej gołąb wpadł w szpony jastrzębia. Chociaż dachy i rozmaite zakamarki Zamku były krainą szczęścia dla gołębi, naturalną koleją rzeczy zwabiały również drapieżne ptactwo. W ten sposób gołąb zakończył życie, a Winograd w pewnym sensie „zginął” razem z nim. Miał rzeczywiście okropnego pecha. Oczywiście, jastrzębie żywiły się drobniejszym ptactwem od zarania dziejów – jak najbardziej naturalna rzecz. Ale to nie stanowiło wielkiej pociechy dla Bestiara,

który zwierzęta traktował jak osobistych przyjaciół – wiecznie rozdarty pomiędzy litością dla maluczkich a współczuciem dla głodnych mięsożerców.



Chociaż szyby tajnej biblioteki nie grzeszyły czystością, Winograd poprzez bystre oczy ptaka zdołał obejrzeć jej wnętrze i zorientować się, że jest to półmroczna sala o stropie podpartym czterema solidnymi filarami, zastawiona dość ciasno półkami. Na jednym jednak końcu pozostawało tyle miejsca, by mógł tam bezpiecznie wylądować Wędrowiec, nawet ze sporym marginesem luzu dokoła.

Myszka prowizoryczny plan pomieszczenia obejrzał w nastroju dość sceptycznym.

– Ee... Mam skoczyć gdzieś na podstawie mapy narysowanej przez... gołębia?

– Gru, gru... – odezwał się Winograd ironicznym tonem, a Myszka zarumienił się.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Na pewno wszystko dobrze widziałeś? Bestiar poklepał go po plecach, gestem mającym dodać otuchy.

– Masz tam dość miejsca, przysięgam.

Inni chłopcy porozsiadali się dokoła w swobodnych pozach, sugerujących, że zupełnie się nie przejmują misją Myszkę, chociaż co rusz zerkali na niego spod oka. Jeszcze by... skok do miejsca, które leży w zasięgu wzroku – śmiechu warte. Myszka zgadzał się z nimi w duchu, że istotnie robi zbyt wiele szumu. Skoki na taką odległość wykonywał jako kilkulatek. Różnica polegała na tym, że dzieci obdarzone talentem Wędrowców robiły takie rzeczy intuicyjnie i rzadko kiedy przydarzały im się przykre wypadki. Jednak im starsi się stawali, tym pełniej zdawali sobie sprawę z możliwości i ograniczeń swego talentu, a wtedy pojawiał się także lęk. A Myszka ze swojego nie umiał się wyzwolić. Podejmował nowe wyzwania, a strach szedł za nim, jak wierny pies, jak cień – nie do odpędzenia.

Westchnął, popatrzył za okno na gmach Wieży Południowej, obliczając w myślach parametry. A potem skoczył.



Ciemnawe pomieszczenie zastawiono szeregami półek – niezbyt dużych, co najwyżej wysokości człowieka – w konfiguracji znanej już Myszce z rysunku Winograda. Światło padało przez zakurzone szybki nielicznych małych okienek umieszczonych pod samym sufitem. Najwyraźniej nigdy tu nie sprzątano. Wszystko było popielate od kurzu, a w każdym kącie i pod sufitem wisały festony pajęczyn. Na półkach piętrzyły się w stosach stare księgi i futerały, zawierające pewnie zapisy na zwojach. Myszka spojrzął pod nogi. Miejsce, w którym stał, wyglądało na nieco czystsze. Opoдал dostrzegł kwadratowy otwór w podłodze, przy którym sterczała drewniana poręcz. Zajrzał w ciemną dziurę, bez zdziwienia dostrzegając prowadzące w dół stopnie – dość wąskie i chyba bardzo niewygodne. To na pewno owo ukryte przejście, wspomiane przez Śpiewaka. Myszka dałby głowę, że piętro niżej wejście do tajnej biblioteki zostało zasłonięte szafą lub czymś w tym rodzaju.

Tymczasem czekały na niego zakazane dzieła, zgromadzone na półkach, otulone miękkim szalem kurzu. Właściwie aż do tej chwili Myszka nie do końca wierzył w istnienie tego księgozbioru. A tu nierealny pomysł zrodzony w wiecznie rozwichrzonej głowie Nocnego Śpiewaka okazał się całkiem rzeczywisty. Życie potrafi sprawiać niespodzianki. Co też mogły zawierać te wszystkie tomy? Czyżby faktycznie ich treści były aż tak niebezpieczne i nieprawomyślne? Ale z jakiego innego powodu ktoś miałby je umieszczać w miejscu tak niedostępnym i pilnować tak zazdrośnie?

Myszka nasłuchiwał przez chwilę, czy nie rozlegną się na schodach czyjeś kroki, ale na dole panowała cisza, więc nie zwlekając dłużej, ruszył w najbardziej oddalony koniec pomieszczenia, zgodnie z instrukcją, jaką dał mu Koniec. Jeśli miał cokolwiek stąd zabrać, nie mogły to być książki pierwsze z brzegu – zauważono by ich brak. Między półkami ktoś od czasu do czasu chodził, świadczyły o tym ścieżki wydeptane w pyle na drewnianej podłodze, natomiast samych książek chyba nikt nie dotykał od wielu miesięcy, a może i lat. W Myszce zaczynał powoli wzbierać gniew w obliczu takiego marnotrawstwa. Można by zrozumieć, gdyby gromadzono tutaj te księgi, aby z nich czerpać wiedzę, ale zabrać je komuś po to, żeby zwyczajnie zbierały kurz na regałach – to po prostu oburzające. Myszka rozejrzał się z determinacją po obfitości literatury, zastanawiając się, od czego zacząć żniwa.



Bezczynne oczekiwanie wydłuża czas w sposób nieznośny. Kiedy Mały Wędrowiec zniknął, Koniec zwolnił zapadkę kulkowego zegara, stojącego na stole. Drobną śrut sekund sypał się na czerpaczek, a ten opadał, zwalniając mechanizm dozujący grubsze kuleczki minut. Kamyk, z wargami zaciśniętymi w wąską kreskę, nie odrywał wzroku od mechanizmu, licząc upływający czas. Koniec patrzył przez okno w stronę wieży. Już dziewięć kulek spoczywało na dnie ozdobnej miseczki. Spadła dziesiąta, a potem jedenasta. Myszka nie wracał. Zdenerwowany Winograd zerwał się ze swego miejsca i zaczął przemierzać szczupłą przestrzeń Śpiewakowej komnaty.

– Co on tam tak długo robi? Stało mu się coś? Złapali go?!

– Przestań tak latać – warknął Gryf. – Cały czas go z Końcem śledzimy. Nic mu nie jest.

– Chyba że się zakicha na śmierć – dodał Koniec, uśmiechając się szeroko.

Niebawem Myszka pojawił się na starym miejscu. Trzymał w objęciach parę opasłych tomów, uginając się pod ich ciężarem. Jego twarz pokrywały szare smugi, na włosach miał pajęczynę, a rękawy ubrania wyglądały tak, jakby czyścił nimi bardzo brudną podłogę.

– No to je-e... eeee... EKSICH!!!

Upuścił książki na podłogę, aż podniósł się kurz i reszta również zaczęła kichać.

– Brudasy z tych Żółwi – stwierdził Myszka z niesmakiem. – Tam chyba nikt nie sprzątał od początków świata.

– Może tylko od wybudowania tej wieży, czyli s t o s u n k o w o niedawno – odparł Gryf, z uznaniem klepiąc Wędrowca po ramieniu. – No, no, Mysza, świetnie się sprawiłeś.

Do Gryfa dołączyli inni spiskowcy, chwając młodszego kolegę nawet nieco przesadnie. Trudno było na pierwszy rzut oka orzec, o czym może traktować łup Myszkę, tak straszliwie był zapaskudzony. Ręcznik, który posłużył do wytarcia książek, w mgnieniu oka stracił biały kolor, za to na okładkach uwidoczniły się wzory, wytłaczane na skórze.

Książki dostarczone przez Myszkę były rękopisami, a wiele szczegółów ich wyglądu świadczyło o tym, że pochodziły z czasu, nim jeszcze zaczął się upowszechniać druk. Pierwszy rękopis traktował o kulcie Wielkiego Węża, o czym chłopcy przekonali się po pobieżnym przejrzeniu tekstu. Myszka wybrał go, zainteresowany ornamentami w kształcie gadów oraz winietami przedstawiającymi krwawe rytuały. Zadowolony Kamyk natychmiast zgłosił się jako pierwszy do czytania książki, mając nadzieję na to, że są w niej opisane

dzieje społeczności Jaszczura, gdzie w architekturze i malarstwie węzowe motywy dominowały.

Drugi tom był chyba czymś pamiętnikiem, napisanym archaicznym pismem i nieco pokreślonym. Z jakich jednak powodów znalazł się na wygnaniu w wieży, miało wykazać dopiero dokładniejsze czytanie.

Trzeci natomiast zapełniono różnymi charakterami pisma i wyglądał na niezbyt ciekawą księgę rachunkową. W czterech kolumnach umieszczono: daty sprzed około pięćdziesięciu lat, imiona i gdzieniegdzie miana rodów, jakieś liczby i krótkie komentarze, czasem zredukowane do jednego tylko znaku.

– Coś ty przyniósł, Mysza? Nie mogłeś czegoś innego? – odezwał się Gryf z niezadowoleniem, przeglądając rękopis.

Myszka wzruszył ramionami. Nie chciało mu się tłumaczyć, że nie miał ani możliwości, ani też czasu, by przeprowadzać jakąś ostrzejszą selekcję. Po prostu zabrał z regału te tomy, których nieobecność nie rzuci się w oczy spostrzegawczym Strażnikom Słów, którym nagle zachciałoby się przeprowadzić kontrolę.

– Pokaż to. – Koniec wyjął mu z rąk księgę. – Hmm...

Brwi Mówcy zbiegły się.

– Hmm... – powtórzył, przewracając stronicę. Winograd i Gryf zaczęli czytać mu przez ramię.

*Dziesiąty dzień żniwnego, rok Lwa; Ostry z Kamiennej; 164; szlaki;*

*Piętnasty żniwnego, rok Lwa; Powój zarządca okręgu Bykowiec; 2000; transport srebra, stal dla Zwierciadlanych;*

*Osiemnasty żniwnego, rok Lwa; cichoręki od Czarnego; 1500; Koty, wykonane;*

*Dwudziesty żniwnego, rok Lwa; cichoręki od Czarnego; 1200; wino dla księcia; wykonane;*

*Trzydziesty drugi żniwnego, rok Lwa; Orzeł z Podgórza; broń i ziarno za Krew Bohaterów; podbija stawkę, kłopotliwy.*

Obok tego wersu ktoś inny dopisał: negocjować; a jeszcze niżej widniała całkiem już niezrozumiała notatka: *Piąty tłocznia, rok Lwa; w Omarnay sprzedają za ćwierć talenta od głowy.* Została opatrzona zagadkowym komentarzem: *Sprawdzać, czy zdrowi. Tylko chłopców.*

– A cóż to jest? – odezwał się Gryf z niebotycznym zdumieniem.

Koniec westchnął głęboko, zamykając księgę jednym palcem, jakby dotykał czegoś wstrętnego. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym odpowiedział niechętnie:

– Myślę, że to jest stary rejestr łapówek i opłat za usługi skrytobójców. A to ostatnie chyba dotyczy kupna niewolników. Dzieci.

Gryf przełknął kurczowo ślinę. Nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, że przystojny Obserwator był wychowankiem Zamku. Wyrósł w jednej z wielu posiadłości Kręgu, pod okiem dzierżawców, razem z innymi sierotami o magicznych talentach. Mieli opiekę przyzwoitą, chociaż pozbawioną czułości. Gryf odchrząknął.

– Mam nadzieję, że ja kosztowałem więcej niż ćwierć talenta. – Głos załamał mu się ledwie zauważalnie.

Chłopcy popatrzyli po sobie z zażenowaniem. Cóż można powiedzieć...? Napięcie rozładował Nocny Śpiewak, łapiąc się za głowę i wykrzykując z komicznym oburzeniem:

– Ćwierć talenta! A za mnie Bukat dał tylko dwa srebrne „smoki”! I to ma być sprawiedliwość? Do licha, powinienem być ZNACZNIE droższy!

Chłopcy zaczęli chichotać i nawet Gryf parsknął śmiechem.

Wszyscy woleliby jak najprędzej zapomnieć o paskudnych rachunkach Kręgu, więc Koniec wsunął rejestr pod narzutę na łóżku, by nie leżał na wierzchu i nie kłuł w oczy. Zanotował w pamięci, by jak najprędzej odłożyć go na miejsce. Posiadanie tego rodzaju dokumentów było ogromnie niebezpieczne. Młody Mówca zdawał sobie sprawę, że w razie odkrycia sprawa skończyłaby się dla nich wszystkich naprawdę smutno. Nawet jeśli w grę wchodziły „jedynie” akta sprzed półwiecza, w tej chwili już nieaktualne.

Humory zwały się tylko chwilowo. Nocny Śpiewak przystąpił do produkowania winogronowego sorbetu, w ilości zdolnej doprowadzić do mdłości tuzin łakomych dziesięciolatków, aby uczcić pierwszy sukces grupki spiskowców, którą Kamyk zdążył ochrzcić mianem „szczurów bibliotecznych”.



Mimo wielkiego podniecenia odkryciem, konspiratorzy postanowili nie dawać się ponieść emocjom i ustanowić rozsądne zasady eksploracji. Winograd proponował z początku wycieczki na zakazane piętro nocą, która ostatecznie jest tradycyjną porą wszelkich tajnych przedsięwzięć, koledzy uświadomili go jednak, że do obejrzenia czegokolwiek potrzebne jest światło, które z kolei byłoby widoczne przez okienka, i kto wie, czy nie zwróciłoby czyjejs uwagi. Tak więc najazdów powinni dokonywać w dziennym świetle – najlepiej



na godzinę, dwie przed zachodem słońca, kiedy większość pracowników na dolnym piętrze jest już zmęczona, traci czujność i wychodzi na kolację. Zwykle już potem nie wracają. Oczywiście trzymanie wart jest koniecznością.

Pierwsza wizyta całej grupy w tajnej bibliotece ujawniła jeszcze jeden zaskakujący problem. W pomieszczeniu było tak koszmarne brudno, że każde dotknięcie czegokolwiek pozostawiało widoczne ślady, zwłaszcza w rejonach mniej uczęszczanych przez legalnych gości. Przeglądanie książek w tych warunkach wydawało się wręcz niemożliwe. Śpiewak więc wysilił inteligencję i obmyślił system sztucznego rozprowadzania kurzu. W efekcie pomieszczenie po każdej wizycie stawało się coraz brudniejsze, ale za to w stanie pozornie nienaruszonym. Bezcenne woluminy kursowały między południową wieżą a galerią „połówek”. Każdy tom pieczołowicie czytano, robiono notatki i odnoszono na miejsce. Co do niektórych podejmowano decyzje o całkowitym skopiowaniu. Kilka, ku irytacji Końca, Śpiewak sobie zwyczajnie przywłaszczył.

Chłopcy buszowali między zakurzonymi półkami, z zachwytem dokonując coraz to nowych odkryć. Nocny Śpiewak odnalazł jeszcze jedną część dokumentacji Burona, omal nie padając trupem z wrażenia. Krzyczał niemal, narażając wszystkich na odkrycie i wymachiwał swym znaleziskiem.

– Buron dokonywał przemian z żywego w żywe, a nawet prowadził próby nad stwarzaniem żywych istot. Potrafił odtwarzać tkankę nerwową! Wiedział, jak to się robi! Od wieków leżą tu rzeczy, o których marzą wszyscy Stworzyciele! Po prostu leżą i kurzą się! Nie rozumiecie? Z tą wiedzą mógłbym wyglądać normalnie, a Kamyk odzyskałby słuch!

Jednak Tkacz Iluzji nie podzielał entuzjazmu przyjaciela.

*Nie wydaje mi się to bezpieczne. Jesteś zdolny, Śpiewak, ale wciąż jeszcze za mało umiesz. Poza tym dla mnie przywrócenie słuchu oznaczałoby pewnie utratę talentu.*

Kosmaty Stworzyciel wyprostował się, jakby kij połknął.

„To nie takie pewne. Zapis wspomina coś o przenoszeniu funkcji do różnych rejonów ośrodka nerwowego. W każdym razie mam zamiar zatrzymać wszystkie notatki Burona. A z czasem postaram się przekazać je innym!”

Tymczasem uszczęśliwiony Myszka pławił się w obfitości map. Po awanturze z Gładiatorem Strażnicy Słów odebrali mu prawie wszystkie skopiowane stronicy z Księgi Koordynatów, więc te nowe znaleziska stały się dla niego wielką pociechą, choć wiele z nich było mocno zatartych ze starości. Koniec szukał dalszych rejestrów ciemnych spraw Kręgu i zapisów

historycznych, skrupulatnie robiąc notatki. Natomiast Winograd wraz z Kamykiem przeglądał jeden zakurzony foliał po drugim, w poszukiwaniu materiałów o smoczej rasie.

Gryf zwykle trzymał wartę przy schodach, czuwając nad bezpieczeństwem kolegów. Był najmniej zainteresowany zawartością ksiąg. Bawiła go raczej sama przygoda, w jakiej brał udział.



Zwykle tak się dzieje, że jedna kwestia automatycznie rodzi następną, więc nic dziwnego, że w pewnym momencie pojawiło się pytanie: Co zrobić z tym nieoczekiwanie zdobytym bibliotecznym skarbem? Jak go ukryć i gdzie przechowywać? Drzwi komnat zajmowanych przez chłopców z Drugiego Kręgu nie miały czegoś takiego jak zamki, zupełnie jakby nie potrzebowali żadnej prywatności. Podczas ich nieobecności służba wchodziła bez przeszkód, by posprzątać i zabrać odzież do prania. Oczywiście przy okazji węszyła po kątach i grzebała w rzeczach młodych magów. W tej sytuacji nie należało się zastanawiać, czy służący odkryją coś nielegalnego, ale kiedy to nastąpi. Należało przedsięwziąć jak najszybciej jakieś kroki zaradcze.

A rozwiązanie narzucało się jakby samo, chociaż nikt nie miał odwagi wysunąć tej propozycji. W końcu Śpiewak głośno wypowiedział myśl, którą inni tylko obracali w głowie.

– Moglibyśmy... Ostatecznie moglibyśmy wtajemniczyć Promienia – powiedział z wahaniem.

Komnata Promienia stała się „ziemią niczyją”, od kiedy zamieszkała w niej Miętówka. Wielka srebrzyście nakrapiana kocica zdumiewająco trafnie rozpoznawała wszystkich kolegów Iskry, pozwalając wchodzić im do środka. Cała reszta zamkowej społeczności była wstrętnymi wrogami, czyhającymi na jej pana. W ten sposób już od tygodni w apartamencie młodego księcia nie postąpiła noga służącego. Wewnątrz panował swojski nieład, a po kątach przetaczały się kłaczki kurzu nabitego kocią sierścią. Dałoby się tam schować absolutnie wszystko – jak to mówią: beczkę piwa, kaczkę, co pływa, mysie ogony i trupa żony.

Rozmowy z Promieniem podjął się Nocny Śpiewak. Wiązała ich obu wspólna tajemnica, więc pozostawał z Iskrą w całkiem dobrych stosunkach. Uczucia innych spiskowców były dużo chłodniejsze. Co prawda Zwycięski

Promień Świtu od pewnego czasu zachowywał się całkiem przyzwoicie, ale nikt mu tak do końca nie ufał.

– Zagadam go, zastraszę, w ostateczności przekupię – rzucił lekko Śpiewak, udając się z misją na panterze terytorium.

Młodzi magowie raczej nie wróżyli mu sukcesów, tym bardziej zdumieli się, kiedy Nocny Śpiewak wrócił wraz z Promieniem, który już od progu potoczył dumnym spojrzeniem po zebranych i oświadczył:

– Zgadzam się.

Promień miał umieścić wszystkie rękopisy u siebie w skrzyniach, które do tej pory zajmowały eleganckie stroje. Nie miał zamiaru już ich nosić i jeśli tylko Myszka lub Śpiewak pomogą mu pozbyć się „tych szmatek”, miejsca starczy na wszystko. W zamian żądał wejścia do grona szperaczy na pełnych prawach, czyli łącznie z możliwością osobistego grzebania w „starociach”. W sumie odpowiadało to wszystkim. Nie mogli uzyskać lepszej gwarancji na milczenie Iskry niż uczestnictwo w występku.

Nonszalancki książę chciał po prostu swoje stare ubrania wyrzucić gdziekolwiek, lecz ostatecznie za namową Śpiewaka dostały się zachwyconym podarunkami dziewczętom z Aksamitnego Zakątka, które od razu zaczęły pruć, przesywać i robić przedziwne sztuczki, żeby męskie ubrania przerobić na kobiece sukienki. Co prawda w Zamku nieźle zarabiały, ale nie tyle, by pozwolić sobie na stroje z najlepszego jedwabiu i aksamitów.



*„Szczyry biblioteczne” odkrywają wspaniałe rzeczy w Wieży Południowej. Na przykład obaj z Winogradem coraz bardziej jesteśmy pewni, że smoczy gatunek wywodzi się od jednej pary, stworzonej przed tysiącami lat przez Stworzyciela – albo grupę Stworzycieli, bo jeden człowiek chyba by sobie nie poradził z tak gigantycznym przedsięwzięciem, nawet gdyby był potężniejszy niż legendarny Buron. Tak można wnioskować z najstarszych, niejasno sprecyzowanych zapisków. Mamy jednak coraz większe kłopoty z nauką, gdyż wyprawy na wieżę zajmują nam coraz więcej czasu i najczęściej potem siedzimy u Promienia do późnej nocy, wysilając oczy nad bazyliadami naszych przodków.*

*Po prawdzie to jestem ciągle niewyspany i mam oczy czerwone jak Pożeracz Chmur w naturalnej postaci. Czytanie nocą przy świecy nie jest ani wygodne, ani zdrowe. Reszta ma się nie lepiej, może z wyjątkiem Gryfa, który nie jest*

za bardzo „umysłowy”.

Nie dosypiamy i przez to jesteście rozkojarzeni na lekcjach. Niestety, zaczęliśmy przyciągać uwagę Kowala. Najpierw zaczął nas obserwować, a teraz już wprost wypytuje, co takiego robimy, że przychodzimy na lekcje, wyglądając jak śnięte przed tygodniem ryby. Oczywiście nie można kłamać, bo Mówca natychmiast to wyczuje. Wszyscy więc twierdzimy to samo – czytamy po nocach. Jest to ostatecznie szczerą prawdą. Wierzmy, że Kowal, nienagannie wychowany, nie zacznie nam grzebać w głowach, szukając szczegółów. Jak dotąd się nie zawiedliśmy.

Kowal nas upomina i powtarza, że noc jest od spania. Racja, tylko jak tu się oprzeć, kiedy mamy przed sobą tak ciekawe rzeczy?

Wisimy na cienkiej nici, doskonale to widzę. Dzisiaj Myszka zasnął w klasie, z głową na książce. Katastrofa to jeszcze nie jest, może tylko katastrofka. Mysz jest dobrym probierzem kondycji naszej grupy. Jeśli on już zasypia podczas wykładu Kowala, to my też niebawem zaczniemy to robić. Zresztą Kowal tym razem nie na żarty się rozgniewał. Wyrzucił Myszkę za drzwi, a nas razem z nim – ze stanowczym poleceniem, że natychmiast mamy iść spać, choć był środek dnia! Bo już dość ma widoku uczniów, którzy ze zmęczenia nie rozumieją, co się do nich mówi, i nie odrabiają porządnie zadań, najwyraźniej zajęci czym innym. Zagroził, że zacznie sprawdzać, czy jesteście w łóżkach. A jeśli ta farsa się przedłuży, to on zacznie stosować metody Gladiatora. Nie biorę tych gróźb poważnie, Kowal po prostu nie umiałby być równie podły jak Gladiator. Jedno jest pewne: nie możemy się teraz rzucać w oczy. Podejrzliwość Kowala rośnie tym bardziej, że kiedy przedtem komuś (zwykle Śpiewakowi albo Gryfowi) zdarzały się „senne” dni, przyczynę stanowiło zbyt wiele wina i panienek. A tu co... książki? Rzecz zdecydowanie nienormalna.

Dlatego dzisiajszego wieczora nasza grupka szperaczy urosła do siódemki. Po naradzie postanowiliśmy wtajemniczyć drugiego Wędrowca, by odciążyć Myszkę. W ten sposób dołączył do nas Wężownik. Podzieliliśmy się też na dwie grupy, które mają działać na przemian. Postanowiono też skończyć z przesiadywaniem do białego rana. Wszystko musi wyglądać jak przedtem – zwyczajnie.



Ten dzień zaczął się nieszczęśliwie. Od samego rana posypały się drobne

nieprzyjemności, jakby zapowiadając, że będzie coraz gorzej. Kamykowi urwała się sznurówka od sandała i musiał prowizorycznie wiązać ją w supły na korytarzu. Zagadany z kolegą Mówca Szary uderzył Myszkę drzwiami. Kucharz miał chyba znów zły dzień, bo na śniadanie podano przecier z rzepy i zupełnie ostro przyprawioną, że nie mogli jej przełknąć nawet rdzenni południowcy o gardłach wygarbowanych pieprzem i imbirem. Rozdrażnieni chłopcy musieli zadowolić się suchym chlebem.

W czasie przedpołudniowych lekcji Kowala niespodzianie odwołano z wykładu i w ten sposób jego uczniowie stracili większość frapującej opowieści o jadowitych białych węzach. Okazało się, że popołudniowe lekcje też przepadną, gdyż nauczyciela nadal zatrzymują ważne sprawy, więc Drugi Krąg ma się zająć czymś pożytecznym i nie sprawiać kłopotów. To oczywiście miało taki rezultat, że wszyscy chłopcy rozeszli się w swoich sprawach po Zamku i okolicach, nie zwracając sobie głowy nauką.

Śpiewak usiłował namówić Kamyka na „małą” wyprawę do Podzamcza, która pewnie przeciągnęłaby się do późnego wieczora, ale Tkacz Iluzji z żalem musiał zrezygnować. Miał się dziś spotkać z Wiatrem Na Szczycie, by znów „machać kawałkiem kija”, jak to mało elegancko określał Stworzyciel. Tak więc Śpiewak musiał się zadowolić towarzystwem Gryfa, który z kolei był aż nazbyt chętny do pójścia „w miasto”.

– Dokąd się wybierzemy, szanowny panie, nadziejo nowoczesnej magii i architektury? – odezwał się z galanterią Gryf do Śpiewaka.

– Proponuję serię rozrywek intelektualnych – odparł Śpiewak z powagą. – Najpierw zastanowimy się nad konstrukcją i porównamy style architektoniczne...

– Yyyyy... – zamyczał z obrzydzeniem Gryf.

– ...gospody Pod Listkiem Poziomki oraz karczmy U Wuja – ciągnął Śpiewak. – Potem możemy zająć się ważkim problemem filozoficznym, dlaczego ostryga nie śpiewa...

– A nie śpiewa? – wtrącił ubawiony Obserwator.

– Pieczona?

– No to będziemy chyba potrzebowali większej ilości egzemplarzy do badań.

– I cytryny. Bo nie wiadomo, może ostryga śpiewa w środowisku kwaśnym.

– To już zagadnienie z chemii.

– Wszak jesteśmy intelektualną elitą i jesteśmy wszechstronni, panie Gryf.

– Jak już jesteśmy przy chemii, proponuję analizę wpływu białego słodkiego

narlina na... na wypoziomowanie obiektów i ich trajektorie.

– Czyli?

– Czyli tancerki w Jednorożcu.

– A! I tu dotarliśmy do geometrii. Zapowiada się zdecydowanie bardzo intelektualny wieczór, drogi kolego.

Tak żartobliwie pogadując, młodzi magowie szli krokiem spacerowym na przełaj przez ogród. Później Gryf ten dzień i tę właśnie rozmowę miał wspominać jako ostatnie chwile dzieciństwa. Już nigdy potem nie miał czuć równie doskonałej beztroski i zadowolenia.

Nic nie zapowiadało nagłego końca tej sielanki. Nagle otoczyło ich czterech ludzi w uniformach zamkowej straży.

– Jesteś aresztowany – powiedział jeden z gwardzistów do Nocnego Śpiewaka, a inny w tej samej chwili zaszedł go od tyłu i wbił chłopcu igłę w kark.

Nocny Śpiewak nie zdążył nawet krzyknąć. Świadomość w jego oczach zgasła niemal natychmiast. Sparaliżowany z zaskoczenia Gryf patrzył, jak strażnik chwyta osuwające się bezwładnie ciało Śpiewaka i kładzie je na ogrodowej ścieżce.

– Sąd Kręgu uznał cię winnym złamania prawa. Okaż skruchę – dodał oficer beznamiętnie.

Gryf przemógł bezwład.

– C-co... Co się dzieje? Dlaczego...? N-nie, tak przecież nie można! On nic nie zrobił!

Obserwator usiłował uklęknąć przy nieprzytomnym Śpiewaku – wydawało mu się, że chłopak nie oddycha – ale jeden z żołnierzy powstrzymał go.

– Nic tu po tobie, chłopcze. Idź stąd.

Gryf nie ruszył się z miejsca. Przerażony, patrzył to na nieprzytomnego kolegę, to na strażników o zaciętych, ponurych twarzach.

– Wynoś się stąd!

Brutalny szturchaniec w ramię wytrącił go z równowagi. Odwrócił się więc i pobiegł między różanymi krzewami, wciąż mając w oczach tamtą scenę – czterech mężczyzn pochylających się nad bezbronny, leżącym bez ruchu chłopcem. W głowie tłukły mu się chaotyczne myśli. Gdzie iść? Do kogo? Kogo zawiadomić? Kowala? Wiatr Na Szczycie!

W tej chwili w oko wpadła mu jaskrawa plama czerwonej sukni. Z bocznej galerii wyłoniła się Róża.



Kamykowi lekcje robienia mieczem z jednej strony podobały się, z drugiej zaś czuł lekką urazę, bo kiedy on ociekał już potem i ziajał jak pies w upale, Wiatr Na Szczycie nadal był świeży jak kwiatek. Starszy od Kamyka ponad dwukrotnie mag miał mięśnie twarde jak dębowa decha, a w jego czarnej czuprynie nikt nie znalazłby ani jednego siwego włosa. Hajg podrwiwał sobie z „miejskich zdechłaków” i ich zamięłowania do miękkich łóżek oraz wykwintnego jedzenia. Sam sypiał niemalże na podłodze, na cieniutkim sienniku zarzuconym futrami. Jadał dużo mięsa, twierdząc, że daje siłę, a jedyną ekstrawagancją, na jaką sobie pozwalał, była herbata z imbirem. Dziesięć lat spędzonych na południu Lengorchii nie tknęło Hajga prawie zupełnie, spływając po nim jak woda po kaczce. Mawiano, że owszem, Wiatr zszedł z gór, ale jego umysł i serce tam pozostały.

– Dobra, dobra... ruszaj się, młody – mruzczał teraz pod nosem, parując ciosy drewnianego miecza. Pojętny chłopak robił widoczne postępy, choć nadal nie był żadnym szermierczym fenomenem. Wahał się i kombinował tam, gdzie należało iść do przodu, zasypać przeciwnika gradem ciosów, oszołomić, zmusić do wycofania i zrobienia jakiegoś głupstwa. Innym razem jak na złość walił prawie na oślep, całkiem bez głowy. Wtedy Wiatr Na Szczycie boleśnie karcił go drewnianą klingą – lepiej, aby chłopak wyszedł z siniakiem z tej zabawy niżli z prawdziwej walki – bez ręki.

Teraz też Kamyk był jakiś roztrzępany i Wiatr zaczynał się zastanawiać, czy nie czas chłopakowi lekko przyłożyć, żeby zaczął myśleć, co robi. Nie zdążył. Z dala dobiegł go tupot – ktoś biegł w tę stronę. Mag dał chłopcu znak przerwy, a w chwilę później na dziedzińcu wpadła zadyszana Róża, dzierżąc w garściach długą spódnicę. Obok niej truchtał wysoki chłopak, w którym Wiatr rozpoznał jednego z przyjaciół Kamyka. Jak mu tam...? Graf? Nie, Gryf.

Róża zatrzymała się przed Wiatrem, oddychając gwałtownie, szminka na jej twarzy rozmazała się lekko, kobieta miała rozszerzone strachem oczy. Mężczyznę ogarnęło nagłe przeczucie nieszczęścia.

– Straż ujęła Nocnego Śpiewaka! – krzyknęła Róża.

– Co? Kiedy?! Jak?

– Gryf... powiedz mu. – Skinęła głową na młodego maga.

Zaniepokojony Kamyk podszedł bliżej, już wypisując w powietrzu pytania. Wiatr machnął na niego ręką. Najważniejsze wysłuchać Gryfa, zebrać wieści.

Młody Obserwator głosem drżącym ze wzburzenia opowiedział o całym zajściu.

– Tak po prostu – zakończył z goryczą. – Wzięli go jak jaką rzecz. W głowie się nie mieści. Bez wyraźnego oskarżenia, bez sądu, bez ostrzeżenia. Bach! Jakby nakryć motyla kapeluszem. Jeśli to było zgodne z prawem, to niech mnie pchły zjedzą.

– To Klinga – westchnęła Róża spazmatycznie. – Zemścił się w końcu!

– Po tylu latach? Nie gadaj głupstw, kobieto! – zachnął się Hajg.

– Nie znasz Klingi? Jest pamiętliwszy od Żółwia, cierpliwszy od węża i okrutniejszy niż łośnica! Ten to umie czekać na okazję i dwadzieścia lat!

– Ale co takiego Śpiewak zrobił? – wtrącił bezradnie Gryf. – Mogli go tak... za nic?

– Za nic to nawet przewielebny Klinga by się nie odważył. Śpiewak musiał coś przeskrobać – odparł Wiatr. – A ja się dowiem co – dodał stanowczo, wpychając Kamykowi do rąk swój drewniany miecz.

*Koniec na dziś. Nocny Śpiewak w więzieniu. Idę na pomoc.*

Zostawił całą trójkę: zmartwionego i wystraszonego Gryfa, Różę mnącą nerwowo w palcach skraj sukni, oraz Kamyka, który stał całkiem nieruchomo ze ściągniętą twarzą, odprowadzając tylko Mistrza Iluzji wzrokiem. Ktoś, kto zbliżyłby się do niego w tej chwili i zajrzał w te brązowe oczy, dostrzegłby w nich płomień i zrozumiałby, że jest to bezruch kota spiętego do skoku.



Po raz pierwszy od bardzo dawna Kowal miał ochotę się upić. Zalać się porządnie, solidnie, niemal do utraty tętna, a już na pewno do utraty (przynajmniej tymczasowej) świadomości i pamięci. To, że Nocny Śpiewak bywał lekko skłócony z prawem, nikogo nie mogło szczególnie zaskoczyć. Przy tak dziwnym wychowaniu – hodowaniu raczej niż prawdziwym kształceniu – i tak zakrawało na cud, że chłopak nie wyrósł na jakiegoś amoralnego bydlaka. Widać krew nie woda, coś tam jednak dobrego odziedziczył w charakterze po przodkach, skoro nie stoczył się do poziomu pospolitego nożownika z mrocznych zaułków Podzamcza, poprzestając na działaniach tuż na granicy kodeksu prawnego, na co przymykano oko. Aż do tej pory. Jednak ta historia wydawała się po prostu absurdalna... absurdalna i okrutna. Kara zdecydowanie niewspółmierna do winy. Kowal nalał z dzbanka wody do miednicy, ochlapał sobie twarz. Woda była odstała i ciepła, nie przyniosła ulgi. Może posłać sługę



do studni po świeżą... albo samemu się tam udać i skoczyć na łeb, bo...

Stukanie do drzwi przerwało mu myśl. Ba, łomotanie wręcz – nachalne, rozkazujące, znaczące ni mniej, ni więcej „lepiej otwieraj, bo i tak za moment wejde”. Kowal westchnął rozdzierająco, zmierzając do drzwi. Nie chciało mu się nawet sprawdzać, za nimi pewnie stoi rozwścieczony Wiatr Na Szczycie – od lat przychylnie nastawiony do nieznośnego kosmatego Stworzyciela.

Okazało się, że na progu Mówcy istotnie stoi Tkacz Iluzji – ale młodszy. Mając po bokach asystę w postaci Gryfa i Końca. On też walił do drzwi w sposób tak nieznośny sprzeciwu – nadal unosił rękę do góry.

– Wejdźcie – powiedział z rezygnacją Kowal.

– Nocny Śpiewak...! – zaczął Gryf, ale Mówca przerwał mu niecierpliwie:

– Tak, tak! Wiem! Wiem od dwóch godzin, niech to piekło pochłonie...

Gryf osłupiał.

– To znaczy, jeszcze zanim... zanim go zabrali? I nic nie zrobiłeś?!

– Co miałem zrobić? – warknął Kowal. – Lecieć i go ostrzec? A może rzucić się między niego i gwardzistów? Chłopcze, przejrzyj na oczy. Zrobiono mi u p r z e j m o ś ć, że w ogóle raczono mnie zawiadomić o planowanym aresztowaniu ucznia!

Koniec oderwał wzrok od twarzy Kamyka. Bez wątpienia omawiali sytuację na poziomie mentalnym.

– O co oskarżyli Śpiewaka? – zapytał cicho i poważnie.

– O... nielegalne... rozprowadzanie... narkotyków – odrzekł Kowal z goryczą, każde słowo wymawiając osobno.

– To brednie... – bąknął Obserwator. – Śpiewak? Narkotyki?

Kowal stwierdził, że szykuje się dłuższa rozmowa, więc gestem zaprosił chłopców, by usiedli.

– Z tego, co mi powiedziano, wynika, że rozprowadzał pewien specyfik o silnym działaniu. Ma on dość zawiłą naukową nazwę, ale pospolicie jest nazywany Smoczym Dechem.

Gryf uniósł brwi w niemym zdumieniu. Słyszał o Smoczym Oddechu, prawdę mówiąc, nawet go próbował, z czystej ciekawości, ale efekty działania narkotyku atrakcyjnością nie równoważyły późniejszego kaca.

– Smoczy Dech silnie uzależnia, więc wytwarzanie na szerszą skalę jest obwarowane wieloma ograniczeniami. Trzeba mieć oczywiście zezwolenie, także na handel.

– Smoczy Oddech jest składnikiem niektórych leków. Niech zgadnę, mają je aptekarze i lekarze, w większości magowie? – wtrącił Koniec.

– Wyłącznie magowie. – Kowal uśmiechnął się kwaśno. – A tu w toku śledztwa wyszło na jaw, że wręcz całe szekale tego drogocennego proszku, a raczej jego tańszego odpowiednika, zalały rynek farmaceutyków. Krąg stracił mnóstwo pieniędzy, a Śpiewak wpadł w bagno po uszy. Nie wygrzebie go z tego żadna siła.

Zapadło głucho milczenie. Po chwili rozmowę podjął Kamyk, jak zawsze rozwijając w powietrzu wstęgę widmowego pisma.

*Po co tak ryzykował? Dla pieniędzy?*

Kowal pokiwał głową twierdząco i potarł skroń, jakby właśnie zaczynała mu się migrena. Kamyk westchnął.

*Tak myślałem. Śpiewak zawsze lubił pieniądze. Ciągle robił jakieś interesy i wciąż zbierał i zbierał, tak jakby się bał, że ma za mało. Ale nie przypuszczałem, że zechce handlować narkotykami. Na miłosierdzie Losu, co przyszło mu do głowy, żeby robić coś takiego?*

„Za mało?” – spytał Kowal ostrożnie.

*Tak. Liczył oszczędności i był niezadowolony. To mnie dziwiło, bo przecież nie był skąpy, raczej hojny, a czasem nawet rozrzutny. Chętnie się wszystkim dzielił. Ale pieniądze były dla niego ważne.*

– Bo są ważne – rzekł cicho Kowal ni to do siebie, ni to do gości. – Kto ma pieniądze, ten ma władzę, a kto ma władzę, ten jest bezpieczny. Jak widać... nie zawsze to się sprawdza.



Budynek więzienia zamkowego, przytulony do zewnętrznego muru obronnego, wyglądał nie tyle złowrogo, co zupełnie bezosobowo. Szara ściana więzienia podziurawiona była otworami okien – wysokich, ale tak wąskich, że nikt nie wysunąłby przez nie nawet głowy na zewnątrz. To tutaj karano służbę, która czymś przewiniła, tu przetrzymywano w areszcie niedbałych wartowników lub pechowych złodziei, nim przekazano ich wymiarowi sprawiedliwości w mieście. Mimo iż łapano bardzo wielu amatorów cudzej własności, wciąż napływali nowi, nie zważając nawet na to, że niektórzy ich poprzednicy skończyli jako posiłek hajgońskich panter. Wiatr Na Szczybie jednak nigdy nie słyszał, by więziono w takim miejscu maga.

Obejrzał się na idącego za nim Kamyka. Młodszy Tkacz Iluzji uparł się, by towarzyszyć Wiatrowi w to paskudne miejsce, a teraz przyglądał się

z posępną miną przybudówce. Wiatr podał strażnikowi tabliczkę z odcisniętą w wosku pieczęcią zarządcy i zostali wpuszczeni do środka.

Wiatr Na Szczycie spodziewał się paru rzeczy. Śpiewaka zbuntowanego, Śpiewaka rozzalonego, zawstydzonego, wściekłego, może również przestraszonego. Zastanawiał się także, jakim cudem, na lodowe kły Saua, udało się dozorcóm więzienia zatrzymać w tym swoim przybytku Stworzyciela. Odpowiedź na to pytanie uzyskał, gdy tylko przekroczył próg celi. I nie był z niej zadowolony.

Na kamiennych płytach podłogi w pozycji embrionalnej kulił się więzień. Tunikę miał porwaną, włosy zmierzwione, spocone i pozlepiane w kłaki. Wyglądał jak ktoś, kto utkwiał we śnie pełnym najgorszych koszmarów. Co gorsza, już od progu dostrzegli, że ma obie ręce przykrępowane sznurem do żelaznego pierścienia, wpuszczonego w posadzkę.

Kamyk wyprzedził Mistrza Iluzji, opadł na kolana przy Śpiewaku. Nim Wiatr zdążył zrobić cokolwiek, chłopak chwycił leżącego za ramię. Z gardła Stworzyciela wydarło się zduszone wycie, jakby dotyk sprawił mu nieopisany ból. Skręcał się powoli, zwijając jeszcze ciaśniej – jakby usiłując uciec w głąb siebie. I wciąż jęczał – głucho, po zwierzęcemu – nie wiedząc, czy ktoś zrozumie tę skargę, ani nie licząc na litość.

Wiatr Na Szczycie doskoczył jednym susem do swojego Gwiazdy i szarpnął go do tyłu.

– Nie dotykaj go!

Kamyk cofnął ręce jak oparzony. Śpiewak miał wykrzywioną twarz, powieki mocno zaciśnięte. Wiatr Na Szczycie widział swego czasu kilka ofiar przedawkowania narkotyków, by bez większych wątpliwości rozpoznać objawy powodowane przez silny środek pobudzający, pochodzący zresztą właśnie z jego stron rodzinnych.

Hajg z furią doskoczył do stojącego za nimi w progu strażnika, chwycił go za tunikę na piersiach i zaczął tłuc nim o ścianę.

– Co wyście z nim zrobili?! Co tu się działo, do kurwy nędzy?!

Przerażony człowiek usiłował odepchnąć rozwścieczonego maga.

– Nic! – krzyknął. – Naprawdę nic! Trochę się rzucał i...

– Zaduszę cię jak szczura, ty nędzny...

Z bezładnych usprawiedliwień dozorczy wynikało, że zasadniczo Stworzyciela nie skrzywdzono, a w każdym razie nie postępowano z nim brutalnie, a związano chłopca tylko po to, by nie zrobił sobie krzywdy.

Wiatr Na Szczycie puścił go wreszcie, z demonstracyjnym obrzydzeniem

wycierając ręce w kilt.

– Wrócę jutro, a zobaczę, że coś się chłopakowi stało, to cię nakarmię twoimi własnymi jajami– zagroził niepotrzebnie, gdyż strażnik był już tak wystraszony, że zrobiłby wszystko, byle tylko nie narażać się powtórnie na gniew górala.

Wiatr obejrzał się na Kamyka, który nadal klęczał przy Śpiewaku, w geście bezradności zaciskając, to znów prostując palce.

*Chodź, Kamyk. Czas wracać. Nic tu nie wystoimy. Postraszyłem trochę tego szczura. Będzie dbał o Śpiewaka.*

Kamyk opierał się lekko, kiedy Hajg wyprowadzał go za łokieć z celi. Wciąż oglądał się z niepokojem na nieprzytomnego kolegę.

– Niech to cholera... Klinga, ja ci tego nie daruję – mruknął Wiatr pod nosem i zacisnął pięść.



Dwudziestu sześciu chłopców tłoczyło się w komnacie Promienia. Jednak nikt, kto chciałby podsłuchiwać pod drzwiami, nie ułowiłby niczego istotnego, jedynie strzępy zdań. Główny nurt rozmów toczył się na poziomie mentalnym oraz przy pomocy tworzonych w przestrzeni obrazów.

*Ten zamek jest jak przykryta gałęziami pułapka na wilki. Najlepszy dowód, co zrobiono ze Śpiewakiem. To może czekać każdego z nas, jeśli okazemy się niepokorni. Jeszcze niedawno szczytem moich marzeń było zostać błękitnym magiem. Teraz myślę, że to jest kompletna głupota. Ocknijcie się. Każdy z nas jest magiem od urodzenia, a błękitni jesteśmy niezależnie od tego, jakim kolorem dopełnią nam znaki. My się już rodzimy naznaczeni błękitem! Tego się przecież nie dostaje z nadania.*

Wielu chłopców kiwało potakująco głowami, odczytując przesłanie Tkacza Iluzji. Niektórzy mieli oszołomione miny, jakby dopiero teraz dostrzegli coś, co było zupełnie oczywiste.

– Szarfa! – odezwał się Gryf z bezbrzezną pogardą. – Prowadzają nas na tej całej szarfie niby na smyczy. Ciągłe musialem wysłuchiwać, że powinienem dziękować Kręgowi za każdy kawałek chleba. Mam dość! Już wolę się trochę przegłodzić. Potąd mam tej ich łaskawości! – Przesunął palcem gdzieś w okolicach oczu.

– Ale ja nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas ma w tym wolny wybór. –

Koniec jak zwykle uosabiał głos rozsądku. – Mam dziwne wrażenie, że w tym kraju mag albo nosi szarfę, albo dokarmia się nim mrówki. Nie słyszałem o miejscu, gdzie Krąg nie miałby wpływów.

– A Smoczy Archipelag? Tam też niuchają?

Kamyk, zapytany, wyjaśnił sytuację:

*To prawda, że Krąg sięga i tam, ale to jest macanie na oślep. Na Jaszczurze siedzi jeden rezydent, to znaczy Słony. A on za bardzo Kręgu nie lubi. Co jakiś czas posyłają tam statek i Wędrowca, ale on też nie kręci się po okolicy. Chyba boi się smoków.*

„A jaka jest różnica między Radą Kręgu, a głodnym smokiem? W ostateczności chyba bym wolał Radę” – przekazał Piaskowiec, Mówca.

*Różnica jest taka, że smok cię uśmierci od razu, a nie będzie torturował, twierdząc na dodatek, że to dla twojego własnego dobra* – odparł Kamyk, spoglądając na Piaskowca z góry.

– Ja też bym wolał smoki – odważył się dodać Myszka. – Chciałbym popłynąć na Jaszczura. Kamyk mówił, że tam jest ładnie. No i daleko od Lengorchii...

– I są wiiiieeelkie, przepiękne... pająki – wtrącił Promień prowokacyjnie.

Myszka opuścił głowę, łypiąc na złośliwego Iskrę z ukosa. Jego wstręt i paniczna obawa przed wszystkim, co pełza lub ma za dużo nóg, była znana wszystkim. To, że nagle uwaga została skierowana właśnie na niego, wcale mu się nie podobało. W dodatku Promieniowi drwiący uśmieszek nie schodził z twarzy. Od mąk zawstydzenia Myszkę nieświadomie uratował Stalowy.

– Mysz nawet niegłupio gada. Tylko jak to wszystko przeprowadzić?

Kamyk wyszedł na środek komnaty, odruchowo stając w wyzywającej pozie, z palcami zatkniętymi za skraj błękitnej szarfy.

*Wszystko się da zrobić, jeśli tylko włożymy w to dość pracy i rozumu. Na razie jednak ważniejsze jest co innego. Kto w ogóle chce w tym uczestniczyć? Uprzedzam, że nie będzie powrotu do Lengorchii przez całe lata. Może nigdy. Możemy też znaleźć się w podobnym położeniu jak Śpiewak. Albo stracić życie. Kto się boi, niech wyjdzie stąd teraz. Proszę tylko o milczenie. Jeśli Los się uśmiechnie, znikniemy stąd w ciągu trzech dni. Ja, Śpiewak i ci, którzy się zdecydują na odejście.*

To stanowcze oświadczenie zadziało jak kubeł zimnej wody. Do tej chwili dyskusja toczyła się raczej w sferze teorii i sprowadzała niemalże do jałowego narzekania. Młody Tkacz Iluzji uświadomił obecnym, że stawka jest wysoka, a zabawa właśnie się skończyła i podjęte decyzje zostaną uznane za wiążące.

– Ja mam rodzinę... – wyszeptał Piaskowiec, zmieszany. – Nie mogę ich zostawić.

Westchnął ciężko i powstał ze swego miejsca.

„Będę milczał” – obiecał, mijając Kamyka w drodze do drzwi. Tkacz poważnie skinął głową.

Chłopcy wstawali pojedynczo i parami. Nikt już nie próbował się usprawiedliwiać, ale wszyscy odchodzący umykali wzrokiem. Lęk o siebie, lęk o rodzinę, która pozostałaby na łasce niezadowolonego Kręgu – wszystko to aż nazbyt zrozumiałe.

Kamyk policzył wzrokiem tych, którzy zostali. Oczywiście Winograd i Koniec. Myszka – bledziutki jak papier, ale wierny do ostatka. Obserwator Gryf – niewdzięczny wychowanek Kręgu. Wężownik – zmiennik Myszkki w wyprawach do Wieży Południowej. Stalowy – jego spodziewał się od samego początku. Był równie niepokorny i tak samo łasy na przygody jak Gryf. Zaskoczyła Kamyka natomiast obecność Wiatromistrza Diamenta, jednego z tych chłopców, którzy nie wyróżniali się w Drugim Kręgu ani szczególną błyskotliwością, ani siłą, ani wreszcie widowiskowym rodzajem talentu. Najwyraźniej jednak również miał jakieś własne powody, by opuścić kontynent.

Zwycięski Promień Świtu siedział na brzegu stołu, machając niefrasobliwie nogą i wybijając palcami powolny rytm na blacie.

– No a... ty? Też... z nami...? – wybąkał Winograd ze zdziwieniem, patrząc na księcia, który z miną jednocześnie zadumaną i szyderczą toczył wzrokiem po obecnych.

– Przecież ja tu m i e s z k a m, do licha! – odparł Promień.

Histeryczny atak śmiechu, jaki przetoczył się po tych słowach, oczyścił atmosferę, i dopiero kiedy ucichł po długich minutach, chłopcy poczuli, że był im bardzo potrzebny.

Promień pokręcił powoli głową, wciąż się nad czymś zastanawiając.

– Potrzebujecie pieniędzy – zauważył pragmatycznie. – Skoro wybieracie się aż na Smoczy Archipelag... Skrzydełka wam nie wyrosną jako tym smoczętom i nie pofruniecie. Potrzeba wam statku.

Tak, to stanowiło problem równie duży, a może nawet większy niż wyciągnięcie Nocnego Śpiewaka z więzienia. Spiskowcy zerkali na siebie niepewnie. Żaden nie mógł pochwalić się znacznym stanem posiadania. U większości nie było co mówić nawet o stanie, a chyba o „staniku”. Wyraziste brwi Kamyka zbiegły się nad nosem. Podejrzywał, że ma największe oszczędności z tu obecnych, ostatecznie współpraca ze Stworzycielem dawała

całkiem konkretne zyski. Nie miał ich jednak na tyle dużo, aby wynająć statek dalekomorski. Co do zasobów Śpiewaka, zostały skonfiskowane jako dochody uzyskane z nielegalnego źródła.

– Tak... To jest pewien kłopot – odezwał się Koniec, z zatroskaniem drapiąc się po karku. – Ale raczej nie zrezygnujemy z ratowania Nocnego Śpiewaka tylko dlatego, że nam zabrakło paru miedziaków. Stalowy...

– Dooooobrze... – Promień westchnął tak, że frędzelki na zasłonce obok się poruszyły. Wstał, otworzył wieko stojącego obok sekretarzyka i chwilę manipulował we wnętrzu. Coś cicho trzasnęło, część mebla podniosła się na zawiaskach, a chłopiec wydobyl ze skrytki dwa wypchane czymś irchowe woreczki. Niedbałym gestem rzucił je na stół. Potoczyły się z głuchym łomotem i chrzęstem metalu.

– Co to jest? – zapytał Diament.

– Dwa tysiące talentów – odparł Iskra.

W komnacie zapanowało głucho milczenie. Odgłos drapania szykownego fotela pazurami pantery zabrzmiał nagle jak trzęsienie ziemi.

– Kysz, Miętówka! – rozgniewał się właściciel mebla. – No co się tak gapicie? Jeden talent nie gryzie, więc w stadzie też wam rąk nie urwą.

– Ty nam to... dajesz? – spytał słabym głosem oszołomiony Gryf.

– Skądże, ja się tylko przechwalam swoim bogactwem – zaszydził Promień.

– A tak poza tym... – Znów westchnął i widać było, że siłuje się w sobie. – Wybieram się tam z wami. I mam zamiar podróżować w komforcie – dodał, arogancko wydymając usta.

– O w mordę... – jęknął Stalowy z osłupieniem.

– Niestety, transakcja jest wiązana – warknął Promień. – Albo ja razem z funduszami, albo ani ja, ani pieniądze.

Stalowy wzruszył ramionami, a Gryf odparował:

– Nie musisz stawiać takich warunków. Ani się, do cholery, wkupywać. Można wiedzieć, czemu jaśnie wielmożny pan Brin-ta-ena postanowił się przyłączyć do naszej niegodnej kompanii?

– Nie można! – burknął Promień. – Pan Brin-ta-ena ma taki kaprys, a wścibscy Obserwatorzy niech pilnują swego nosa.

Kamyk, który od dłuższej chwili konferował z Końcem, wtrącił się w tę wymianę zdań, autorytatywnie wydając polecenia:

*Wężownik, ty się znasz na łodziach. Weź kogoś i rozejrzyj się w porcie. Ja, Koniec i Stalowy zajmujemy się sprawą Śpiewaka. Mysz.*

Myszka wyprostował się jak świeca, wlepiając gorliwie oczy w Tkacza

Iluzji. Kamyk jakby wahał się przez chwilę, po czym dokończył:

*Myszka i reszta zajmą się biblioteką. Bierzcie WSZYSTKO, co jest cenne. I nie zapomnijcie o rejestrach łapówek.*

Na twarze obecnych wypływały mściwe i usatysfakcjonowane uśmiechy. Zapowiadała się bardzo wyrafinowana i dotkliwa zemsta.



Dodatkowych informacji o Śpiewaku dostarczył Wiatr Na Szczycie, który zdążył zasięgnąć tu i ówdzie języka. Narkotyk, który podano Nocnemu Śpiewakowi, był substancją przygotowaną według hajgońskiej receptury, a wykonawcą wyroku nie kto inny, jak sympatyczny Grzywa. Hajga roznosiło wręcz z wściekłości.

– Krew Bohaterów! Dali mu Krew Bohaterów! Przecież chłopak tego nie wytrzyma!

– Co to właściwie jest Krew Bohaterów? Jak to działa? – spytał Koniec, jak zwykle ostatnio towarzyszący Kamykowi.

Wiatr sapnął ze złością, jeszcze bardziej mierzwiąc sterczące nad czołem włosy.

– Krew Bohaterów to nie jest jakaś tam herbatka, którą bawią się bogate młodziaki. U nas dostaje się ją w czasie Strzyży... wtedy kiedy dzieciak staje się mężczyzną. Starczy pół łyżki, by stać się prawie bogiem. Czuje się smak wiatru, słyszy z dwudziestu kroków oddech nornika pod kamieniem. Biega się jak jelen, walczy jak pantera... Wojownicy piją Krew Bohaterów przed walką. Dlatego zwą to Krwią Bohaterów, bo wprawia w szal i można walczyć, chociaż stoi się po kolana we własnej krwi. Ale gdy dać komuś tego dwa albo trzy razy więcej, dzieją się straszne rzeczy. Zdaje się, jakby cały świat wdeptywał człowieka w ziemię. Każde dotknięcie to trzęsienie ziemi, własny oddech – jak wichur. Światło wypala oczy, chłód zamraża, ciepło spala... Nocny Śpiewak nie może się poruszać, spać ani jeść. Oczywiście będą go karmić na siłę, ale to tylko dla niego dodatkowa męka.

Koniec, który w trakcie przemowy Hajga na bieżąco przekazywał ją Kamykowi, wymienił z towarzyszem przerażone spojrzenia.

– On przecież z tego nie wyjdzie o zdrowych zmysłach!

– Mów mi tak dalej, jakbym nie wiedział – warknął Wiatr. – Nikt go nie ukrzywdził bardziej niż na początku. Ale Grzywa musi mu podawać następne



porcje Krwi Bohaterów, aż do odwołania. Taka jest kara wyznaczona przez sąd Kręgu.

*Jak długo mają zamiar to ciągnąć? To przecież potworne! On okropnie cierpi! Dlaczego mu to zrobili?! –* Kamyk zerwał się z miejsca i zaczął spacerować z kąta w kąt, obgryzając paznokcie.

Wiatr Na Szczycie wodził za nim posepnym wzrokiem.

– Dlaczego? Dobre pytanie. Pewnie dlatego, że Nocny Śpiewak już teraz, jako durny szczeniak, jest lepszy od wielu z nich. Zazdrozczą mu i boją się, co będzie, kiedy stanie się jeszcze silniejszy, zyska te tam... wpływy. – Słowo „wpływy” Hajg wymówił jak przekleństwo. – Słyszę, co się mówi po kątach. Ten dzieciak to drugi Buron, a do tego za nic ma wszelkie rygory. Ktoś uznał, że lepiej mieć posłuszne narzędzie niż niebezpiecznego konkurenta. Złamią go. Po dziesięciu czy piętnastu dniach, zgodzi się na wszystko. Będzie Klindze buty całował, byle nie wrócić do celi.

– Powtórzę mu – mruknął Koniec, wskazując brodą miotającego się kolegę.  
– To go raczej nie wprawi w zachwyt.



– Na pewno wiesz, co robisz? Na wyspach nie ma pałaców. Jesz to, co złowisz, a ubierasz się w to, co sobie uszyjesz – mówił półgłosem Gryf do Zwycięskiego Promienia Świtu.

– Bardzo dobrze strzelam z łuku – odparł Iskra. – Już ty się nie martw, z głodu nie umrę.

– Mamy nadzieję, że się podzielisz tymi swoimi wspaniałymi zdobyczami. Bawołem, lwem, mantikorą, wiewiórką... – zakpił Wężownik.

Przekomarzali się tak we trzech, idąc traktem od mostu ku nabrzeżom. Na ramionach nieśli wędkę. Nikt nie zwracał na nich uwagi – ot, trzech młodziutkich magów wybrało się na ryby, widok pospolity w tym mieście. Siedli na drewnianym pomoście, machając bosymi stopami nad zielonkawą wodą. Zrzucili wędkę, lecz ich oczy penetrowały keję, gdzie stały przycumowane statki. Uwagę zwracał zwłaszcza długi, wąski okręt strażniczy, zwany popularnie „wodnym węzem”. Wyciągnięto go do suchego doku i smołowano burty.

Chłopcy naradzali się, mrużąc niewyraźnie pod nosem i starając się sprawiać wrażenie, że nie obchodzi ich nic poza rybami. Zresztą brały całkiem

nieźle – Wężownik jako syn, wnuk i prawnuk rybaka potrafił znakomicie dobierać przynęty – więc w krótkim czasie na dnie koszyka trzepało ogonami kilku łuskowatych pechowców.

W końcu uwagę spiskowców ostatecznie przyciągnął niezbyt duży dwumasztowiec, na którego pokładzie krzątało się paru członków załogi, wykonujący ich rutynowe prace, jakie zwykle podejmuje się w porcie. Statek wydawał się zwrotny i dobrze utrzymany. Na ścianie pokładowej nadbudówki wymalowany pysznił się wymalowany duży, pomarańczowy motyl.

– O, ten tam – mruknął Wężownik. – Dwa maszty, do tego widać otwory na wiosła. Widać zaopatrzeni na każdy wypadek.

– Wystarczająco duży na ocean – dodał Promień, obrzucając statek krytycznym spojrzeniem. – I mają dwa działa. Mały kaliber, ale zawsze coś.

– Czyli się nada. Promień, ty pogadaj z kapitanem.

– Dlaczego ja? – burknął Iskra, protestując dla zasady.

– Bo masz lepsze buty – odparł Obserwator.

– Co tu mają do rzeczy moje buty?!

Promień przewrócił oczami z irytacją, a potem popatrzył na swoje sandały, stojące obok na pomoście. Buty jak buty, nie widział w nich niczego nadzwyczajnego, tyle że mniej zniszczone od tych należących do jego towarzyszy.

– Dużo. Mówię ci to jako człowiek doświadczony. Możesz mieć na górze sam aksamit i złote hafty, a jak masz trepy nie takie, to nikt nie zechce z tobą gadać – oświadczył Gryf bardzo poważnym tonem. Promień spojrzał na niego podejrzliwie. Gryf lubił pajacować i trudno było dojść, kiedy żartuje, a kiedy nie.

Gdy trzech skromnie ubranych chłopców stanęło przy trapie, pracujący tam żeglarz z początku nie zwrócił na nich większej uwagi.

– Szukamy szypra – odezwał się chłopak z długimi włosami związanymi na karku.

Żeglarz spojrzał odruchowo na jego buty – bardzo porządne sandały ze sznurówką z kolorowej taśmy jedwabnej. Dopiero potem dostrzegł błękitną szarfę.

– To ja – powiedział. – Czego chcecie?

– Kłamie – rzekł spokojnie wysoki chłopak o pięknej twarzy i pewnej sobie postawie. Żeglarz poczuł się nieswojo, ten smarkacz również nosił błękitną szarfę.

– Kłamie, jest tu bosmanem – rzekł młodzieniec kategorycznie, a jego wzrok

podążył w stronę nadbudówki na pokładzie. – Szyper jest tam. Siedzi nad księgą handlową i próbuje dojść, gdzie podziały się dwie beły bawełny. I pewnie dojdzie – dodał, uśmiechając się złośliwie i przenosząc wzrok z powrotem na skonfundowanego marynarza.

Chłopcy weszli na pokład, odprowadzani ponurym spojrzeniem mężczyzny przy trapie.

Kapitan rzeczywiście siedział w kabinie, osłonięty przed palącymi promieniami słońca, i dumał nad księgą rachunkową. Wypływając z Oner, miał na pokładzie między innymi towarami dwadzieścia pięć beły bawełny. Podczas wyładunku okazało się, że jest ich tylko dwadzieścia trzy. Co prawda zawijali po drodze dwukrotnie do przystani, ale ostatecznie beły bawełny to nie pudełko rodzynek, nie da się wynieść w kieszeni! Bardziej od straty finansowej denerwował go fakt, że ma w załodze bezczelnego złodzieja (lub kilku) – istny wrzód na tyłku. Powinien posłać po Obserwatora, zrobić śledztwo, koszty rosły... niech to...

Jego rozmyślenia przerwało wejście trzech niecodziennych gości.

– Pozdrowienie. Chcemy wynająć ten statek – powiedział prosto z mostu chłopak, na oko kilkunastoletni, o gładkich policzkach jeszcze nietkniętych brzytwą. Szyper już nabrał powietrza, by w grubych słowach wyrazić, co myśli o takich propozycjach, gdy ukłął go w oczy charakterystyczny odcień błękitu, przekreślający sylwetki trzech przybyszów na wysokości talii. Zaraza... magowie. Któżby inny, nikt nie byłby aż tak bezczelny.

– Statek jest akuratnie w remoncie – odpowiedział, wygładzając głos do obojętnego tonu.

– Akuratnie potrzebować go będziemy za kilka dni, kiedy skończycie prace – odparł chłopak spokojnie i jakby nieco wzgardliwie. Jego towarzysze stali po obu stronach, milcząc i oglądając mężczyznę niczym owada na szpilce – a w każdym razie takie miał wrażenie.

– Mam zamówienia, wyznaczoną trasę wzdłuż Enite. Kupcy czekają, jak się spóźnię, wezmą kogo innego, a ja na tym stracę.

W odpowiedzi chłopak w milczeniu położył na rejestrze złotego talenta. Szyper wziął monetę i obejrzał, nachylając powierzchnię ukośnie do światła.

– Złoto Stworzycieli? – spytał drwiąco.

– Cesarskie – odrzekł młody mag i dorzucił drugą monetę.

– Sporo dostajesz na słodycze, synku – powiedział kapitan drwiąco.

Złoto nagle zrobiło się ciepłe, a natychmiast potem gorące. Szyper upuścił gwałtownie je z okrzykiem bólu. Złota płytka upadła na stół, a spod niej zaczęły

unosić się delikatne smużki dymu z przypalonego drewna.

– Możesz mówić do mnie „panie Iskro” – rzekł chłopak łaskawie. – Dziesięciu ludzi, pięćset talentów w złocie za rejs i żadnych pytań ani plotek. Czy dojdziemy do porozumienia?

Żeglarz milczał z zaciśniętymi zębami, obserwując dymiący stół.

– Wiem, kto rąbnął tę bawełnę – odezwał się nagle jasny, wesoły głos i kapitan poderwał głowę. Chłopak po lewej uśmiechał się do niego przyjaźnie i filuternie zarazem. Jeżeli kapitana „Motyla” coś irytowało bardziej niż smarkaci i zbyt pewni siebie błękitni, to byli to złodzieje na jego pokładzie.

– Kto?! – warknął.

– A dojdziemy do porozumienia? – Szczeniakowi filuterny uśmieszek nie schodził z twarzy.

– Może dojdziemy – mruknął kapitan powściągliwie.

– No to ja m o ż e powiem, kto opróżnił ci ładownię.

– Dobra, zgadzam się. Gadaj! – „Ostatecznie zawsze tę umowę można zerwać...”, pomyślał.

– Nie można jej zerwać... Nie radzę – szepnął mag, zapewne Obserwator lub Mówca.

Po dłuższej chwili ciszy szyper odezwał się znowu, z przymusem.

– Zobowiązuję się... Ręczę swoim honorem, że jeśli tylko dostanę uczciwą zapłatę, dowiozę was tam, gdzie chcecie. Bez pytań.

– Ze zniknięciem bawełny miał coś wspólnego bosman, ten, co akurat byczy się przy trapie. Jak go każesz przeciągnąć liną po grzbiecie, to pewnie powie, kto mu pomagał – zrewanżował się Obserwator.

– W ciągu dwóch dni otrzymasz wiadomość od Mówcy, który wyznaczy czas i miejsce, skąd weźmiecie pasażerów – dodał Iskra. – Jeżeli wiadomość nie nadejdzie w ciągu dni trzech, możesz się czuć zwolniony z umowy.

Kapitan skinął głową. Smarkacze czy nie, mimo wszystko umieli robić interesy.

– To miło, że jesteś chętny do współpracy, kapitanie. Wyskanowałeś go? – Iskra zwrócił się do Obserwatora.

– Oczywiście. Kilka razy – powiedział tamten, mrugając do kapitana porozumiewawczo.

– W takim razie do zobaczenia.

Denerwujący goście wyszli, kapitan zgarnął ze stołu zaliczkę – monety nadal parzyły. Drzwi skrzypnęły powtórnie, ale wbrew spodziewaniom właściciela „Motyla”, nie był to nikt z załogi.

– Kapitanie... – powiedział cicho chłopak, który w obecności swych towarzyszy milczał jak ryba. – To dobry statek i widać, że o niego dbasz. Ja mam za to dobrych przyjaciół i też dbam o nich. W razie czego obiecuję, że cię znajdę i...

– Urwiesz mi głowę? – przerwał mu mężczyzna pogardliwym tonem.

Chłopiec pokręcił głową przecząco.

– Nie. Odetnę ci... rufę.

I zniknął z cichym trzaskiem.

Żeglarz wypuścił z sykiem powietrze, wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą stał Wędrowiec.

– O Losie... – mruknął. – Czemu ja? Czemu akurat moja łajba?

Jak zawsze w takich wypadkach, pytania pozostały bez odpowiedzi.



– Mistrzostwo – rzekł Gryf półgłosem, gdy zeszli z pokładu i oddalili się trochę.

– Co to znaczy „wyskanować”?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Promień, wzruszając nieznacznie ramionami. – Wymyśliłem to. Dobrze brzmi, nieprawdaż?

Obok pojawił się Wężownik.

– Użyłem dodatkowych argumentów. Nie powinien sprawiać problemów. Ciekawe, co porabia reszta.



Reszta tymczasem obradowała nad tą częścią planu, która bezpośrednio dotyczyła Nocnego Śpiewaka. Kamyk już wcześniej zastanawiał się nad tą kwestią i jako pierwszy dzielił się swoimi przemyśleniami z resztą.

*Dla Wędrowca wyciągnięcie Śpiewaka z celi to jedna chwila, ale lepiej, żeby on to dobrze zniósł. Co nam przyjdzie z tego, że go stamtąd zabierzemy, jeśli będzie cierpiał jeszcze przez wiele godzin i utrudniał ucieczkę? Skoro Grzywa przygotowuje Krew Bohaterów, to na pewno ma też antidotum. Wiem, gdzie chowa takie rzeczy, i wiem, gdzie trzyma klucz.*

Wyglądało to całkiem rozsądnie, tak więc wszyscy zaczęli głowić się, jak zdjąć Grzywie z szyi klucz do szafy z niebezpieczną zawartością.

– Zaczaić się i dać mu w łeb – zaproponował Stalowy bez przekonania.

– Bałwan – stwierdził Koniec. – Już to widzę: walisz Stworzyciela po łbie, a on cię szatkuje w obronie własnej, zanim się jeszcze zastanowi, co robi. A jak rąbniesz za mocno, to możesz go zabić!

Stalowy westchnął ciężko.

– Czy on nigdy nie zdejmuje tego klucza z szyi? Przecież kiedyś musi. Chyba z nim nie śpi? I nie kąpie się?

– No... w kąpieli pewnie jednak zdejmuje.

– I w i n t y m n e j sytuacji. – Stalowy wyszczerzył lubieżnie zęby.

– Nareszcie powiedziałeś coś niegłupiego! Przecież Śpiewak ma przyjaciółkę wśród „kwiatków”! Róża!

Kamyk był nieco sceptyczny wobec tego pomysłu.

*Przecież Grzywa nie musi koniecznie zamówić akurat Róży. W ogóle nie mamy pewności, czy zamówi jakąś dziewczynę z tamtego miejsca, ani kiedy to zrobi. Możemy się nie doczekać.*

„Nawet jeśli nie Różę, to już ona dopilnuje, żeby dostała mu się odpowiednia kobietka. Dziewczyny lubią Śpiewaka, a Różę szanują. Taka wybrana musi wiedzieć tylko jedno, że jak Grzywa zaśnie, to ma klucz wyrzucić przez okno” – wytłumaczył Koniec.

*A jeśli nie znajdzie klucza? Grzywa może go schować, zanim ona przyjdzie.*

„A tego to dopilnuje nasz nieoceniony Stalowy. Będzie pełnił dyskretną rolę szpiega. I niech spróbuje skrewić!”

Stworzyciel, śledzący tę wymianę myśli, wzruszył ramionami.

– Losie... Koniec, a ż t a k niepoważny nie jestem.



*Udało mi się jeszcze raz zobaczyć Nocnego Śpiewaka. Nie wyglądał lepiej niż poprzednim razem, ale i nie gorzej. Nie leżał już na gołym kamieniu, tylko na macie. Ktoś litościwie zawiązał mu oczy chustką złożoną w kilkoro. Okno zostało zasłonięte kawałkiem szmaty, ale i tak słońce ją prześwietlało i ten przytłumiony blask musiał być nieznośny dla oczu więźnia. Ręce, tak jak przedtem, miał przywiązane do żelaznego pierścienia, chociaż pętle na nadgarstkach zawiązano dość luźno, i już nie z powroza kaleczącego skórę, lecz ze szmacianych pasków, splecionych w warkocz. Z pewnością nie był w stanie uciekać, więc pewnie znów miał atak konwulsji. W powietrzu unosił się zapach więzienia – potu, uryny i wymiotów. Wstrętne miejsce. Mam wielką*

*nadzieję, że zabierzemy go stamtąd jak najprędzej. Może już dzisiejszej nocy?*



Grzywa okazywał jednak irytującą wstrzemięźliwość. Dopiero po niekończących się trzech dniach podesłał do Aksamitnego Zakątka posłańca z wiadomością, że wieczorem życzy sobie towarzystwa.

W grupie spiskowców zawrzało. Nadszedł czas konkretnych działań. Segregowanie i pakowanie rękopisów z tajnej biblioteki było na ukończeniu. W kufrach Promienia spoczęły najcenniejsze prace z zakresu technik przetwarzania materii, w tym cała (bezcenna) dokumentacja Burona. Zapisy dotyczące miast na Smoczym Archipelagu. Mapy i prawie wszystkie zwoje pokryte niezrozumiałymi zapisami sprzed tysiący lat, które Kamyk miał nadzieję kiedyś przetłumaczyć z pomocą Słonego. Koniec z satysfakcją dołożył do tej kolekcji rejestry brudnych rachunków Kręgu, dotyczące nagłego wygasania niewygodnych rodów, handlu dziećmi i równie brzydkich spraw. Była to wiedza niebezpieczna, ale mogła okazać się wielce przydatna.

Osobiste bagaże uciekinierów przedstawiały się bardzo skromnie. Tylko trochę drobiazgów, broń, parę pamiątek. Mieli w swym gronie dwóch Stworzycieli, co rozwiąże problem zaopatrzenia we wszystko, od żywności aż po igły do cerowania. Co do broni, Kamyk miał swój wielki nóż – podarunek Płowego – a dzięki lekcjom Wiatru Na Szczycie posługiwał się nim znacznie sprawniej niż przedtem. Promień zdjął ze ściany łuk, którego dawno nie miał okazji używać. Zapewniał przy tym, że ze stu kroków trafia w jabłko na drzewie. W duchu jednak żywił nadzieję, że nie zajdzie potrzeba strzelania do czegoś większego od jabłka. Poza tym sam w pewnym sensie również był bronią. Gryf miał sztylet. Przedstawiało się to nędznie, lecz żaden z członków Drugiego Kręgu nie chciał żadnych bitew, pragnęli jedynie odejść.



Srebrzanka z mocno bijącym sercem wykonywała swe zwykłe obowiązki. Uśmiech, westchnienie... Jesteś cudowny, jesteś mężczyzną mego życia... „Gdzie ten klucz?” Pragnę cię. „Co ze Śpiewakiem?” Uśmiech, uśmiech, dziewczyno... Musisz zadowolić klienta, oszołomić, uspić... „Klucz!” Skubnij go zębami za uchem... Tak, teraz tutaj... Włosy... Język... „Dobrze”. Oooooch,

jak mi dobrze, jak cudownie! Jesteś najwspanialszym kochankiem tej ziemi! „Co za brednie. Na Miłosierną Matkę, niech już będzie po wszystkim!”

– Myślisz o czymś innym, dziecko – odezwał się Stworzyciel. Podniecony, dyszał szybko, jego ciepły oddech owiewał Srebrzance twarz. Zesztywniała.

– A raczej nie o czymś, lecz o kimś – dodał, badawczo patrząc w głąb jej oczu. Odruchowo opuściła powieki, jakby to mogło ją odgradzić od mężczyzny, który zagarniał nie tylko jej ciało, ale i umysł.

– Mamy w Ogródku stałych gości... Niektórych lubimy. Jest pewien chłopiec... Dowiedziałyśmy się, że coś mu się stało. Ma przykrości. Jest w więzieniu, a ty go widzisz, panie – odrzekła. Nie było sensu próbować okłamywać Stworzyciela. Jeżeli odpowie mu dostatecznie wykrętnie, może to go zadowoli.

– To przestępca. Złamał za jednym zamachem prawo cesarskie i zakazy Kręgu. Dorabiał się na ludzkiej krzywdzie. Otrzymał zasłużoną karę – rzekł Stworzyciel wzgardliwie.

– Nieprawda! – krzyknęła. – On nie jest taki! Jest dobry, życzliwy... – Zaciśnęła usta, zdając sobie sprawę, że dała się sprowokować i powiedziała o wiele za dużo.

– Jest miły, nadskakuje ci i potrafi opowiadać piękne kłamstwa. Sprawia, że czujesz się jak dama. Prawda?

Stworzyciel odsunął się od Srebrzanki i położył, przykrywając prześcieradłem.

– Często prócz kłamstw mamy niewiele więcej – szepnęła. – Czy pragniesz czegoś jeszcze, panie?

– Chcę odpocząć. A ty mnie zabaw rozmową. Zaśpiewaj coś... Umiesz?  
Dziewczyna usiadła.

– Umiem trochę śpiewać, panie, choć nie tak dobrze jak prawdziwa śpiewaczka. Wzięła głębszy oddech.

A dokąd płyną obłoki,  
kto odgadnie ich drogi?  
Może jaskółka, co niebo  
Skrzydłami tnie...  
Może siostra ulewa,  
Co na głowę mi spada,  
Szepnie mi ich sekrety,  
Tajemnice wyśpiewa...



– A kto wyśpiewa mi twoje tajemnice? – mruknął Grzywa. – Jak ci na imię?  
– spytał.

– Srebrzanka.

– To od farby?

– Nie. Od takiego małego kwiatka. – Uśmiechnęła się z przymusem, tylko dlatego, by rozproszyć podejrzliwość maga. – Hajgowie nazywają go skalną gwiazdką.

– Jak trafiłaś do Zamku? Należysz do cechu? – indagował dalej mag.

– Nie. Wzięli mnie z ulicy. To było dziwne, bo nikt nie pytał, co umiem. Zmierzyli mi głowę i ręce, a potem musiałam odgadywać, co jest schowane pod odwróconymi kubkami. Nawet nie wiem, czy dobrze odgadłam. Ale chyba byli zadowoleni, bo trafiłam tutaj.

– Dobrze ci tutaj?

– Lepiej niż tam. Jedzenie jest dobre. Mam ładne ubrania i nie pracuję tak ciężko. Rzadko trafiają się pijani. Dziewczeta są miłe...

Stworzyciel przymknął oczy i ziewnął.

– Śpiewaj dalej – rozkazał.

Więc Srebrzanka znów rozpoczęła łagodną, tęskną piosenkę o obłokach i ludziach, którzy przywiązani są do ziemi, nie mogą spełnić swych marzeń o lataniu. Śpiewała coraz ciszej, aż Grzywa zaczął oddychać równo, spokojnie, widocznie osunąwszy się w sen. Pomachała dłonią przed jego twarzą – nie poruszył się. Odetchnęła cichutko z ulgą. Gdzie ten przeklęty klucz?

„Pod podgłówkiem.” – Przekaz od Stalowego sprawił, że wzdrygnęła się okropnie, omal nie krzyżąc z zaskoczenia i przestachu. Drżąc, wsunęła ostrożnie dłoń pod śliską, chłodną materię pościeli. Grzywa gustował w jedwabnych prześcieradłach i poduszkach. Prawie natychmiast natrafiła palcami na twardy kształt. Stworzyciel nadal spał.



Grzywa z trudem powstrzymywał się przed otwarciem oczu. Dziwna dziewczyna... nietypowa kurtyzana, świetna aktorka i całkowicie cudaczna złodziejka. Nie chciała pieniędzy, nie spekulowała ani przez chwilę o tym, co mogłaby znaleźć w szufladach – wszystkie jej myśli krążyły wokół Nocnego Śpiewaka i małego mosiężnego przedmiotu, który właśnie wyłowiała spod

poduszki.

Srebrzanka. Skalna Gwiazdka. Cóż za trafnie dobrane imię dla dziecka ulicy. Roślina, której starczy szczelina w kamieniu, szczypta ziemi, kropla wody, a przeżyje, rozkwitnie i wyda nasiona.

„Wzięli mnie z ulicy. Zmierzyli głowę i ręce.” Niebawem temu ciemnowłosemu, skośnookiemu „kwiatkowi” podsuną zwykłą wodę z miodem zamiast środka przeciw ciąży. W dziewięć miesięcy później otrzyma trochę pieniędzy i z ulgą odda niechciane dziecko. O ile urodzi się chłopiec. Jakaś zaufana rodzina Kręgu dostanie go na wychowanie. Będą o niego dbać, może nawet trochę kochać, ale mały kandydat do błękitnej szarfy nigdy się nie dowie, kim są jego prawdziwi rodzice.

A jeśli urodzi się dziewczynka? No cóż... nikt nawet nie liczy niemowląt, które w koszyczkach z trzciny odpływają korytem Enite gdzieś do oceanu, by nigdy nie powrócić.

Grzywa obrócił twarz w stronę ściany, nadal symulując głęboki sen. Pozwolił sobie na smutne westchnienie dopiero wtedy, gdy dziewczyna wyszła, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.



Wszystko szło gładko. Jeszcze przed zamknięciem bram Promień wraz z Gryfem wymknęli się do portu, by przypomnieć kapitanowi o zawartej umowie i dopilnować jej dotrzymania. Za Promieniem jak cień podążała Miętówka. Zwracała na siebie uwagę przechodniów, lecz okazało się, iż nie sposób się jej pozbyć, gdyż próba zamknięcia w komnacie powodowała, że wściekała się i podnosiła straszny raban. Promień, rad nie rad, musiał wziąć ją ze sobą.

– Jeśli wybuchnie tam pożar, to znaczy, że szyper robił trudności – mruknął Diament do Winograda, gdy tamci żegnali się, unosząc trzy palce w geście życzenia szczęścia. – I że Los nie sprzyja ani jemu, ani nam.

Winograd zrobił ukradkiem znak odpędzający demony.

Druga grupa, składająca się z Końca, Winograda, Myszki i Diamenta, miała czekać w komnacie Promienia przy wypełnionych księgami skrzyniach na pozostałą trójkę, czyli Wężownika, Stalowego i Kamyka.



Tymczasem cała trójka stała pod oknem kwatery Grzywy, ukryta w krzewach magnolii. Wokół unosił się odurzający zapach kwiatów. Księżycowe światło srebrzyło mur, domalowywało dziwaczne cienie na płaskorzeźbach i kładło jasne plamy na witrażowych szybach. Kamyk poziewywał, bardziej ze zniecierpliwienia niż z senności. Wężownik oparł się plecami o ścianę, splótł ramiona na piersiach i zdawał się dumać nad czymś głęboko z opuszczoną głową. Stalowy w podobnej pozycji unosił głowę do góry, popatrując na okno sypialni Stworzyciela. Uśmiechał się co chwilę, wyraźnie dobrze się bawiąc. Nareszcie okno uchyliło się, pojawiła się w nim na mgnienie dziewczęca ręka, a Stalowy schwytał zręcznie spadający klucz i skinął na kolegów. Nie zwlekając, podążyli w stronę pracowni Grzywy.



Dwóch strażników wyłoniło się z bocznego korytarza całkiem niespodzianie. Na parę uderzeń serca obie grupy zamarły bez ruchu – straż z rękami w pół drogi do mieczy, chłopcy zdrętwiali ze strachu, raptem uświadomiwszy sobie, że popełnili karygodny błąd, nie puszczając przodem czujki, ani nie sprawdzając otoczenia sposobem Obserwatorów.

– A panicze dokąd? – przerwał ciszę jeden z gwardzistów znudzonym tonem.

Raptem Stalowy wyprostował się dumnie i wyciągnął przed siebie palec, chwając się odrobinę.

„Kamyk, zrób zapach jakiejś wódki.”

– Sdrogi, ssio... Frasam dodomu i jesem sześwy... Sio! Fszyscy szterej sdrogi! – oznajmił stanowczo, machając ręką, jakby odganiał gołębie.

Wężownik, dając przykład pięknego refleksu, złapał kolegę pod łokieć, szczerząc zęby w sztucznym uśmiechu.

– Za dużo wina – wyszeptał teatralnie.

Drugi gwardzista parsknął krótkim, pobłażliwym śmiechem.

– Puść ich, Skobel. Popili się trochę, żaden grzech przecie.

Od grupki młodych magów powiało wyraźną wonią mocnej brzoskwiniówki. Strażnicy usunęli się z drogi, a chłopcy przeszli obok, rzucając im spojrzenia ostrożne lub urażone. Urażone należało przede wszystkim do Stalowego, idącego sztywnym krokiem człowieka, który właśnie nadludzkim wysiłkiem próbuje opanować kołyszący się pod nogami grunt. Tkacz Iluzji

zdawał się liczyć kroki, patrząc bez przerwy pod nogi i wiodąc ręką po ścianie. Wężownik drobił niepewnie, jakby jego głowa i nogi znajdowały się w znacznej odległości, nie przyznając się na razie do żadnego pokrewieństwa ze sobą.

– Uważajcie na koty w ogrodach – rzucił za nimi łaskawszy ze strażników.

– Szy ja wychlondam jak mysz? – odparł Stworzyciel, zataczając się umiejętnie za róg korytarza.



„Było gorąco, ale się udało. Szkoda, że nie umiem rzygać na zawołanie, byłoby autentyczniej” – stwierdził Stalowy, bardzo zadowolony z siebie.

„Tobie się wydaje, że to zabawa?” – rzucił Kamyk gniewnie.

„Na razie to JEST niezła zabawa” – przekazał niepoprawny Stworzyciel.

„To poczekaj, aż zobaczysz Nocnego Śpiewaka.”

Niebawem dotarli pod znajome drzwi. Na korytarzu panował mrok i tylko przez pobliskie wielkie okno padało światło księżycowej pełni, przesiane przez zawile wzór ozdobnej kraty. Na tabliczce dawało się odczytać tylko: „...ywa Stw...ciel. ...ajle...zy ...rur...”.

Według tego, co pamiętał Kamyk, tuż za drzwiami nie stały żadne meble, więc Wężownik powinien mieć aż nadto miejsca do skoku. Niestety, już po krótkiej chwili wrócił.

– A żeby to obesrało – wyszeptał ze złością. – Wewnątrz nie ma zasuw. Ten zamek jest bębnowy!

– No i co z tego? – odszepnął Stalowy jadowicie. – Przepukliny dostaniesz, jak nas przierzucisz te dwa kroki?

Wędrowiec przywołał Kamyka gestem, położył ręce na ramionach towarzyszy. Na mgnienie oka ziemia uciekła im spod stóp, ogarnęło przykre uczucie nieważkości, w sekundę później stali już w sanktuarium Grzywy.

Zapalona jedna jedyna świeca nie oświetliła dobrze całego pomieszczenia, ale nie było to aż tak ważne.

„A jeżeli ktoś zobaczy światło przez okna?” – wyraził obawę Stalowy, patrząc na nieprzysłonięte niczym szyby.

„Stworzyciele przecież często pracują także nocą” – odparł Kamyk, stawiając lichtarz na szafce z preparatami. Klucz przekręcił się gładko. Przy wąłym blasku świeczki wychowanek medyka przeglądał zawartość półek, odczytując zawile nazwy leków na plakietkach. Dopiero na czwartej półce

od góry znalazł wciśniętą w kąt małą flaszkę z upragnioną zawartością.

„Co to takiego? Wygląda jak woda” – spytał Stalowy, przyglądając się, jak Kamyk ostrożnie przelewa część płynu do przygotowanej wcześniej fiolki i starannie ją zamyka.

„Bo to jest woda. W przeważającej części. Pozostały składnik to jad białego węża. Właściwie powinienem robić to w rękawiczkach. Wystarczy mała ranka na skórze i pójdę za Bramę.”

„Myślałem, że mamy wyleczyć Śpiewaka, a nie otruć.”

„Śpiewak nie jest chory, tylko naćpany tym hajgońskim paskudztwem. Biały Wąż jest bardzo silnym środkiem znieczulającym i usypiającym, pod warunkiem że go wypijesz i nie masz przy tym żadnych skaleczeń w ustach, bo wtedy oczywiście zaśniesz na zawsze. Jesteś Stworzycielem, a nie wiesz tak podstawowych rzeczy? Chyba spałeś na tej lekcji, kiedy Kowal opowiadał o białych węzach. Jad zniesie działanie Krwi Bohaterów, a Nocny Śpiewak zaśnie.”

„Trzeba mu to jeszcze wlać do gardła” – przekazał Stalowy.

„Właśnie po to jesteście mi potrzebni. Sam bym go nie utrzymał.”

Kamyk kilkakrotnie okręcił fiolkę chustką i schował w szarfie, troskliwie sprawdzając, czy jest odpowiednio ułożona. Gdyby przez przypadek ją rozbił i skaleczył się szkłem, jego kłopoty skończyłyby się definitywnie. Razem z życiem.

Kamyk zamknął starannie szafkę i podał klucz Wężownikowi.

– Co robi Grzywa? Śpi? – spytał Wędrowiec, trzymając klucz na otwartej dłoni.

Stalowy sięgnął do znajomego umysłu, by przekonać się, że Stworzyciel bynajmniej nie śpi, choć był już środek nocy. Potrząsnął głową przecząco, czując rosnący niepokój.

– Nie śpi. Cholera... Co teraz?

Pierwotny plan przewidywał, że postarają się zostawić jak najmniej śladów, a Wężownik miał „zwrócić” klucz właścicielowi, tak by ten pomyślał, że go po prostu upuścił we własnej sypialni. Grzywa z całą pewnością usłyszy kawałek metalu spadający na podłogę i da mu to sporo do myślenia.

– A, mam to gdzieś! – syknął Wężownik i położył klucz na najbliższej półce.  
– Znajdzie go sobie jutro i niech się głowi, czy go zgubił tu czy w pokojach. Mam zamiar być wtedy daleko stąd!

Rozejrzeli się po raz ostatni po komnacie. Kamyk w ostatniej chwili przywłaszczył sobie długą szklaną rurkę z podziałką. Lichtarz z nadpaloną

nieznacznie świecą wrócił na dawne miejsce.

Po chwili stali już pod murem Iskier, zgodnie z koordynatami ustalonymi wcześniej przez Wężownika. Tuż obok wznosiła się ściana więzienia podziurawiona czarnymi krechami okien. Jak dotąd wszystko szło po ich myśli, nie licząc drobnej wpadki z kluczem. Ostatecznie nie dało się przewidzieć, że Grzywa będzie cierpieć na bezsenność.

*Sprawdź, co porabiają strażnicy* – polecił Stalowemu Kamyk, dotykając jego ramienia. Grube białe litery wyraźnie odcinały się od ciemnej ściany.

„W jednej izbie jest dwóch ludzi. To pewnie dozorczy. Jeden śpi, drugi popija... Taki całkiem trzeźwy to już nie jest” – meldował Stworzyciel. – „Jego strata, nasz zysk. Jeden, dwa, trzy, pięć... osiem różnych snów. Pewnie więźniowie...” – W tym momencie jego przekaz rozsypał się i został podjęty dopiero po chwili.

„Śpiewak jest bliski obłądu! Chce umrzeć!” – Przerazenie Stalowego pozostawiało wrażenie cierpkiego smaku miedzi na języku, aż Kamyk wzdrygnął się ze wstrętem.

„Uspokój się, Stalowy. Już do niego idziemy.”

Za sprawą Wężownika przeniknęli przez mur do celi Nocnego Śpiewaka bez najmniejszego trudu. Wewnątrz było ciemno, światło księżyca, kładące się wąskim pasmem na wewnętrznej ścianie, tylko podkreślało mrok panujący w kątach pomieszczenia. Słaby blask padał również z korytarza przez zakratowane drzwi. Widocznie dozorczy więzienia mieli tam lampę lub pochodnię. Światła może nie starczyłoby do czytania, ale spętany chłopak był dostatecznie widoczny. Nadal miał zasłonięte oczy, nawet łagodne światło nocnego wędrowca było nie do wytrzymania dla przewrażliwionych źrenic.

Ostatnia dawka Krwi Bohaterów najwyraźniej jeszcze działała, bo nie zareagował w żaden sposób na przybycie niespodziewanych gości. Oddychał płytko i nieregularnie, jakby nawet to sprawiało mu ból. Kamyk, korzystając z tego, że Stalowy cały czas związany był z nim wyraźnie wyczuwalną nicią mentalnego kontaktu, poprosił:

„Stalowy, spróbuj do niego jakoś dotrzeć. Wyłumacz, że musi połknąć to, co mu damy.”

Stalowy po chwili potrząsnął bezradnie głową.

„Nie rozumiał. Nie poznaje nas. Błaga tylko, żeby go więcej nie dręczyć.”

„Nie mamy innego wyboru.”

Tkacz Iluzji podszedł bliżej drzwi, by mieć więcej światła. Przygotował fiolkę z jadem i bardzo ostrożnie nabrał sporą dawkę płynu do szklanej rurki.

„Stalowy, przytrzymajcie go i otwórzcie mu usta. W żadnym wypadku nie mogę go skaleczyć.”

– Jeśli zacznie krzyczeć, sprowadzi nam na kark strażników – szepnął cicho Wężownik, za przykładem Stalowego chwytając Śpiewaka za głowę.

– Tym gorzej dla nich – odparł Stalowy z przekąsem.

Na szczęście Nocny Śpiewak milczał. Dwie pary rąk usiłujące rozewrzeć mu szczęki, wywołały taką falę cierpienia, że jego gardło zacisnęło się w spazmie i nie potrafił nie tylko krzyczeć, ale nawet oddychać. Stalowy zaciskał Śpiewakowi usta, licząc upływające sekundy. Kamyk masował przyjacielowi gardło, zupełnie tak samo, jakby postępował z chorym zwierzęciem. Nocny Śpiewak krztusił się i słabo bronił, usiłując uwolnić. W końcu jednak przełknął zbawczy płyn, a jego ciało zwiotczało.

– To chyba już – szepnął Wężownik. – Żyje?

Tkacz Iluzji pochylił się nad Śpiewakiem, by poczuć na twarzy lekki powiew jego oddechu. Oszołomiony narkotykiem chłopak nabierał powietrza powoli i jakby z wysiłkiem, lecz regularnie. Tak więc udało się. Po czterech dniach i nocach nieustannego czuwania, wyczerpany walką z ogłuszającym hałasem, oślepiającym światłem i nieznośnym szarpaniem przez obce, okrutne ręce, Nocny Śpiewak nareszcie zaznał błogosławieństwa snu.

Dopiero wtedy Kamyk zdał sobie sprawę, że jest spocony. Plecy miał mokre, nie tylko z winy dusznej nocy. Schował na powrót do szarfy fioletową truciznę i rurkę, za pomocą której aplikował Śpiewakowi lek. Przecięcie więzów trwało jedynie krótką chwilę.

Rankiem zdumieni dozorczy więzienia znajdują pustą celę i przecięte sznury. Drzwi nadal zamknięte na klucz, nienaruszone okno i ściany. A uciekinierzy będą już daleko.



Pojawili się u Promienia w samym środku zaimprovizowanej ze sznura rampy. Kamyk nie zdążył ochłonać po przykrym doznaniu towarzyszącym skokowi, a już ktoś odepchnął go na bok. Jakaś dziewczyna uklękła przy Nocnym Śpiewaku, delikatnie wzięła jego twarz w obie dłonie, gładząc potargane, spocone włosy śpiącego.

Miała na sobie męską koszulę, spodnie i nie sandały, a buty za kostkę, jakby szykowała się do podróży. Na głowie zamotała chustkę, spod której wyglądał

gruby, czarny warkocz. Kamyk rozpoznał dziewczynę widzianą kiedyś w łóżku Nocnego Śpiewaka i chyba tę samą, która od czasu do czasu przelotnie bywała w ogrodzie, choć nigdy nie wchodziła na galerię „połówek”, w każdym razie nigdy za dnia. Popatrzył pytająco na Końca.

„To Srebrzanka – wyjaśnił Mówca nie bez pewnej konsternacji. – Idzie z nami. Jest... jest kochanką Śpiewaka.”

„Jedną ze stu pięćdziesięciu. Resztę też powinniśmy zabrać?” – rozłościł się Kamyk, spoglądając na Srebrzankę z ukosa. Niespodziewane elementy, raptownie pojawiające się w trakcie realizacji planu, nie uspokajały go bynajmniej. Problemy ze zwrotem klucza, teraz raptownie pojawił się nowy członek, a raczej członkini ich drużyny.

„Nie da się wyrzucić?” – to pytanie padło, choć Kamyk z góry wiedział, jaka może być odpowiedź.

„Możesz spróbować, jeśli się nie boisz” – odparł Koniec.

Kamyk jednakże wolał nie próbować. Coś w postawie dziewczyny znamionowało wielką determinację. Próba wyrzucenia jej na pewno skończyłaby się fiaskiem, zwłaszcza że sądząc z min obecnych, reszta grupy raczej ją popierała. Kamyk wzruszył ramionami.

„Ciekawe, co na to powie Śpiewak, gdy już się ocknie.”

„Nie będzie miał nic do gadania” – skomentował Koniec z przekonaniem.

Kamyk westchnął, wydmuchując resztki irytacji i postanowił nie zaprzętać sobie więcej głowy haremem Śpiewaka. Miał na niej ważniejsze sprawy.

*Wężownik, możesz się tego pozbyć?*

Zagadnięty Wędrowiec tylko kiwnął głową. Niebezpieczna zawartość szarfy Tkacza Iluzji wprost z ręki Wężownika przeniosła się na dno rzeki.

Niebawem zacznie świtać. Czas naglił, należało podążyć na umówione miejsce spotkania z Promieniem i Gryfem – najdalszy cypel wyspy, na której rozsiadł się Zamek Magów. Rzeka Enite była tam jeszcze wystarczająco głęboka, by statek zbliżył się do brzegu, natomiast na pokład uciekinierzy mieli dotrzeć łodzią. Zapewne prostsze byłoby posłużenie się talentem Wędrowców i w tym wypadku, lecz Wężownik całkiem rozsądnie zauważył, że jeśli chcą sobie zapewnić minimalną choćby przychylność kapitana, nie powinni pojawiać mu się znieczeka na pokładzie, strasząc załogę i wprowadzając zamieszanie. Kto wie, czy nie doszłoby do jakiegoś przykrego wypadku.

Wężownik pierwszy stanął w kręgu ze sznura, ze swym tobołkiem na ramieniu. Uśmiechnął się, uniósł palce w geście przywołania dobrego losu i skoczył. Na miejscu, gdzie stał przed chwilą, postawiono pierwszy kufer,



wypełniony zakazanymi księgami. Bardzo przejęty Myszka wodził nosem po mapce z opisanymi koordynatami.

– Odsuńcie się – nakazał kolegom, a kiedy spełnili polecenie, skrzynia powędrowała w ślad za Wężownikiem. Myszka skinął na Diamenta. Ten stanął w kole, ściskając kurczowo torbę podróżną i zamknął oczy, a Myszka posłał go na brzeg rzeki, do pomocy Wężownikowi.

Wszystko szło jak w dobrze naoliwionej maszynerii.

– Raz... dwa... trzy... – mamrotał powoli Myszka pod nosem. Na cyplu Diament z Wężownikiem najpewniej właśnie odstawiali na bok pierwszy kufer. Myszka skierował wzrok na następny. Przepadł z nikłym trzaskiem. Po chwili przerwy przyszła kolej na trzeci.

Srebrzanka, czuwająca nad Nocnym Śpiewakiem, obserwowała działania małego Wędrowca. Wreszcie przyszła kolej na ludzi. Stanęli w ciasnym kręgu, dotykając się niemal ramionami. Nocny Śpiewak nadal spał twardo, leżąc u ich stóp. Każdy ściskał w objęciach torbę lub zawiniątko. Z niedopiętej torby Winograda wysuwało się kilka szczurzych pyszczków i rozlegało się cichutkie skrobanie pazurków. Nikt nie wątpił, że Bestiar weźmie ze sobą wszystkich swych podopiecznych. Kamykowi przemknęło przez myśl, że wyglądają trochę jak gromadka włóczęgów – zresztą faktycznie właśnie porzucali stałą siedzibę, wybierając się w daleką podróż. W sumie Zamek nie był takim złym miejscem. Kamyk zabierał stąd również dobre wspomnienia. Tyle wspólnych zabaw i gier, wypraw do rojnego miasta... Pozostawiał tu wielu dobrych kolegów i przyjaciół. Myśl o Wietrze Na Szczycie ukłuła go przykro, lecz zaraz odpędził ją od siebie. Wiatr Na Szczycie był dorosły, należał do Pierwszego Kręgu – tak samo wpłątany w gry polityczne i uzależniony od kaprysów wyższej władzy, jak każdy w tej pięknej klatce.

Poczuł, jak w jego dłoń wsuwa się czyjaś ręka i zaciska kurczowo palce. Spojrzał w bok, napotykając ciemne oczy Srebrzanki. Odwzajemnił uścisk. A już w następnej chwili świat przestał istnieć. Serce uderzyło mocno w piersiach, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz. Przez ciało przebiegł przykry wstrząs, gdy stopy opadły sztywno na twardą ziemię. Uciekinierów owiało chłodniejsze powietrze znad rzeki, a ich nozdrza wypełnił zapach wody, mułu i szuwarów. Diament i Wężownik już czekali, siedząc na kufrach z księgami niczym dwa smoki pilnujące skarbów.



Świtało powoli i nad wodą podnosiła się poranna mgła, jak to na wiosnę. Kamyk krążył dokoła, wypatrując to statku na wodzie, to znów czegoś na brzegu. Stawiał miękko stopy, bezwiednie omijając gałązki i kępy zeschłej trzciny.

– Jakim cudem on tak cicho chodzi, skoro sam siebie nie słyszy? – odezwał się Stalowy półgłosem, wodząc za nim oczami.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Koniec, tylko dlatego, że siedział najbliżej. Pytanie nie było skierowane do nikogo konkretnego.

– On w ogóle jest dziwny – mruknął znów Stalowy.

– I kto to mówi – odmruknął Mówca. – Widziałeś w Kręgu kogoś niedziwnego? A pożyj sobie trochę wśród smoków, to będziesz jeszcze dziwniejszy.

Kamyk podszedł do rozmawiających. W powietrzu przed nim rozwinął się ciąg znaków i obrócił, by mogli go odczytać. Kiedyś Koniec czuł się nieswojo, gdy Tkacz Iluzji odzywał się do niego w ten sposób, ale dawno już do tego przywykł.

*Widać maszty. Ale coś majaczy pod samym murem. Koniec, sięgnij w tam. Mam niedobre przeczucia.*

Przechucia Kamyka były już słynne. Koniec już dawno spostrzegł, że ten z pozoru zamknięty w sobie i odizolowany od otoczenia chłopak ma piekielną intuicję, choć oczywiście nie objawiała się ona na sposób właściwy Przewodnikom Snów. Po prostu często Kamyk pojawiał się na właściwym miejscu o właściwym czasie. Odruchowo unikał osób, które dopiero później miały okazać się niegodne zaufania, natomiast lgnął do ludzi, którzy z pozoru byli niebezpieczni albo niewiele warcu. Tak było z Nocnym Śpiewakiem i z Wiatrem Na Szczycie, powszechnie uważanym za ordynarnego dzikusa. Myszka, do tej pory uznawany za mazgaja i niedojdę, przy Kamyku rozkwitł, okazując się całkiem sensownym dzieciakiem. A Zwycięski Promień Świtu? Gdy Kamyk przybył do Zamku, wszyscy spodziewali się prawdziwej wojny między tymi dwoma. A teraz cyniczne ksiąźtako wykonywało polecenia Smoczego Jeźdźca, choć nie do końca chętnie.

Koniec bez szemrania wykonał zadanie, jak posłuszny żołnierz. Pod murem maszerował oddział straży. Co więcej, szukali właśnie chłopców z Drugiego Kręgu!



Kolejna bezsenna noc nie nastrajała Wiatru Na Szczycie zbyt przychylnie do świata. Wciąż obracał w głowie ponure myśli, a pod zamkniętymi powiekami przepływały męczące obrazy: torturowany Śpiewak, obojętna twarz Stworzyciela Klingi, w którego oczach lśniła satysfakcja, wstrząśnięta Róża, powstrzymująca się z całych sił od płaczu, cedząca przez zaciśnięte zęby: „Jest dla mnie najważniejszy na świecie. Jak brat, jak syn... Najważniejszy. Zrobię wszystko i jeszcze więcej, żeby go stamtąd wyciągnąć. A jak nie zdołam, to się zemszczę!”

Zawstydziała go. Jego, wojownika, zawstydziła kobieta. To on powinien walczyć o uwolnienie Śpiewaka i szukać zemsty. Tymczasem chodził od drzwi do drzwi, wciąż objijając sobie pięści o mur biurokracji i czując się coraz parszywiej, zupełnie jak żebrak. Nawet jego Gwiazda, Kamyk, zaczął nim chyba pogardzać, bo od dłuższego czasu ani spojrzął w jego stronę. Dość. Na Panią Lawin, dość!!!

Zerwał się z posłania, wciągnął tunikę i kilt. Nie namyślając się, zdjął z haka miecz.

Czas się rozmówić z chłopakiem, a potem wziąć sprawy we własne garście – po góralsku. Zdziadział w tej budzie jak uwiązany pies, parę lat temu wykopałby drzwi i wyniósł Śpiewaka z celi na plecach, nie oglądając się na niczyje zezwolenia.

Rzecz jasna stukanie do drzwi Kamyka nie miało najmniejszego sensu, więc Wiatr po prostu wszedł do środka, spodziewając się zastać chłopca jeszcze w łóżku.

– Zaraza... – wyrwało mu się z zaskoczenia.

Od progu uderzył go dziwny, nienormalny widok. Po stronie Nocnego Śpiewaka panował zwykły nieład, jakby chłopiec opuścił swą sypialnię tylko na chwilę, ale część według niepisanej umowy należąca do Kamyka ziała pustką. Posłanie zostało zaścielone, jakby tej nocy nikt tu nie spał, choć brakowało na nim wierzchniej kapy. Większość półek opróżniono, również stół do pisania, zwykle zarzucony pergaminami i piórami, teraz był kompletnie pusty. Na kołku brakowało Kamykowego płaszcza. Tknięty nieokreślonym przecuciem, Wiatr podniósł wieko skrzyni na ubrania. Wyraźnie brakowało w niej części zawartości. Dokąd to mógł pójść młody Tkacz o tak wczesnej porze i to zabierając ze sobą część swego dobytku?

Wiatr szybkim krokiem opuścił izbę. Na progu zawahał się na krótką chwilę, po czym zastukał do sąsiednich drzwi. Cisza. Nacisnął klamkę, czując, jak jego niepokój rośnie. W izbie, należącej do Końca i Gryfa, również ani śladu stałych

mieszkańców.

– Pogrom jaki czy co? – mruknął Wiatr sam do siebie z irytacją.

Pukaniem do następnych drzwi już sobie nie zawracał głowy. Tym razem jednak na obu posłaniach zobaczył śpiących uczniów. Jeden uniósł głowę, na pół przytomny z senności.

– Gdzie Koniec i Gryf?! – warknął Hajg.

– Nie wm... – wymamrotał zaspany chłopak, usiłując szerzej otworzyć oczy.

– Dobra, śpij dalej. – Wiatr machnął ręką, a chłopiec opadł z powrotem na łóżko, jak marionetka, której przecięto sznurek.

Wiatr Na Szczycie zrobił w tył zwrot i już bez wahania skierował się w stronę kwatery Kowala.



Pospieszne przeczesywanie kwater uczniów przez obu mężczyzn przyniosło nowe, niepokojące odkrycia. Prócz Kamyka, Końca i Gryfa przepadło jeszcze sześć „połówek”. W komnacie Promienia brakowało niektórych sprzętów, a na podłodze pozostał krąg ze sznura, który nie mógł być niczym innym, jak zaimprovizowaną rampą Wędrowców. Kowal, dość bezceremonialnie budząc, wypytywał i sondując myśli uczniów, zdołał zebrać niejasne informacje: Nocny Śpiewak, ucieczka, Smoczy Archipelag. Było więcej niż pewne, że dziewięciu smarkaczy właśnie sprowadziło sobie na głowy nieliczne kłopoty. Wystarczyło jedno sięgnięcie w rejon więzienia, by przekonać się, że Śpiewaka istotnie tam nie ma. Przestraszony Kowal zawiadomił straż nadbrzeżną na wyspie, postawił na nogi patrole na obu brzegach Enite i zbudził dwóch znajomych Mówców rezydujących w samym mieście. Zgnębiony, prosił jedynie, by schwytanych uciekinierów potraktowano łagodnie, bo „to przecież tylko dzieciaki”. Ale w głębi duszy sam w to nie wierzył. Zawiedziono jego zaufanie. Czuł się oszukany, co wyznał w przyływie szczerości Mistrzowi Iluzji.

– Włóż porządne buty i chodźmy szukać – zaproponował Wiatr Na Szczycie. – Ja bym nie zostawiał tego jedynie straży. Przeczysz okolice tym swoim talentem, zgarnijmy ich, zanim zrobią to żołnierze. A potem się pomartwimy, co zrobić, by cała sprawa skończyła się jedynie garbowaniem skóry.

– Skoro są wśród nich Wędrowcy, to oni mogą być naprawdę wszędzie –

odparł Kowal z goryczą. – I właściwie lepiej dla nich, gdybyśmy ich nie znaleźli.



Patrol zbliżał się. Nad wierzchołkami zarośli w rytm kroków żołnierzy kołysały się końce włóczni. Strażnicy szli powoli, lecz maszty oczekiwanego statku, który nadpływał z drugiej strony, poruszały się równie wolno.

*Czas, potrzebujemy czasu.*

Na twarz Kamyka wypłynął wyraz determinacji. Chwycił swój miecz i pochylony dał nura między krzewy.

– Matko Świata! Czy on ma zamiar walczyć?! – jęknął Diament z przerażeniem. – Zabiją go!

– Czekajcie, jak długo możecie. Jak tamci się zbliżą, niech Myszka spróbuje was przerzucić – powiedział Koniec zdławionym głosem, patrząc za Tkaczem Iluzji.

– W ciemno? – szepnął Myszka niepewnie.

– Na pewno sobie poradzisz – odparł Mówca krzepiącym tonem, choć w głębi duszy nie był tego do końca pewien. Skok na ruchomy cel, w dodatku bez uprzedniego rozpoznania, mógł sprawiać poważne trudności nawet dużo bardziej doświadczonym Wędrowcom.

Pozostawiając Myszkę z dość nietęgą miną, pobiegł w ślad za Kamykiem, w stronę, z której zaczęły właśnie dobiegać niewyraźne głosy i szcęk metalu o metal. Ostatnie kroki przebył na kolanach, pełznąc między kępami dzikich wiśni i błyszczyka. Odgłosy walki słyszał już bardzo wyraźne, musiała toczyć się tuż obok. W prześwitach między liśćmi migwały poruszające się żywo postacie, miotające przekleństwa i groźby, dyszące szybko z wysiłku.

– Poddaj się, do cholery, poddaj się! Zwariowałeś, bachorze!?

Koniec z ogromnym trudem zwalczył chęć, by zawołać: „On cię przecież nie słyszy!”

Raptem doszedł go zdławiony krzyk bólu, jakby komuś zabrakło oddechu. Poprzez ażurową zasłonę zieleni zobaczył, jak cios, obliczony prawdopodobnie na wytrącenie Kamykowi broni, trafił w ciało. Klinga strażnika nie zatrzymała się na zastawie, lecz sięgnęła głębiej, otwierając ranę tuż pod żebrami. Kamyk zachwiał się, zgiał w pół, przyciskając łokieć do zranionego boku, upadł na zrytą obcasami ziemię.

Koniec nie wierzył własnym oczom. Jak to? Co? Jak to się stało...? Nie, niemożliwe...

Strażnicy stłoczyli się nad nieruchomym ciałem chłopca.

– Coś ty zrobił!? Zabiłeś chłopaka! Do kurwy nędzy, nie przyszedliśmy tu, by mordować dzieciaki!

– Może jeszcze żyje...? – jęknął zabójca, przykucając i dotykając zwłok.

– Jakby żył, to by jeszcze dychał, tępaku!

– Powiesz go – odezwał się ktoś grobowym tonem. – A nas razem z nim.

Koniec miał wrażenie, że się za chwilę udusi. Wtłoczył pięść między zęby, żeby nie wyć z rozpacz. Dlaczego to musiał być właśnie Kamyk? Dlaczego na przykład nie ten cholerny Zwycięski Promień Świtu? Nikt by nie żałował tego obrzydliwego bufona. Koniec doskonale zdawał sobie sprawę, że są to myśli niegodne. Czyż można osądzać, kto bardziej zasługuje na życie, a kto nie?

Polubił Tkacza Iluzji od pierwszej chwili, gdy ten skromnie wsunął się do sali lekcyjnej, nie mając pojęcia, że jest dla większości młodzieńskich magów bohaterem i wzorem. Właśnie ta skromność ujęła młodego Mówcę, który w pierwszym odruchu spodziewał się kogoś pokroju Promienia – ostatecznie Kamyk miał więcej powodów do zadzierania nosa niż książę Brin-ta-ena. Potem tenże sam Smoczy Jeździec dzielił ze wszystkimi na równi niedole życia pod jarzmem Gladiatora, narażał się dla Myszkki, pomagał Końcowi, objaśniając mu zagadnienia z „nauk naturalnych”, i grał w piłkę na pozycji obrotowego... A teraz miał już nigdy nie stanąć pośrodku pola, wysoki niczym maszt, przygotowując się do podania dla miotaczy.

Czyjś męski głos wzniósł się w krzyku pełnym straszliwej skargi. Koniec czym prędzej otarł oczy z zasłony łez. Strażnicy rozstępowali się i cofali pospiesznie, a tuż koło nich szamotali się ze sobą dwaj mężczyźni – w jednym Koniec rozpoznał hajgońskiego Tkacza Iluzji, natomiast od tyłu górala oplatał ramionami Kowal, co wyglądało tak, jakby kot usiłował obezwładnić tygrysa.

– To był wypadek! Ja nie chciałem! – usprawiedliwiał się nieszczęsny strażnik.

– Idźcie stąd! Do ciężkiej zarazy, precz! – krzyczał gniewnie Kowal. – Zanim ktoś tu jeszcze zginie! Schwytajcie tamtych i tym razem bez ofiar, wy głupcy!!

Odeszli, nie zwlekając, prawie biegnąc. Koniec, ukryty w gęstym krzaku, słyszał tuż obok siebie tupanie podkutych butów i chrzęst folgowych pancerzy.

Mistrz Iluzji padł na kolana przy nieruchomym ciele swego martwego

następcy, przyciskając pięści do skroni.

– O, Bogini... Rozpłatał go prawie na pół. To był taki zdolny chłopak. Co za potworna strata – rzekł Kowal cicho, stojąc obok z opuszczoną głową i bezwiednie przeczesując włosy palcami.

– Strata? Tylko tyle powiesz? – spytał Wiatr Na Szczycie zdławionym głosem. – Kowal, przecież on był twoim uczniem.

– I tylko uczniem. A kim dla ciebie, skoro tak rozpaczasz?

Wiatr Na Szczycie położył rękę na czole martwego chłopca niespodziewanie czułym gestem.

– Gwiazdą, Kowal, jeżeli wiesz o tym cokolwiek. Dlaczego wy, Lengorijeni, myślicie, że istnieje tylko jedna, właściwa, dobra i przyzwoita miłość? Kochać można na wiele sposobów.

Głos mu drżał lekko.

– Idź stąd, bo mam zamiar go opłakiwać i chcę być przy tym sam.

Kowal odszedł, podążając śladami straży. Obejrzał się jeszcze na pozostawionego z tyłu mężczyznę. Koniec wyczuwał zawstydzenie i smutek starszego Mówcy.

Patrzył na tę scenę, poruszony, i już, już miał się ujawnić, powiedzieć coś... cokolwiek pocieszającego rozpaczającemu Wiatrowi, kiedy czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ustach, aż wzdrygnął się, przerażony. Zamarł w nagłym szoku. Obok klęczał Kamyk! Koniec zacisnął na moment powieki, lecz gdy je otworzył znowu, Tkacz Iluzji nie zniknął. Nadal jak najbardziej żywy i namacalny. Koniec spojrział powtórnie przez gałązki. Wiatr Na Szczycie, klęcząc nad zwłokami, właśnie nacinał nożem wierzch nadgarstka, składając Pani Strzał ofiarę z krwi.

Młody Mówca popatrzył na ściągniętą z wysiłku twarz Kamyka. Tkacz puścił go i skinął ręką, przynaglającym gestem. Oszołomiony chłopak podążył za kolegą, starając się jak najciszej precyskać między gałęziami. A więc miał okazję widzieć mistrzowską iluzję, a nawet wręcz nadmistrzowską! Nie było żadnej walki, żadnej śmierci. Strażnik potykał się z mirażem i to miraż zginął, o ile można tak to określić. Co też powie Wiatr Na Szczycie, gdy przekona się, że rozpaczwał nad iluzją? Okpiony, czy będzie szalał z wściekłości, czy też może złoży podziękowanie Losowi, iż jego Gwiazda żyje?

Przekradali się skrajem wyspy, niemal tuż na wodą. Kamyk wciąż miał spojrzenie człowieka, który wszystko widzi podwójnie. Koniec domyślał się, że Tkacz nadal podtrzymuje miraż własnego trupa. To dawało im czas, zatrzymując starszych magów. Jednak w młodym Mówcy zaczął kiełkować niepokój

sumienia, powoli przeradzający się w złość.

„Kamyk, jesteś potworem! Myślałem, że zginąłeś! Wiatr Na Szczycie rozpacza tam po tobie! Straż odeszła, więc dlaczego nie wyszedłeś i nie powiedziałeś mu, że żyjesz?”

Na twarzy Tkacza wciąż malowało się napięcie. To zdawało się wręcz niemożliwe. Koniec zachodził w głowę, jakim cudem Kamyk potrafił kontrolować iluzję z takiej odległości, nie widząc jej, i to z takim kunsztem, że oszukiwał starszego i bardziej doświadczonego mistrza?

*Wolę być... żywym potworem... niż bardzo martwym człowiekiem... albo uwięziony... albo torturowany... za karę... jak Śpiewak – odparł Kamyk, poświęcając Mówcy część uwagi. – Potrzebujemy czasu... nie mogłem... zrobić tego...*

„Mogłeś! Wiatr jest twoim przyjacielem! Nie zdradziłby nas.”

*Już zdradził... przyszedł z Kowalem... Nieważne...*

A jednak Koniec miał wciąż poczucie, że to jest ważne, a Kamyk popełnia błąd.

Kiedy dotarli na miejsce, ich oczom ukazał się straszny obraz, choć obaj w głębi ducha spodziewali się czegoś w tym rodzaju. Szalupa ze statku i gwardia zamkowa musieli dotrzeć tu prawie równocześnie. Koniec westchnął spazmatycznie, a jego oczy bez udziału świadomej woli powędrowały natychmiast ku Kamykowi, wypatrując jego reakcji. Tkacz Iluzji zbladł jak kreda, przygryzł wargę, rozglądając się dokoła. Twarz mu stężała jeszcze bardziej.

„Pewnie iluzję właśnie szlag trafił” – pomyślał Koniec i sam się zdziwił, że tak trywialna myśl przyszła mu do głowy.

Na brzegu leżało pięć ciał w uniformach straży. Najbliżej leżący żołnierz wyglądał jakby beczka prochu wybuchła mu w twarz. Z czterech następnych pozostały tylko dolne części ciał, odcięte czysto od reszty. Wężownik wymiotował, częściowo ukryty za krzakiem wiśni roniącej białe płatki. Myszka, przycupnąwszy na ziemi, skulił się, objął ciasno ramionami, jakby było mu zimno. Zacisnął powieki, wcisnął nos w zgięcie łokcia i trwał tak bez ruchu niczym drewniana figurka.

Srebrzanka siedziała obok wciąż nieprzytomnego Nocnego Śpiewaka, trzymając w obu dłoniach jego bezwładną rękę. Spuściwszy głowę, wpatrywała się w jeden punkt gdzieś na ziemi.

Na burcie zarytej w piasku łodzi przysiadł Promień. Jedną ręką tarł bez przerwy skrzywioną twarz, jakby chciał z niej usunąć niewidzialną pajęczynę.



Drugą zwiesił bezsilnie, a Miętówka lizała go po palcach. Dwóch członków załogi „Motyla” rozglądało się ze zgrozą po pobjowisku.

– W jeden mig, widziałeś...? W jeden mig... anim się obejrzał... – powtarzał żeglarz bezładnie, aż w końcu zniecierpliwiony towarzysz warknął na niego, żeby się zamknął.

Natomiast na największej skrzyni siedział Kowal, przyciskając do czoła złożoną w kilkoro chustkę, wyraźnie przesiąkającą krwią.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony Koniec, podchodząc do nauczyciela.  
– To chyba nikt z naszych?

– Nie – uspokoił go starszy Mówca zrezygnowanym tonem. – Po prostu potknąłem się i wyrznięłem głową prosto w kant kufra. – Poklepał dłonią wieko.  
– Bagaż podróżny?

Koniec westchnął ukradkiem, odwracając oczy.

– Tak, bagaż... – odpowiedział.

Kamyk położył mu rękę na ramieniu, zaciskając lekko palce. Nadal był blady, jakby dopadła go ciężka choroba.

*W pierwszej kolejności załadujemy do łodzi Śpiewaka i Srebrzanę i połowę pakunków. Niech płynie z nimi Mysz. Z niego już raczej nie będzie pożytku. Reszta za drugim razem. Bierzmy się do roboty.*

Zszokowana gromadka zaczęła zbierać się do kupy i niebawem już wszyscy działali w miarę sprawnie. W połowie załadunku spomiędzy krzaków błyszczczyka wynurzył się Wiatr Na Szczycie. Nie biegł. Nadszedł spokojnym, równym krokiem i zatrzymał się przy Kowalu.

– Jest bardzo dobry... – wycedził przez zęby.

– Mało powiedziane – mruknął Kowal, obserwując, jak jego uczeń... były uczeń – kieruje pracą, dając kolegom zrozumiałe znaki rękoma lub posługując się talentem. Młodszy Tkacz Iluzji zaszczycił obu mężczyzn jednym spojrzeniem, a potem zajął się własnymi sprawami.

– Jest znakomity – przyznał Wiatr Na Szczycie. – Nie wiem, czy obedrzyć go ze skóry, czy oddać mu swoją szarfę. Po prawdzie, mam ochotę na to pierwsze. Zawiadomiłeś następny oddział?

– Nie zawiadomiłem. Masz tu błękitnego Iskrę, Stworzyciela i dwóch Wędrowców. Nie chcesz chyba, żeby powtórzyła się rzeź? A jak sprowadzę tu innych magów, to zacznie się regularna bitwa i żywa noga stąd nie ujdzie.

Mówca przerwał na chwilę i sprawdził, czy zraniona głowa nadal krwawi.

– Lepiej daj im odejść. Pożegnaj się z nimi. Naprawdę nie chcę mieć nikogo na sumieniu.

Ciemne oczy Hajga zwięziły się.

– Pożegnać się... Dobra myśl, Kowal. Przednia.

Wiatr podszedł do swego Gwiazdy. Stanęli na przeciwko siebie: Wiatr z zaciśniętymi ustami, Kamyk sztywno wyprostowany, starający się całą swą postawą okazać niezależność i dumę. Uwaga wszystkich skupiła się na nich. Coś wisiało w powietrzu.

– Cieszę się, że żyjesz – powiedział Mistrz Iluzji zimno. Nie dbał przy tym zupełnie, czy głuchy chłopak odczyta jego słowa z ruchu warg. W tym samym momencie, odwinął się błyskawicznie i z całej siły trzasnął Kamyka w twarz otwartą dłonią, aż echo poszło po wodzie. Chłopak stracił równowagę i padł na wznak w przybrzeżne trzciny.

Publiczność zamarała z zaskoczenia.

Wiatr Na Szczycie odwrócił się do Kowala.

– Mówiłeś o pożegnaniu. Żegnam się... Ta ziemia nie jest dla mnie, Kowal. Żyłem tutaj o całe dziesięć lat za długo.

– C-co...? – zająknął się oszołomiony Mówca. – Uciekasz? Z nimi?

– Jak zwał, tak zwał. – Wiatr wzruszył ramionami. – Powiedz ode mnie Klindze, że sram na niego i jego łaski. A przedtem idź do mojej kwatery i oderwij parapet z lewego okna. Pod spodem są pieniądze. Weź wszystko ze schowka, zanim się do niego te ścierwniki dobiorą.

– Ale przecież będziesz potrzebował...

– Nic nie będę potrzebował. Co mi potrza, to mam tu. – Wiatr poklepał się po boku, przy którym nosił miecz. – I tu. – Puknął się palcem w czoło i roześmiał. Kowal widział, że podjęta decyzja w jakiś sposób zdjęła mu ogromny ciężar z ramion. Już nie przynależał do Zamku, mógł iść gdzie go oczy poniosą, uwolniony jednym słowem, jednym aktem woli.

Tymczasem naburmuszony Kamyk z pomocą przyjaciół wygrzebał się z trzciny, postanawiając najwyraźniej zignorować owo brutalne zajście. Reszta młodych magów również milczała, nie komentując ani słowem obecności Hajga na pokładzie.

Kowal odprowadzał uciekinierów wzrokiem. Jego sylwetka, malejąca na brzegu, wyglądała dziwnie bezradnie.



Kapitan nie był jednak zachwycony nadwyżką pasażerów, zwłaszcza że

„zapomniano” mu wspomnieć o obecności wielgachnego dzikiego kota. A już niemal o atak furii przyprawiła go wiadomość, gdzie ma dostarczyć całe to dziwne towarzystwo: wytatuowanego zbira z mieczem, gromadę smarkaczy, dziewczynę, a na dodatek panterę i coś w rodzaju małpy, choć na szczęście ten pasażer spał – tymczasowo cichy i nieszkodliwy.

Gdyby wtedy odkrył także szczury Winograda, prawdopodobnie rejs skończyłby się prędzej, niż zaczął. Ostatecznie wytrzymałość ludzka ma swoje granice – jak myślał o tym Koniec. Rozeźlonego szypra ugłaskał dopiero pękaty woreczek złota i zapewnienie, że ma na pokładzie człowieka obłaskawiającego smoki. Zapewne swoje dołożyła także relacja wystraszonych żeglarzy z błyskawicznej rzeźni na cyplu. Magiczna dzieciarnia nosiła błękitne szarfy nie tylko na pokaz. Możliwe, że bardziej należało się bać gniewu starszyny Kręgu, ale „smarkacze” po prostu byli bliżej, co skutecznie wpływało na pragmatyzm kapitana.

Wiatr im sprzyjał, więc wkrótce „Motyl”, korzystając z resztek nocnej bryzy, wypłynął z ujścia rzeki na wody Zatoki Cesarskiej. Członkowie Drugiego Kręgu rozejrzeli się w pomieszczeniach pod pokładem zaoferowanych przez kapitana. Panowała tam niezwykła ciasnota, a stało się jeszcze ciasniej po rozstawieniu w tych niewielkich kajutach cennych kufrów z książkami. Nikt jednak nie narzekał, nawet Promień, przyzwyczajony do nieporównywalnie bardziej komfortowych warunków podróży. Nocny Śpiewak spał nadal twardo, ułożony na macie pod głównym masztem, a Srebrzanka czuwała przy nim bez przerwy.

Wiatr Na Szczycie przyglądał się z oddalenia tej parze. Dziewczyna trzymała głowę swego wybranka na kolanach. Czasem rozglądała się i z przyjemnością oddychała głęboko morskim powietrzem, wciąż jednak jej oczy wracały do Śpiewaka. Dotykała delikatnie to jego czoła, to znów piersi, jakby chciała zyskać pewność, że tu z nią, że żyje, oddycha...

Wiatr mrugnął, tknięty nagłym przypomnieniem. Młoda kobieta, podobnie trzymająca głowę mężczyzny na podołku. Tyle samo siły i wiary w cud widział przed wieloma laty w szarych oczach Śnieżynki. Opierał wtedy głowę na jej kolanach, czując jej dotyk na czole, niosący otuchę. Trzymała go za rękę, gdy on zaciskał zęby na drewnianym kločku, a znachor zszywał mu rozplątany brzuch. Przeżył wtedy chyba cudem, a może został wskrzeszony miłością młodziutkiej żony. Nie ma już tej okropnej blizny, którą wygładziła ręka Stworzyciela. Nie ma też Śnieżynki, która śpi na wieczność wraz z ich dzieckiem pod stosem kamieni na połoninie w dalekich górach.

Śpiewak i jego dziewczyna. Jacy oni oboje młodzi... Śpiewak ma tylko osiemnaście lat. Hajg zamyślił się. Osiemnaście – on w tym wieku już od trzech lat nosił niebieskie pasy na policzkach; własnymi rękami zbudował chatę, na jej belkach wisiały skalpy, kostki palców i wygarbowane uszy wrogów, chwalebnie zdobyte w bitwie o zachodnie stoki Doliny Pierścienia. Miał dokładnie osiemnaście lat, gdy włożono mu w ramiona pierworodnego syna, a on zdziwił się, że dziecko jest takie leciutkie. Gdzie umknęło całe to życie? Nie ma już żony ani syna. Nie ma Gór Zwierciadlanych, krwawych bitew między klanami, wilczych stad, wieczorów przy ogniskach. Z wojownika stał się wygnańcem w obcym, płaskim kraju, gdzie nikt nigdy nie widział śniegu.

– Marnowałem czas... – szepnął Wiatr do siebie ze smutkiem, a potem uśmiechnął się do Srebrzanki.



Inni podróżnicy gromadzili się przy burtach, z zadowoleniem patrząc na zostającą z tyłu Lengorchię. Morska bryza niosła ze sobą zapach kojarzący się z wolnością. A kiedy zielonkawa woda Enite w końcu roztopiła się w błękitnych odmętach oceanu, wybuchły nawet krótkie wiwaty. Pogoda zapowiadała się wspaniale. Świeciło ostre słońce, a na niebie pełzło zaledwie kilka jasnych, niewinnie puchatych obłoków. Tylko Kamyk – ponury i okładający mokrą szmatką spuchnięty policzek, na którym odbiło się wszystkie pięć palców Wiatru Na Szczycie, wciąż był spięty. Nosiło go wzdłuż burt, stawał na rufie i patrzył na oddalające się brzegi cesarstwa.

„Czego się boisz?” – zagaił Koniec, podchodząc do niespokojnego Tkacza Iluzji.

Zerknął, marszcząc lekko brwi.

„To wygląda za pięknie, Koniec. Za łatwo nam poszło. Cała potęga Kręgu tak po prostu machnęła ręką, pozwalając odejść trzeciej części przyszłych błękitnych? Coś wisi w powietrzu, a ja czekam, kiedy nam spadnie na głowy”.

Miał rację. W Zamku już z pewnością wiedziano o ich ucieczce. Tymczasem w kilwaterze „Motyla” nie podązał żaden smukłoburty okręt straży przybrzeżnej, a na pokład nie próbował dostać się żaden obcy Wędrowiec – choć to akurat było całkiem zrozumiałe, skoro poruszali się i skok w pozaprzestrzeni stanowił spore ryzyko. W dziewięciu przypadkach na dziesięć mag wylądowałby w wodzie. Bardziej pechowy rozpląszczyłby się na burcie.

Po dwóch godzinach Kamyk wciąż spacerował w tę i z powrotem od burty do burty, jak podrażniony kocur, wypatrując nie wiadomo czego. Co jakiś czas moczył okład w kubie z morską wodą, przykładając do twarzy i znów wędrował. Wiatr Na Szczycie z rosnącą irytacją wodził wzrokiem za swym protegowanym. Siedział przy relingu na zwoju liny, starając się nie zawadzać załódze. Góral właśnie odkrył, że nie znosi kołysania i usiłował o tym zapomnieć, ostrząc swój miecz posuwistymi, regularnymi ruchami. Reszta, zmożona kołysaniem, ułożyła się w rozmaitych zakamarkach i próbowała odespać straconą noc. Jedynym „dreptaczem”, poza Kamykiem, był Diament. Młodziutki Wiatromistrz wreszcie przysiadł się do Hajga i powiedział przyciszonym głosem:

– Powietrze smakuje żelazem.

Wiatr nadstawił uszu.

– Hm...? – mruknął zachęcająco.

– Od lądu nadchodzi burza – szeptał Diament. – Cały jestem w mrówkach. Mamy jeszcze godzinę, może dwie spokoju, a potem nas dogoni i... Losie, chroń niewinnych.

– Aha... – Wiatr podniósł się z lin i kiwnął na chłopca palcem. – Idziem z tym do szypra, młody.

Szyper popatrzył z góry na chudego piętnastolatka, który z ufnością w ciemnych oczach powiadomił go o zbliżającej się burzy. Wokoło nadal panowała najcudowniejsza pogoda.

– Jak ci na imię, synu? – spytał z łagodną kpina. Doświadczony marynarz otrząsnął się już z pierwszego wrażenia i zaczął swym pasażerom okazywać zdecydowanie mniej respektu. Na wodzie to on był panem i bogiem.

– Diament, ojczulku – odrzekł zapytany chłopiec tym samym tonem.

– Jesteś żeglarzem, synu?

– Jestem Wiatromistrzem – odparł „syn” z godnością.

Pionowa zmarszczka między brwiami kapitana pogłębiła się, w oczach pojawił się namysł.

– A dobrym chociaż?

– Jedynym na tej łajbie – odpowiedział Diament niecierpliwie. – Gdybyś chciał mnie wynająć tam, w dokach, byłbym najdroższy. My tu wszyscy jesteśmy błękitni, człowieku.

Szyper jeszcze chwilę walczył z myślami i własną nieufnością.

– Mocno nas pobuja?

– No, rzekłbym, że mocno. Szóstka, może siódemka... – odpowiedział Diament, z zafrasowaniem pocierając nos.

– Ja bym uwierzył – wtrącił się sternik. – Co szkodzi?

Kapitan podjął jedyną słuszną decyzję.

– Trzymaj kurs – polecił sternikowi, po czym donośnym głosem wydał rozkazy:

– Ściągać żagle! Skrócić klingę! Umocować ładunek!

Załoga bez szemrania zabrała się do przygotowań sztormowych, choć wszyscy rzucali wymowne spojrzenia w stronę swego „mniejszego boga”, a któryś z członków załogi nawet dyskretnie postukał się palcem w skroń.

Istotnie w określonej przez Wiatromistrza porze od strony kontynentu nadpłynęła chmura. Z początku miała jak pięść, ale za to w złowróznej popielatoczarnej barwie. Zbliżała się szybko, puchnąc i rozpełzając na boki, niczym żywe stworzenie. Wiatr, który według wszelkich prawideł powinien już zmienić kierunek i wiać w stronę lądu, nadal uparcie dął w głąb morza. Żeglarze i magowie obserwowali rosnący wał ciemnych chmurzysk w posępnych nastrojach.

Diament i Wiatr Na Szczycie stali obok siebie przy relingu. Tkacz Iluzji zaciskał na barierce palce tak mocno, że zbieleły mu kostki. Przełykał kurczowo ślinę, a jego twarz pod opalenizną przybrała niezdrowy szarawy odcień.

– Roztrzęsiony? – zagaił Koniec, podchodząc. Za nim jak cień stanął Kamyk, wciąż udający, że Hajg nie istnieje.

– Rozbujany – odburknął Wiatr Na Szczycie. – Czy to zawsze tak kołyszecie?

– Obawiam się, że będzie jeszcze gorzej, jak to nas w końcu dopadnie. – Mówca wskazał brodą nadciągający szkwał.

Mistrz Iluzji jęknął głucho przez zęby.

– Ten sztorm nie jest naturalny – odezwał się Diament bardzo cicho, tak że słyszeli go tylko najbliższej stojący. – Krąg nas ściga...

– Tegośmy się domyślili – mruknął Wiatr zgryźliwie.

– Nie chcieli robić przedstawienia przy świadkach. Za dużo statków kręci się po Enite i w ujściu. Popsuliby sobie opinię. A w ten sposób załatwią to czysto i bez wyrzutów sumienia. Nikt się nie dowie.

*Nie mogli nas zatrzymać, więc chcą zabić. Łamią prawo, które sami ustanowili. To jest zwyczajnie podłe – wtrącił Kamyk ze złością malującą się na potłuczonej twarzy. – Mamy przyjąć ich reguły i nie wolno nam nic więcej. A jak ja chcę swoich reguł, to co?*

– Chyba wszyscy Wiatromistrzowie w Zamku pracują nad tym sztormem. Kompletnie oszaleli. Rozchwieją klimat wybrzeża na długie dni. Czy my jesteśmy aż tacy ważni? – rzekł Diament, wzdychając.

– Widocznie jednak jesteście. Jeżeli dowiedzieli się już o bibliotecę, pewnie dostali szaka.

– Bibliotecę? – wtrącił Wiatr.

– Wynieśliśmy starym prawie całe archiwum, w tym dokumenty o nielegalnych transakcjach i dowody korupcji. Co prawda nieco przeterminowane, ale jednak...

Wiatr Na Szczycie przez chwilę gapił się na Końca, jakby ten przemienił się na jego oczach w upiora, po czym ryknął śmiechem. Śmiał się tak długo, aż osunął się bez sił na deski pokładu.

Wiatr dął coraz silniej. Zwinięto ostatni żagiel. Pasażerów zapędzono pod pokład, do mrocznych i dusznych kajut. Statek dzielnie wspinał się na kolejne fale, by za chwilę zwalić się ciężko w następną morską dolinę. Początkowe kolebanie, które dawało się we znaki Wiatrowi Na Szczycie, przerodziło się we wściekłe podrygi. Niemożliwe jest granie roli bohatera, gdy żołądek uparcie podchodzi człowiekowi do gardła. Jedynym pocieszeniem dla biednego górala mógł być tylko fakt, że nie jego jednego to dotknęło. Większość, w tym również jego niewdzięczna Gwiazdka, chorowała na równi z nim. To obłąkane potrząsanie dobrze znosili jedynie: Nocny Śpiewak, nadal odsypiający działanie narkotyku, Wężownik i (o dziwo) Myszka. Choć ten ostatni był tak przerażony, że zwinął się w kłębek na koi, zamknął oczy i zasłonił uszy rękami, by odgrodzić się od tego jękliwego trzeszczenia wręg pod naporem szalejącej kipieli.

– To są te cudowne przygody na morzu? Zawsze bardzo lubiłem huśtawkę... ale bardzo... bardzo chciałbym już zejść! – zajęczał w pewnej chwili Stalowy.

Ale zejść nie mógł. Statek, miotany burzą, podskakiwał wściekłe, niczym narowisty koń, a jego zawartością, żywą i nieżywą na równi, rzucało od ściany do ściany, jak kamyczkami w puszcze. Kamyk przysięgał w duchu, że jeśli wyjdzie z tego cało, nigdy już nie wsiądzie na żaden statek. Nie postawi nawet stopy na łódce, choćby woda była równa jak stół, bez jednej zmarszczki. Nie miał przy tym pojęcia, że na wyciągnięcie ręki drugi Tkacz Iluzji składa identyczne obietnice, z tą różnicą, że przy okazji obiecywał bolesny zgon Wiatromistrzom z Zamku Magów. Nowy, złowrogi dźwięk przedarł się przez jęki torturowanego drewna i ryk rozjuszonego oceanu. Stalowy i Koniec poderwali głowy.

– Maszt! – wrzasnął z przerażeniem Stworzyciel.

– Tylko uszkodzony! – odkrzyknął Mówca po chwili, sięgnąwszy do myśli kapitana.

– Reja! – dodał Gryf. – Ten drąg w poprzek! Zleciał!

Koniec usiłował przekazać najnowszą wieść Kamykowi, ale stwierdził, że nie ma to sensu – chłopak prawie umierał od morskiej choroby. W następnym momencie kadłubem targnął potworny wstrząs, jakby z głębin podniosła się gigantyczna morska bestia, chwyciła statek w pysk i podrzuciła w powietrze. Mówcy brzeg koi wyślizgnął się z rąk. Wszystko stanęło dęba. Podłoga uciekła mu spod nóg, wyrznął głową o powalę, a potem rąbnął całym swym solidnym ciężarem na deski, wraz z resztą podróżników. Przy czym co najmniej dwójka wylądowała na nim. Statek uniósł się jeszcze parokrotnie. Lecz coraz łagodniej, jak pozbawiona rozmachu chybotka. Kołysał się coraz spokojniej, leniwiej...

Wszyscy trwali w bezruchu, nie mając pojęcia, co się właściwie stało. Nareszcie ktoś zdecydował się otworzyć drzwi na wąski korytarzyk, wiodący wzdłuż całego kadłuba, od rufy po dziób. Wszędzie było wody po kostki, ale sztorm najwyraźniej ustał, jak ucięty nożem. Wspólnymi siłami odryglowali klapę prowadzącą na pokład, a po jej podniesieniu nawykłe do ciemności oczy oślepił blask słońca i powiało żarem, niczym z pieca. Statek przedstawiał sobą żaloszny widok. Burza zerwała wszystkie reje, choć maszty jakimś cudem ocalały, i teraz sterczały gołe, strasząc strzępami lin. Za burtą wylądowało wszystko, czego nie przybito zapobiegliwie gwoździami albo nie przywiązano wystarczająco mocno. Wyczerpana i przemoczona załoga rozglądała się po tym pobojuwisku, oceniając straty. Jako ostatni spod pokładu wynurzył się Wiatr Na Szczycie – wymiętoszony, szarozielony na twarzy, przypominał bardziej szczura podtopionego w pomyjach niż dzielnego wojownika.

Cudem ocaleni, byli tak zmordowani, że z początku do nikogo nie dotarła niezwykłość tej sytuacji. Po dłuższej chwili za Wiatrem pojawił się Nocny Śpiewak – wciąż oszołomiony i półprzytomny. Rozejrzał się wokół, kołysząc głową, jakby mięśnie szyi odmawiały mu posłuszeństwa. Skołtuniony i brudny – stanowił obraz nędzy i rozpacz, ale przynajmniej poruszał się o własnych siłach.

– Czy ja umarłem? – Pytanie, jakie padło z jego ust, było równie osobliwe, jak okoliczności.

– Nie – powiedział Gryf.

– Nie wiem – odezwał się jednocześnie Wężownik z powątpiewaniem, również się rozglądając.

Śpiewak przez chwilę przetrwał te sprzeczne informacje.

– Zdecydujcie się... na coś.

Po czym osunął się powoli na pokład, zwinął w kłębek i znieruchomiał.



Kamyk przykucnął przy nim i pomacał go nieufnie.

*Znów zasnął – oznajmił, uspokojony. – A właściwie, co się stało?*

Dobre pytanie. Coś tu było nie tak. Burza ucichła w jednej chwili... Nawet gdyby Wiatromistrzowie z Kręgu przerwali swe wysiłki, raz rozpętany sztorm z pewnością trwałby dalej, napędzany siłą bezwładu. Tymczasem dokoła pyszniła się cudowna pogoda, z nieba lał się słoneczny żar, spijając wilgoć z włosów i ubrań. A na dodatek... nikt nigdzie nie widział ani skrawka lądu.

*I gdzie my jesteśmy?*

To było jeszcze lepsze pytanie.

Tknięty okropnym podejrzeniem, Kamyk odwrócił się do Myszki, który starał się jak najmniej rzucać w oczy.

**MYSZKA!**

Mały Wędrowiec miał niepewną minę dzieciaka słusznie podejrzanego o kradzież cukierków.

– Myszeńko, powiedz nam, coś ty właściwie zrobił, słoneczko? – zapytał Stalowy złowroźnie słodkim tonem, gdyż wpadło mu do głowy takie samo podejrzenie jak Kamykowi.

– Tttto ttak sssaaaammmo wyyyszłło – wyjąkał Myszka, szczękając zębami i kuląc się pod groźnym wzrokiem starszych kolegów. – Ttto n-nie mmoja w-w-wina...!

Nie mieli już najmniejszych wątpliwości. Myszkę zawiodły nerwy. Ryzykując życiem wszystkich obecnych, przerzucił cały statek na ślepo, bez uświadomionego miejsca docelowego.

– To cud – oświadczył Wężownik ze zgrozą. – Cud, że w ogóle jesteśmy gdziekolwiek i nie rozmazaliśmy się w międzyświecie. Bicie czołem o ziemię w obliczu łask Bogini – dodał kwaśno.

– Z chęcią, tylko mi daj jakąś ziemię! – Zły humor Wiatru Na Szczycie nie polepszał się ani trochę.

– Może być w doniczce? – odpyskował Stalowy.

– Myszo, do ciężkiej zarazy, coś ty sobie myślał?! Możemy teraz znajdować się dosłownie wszędzie, na Zachodnim Oceanie, na Morzu Smoków, Syrenich Wodach albo gdziekolwiek indziej!

– Przywiążę tego gówniarza za nogę do liny i przeciągnę pod kilem! – warknął kapitan, przysłuchujący się temu z boku.

– Nie waż się mnie tknąć! – wrzasnął Myszka przez łyż. – Jesteście niesprawiedliwi! Świnie! Wszyscy byśmy się potopili, gdyby nie ja!

– Słuchaj no, Myszo... – zaczął Promień groźnie, ale mały Wędrowiec

wszedł mu w słowo.

– Nie mów tak do mnie!!! – wrzasnął, purpurowy ze złości i tłumionych łez.  
– Ja mam imię! Ty... ty... piesku cesarski, ty...!!!

Promień osłupiał, chyba po raz pierwszy w życiu zapominając, do czego służy język. Myszka – Jodłowy roztrącił stojących mu na drodze i schował się na powrót pod pokład.

„Mysz wyzywający Promienia... Jak teraz zobaczę fruującą rybę, to już mnie to nie zdziwi” – skomentował Koniec, który w pośpiechu przekazywał przebieg całej awantury Kamykowi.

Były jednak ważniejsze sprawy niż zajmowanie się humorami Myszkii. Należało dokonać niezbędnych napraw, zająć się tymi, którzy ucierpieli w czasie burzy (kilku marynarzy odniosło lekkie obrażenia), uporządkować z grubsza pokład. Pozostał jednak osad wyrzutów sumienia. Do niektórych chłopców dopiero teraz w pełni dotarła niemila prawda: Myszką, najmłodszym, najcichszym, najbardziej uległym, pomiatano. Nic dziwnego, że w końcu miał tego dość. Dziwne tylko, że wybuchnął po tak długim czasie.

Szyper z grubsza ustalił pozycję statku za pomocą busoli i przyrządu zwanego „laską morskiego pielgrzyma”, a gdy zapadła noc, gwiazdy potwierdziły jego podejrzenia: znajdowali się na Zachodnim Oceanie i między nimi a Cesarstwem Lengorchii leżał Smoczy Archipelag.

Tak więc wciąż jeszcze nadąsany Myszka został wyciągnięty niemal przemocą z dusznej kajuty, by odebrać hołdy należne największemu Wędrowcowi wszechczasów. Dopiero wtedy, oszołomiony, przestraszony i szczęśliwy jednocześnie, dowiedział się, czego właściwie dokonał.

– To ja mam aż taki zasięg...??? – dziwił się, otwierając szeroko jasne, naiwne oczy. – Chciałem tylko, żebyśmy przeskoczyli gdzieś, gdzie jest spokojnie i ciepło...

– To ci nieźle wyszło – rzekł z uznaniem Wężownik. – Taki kawał drogi! Będziesz mógł skakać z Jaszczura na kontynent po piwo.

– Nie warto – odparł Myszka. – Specjalistą od piwa i tak jest Nocny Śpiewak.



Tak więc do brzegu Jaszczura „Motyl” płynął od całkiem innej strony, niż pierwotnie planowano. Niedożaglowany statek brnął przez fale ciężko jak „dojna

krowa” (według obrazowego porównania Wężownika). Podróżowali tym wolniej, że wiatr dmuchał leniwie, aby tylko trochę wypełnić ocalone ze sztormu płótno. O ile załoga miewała coś do roboty, magowie nudzili się okropnie. A słońce prażyło niemiłosiernie, jak to w tropikach.

Pierwszego smoka dostrzegł przypadkiem Promień, obdarzony najbystrzejszym wzrokiem. Bez entuzjazmu wypatrywał na horyzoncie choć jednego marnego obłoku, zapowiadającego zmianę pogody. Ruchoma plamka, wyczyniająca dziwne ruchy na niebie, mogła być tylko jednym.

– Smok!!! – zawołał Iskra, pokazując palcem.

– Smok? – mruknął Gryf z powątpiewaniem, patrząc we wskazanym kierunku. – A może to jakiś ptak?

– Pewnie gęś. Najlepiej od razu pieczona! – prychnął Promień. – To jest smok, ptaki tak się nie poruszają. Zawołaj Kamyka, jak mi nie wierzysz. Albo użyj talentu i sprawdź sam.

Obserwator musiał, trochę niechętnie, przyznać mu rację. Pojawił się pierwszy smok, a to oznaczało, że są już całkiem blisko smoczycy terenów.

Jeszcze tego samego dnia pojawiło się kilka następnych szybujących wysoko nad masztami. Okrążyły statek kilkakrotnie i odleciały, nie odpowiadając na próby kontaktu ze strony Końca i Stalowego. Pociuszające było to, że żaden nie próbował atakować, choć „Motyl” zmierzał prostym kursem ku ich terytorium. Możliwe, że ta niezwykła tolerancja wiązała się z komunikatem, jaki Winograd starał się przekazać każdemu skrzydlatemu zwiadowcy: „Jesteśmy bezbronni, niegroźni, bardzo młodzi, szczenięta...”. Najwyraźniej to pomagało, gdyż czas mijał, a smoki, choć coraz bardziej zniżały lot, przyglądały się tylko przybyszom z zainteresowaniem. Cienie wielkich skrzydeł przesuwwały się po pokładzie, niepokojąc załogę, lecz poza tym nie działo się nic.

Aż nadszedł dzień, gdy okaleczony statek dobrnął do przybrzeżnych wód Jaszczura. Wyspa pojawiła się na horyzoncie najpierw jako ciemniejsze niebieskawe pasmo, zieleniejące coraz bardziej w miarę zbliżania. Ów widok stanowił prawdziwą radość dla oczu, zmęczonych już jednostajnym widokiem błękitnego nieba i błękitnozielonej wody. Ulgę czuł zwłaszcza Wiatr Na Szczycie, który nadal fatalnie czuł się na chybotliwym pokładzie i w czasie podróży po stokroć zdążył przekląć swoją decyzję o ucieczce z Lengorchii.



Jagoda często przesiadywała nad brzegiem morza, wpatrzona w falujący lazurowy przestwór, ukryta przed słońcem w przytulnych zakątkach, pod ochronnym parasolem liści. Błądziła umysłem daleko od brzegów Jaszczura, oglądając świat oczami morskich zwierząt, żeglarzy i smoków latających między wyspami rozsypanymi na morzu niczym kawałki szmaragdowego naszyjnika. Właściwie nie musiała w tym celu przychodzić nad wodę, lecz widok rozkołysanego błękitu i miarowy odgłos fal rozbijających się na rafie działał na nią uspokajająco i wręcz hipnotycznie. Rozluźniona, potrafiła swobodnie wędrować od umysłu do umysłu niemal wszystkich istot znajdujących się na i w wodach Syreniego Morza. Znacznie rzadziej sięgała natomiast na otwarte, bezkresne przestrzenie oceanu po zachodniej stronie wyspy, gdzie najbardziej światłymi umysłami do „czytania” były jaźnie delfinów i ogromnych lewiatanów.

„Delfin... delfin... jeszcze jeden delfin... ośmiornica... kraken...” – Płytkie myśli stworzeń, zajętych głównie jedzeniem i rozmnażaniem, nie przedstawiały się zbyt zajmująco. – „Ryba... ślimak... Napiłbym się piwa... ryba...”

Jagoda podskoczyła, otwierając szeroko oczy w szoku. Piwo?! Jakie piwo? Człowiek od zachodu? Wstrzymując oddech, zapatrzyła się w niebieskawą dal, szukając zgubionego przed chwilą płomyczka ludzkiej duszy. Nie zdawała sobie przy tym sprawy, że wbija paznokcie we wnętrze dłoni.



Pożeracz Chmur pilnowanie młodszej siostry uważał za obowiązek niefatygujący, ale dość monotony. Dwadzieścia sześć razy odganiał Liskę od obrzydliwego, mokrego i słonego żywiołu i miał już tego serdecznie dość. Pomysł, żeby wyszukać na plaży basenik pozostały po nocnym przyptywie i wepchnąć tam kłopotliwego malucha, przyszedł o co najmniej dwadzieścia interwencji za późno. Teraz starszy brat z melancholijną rezygnacją obserwował rude (i ociekające) rodzeństwo, które z zachwytem babrało się w słonej morskiej „zupie”, łowiąc na dnie kałuży narybek i drobne raczki.

Nudę tropikalnego popołudnia przerwało dopiero skrzypienie piasku pod podeszwami biegnącej Jagody i jej sapanie.

– Zwariowałaś? – spytał uprzejmie Pożeracz. – Latasz w taki upał? Żyłka ci pęknie.

Jagoda opadła na kolana koło Liskowej kałuży, machając bezładnie rękami.

Nadal ziajała jak zgoniony chart, nie mogąc wykrztusić słowa. Liska natychmiast skorzystała z okazji, wylazła z wody i wpakowała się na dziewczynę, wylizując ją zamasyście. Pożeracz Chmur czekał z filozoficznym spokojem, aż Jagoda się wysapie.

– No? – spytał wreszcie.

– Kamyk wraca!!! – wypaliła Jagoda z podnieceniem i ogromną satysfakcją.

Smok zerwał się na równe łapy, nie zważając nawet na to, że niechcący zamoczył w sadzawce koniec ogona.

– Gdzie?!

Jagoda wskazała palcem kierunek. Dwie pary czerwonych oczu zgodnie skierowały się na zachód.



Na niebie rozsypały się podłużne plamki – znajome kształty smoków, którym odległość odbierała konkretne barwy i wyraźne kontury. Członkowie załogi „Motyla” przyglądali się temu bez niepokoju. Nawet płochliwy Myszka zdążył przywyknąć do tego widoku. Smoki zbliżały się, tańcząc w powietrzu, kreśląc na niebie zawile pętle. Było to największe stado, jakie widzieli do tej pory. Skrzydlaci przybysze rozdzielili się na dwie grupy, mijając statek z dwóch stron. Smukłe ciała śmigły całkiem niedaleko – czarne, stalowoszare, brązowe i rude, białe jak mleko... Przez ogromne smocze skrzydła przeświecał blask słoneczny, barwiąc je na złocistoróżowo. Czerwone ślepią uważnie lustrowały ludzi na pokładzie.

Nagle jeden ze smoków zawrócił ostro, prawie dotykając wody końcem skrzydła. Zaniepokojeni ludzie zgromadzili się koło masztu, pod wątłą osłoną żagla. Jedynie Kamyk pobiegł na rufę, wymachując ramionami nad głową i wydając okrzyki specyficznym załamującym się głosem człowieka, który nie słyszy sam siebie.

– To... to jest... Pożeracz Chmur? – odezwał się z przejęciem Nocny Śpiewak.

– Mhm... – Wiatr Na Szczycie odruchowo przetarł ręką twarz, przypominając sobie oblizanie wielgachnym jęzorem.

Smok wylądował, wbijając potężne pazury w deski pokładu. Jego skrzydła przesłoniły na moment słońce jak jeszcze jeden żagiel. Szeroko otwierał szkarłatne oczy, drgały mu wrażliwe nozdrza.

Zaskoczeni świadkowie patrzyli, jak biały smok i chłopiec tarmoszą się nawzajem, zupełnie jakby dziecko bawiło się z ogromnym psem. Smok ocierał się o młodego Tkacza Iluzji wielkim łbem, a mag obejmował go za kark, targał za spiczaste uszy, w końcu obaj przewrócili się na deski, przytuleni do siebie – widać było, że obaj są absolutnie, doskonale szczęśliwi i aktualnie nie obchodzi ich reszta świata.



„Witaj z powrotem” – przekazał Pożeracz Chmur.

„Tęskniłem” – odpowiedział Kamyk, wtulając nos w białe futro. Czuł się spokojny, szczęśliwy i całkowicie bezpieczny, jakby po długiej wędrówce powrócił do domu.

## ❁ EPILOG ❁

Srebrzanka przesunęła dłonią po wypukłości brzucha i usadowiła się wygodniej.

– Jak się czujesz? – spytała Jagoda.

– Całkiem nieźle. Nie wymiotowałam od wczoraj.

– Bo to już ten czas, kiedy mdłości przechodzą – odparła Jagoda z ważną miną.

Srebrzanka zachichotała.

– Mówisz tak, jakbyś się na tym doskonale znała.

– Bo się znam! Razem z Księżycowym Kwiatem „urodziłam” pięcioro.

– Tylko jakimś dziwnym trafem za każdym razem, kiedy zaczynałam rodzić, ty byłaś poza domem i wracałaś na gotowe – wtrąciła Księżycowy Kwiat. – Pogadamy, jak będziesz miała prawdziwe, własne dziecko. – A to może być całkiem niedługo – dodała prowokacyjnie, z przekornym uśmieszkiem.

Jagoda oblała się malinowym rumieńcem i naburmuszyła się. Księżycowy Kwiat obserwowała ją spod oka z rozbawieniem. Musiała przyznać, że jej pasierbica wygląda o wiele atrakcyjniej, kiedy nareszcie z patykowatego stworzenia zaczęła przemieniać się w młodą kobietkę – choć nadal humorzastą. Wynikiem znajomości z niewiele starszą Srebrzanką było też to, że Jagoda zaczęła nosić sukienki i upinać włosy, a nawet malować rzęsy. Gromadka młodych magów całkiem jawnie oglądała się za rozkwitającą ładną dziewczyną. Rodzicom Jagody odpowiadał taki obrót rzeczy – przynajmniej wszyscy adoratorzy Jagody należeli do ludzkiej rasy i żaden jak dotąd nie przyniósł jej w podarunku martwej papugi. Poza tym Srebrzanka od kiedy przybyła, stała się ogniwem, łączącym Kwiat z przybraną córką. Coraz częściej siadywały tak jak teraz, razem szyjąc, przebierając zioła, nasiona lub owoce, i rozmawiając o kobiecych sprawach.

– A gdzie twój mąż?

– Mój mąż wyżywa się w ruinach – odpowiedziała Srebrzanka z przekąsem, wywracając oczami. – O ile w ogóle można nazwać mężem człowieka, z którym nie było się w świątyni i który nie przyznaje się do twojego dziecka.

– Nie rozumiem Śpiewaka! – prychnęła Jagoda ze złością. – Żyje z tobą, nazywa cię żoną, a twierdzi, że dziecko nie jest jego! Skąd ma taką pewność?

– Jakby nie liczyć, zawsze mi wychodzi, że zaciążyłam jeszcze w Zamku,

a tam musiałam sypiać z wieloma mężczyznami – odpowiedziała Srebrzanka. – Myślę, że Śpiewak się boi.

– Dziecka? – mruknęła Jagoda, szarpiąc ze złością wyplataną właśnie matę. – Co straszego jest w dziecku?

– Tego, że może być do niego podobne – odpowiedziała Srebrzanka, a w jej głosie zabrzmiała smutna nuta. – Nie chce tego, więc woli myśleć, że kto inny jest ojcem.

Nocny Śpiewak zmienił się, kiedy przeszedł przez piekło Krwi Bohaterów. Ucichł, spoważniał, złagodniał i jakby posmutniał. Stał się zauważalnie mniej gadatliwy, a jego żarty straciły dawną ostrość. Srebrzanka nie miała pewności, czy uznać to za zmianę na gorsze czy na lepsze. Zresztą Jaszczur zmienił wszystkich, bardziej lub mniej. Srebrzanka obejrzała się na siedzącego parę kroków dalej Kamyka. Kiedy widywała go jeszcze w Zamku Dłoni, myślała o nim jak o paniczku i uczonym – zwykle tkwił z nosem w książkach. Na Jaszczurze bez najmniejszej skargi pracował ciężko niczym robotnik w kamieniołomach. Co zresztą było niedalekie od prawdy. Drugi Krąg budował sobie siedzibę, podnosząc z ruin dawne miasto. Uszczęśliwiony Nocny Śpiewak mógł nareszcie wykorzystać swoje umiejętności Stworzyciela i architekta amatora. Pracował chyba najciężej ze wszystkich, przywracając do dawnej świetności każdą rzeźbę, gzyms czy arkadę. Tam, gdzie nie dawało się już rozpoznać dawnego wyglądu zniszczonego domu, wyobraźnia Śpiewaka tworzyła nowe konstrukcje. Odnalazł w tym samego siebie, a to, co już powstało, miało w sobie zaklętą część jego duszy. Nowej duszy, a może dawnej – tej, która przez całe lata drzemała, przytłoczona przez złe nawyki, zamknięta w pancerzu niezrozumienia i samotności.

Na razie wykończone zostały trzy niewielkie budynki, zaledwie wystarczające na to, by w niezbyt wygodnych warunkach pomieścili się wszyscy na czas pory deszczowej. Ale Śpiewak marzył o pojedynczej przestronnej siedzibie, tylko dla swojej rodziny. Srebrzanka uśmiechnęła się do swoich myśli. Jakikolwiek zdanie o Śpiewaku miała Jagoda, ona wiedziała swoje – kosmaty Stworzyciel ją kochał. Utwierdzały ją w tej pewności słowa szeptane w nocnych ciemnościach: „Nieważne czyje, należy do nas”.

Kamyk pisał w skupieniu. Na kolanach miał kawałek deski, a na desce rozłożony pamiętnik. Poprzedniego dnia zwichnął nogę w kostce i został zwolniony z ciężkich robót w starym mieście. Z zaskakującą w jego sytuacji pogodą ducha wykorzystywał czas na uporządkowanie notatek i nadrobienie zaniedbanych od dawna wpisów w dzienniku.





Nareszcie mogę zapisać to wszystko, co zdarzyło się od tamtej pamiętnej wiosny, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Nocnego Śpiewaka i zostałem magiem Drugiego Kręgu. Tyle zmian – i tam, i tutaj. Życie nie stoi w miejscu. Jagoda zmieniła się zaskakująco, nawet nie przypuszczałem, że może być taka ładna. Dzieciarnia Słonego też wyrosła i przestało być ściśle strzeżoną tajemnicą to, że Żywe Srebro ma talent Strażnika Słów, a mały Tygrysek to Bestiar. Nikt nie powróci na kontynent, żeby zdradzić ten sekret i Krąg nie upomni się o dzieci Mówcy. Swoją drogą to zdumiewające nagromadzenie talentów w jednej rodzinie. Po raz pierwszy spotykam się z czymś takim. Poza tym pogodziłem się z Wiatrem Na Szczycie. Sporo mnie kosztowało to, żeby pójść do niego i prosić o wybaczenie. To, co zrobiłem mu pod murem Iskier, było naprawdę ohydne i niesprawiedliwe. Sam się teraz sobie dziwię, że byłem zdolny do czynu tak niskiego i podłego. Wybaczył mi. I wyjaśnił, na czym polegają u Hajgów zależności Gwiazd i Wilków. Skrzywdziłem go. „Gwiazda” tak ma się do „zabaweczki”, jak syn do domowego psa. Gwiazda to chłopiec oddany pod opiekę starszego wojownika, zwanego Wilkiem, który dba o jego wychowanie i uczy wszystkiego, co uzna za potrzebne oraz pożyteczne. Tacy ludzie są bardzo ze sobą związani. Silniej niż zwyczajny uczeń i nauczyciel. Wspierają się wzajemnie, a gdy zajdzie potrzeba, walczą ramię przy ramieniu. Gwiazdy nadają często synom imiona swoich nauczycieli, nie jest też wyjątkiem, że sami z kolei stają się Wilkami dla młodszych dzieci własnych wychowawców. Wiatr miał już przede mną dwóch takich podopiecznych, a mnie uznał za trzeciego, choć rozumie, że jestem Lengorchianinem i nie będzie między nami tego, co zdarza się u Hajgów między mężczyznami. Razem polujemy, łazimy po zboczach wulkanu, łamiemy kolejne drewniane miecze podczas ćwiczeń, gdy zbieram sińce, połajanki i pochwały. Tych ostatnich jest coraz więcej. Staram się. Kto wie, czy nie trzeba będzie wziąć do ręki prawdziwego miecza? Długi cień pierwszego Kręgu może nas ogarnąć każdego dnia. Kiedyś pewnie dotrze do nich wiadomość, że nasz statek nie zatonął na wodach Zatoki Cesarskiej. Boję się tego. Czasami nawet bardzo.

Ale nie teraz, nie w tej chwili. Dziś jestem szczęśliwy.



Jagoda odwróciła głowę w stronę rampy Wędrowców, słysząc charakterystyczny dźwięk, towarzyszący skokowi. Cichą okolicę wypełnił gwar rozmów. Zmęczeni budowniczy wracali na wieczorny posiłek. Gryf nucił przyjemnym, niskim głosem:

Złapała mnie w sidła swych rzęs,  
Zagroziła drogę łzami,  
Już nie odejdę stąd,  
Już nie uwolnię się,  
Jej warkoczem oplątany.

Kamyk podniósł się i pokuśtykał na spotkanie przyjaciół. Słońce schodziło z nieba, lecz nadal było gorąco. Chłopcy ściągali tuniki, ocierali spocone czoła i karki. Na ich piersiach widniały jednakowe symbole – znak talentu i krąg. Na dole czarny, a na górze dopełniony zielenią.

